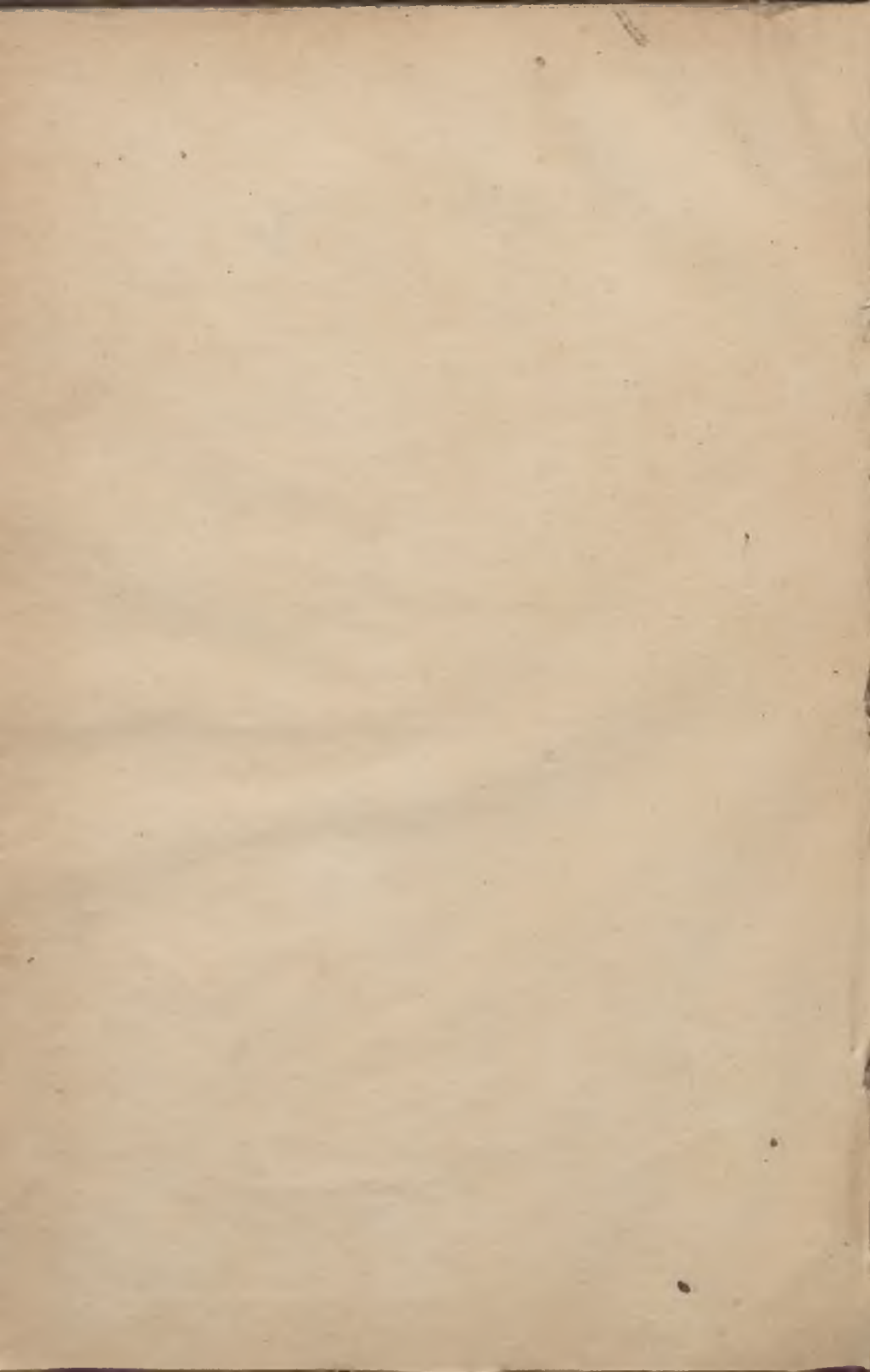


N
PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA
Gdańsk-Wrzeszcz,
Libeczna 36

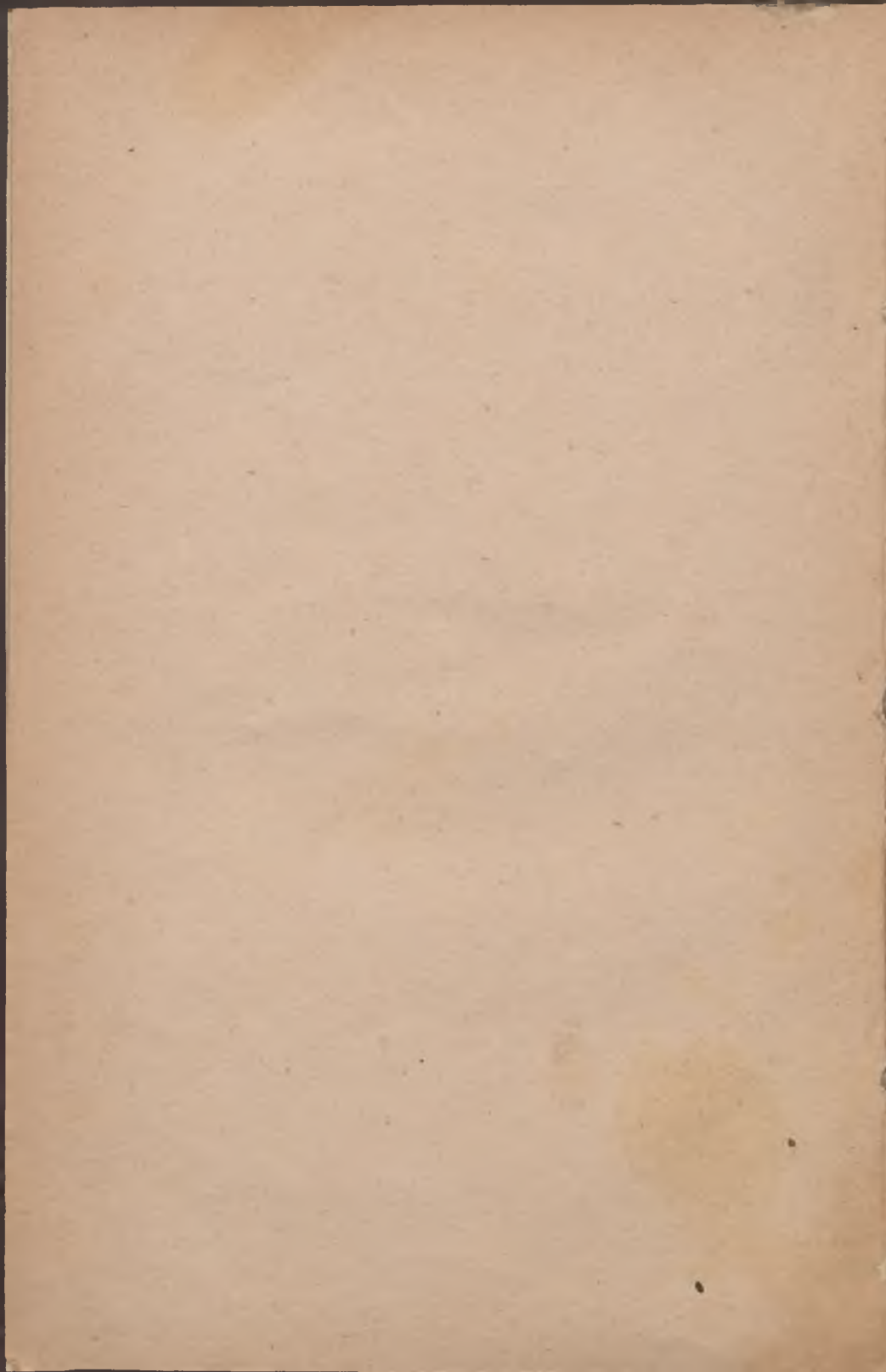
23862







DZIEŁA
LUCYANA SIEMIENSKIEGO.



DZIEŁA
LUCYANA SIEMIŃSKIEGO

PORTRETY LITERACKIE.

Tom V.

WARSZAWA.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA UNGRA,
przy ulicy Nowolipki, № 3.

—
1881.

Дозволено Цензурою.

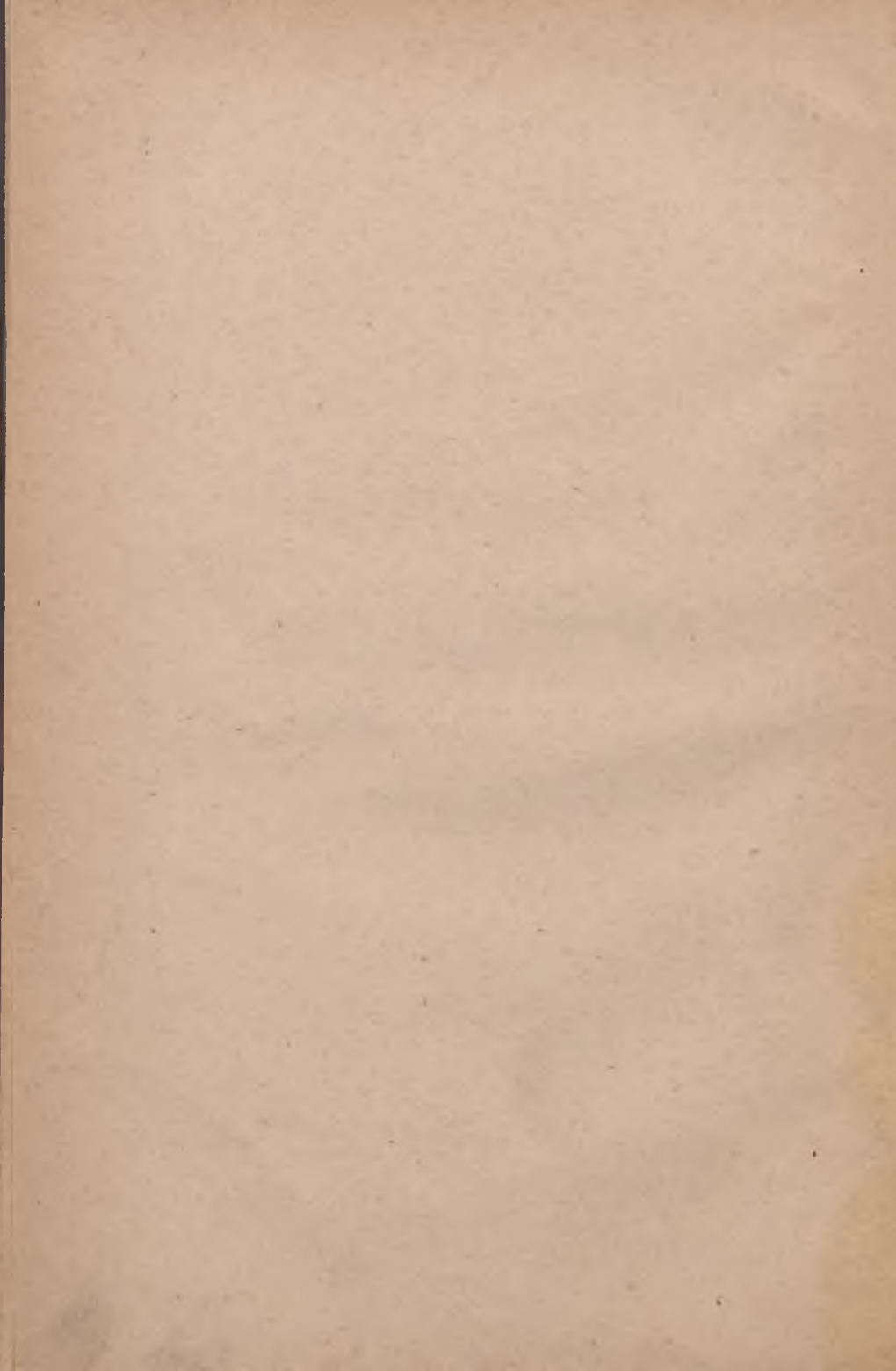
Варшава, 15 Апрѣля 1881 года.

к. 2079/59



23 862

PORTRETY LITERACKIE.



XXIII.

KONSTANTY GASZYŃSKI.

(1809 — 1866).

Dziesiątek lat poprzedzających powstanie 1831 roku, możnaby nazwać wiosną naszej poezyi. Przez ten dziesiątek, tak samo, jak na wiosnę każdego roku, gdy raniem wyjdiesz w pole, rozlegało się powietrze koncertami śpiewaków leśnych, polnych, wodnych, śpiewających hymn na powitanie słońca i życia. Słowiki prym trzymały. Nadwilejski rozpoczął koncert—mistrz, dyrygował orkiestrą, i zaraz do wtóru ozwał się drugi z ukraińskich stepów, pełny rzewnej melodyi. Za ich przykładem nie było okolicy, któraby nie miała swego słowika, a przynajmniej skowronka, zrywającego się z piosenką. Wszyscy śpiewacy nawiązali na swoich lirenkach nowe struny i szukali nowych melodyj; — nie brakło im też słuchaczy, jak home-rycznemu Femiowi, o którym Telemak powiedział:

Azaliż nie tój pieśni słuchamy najchętniej,
Co czémsię nowém w sercu słuchacza odtętni? (*)

Były to czasy najprzyjaźniejsze poezyi; lubili ją starzy i młodzi, a nadewszystko płeć piękna egzaltująca się

(*) Odyseja ks. I.

każdą nowością. Na gotowalniach obok perfum i pomad leżał tomik któregoś z ulubionych poetów; przedmiot herbacianych pogadanek krążył w kole estetycznych teoryj dowodzących wyższości romantyzmu nad klassycyzmem; strój nawet kraciasty przypominał walterskockich Highlanderów, a wyznawający swą miłość młodzieniec okraszał ją jaką niedwuznaczną cytata z *Maryi* lub *Dziadów*...

Nie dziwnego, że każdy zawód literacki rozpoczynał się balladą lub dumką, poematem à la Byron lub romansem historycznym à la Walter Scott, i rozpoczynający mógł rachować jeśli nie na dobre, to zawsze nie na obojętne przyjęcie. Pod skrzydła mistrzów orlego lotu cisnęły się drobne ptaszyny i obiegały szerokie horyzonty duchowego państwa. Były to większe i mniejsze talenta, zdolności wybitne i zdolności wątpliwe, a jednak nie odrzucano ich; dziś jeszcze wracając do nich, choć może nie na jedno wzruszysz ramionami, znajdziesz tam pewne ciepło uczucia, poryw duchowy. *Spiritus intus alit*; ogień wewnętrzny dawał im to życie, to trwanie—w nim też najgłówniejszy warunek poezyi. Bez duchowego ciepła nie nie pomaga nowej generacyi poetów, że się podszywają pod pewne systema, pod pewne prawidła natchnienia, że wołają to niż tamto, utrzymując: na takiój tylko wolno grać strunie, takie tylko przedmioty śpiewać, a nie inne! Tymczasem poezya może się obejść bez wszystkiego, byle była w treści poezją. Na nic nie przyda się ta pretensjonalna jałowość, co dzisiaj sadi się na rytmy i rymy wyszukane, co ideę poświęca dla obrazu, co anatomizuje naturę zamiast ją malować z czuciem, co wreszcie zamiast jasnych i zdrowych pojęć, sypie metaforami. Jeszcze mniej poetycznemu żywiołowi sprzyja ów ton szyderezy, owo naigrawanie się z wierzeń, z przyjętych wyobrażeń w społeczeństwie. Myli się kto mniema, że wspiąwszy się na szczydła ironii, panuje tém samem nad tą ludzkością, którą rozdziera zębem nienawiści, podejrzewa każde uczucie, mieniając je hypokryzją; tymczasem sam jest największym hypokrytą, bo udaje tę wyższość, której nie ma, prosty podrzeźniacz Byron'a lub Słowackiego. Nie to innego, tylko szamotanie się w poetycznej niemocy.

Mówią też powszechnie, że poezya za dni naszych należy do rzadkości. Nie przeczę,—lecz to zapewne pochodzi ztąd, że poetów namnożyło się bez liku. Nowe pokolenie przejąwszy w spuściźnie wyrobiony język poetyczny, zasypuje nas rymowaną gadaniną względnie tak udoskonaloną, że choćby się odezwał jaki głos prawdziwie poetycznie natchniony, zagłuszonoby go w tym gwarze upędzającym się za nowym plonem dla poezyi, jakby to jej sfera nie była zawsze jedna i ta sama. Serce człowieka to niewyczerpana kopalnia, pełna rozmaitości, ale tylko dla silnej wyobraźni, dla wyższego ducha, jak znowu dla ubogich duchów, wyobraźni jałowych, przedstawia ciasne pole zasiane oklepanemi ogólnikami. Póki świat światem poezya nie będzie nic innego śpiewała tylko Boga, naturę i miłość. Może się powierzchnia kuli naszej przeobrażać nieskończenie, pracę rąk zastąpić siłą mechaniczną, machina urągłym kłębem dymu pluć w niewzruszony sklep niebieski, możemy zmieniać rządy i chorągwie, wyobrażenia i zwyczaję—wszystko to da ton, da inne zajęcie poezyi — ale mimo tego nie będzie ani jej pierwiastkiem, ani celem. Jeżeli poeta ma w piersi iskrę bożkiego ognia, każdy przedmiot, jakiego się dotknie, będzie miał prawo do życia, i niepotrzebnieby się kłopotał, czy sprawie narodu lub ludzkości służy pożytecznie. Wieszcz, natchniony poeta, zawsze znajdzie się w prądzie opatrnościowym swojego czasu, nie pcha się tam, nie powiada z góry, że chce zająć to wysokie stanowisko—ale je zajmuje mimowiednie. Zaraz się da to widzieć, uczuć, odgadnąć, po przenikającej prawdzie jego słowa, po wzruszeniu, które słuchaczów jak prąd elektryczny wstrząsa. Mickiewicz od pierwszego rzucenia w świat swoich dwóch tomików poezyj, dotąd trzyma pod magicznym zaklęciem trzecie już pokolenie, i nie wiem ile jeszcze takich pokoleń przesunie się, nim ten czar będzie z nich zdjęty.

Była to, jak rzekłem, wiosniiana pora poezyi w tym ożywionym lat dziesiątku przygotowującym powstanie listopadowe. Odmłodzenie krwi w narodzie rzeczywiste, niendane, objawiające się niezwykłym ruchem w sferze myśli i uczuć.

Nowy zastęp pisarzy wychodził na widownię i wzmacniał się z każdym dniem.

W téj liczbie znalazło pewny rozgłos nazwisko Konstantego Gaszyńskiego, młodego ucznia uniwersytetu warszawskiego, który kilku poezjami wdzięcznemi i słodkimi zwrócił na siebie uwagę.

Szcześliwy to czas, gdzie zwrotka dobrze utoczona dawała imię.

Gaszyński miał jeszcze to szczęście, że wyborem przedmiotu, formą tak zwanym klasykom dogadzającą, a przytém pewną malowniczą świeżością, dogadzał obu stronnictwom ścierającym się na polu literackich teoryj. Romantycy nie odpychali go od siebie, klasycy uważali za swego.

Nadzwyczaj ujmującej powierzchowności, dobrze wychowany, umysłem bystry, umiał się podobać i przez stosunki kolleżeńskie z młodym Zygmuntem Krasińskim wprowadzony był w dom jego ojca, generała Wincentego Krasińskiego, u którego zbierało się grono poważnych literatów, jak Osiński, Koźmian Kajetan, Franciszek Morawski, Niemcewicz i tyle innych ówczesnych znamienitości. W gronie tém wyrabiał się smak młodzieńca, dowcip rozwijał. Towarzystwo ludzi wykształconych, zajmujących wysokie stanowiska, światowych, wesołych, dowcipnych, nie mogło nie oddziaływać na młodego człowieka, robiąc go poważnym w rzeczach poważnych, a gładkim, ujmującym, umiejącym się znaleźć i zawsze dobrze odpowiedzieć w danym razie. Miała też konwersacya ówczesna inny charakter niż dzisiejsza, mogła być lekką, lecz dowcipną, powierzchowną, lecz ożywioną, ścierającą się w zdaniach, lecz bez zadawania ran dotkliwych dla miłości własnej. Była to dawna tradycya wykwinionych towarzystw stolicy, dzisiaj prawie stracona; teraz bowiem najczęściej, jeśli konwersacya nie bywa ciężko pedantyczna, to obmowna, jeśli nie przybiera charakteru jątrzącej dyskusyi, w której mówca tyranizuje swoim zdaniem, to się jedni odwracają od drugich lub podejrzliwie unikają rozmowy, a jeśli jeszcze połowę towarzystwa składa płeć piękna, zwykle bywa skazana na przyśluchiwanie się rozprawom jak z katedry lub ławy sejmowej.

wój, które choć potężnie nudzą, jednakowoż niełatwo dają się sprowadzić do tonu mniej naprężonego. Za czasów Górnickiego, starosty tykocińskiego, znano się na tych przyzwoitościach towarzyskich, jak pokazuje wyborna anegdota o owym dworzaninie, co to postawą srogą, odętym wąsem straszyl i tylko z fukiem mówił o wojennych rzeczach, twierdząc, że zbroja najmniejsza jego pierzyna, a najsmaczniejszy trunek z przyłbicy. Otoż jedna z pań, widząc go srodze zafrasowanego, prosiła, żeby się albo przysiadł do muzyki, albo tańcował, albo rozmową z paniami bawił, na co on każdym razem odpowiadał, iż to jest lekkich ludzi dzieło, a nie jego rzemiosło. Radziła mu tedy owa grzeczna pani, że ponieważ wojny tu nie ma, żeby się kazał razem ze zbroją i orężem tłuszczeniem wysmarować i do szafy zamknąć, aż do czasu najbliższej wojny, dodając: „Żebyś wpan bardziej niż teraz nie zardzewiał.”

To samo dałoby się powiedzieć o tonie dzisiejszych towarzystw po większej części politycznie sztywnych, a ztąd pozbawionych tego ciepła, co przyciąga, udziela się i rozwiązując język, stawia w naturalnym stanie werwy i dobrego humoru. Salon dawniej był szkołą światowego wykształcenia, dziś jest zbiorowiskiem jednostek, odrabiających pańszczyznę wielkiego świata.

Gaszyński przeszedł przez tę szkołę i został mu na całe życie wdzięk towarzyski, który acz złamanego wieloletnimi cierpieniami zawsze robił przyjemnym i pożądanym w każdym gronie. Uprzejmość, delikatność w zachowaniu się, trafne słowo, niekiedy dowcipne i tém dowcipniejsze, że się samo nasuwało bez pretensyi sadzenia się na nie, — wszystko to sprawiało, że jeżeli miła była znajomość z nim, to nierównie cenniejsza przyjaźń. Doznając jej lat wiele, mógłbym coś o tym stosunku powiedzieć, który lubo rzadko osobiście nas zbliżał, niemniej jednak pozostał miłą dla mnie pamiątką w licznej jego korespondencji.

Lecz oto w wycieczce tej przeciw dzisiejszej fizyognomii towarzystw splątałem sobie porządek historyczny, jakiego wypadało trzymać się, opowiadając żywot zgasłego niedawno poety. Nie dziwnego! pamięć po każdój drogiej

stracie wysuwa naprzód te wrażenia, jakie się najmocniej w niej wycisnęły.

Wracam do obowiązku ścisłego biografa.

Konstanty urodził się dnia 10 marca 1809 r. w ziemi Czerskiej, w województwie Mazowieckim, w Małej Wsi, z matki Tekli Bzowskiej, z ojca Antopiego Gaszyńskiego, niegdyś vice-brygadiera w wojsku Rzeczypospolitej, później radcy województwa Mazowieckiego. Do szkół i do uniwersytetu uczęszczał w Warszawie i jeszcze na szkolnych ławach okazywał talent do wierszowania. Pierwsze próby jego pióra pojawiły się w *Rozmaitościach* dodawanych do *Gazety Korrespondenta Warszawskiego* i zwróciły na siebie uwagę; odtąd poezye jego i prozaiczne artykuły ukazywały się po różnych pismach, mianowicie w *Pamiętniku dla płci pięknej*, którego był współpracownikiem. Najwięcej jest tu tłómaczeń z Byron'a, Moor'a, Schiller'a, także z *Guzli* Merimę'ego, który na wzór pieśni serbskich układał bardzo zgrabne apokryfy. Najwięcej jednak zrobił sobie wziętości pieśniami sielskimi, przypominającemi prostotą i tokiem piosnki naszego ludu. Pojawiły się one w r. 1830 i były symptomatem upadku ballady i romaney, z razu z takim zapalem przyjętej. Znać tu wpływ Brodzińskiego, wskazujący źródło, w którym odmłodzić się miała nasza rodzinna muza. Gaszyński niebędący zagorzałym romantykiem, skłonił ucho do melodyi wielkopolskiego ludu, podobnie jak Zaleski pochwycił był nótę ukraińską, i jak Chopin z obertasów i mazurków tworzył muzykalne arcydzieła. Jest takich piosnek siedm, i dziś można je z przyjemnością czytać, a nawet raz przeczytawszy, nauczyć się na pamięć, tak są płynne, tak pełne melodyi. Kogoby zmęczyła terazniejsza apokaliptyczno-ironiczna poezya, mógłby sobie odetchnąć przy takim przyspiewku jak *Pocałowanie*:

Przez Bóg żywy, dziewczę moje,
Ty czarujesz usta twoje;
Bo gdy ciebie pocałuję
To żar taki silny czuję,
Że choć usta nim napieszczę,
Żar ten w sercu pali jeszcze.

A gdy zasną—do świtania
Śnią mi się pocałowania.
Przez Bóg żywy, to są dziwy,
To są dziwy, dziewczę moje,
Ty cukrujesz, ty czarujesz,
Ty czarujesz usta twoje.

Piosenki te najwięcej mające charakteru rodzinnego, są też najlepszą częścią poetycznych utworów pisanych do roku 1830, które Gaszyński miał zamiar zebrać i wydać w dwóch tomach. Wybuch rewolucyjny przeszkodził temu; co nie wyszło mu na złe, gdyż pierwiastki tej młodzieńczej muzy byłyby w późniejszym czasie jemu samemu przysporzyły nieukontentowania, jak o tém w jednym liście wyraził się do mnie, gdy mówiąc o powtórném wydaniu swych poezyj (w roku 1856), powiada, że z pierwszej edycyi (roku 1834) powyrzucił prawie wszystkie juvenilia, chociaż w tej pierwszej owych warszawskich juveniliów było niewiele, i to już znacznie przetrzebionych. Skwapliwość do ogłaszania drukiem pierwiastków choć sprawi na razie pociechę, w dojrzałości męskiej wzbudza niekiedy skrupuły, ale tylko u takich pisarzy, co mają uczucie doskonałej formy i wyższej piękności. W słabych, nieudatnych próbach widzą oni profanacę sztuki, i to ich boli.

Gaszyński w wysokim stopniu miał to uczucie, i bardzo mu szło o to, żeby księgarz petersburski Wolff, zamierzający w *Skarbczyku* wydać jego poezye, nie przestał na przedrukowaniu samych juveniliów... „W takim razie—pisze on w liście (30 maja 1855)—mogą o moich poezyach powiedzieć to samo, co Wójcicki w swojej historii literatury mówi o moim romansie historycznym: *Dwaj Śreniawici*, wydanym w r. 1830, robiąc tę bardzo słuszną uwagę, że nie ma tam kolorytu historycznego z czasów Łokietkowych, aczkolwiek powinien był dodać, że autor miał wówczas lat 19 gdy pisał, więc znał bardzo płytko i historię, i serce ludzkie.”

Był to grzech młodości ten romans *Dwaj Śreniawici*, atoli grzechu tego dopuszczali się i starzy, którym zdawało się, że dość jest wziąć jedno lub kilka nazwisk historycz-

nych ze średnich wieków, ubrać je w hełmy i pióra, czarną lub świetną zbroję, posadzić na czarnym lub białym rumaku, za dekoracyę dać parę zamków w niedostępnych górach, z podziemnymi lochami, wyprawić wesele lub gody na królewskim dworze, parę turniejów, i co niemiara bitew, a w to wszystko wplątać jaki naiwny romans z porowaną i odbijaną heroiną, łączącą się po wielu, wielu przechodach z bohaterem powieści. Wprawdzie nudziły te oklepane motywa i sytuacye, ale pobbazano im w nadziei, że i my dostaniemy swego Waltera Scótt'a; zresztą uważano w tém pewną stronę utylitarną, utrzymując, że tym sposobem popularyzuje się umiejętność historyi.

Jak wtedy widzimy, młodzieńcza płodność Gaszyńskiego zaledwie liczącego rok dwudziesty pierwszy, mogła się już poszczycić dwoma tomami przygotowanych poezyj, w świat puszczonego romanssem *à la Walter Scott* i krotoczwilą *Waryat z potrzeby*, która często bywała wystawiana w Teatrze Rozmaitości.....

Następnie przez Niemcy, Bruksellę dostał się Gaszyński do Paryża. Ówczesny rząd francuzki zaniepokojony napływem emigracyi do stolicy, która roznamietniała Francuzów jeszcze ciepłych po barykadach lipcowych—zaczął ich internować po prowincyach. Gaszyński w r. 1833 udał się do Prowancyi do Aix, czarującego słońcem, okolicą, rzymskimi i średniowiecznymi zabytkami, które przecież nie rozpraszały, ani utulały jego tęsknot, jak sam mówi:

Balsamy te bez skutku na pielgrzymu życie:
Bo w tym kraju rozkoszy, w tój ziemi uroczyć
Brakuje mi... tak wiele... Bo na tym błękiecie
Dwie gwiazdy mi nie świecą—kochanki mój oczy!

Zapewne wzmianka ta o przedmiocie ukochanym młodzieńczém uczuciem, a zostawionym w kraju, nie była tylko dla rymu, dla zakończenia strofki. W kilku miejscach wspomina, że pokochał—i stracił. Jakżeby mogło być inaczej, gdyby w życie poety, marzyciela nie wsnęła się złota nić miłości? W lat kilkanaście później napisany poemacik:

Sielanka młodości, zdaje się być historią pierwszego uczucia, które podobne jest do gwiazdki ukazującej się w błękitie żeglarzowi miotanemu falą na pełnym morzu. Gdziekolwiek prąd go unosi, gdziekolwiek pędzą burze namiętne, ona zawsze się przypomina Edenem młodego serca mogącego raz tylko tak czuć, tak marzyć, tak wierzyć... Zapewne pamięć téj skłonności do młodziutkiej dziewczeczki, której nie dano młodziutkiemu kawalerowi, zajmującemu jeszcze studencką ławkę, a połączono z poważnym jegomościem,—towarzyszyła mu długo na drogach pielgrzymich, i tak żywo tkwiła w duszy, że potrzeba aż było wielu lat, żeby ta bolesna rzeczywistość stała się poetycznym wspomnieniem. Są pewne świętości serca, ukrywane nie tylko przed ludźmi, ale przed samym sobą, że ich nawet nie śmiemy powierzyć miękkim i lotnym obłoczkom poezyi, — a kiedy już powierzmy, to zamknęły się dzieje tego wewnętrznego świata. Tłómaczy to, dla czego Gaszyński tak późno skreślił sielankę swojej młodości — on, co umiał uhistoryczniać swoje wrażenia w miarę jak przesuwaly się przez jego duszę, co zbiór swych poezyj nazwał „kalejdoskopem, w którym przesuwają się życie autora przez ciąg kilkunastu najpiękniejszych lat młodości,” co datę i miejsce kładł pod każdym kawałkiem, jakby chciał wskazówką tą usprawiedliwić, co, jak i kiedy wpływało na jego usposobienie — jednakowoż sielanki téj nie śmiał napisać, aż dopiero po dwudziestu kilku latach od téj serdecznej katastrofy ubiegłych, kiedy dużo przecierpiał, przeżył, kiedy:

Niejedna odtąd miłość namiętna lub czuła
Upoiła go szczęściem, smutkami zatrula!
I poznał serc niewieścich balsamy i jady,
Anielskie poświęcenia i piekielne zdrady —
Bo na ścieżce żywota, w ciągłym niepokoju
Pił do sytu z cierpkiego doświadczenia zdroju!

Tylko z silniejszymi, głębszemi uczuciami człowiek
nosi się tak długo i zazdrośnie przed okiem świata ukry-
wa,—płytsze wrażenia prędzej wyrzuca z siebie.

Mówić o poecie i nie potracić o tę stronę, która go może zrobiła poetą, byłoby jedno, co mówić o kielichu i barwie kwiatu, a zamilczeć o jego woni.

Nie wiem czy umyślnie dla wyszukania zatrudnienia, czy przez samą ciekawość, w roku przybycia do Aix zwiędził Konstanty wyspę Korsykę, tę ojczyznę Napoleona i *vendetty*.

Osobliwy ten kraj, o którym tyle zajmujących rzeczy pisano, mianowicie pod względem oryginalnych obyczajów mieszkańców, mógł rzeczywiście rozciekawić jego wyobraźnię, lubo w późniejszym opisie tej podróży nie znajduję, żeby wyniósł był nadzwyczajne wrażenia, prócz jednego, które wypowiedział w wierszu pod napisem: *Ajaccio*, gdzie obudzają się w nim wspomnienia wielkiej przeszłości na widok domku, pod którego dachem urodził się Napoleon. Pięknych tu kilka strofek; między innemi szczęśliwa:

Czoło żołnierza laurem jaśniejące
Czemużes zakrył koroną cesarza?
Wszak takich koron były już tysiące,
A takie laury niekażdy wiek stwarza.

Kończy tę apostrofę zwrotem do obecności:

Dziś obey nawet nad twym grobem płaczą!
Ajaccio, chlub się! zrodziłoś olbrzyma:
Nieprędko wieki taki cud obaczą,—
Karły dziś liczne, olbrzymów już niema.

Sarkazm ten odpowiadał wewnętrznemu usposobieniu tułacza, który jak do ziemi zbawienia dążył do Francyi legionów, Francyi stwarzającj Księstwo Warszawskie, — a znalazł tylko samolubny rząd mieszczański z godłem: *Chacun chez soi, chacun pour soi*.

Z wycieczki do Korsyki wrócił do Aix i tam się osiedlił. Przyjęcie serdeczne doznane od mieszkańców, bliższa zażyłość z kilku znamienitemi talentami, piękna miejscowość, wiele pamiątek, niebo słoneczne, wszystko miało urok przywiązujący o tyle, o ile mogło przywiązać tego,

co ciągle tęsknił do brzegów Pilicy i domku, gdzie mieszkała matka i rodzeństwo, i do tego północnego nieba uśmiechającego się tak rzadko.

Obrawszy to przyjemne siedlisko w stolicy Prowancyi mającej swój uniwersytet, towarzystwa uczonych, muzea, zabytki architektury, był pociągnięty do pracy. Dobrą znajomość francuzkiego języka wyniósł z domu, a lubiąc tę literaturę, przy wrodzonej łatwości, prędko nabył wprawy w pisanie w obcej mowie. Jakoż między próbami jego francuzkich wierszy znajduje się sonet do Wiktora Laprade'a, będący odpowiedzią na wiersz, który do niego napisał ten jeszcze wtedy niegłówny poeta, lubo znany już w prowanskiej stolicy. Sonet ów nosi datę r. 1834. Znać jeszcze nieśmiałość, walkę z trudnością przejęcia się duchem obcej poezyi i mowy, lecz mimo tego myśl sama zachowała pewną oryginalną świeżość, co musiała pobudzić jego francuzkich przyjaciół, że go nakłonili do pisania w tym języku. Zabrał się więc Konstanty do ścisłych studyów nie tylko nad językiem, ale nad wszystkiem, co obchodziło miejscowość; badał historię, starożytności, literaturę trubadurów i prowensalskie narzecze, czyli tak zwaną *la langue d'oc*, mającą świetne swoje czasy w średnich wiekach, a teraz znowu wskrzeszoną przez poetę Jasmin'a, który acz goli broda, najwięcej może poetycznego daru dostał w udziale.

W jednym z listów późniejszej daty (z r. 1851 z Baden-Badenu) opisywał mi Gaszyński studia swoje w literaturze prowensalskiej, i robił nad nią bardzo trafne uwagi. Między innemi mówi:

„Dziewiętnaście lat temu przybywszy do Prowancyi, zająłem się był historią trubadurów. Wszystkie dzieła w tej materii pisane przewertowałem i mam spore zeszyty wyciągów, lecz nie mając tego wszystkiego pod ręką, nie mógłbym się teraz wziąć dla dostarczenia ci tłómaczeń z oryginałów. Zresztą, o ile sobie dziś przypominam, owe pieśni trubadurów nie robiły na mnie wielkiego wrażenia; więcej tam tego, co nazywają Włosi *concetti*, niż tego sercowego natchnienia, tak silnego w pierwotnych poezjach ludowych. Pieśni trubadurów są tém na polu poezyi, czém szkoła bizantyńska na polu malarstwa, mniej niż naiwnością.

Podług mego zdania *Jasmin*, fryzyer z Agen, więcej wart, jako poeta, niż wszyscy trubadorowie, a jeżelibyś to uważał za przesadę, to ci powiem, że on przynajmniej podniósł na nowo i wysoko trzyma chorągiew poezyi *de la langue d'oc*.

„Z jakimże zachwyceniem, z jaką rozkoszą czytam zawsze jego *Martę, Bliźnięta, Winnicę, Miasto i Wieś*, a szczególnie *Tydzień syna*! Są to perły nieosadzone w złoto, bo im tego nie potrzeba, bo mają dosyć własnego blasku.

„Tło obrazów jest życie ludu, ale nie tego ludu, co po karczmach pije lub na klubach peroruje — ale tego ludu, co żyje w bojaźni Boga, poczciwie na kęs chleba zarabia. Treść np. poematu: *Tydzień syna* jest taka: Alari biedny mularz (czyli jak w Krakowie piszą: murarz), ojciec licznej rodziny, zachorował mocno; starszy syn i córka idą się modlić na drogę przed wioską, gdzie na słupie stoi obraz Matki Bożkiej. Modlitwa ta prześliczna, wypisuję ci ją w oryginale i dołączam tłumaczenie:

„*May de Diou, bierges pietadouzo!*
Mando toun angel che nous aou
Et garis nostre pay malaou;
Nostro may tournara jouyouzo,
Et nous-aou dus, biergeto-may
T'aymaren, se pouden, enquero, enquero may!

(O Matko Boża, Panno miłosierdzia, zeszlęj twego anioła do naszej chaty i uzdrów chorego ojca; matce wróć wesołość; a my za to Panienko-Matko kochać cię będziemy, jeżeli potrafimy, jeszcze lepiej, jeszcze lepiej!)

„*To se pouden* (jeżeli potrafimy) jest w oryginale prześliczne.

„Otoż dzieci wróciwszy do domu, zastają ojca zdrowszego; gorączka ustąpiła, ale doktor każe mularzowi jeszcze tydzień wypoczywać w domu, — a on otrzymuje rozkaz wracać do murowania rozpoczętego domu, bo jeśli nie wróci, komu innemu oddadzą robotę. Biedny konwalescent w rozpacz. Ale syn jego, piętnastoletni Abel (dla delikatnego

zdrowia trudnił się pisaniem w biurze), powiada ojcu, że znalazł dla niego zastępcę w innym robotniku — a sam (to jest Abel) zamiast chodzić do biura, przez cały tydzień pracuje z mularzami; w końcu szóstego dnia, idąc po belce z szaflem wapna, spada w przepaść i zabija się. Ojciec nadbiega, a syn umierający uśmiecha się do niego z rezygnacją, bo czuje, że swojém poświęceniem się ocalił życie ojcu i zapewnił utrzymanie się rodziny. Ten uśmiech kończący poemat więcej wart niż najpatetyczniejsze słowa.⁷

Ustęp powyższy jego listu był odpowiedzią na moje wezwanie, żeby napisał co o poezyi prowensalskiej, którą, będąc u źródła, mógł znać z pierwszej ręki; lecz gdy już wtedy zajmowały go inne prace literackie, a zdrowie zaczęło szwankować, tłómaczył się ze swojej niemożności. Szkoda wielka, bo jestem pewien, że z pod jego ręki wyszedłby zajmujący traktat o trubadurach, o których tak trafnie sądził, i o nowszej poezyi Jasmin'a, w której tyle pierwszorzędných odkrywał piękności.

Czas jego pobytu w Aix trwał dziesiętek lat (do 1844), co wystarczało dla umysłu czynnego a bystrego i chciwego nauki, żeby się obeznać ze wszystkimi miejscowemi stosunkami, władać piórem jak rodowity Francuz. Czując się tak usposobionym, wstąpił jako pracownik do *Mémorial d'Aix* i po trzechletnim współudziale miał sobie powierzoną naczelną redakcyę tego dziennika. Pan Gaut, autor pośmiertnego wspomnienia o Gaszyńskim, znając go od dawna, takie podał o nim szczegóły w tymże dzienniku, którego zmarły niegdyś był ozdoba i redaktorem. Lubo odnoszą się one do prac francuzkich naszego poety, nie mogą być nam obojętne, gdy na obcej ziemi zaszczytnie dały poznać charakter i zdolność Polaka.

„Dziwili się wszyscy — pisze p. Gaut, — widząc dziennik francuzki tak dobrze redagowany przez Polaka, który poprawnością i wykwinnością stylu rywalizował z pierwszymi pisarzami francuzkimi. Ludzie wykształceni szukali i chętnie czytali artykuły Gaszyńskiego, w każdym bowiem znać było erudycyę, czucie i zdrowy rozsądek, którym mianowicie odznaczał się nadwiślański poeta.

„Treść swoich utworów czerpał on najwięcej z prowanskiej historyi, którą poznał szczegółowo wertując miejscowe archiwa. Do tego działu należy: *Quentin Metsys*, scena z życia tego flamandzkiego malarza, mieszkającego jakiś czas w Aix za panowania króla René; *Karól V w Aix*, smutna karta z roczników tego miasta; *Krystyna królowa szwedzka w Aix*, studium charakteru tej niezwykłej kobiety; *Małgorzata Voland*, wspomnienie pięknej córy Manosqua, dobrowolnej męczennicy, która zwróciwszy na siebie pożądliwy wzrok Franciszka I., spaliła sobie twarz siarką, żeby się od królewskich zalotów uwolnić.

„Do drugiego działu należą żywoty sławnych artystów prowansalskiej stolicy, jak Caradini'ego, Castel'a i innych mniej znanych.

„W trzecim dziale mieszczą się opisy romantycznych okolic Prowancyi, miejsc historycznych i przywiązanych do nich legend i podań; takimi są: *Saint-Antonin — L'Ermitage de Saint Sers — les Figons*.

„Ze wspomnień obozowych i politycznych wysnuł Gaszyński: *Une causerie de bivouac* i *Les deux prisonniers d'Etat*. Do fantastycznych utworów należą: *Le Passage des Anglais*; *Histoire d'un clou et d'un tableau*; *Recherches sur la pipe*, i wiele ulotnych powiastek.

„Prawdziwym znawcą sztuki okazał się w obszerniej pracy, pod tytułem: *Les cabinets de tableaux et collections artistiques de la ville d'Aix*. Dzieło to zwróciło na niedość cenione czy zapomniane muzea miasta Aix uwagę całej Francyi.

„W poezyi także złożył dowody swego talentu. Dziennik *Mémorial* ogłosił wiele sonetów i innych jego kawałków wdzięcznej formy i wysokiej myśli.

„Po za dziennikiem wydał Gaszyński kilka prac godnych uwagi, między temi studium aixańskiego kościoła *Saint-Sauveur* — także *Nord et midi*, — a nakoniec przetłómaczył dwa poematy Zygmunta Krasin'skiego: *Le Dernier* (Ostatni) i *L'Aube* (Przedświt) (*).”

(*) Wyszły w Paryżu u Dentu r. 1863.

W przedmowie do tych przekładów zestawia on Mickiewicza z Krasińskim i tłumaczy różnicę ducha ich utworów. Podług niego muza Mickiewicza więcej pozytywna, żyjąca więcej na ziemi niż w sferze napowietrznej, gdzie się unosił Krasiński, pozbawiona jest tego pogodnego spokoju, jakim tchnie poezya śpiewaka *Przedświtu*. Mickiewicz z całą energią maluje przeszłość i przyszłość, lecz w tę ostatnią pogląda często okiem smutnem i rozpaczliwem; nieraz też z jego piersi wydzierają się krzyk rozpacz i zemsty. Tutaj przywodzi szereg przykładów potwierdzających jego zdanie, między innymi:

Teraz na świat wylewam ten kielich trucizny—
Żrąca jest i paląca mojój goryczy mowy....

„Natchnienie Krasińskiego—powiada dalej—lubi bujać najczęściej w wysokich krainach ideału, gdzie wszystko jest lazurem i światłością;—śpiew jego—to ciągły śpiew nadziei. Nigdy też nie odwołuje się do uczucia zemsty, i nie przestaje głosić, że poświęcenie się, ofiara, miłość, cnota, są najsilniejszą dźwignią.”

Oto są główne punkta tego porównawczego procesu między dwiema gwiazdami poezyi naszej. Gaszyński od młodości przyjaciel Zygmunta, kochał jego pomysły i może za nadto wczesnie zakonkludował o zbawiennym wpływie jego poezyj.

Nie mniemam, czy przez ścisły rozbiór dzieł tych dwóch poetów przyszlibyśmy do tego samego ocenienia ich wpływu na naród lub na współczesne wypadki. Lecz że to dla Francuzów pisane, którzy lubią efektowną frazeologię, więc nie ma co upominać się o ten sposób wystawiania rzeczy w ich duchu. W każdym razie nie znam nie trudniejszego nad oznaczenie granic doniosłości literackich wpływów, tém więcej, że się w tym względzie zakradło nadużycie, a raczej niektóre wpływy wyśrubowano aż do przesady; gdy tymczasem zachodzi wielkie pytanie, czy poeta, autor, podchwytujący prąd istniejący już w ludzkości, lecz jeszcze niesformułowany i niewypowiedziany, czyli też nadawał go jój, tworząc coś z niczego? Nie mniemam również, żeby



nasze nieszczęścia polityczne można przypisywać zgubnym wpływom poezyi, jak to niektórzy robią. Byłoby to jedno, co winić koguta lub śpiewające wilgi, że sprowadzają słotę lub burzę. Polityczne klęski zawsze sprowadza zła polityka, budowana na okolicznościach, a nie na stałej zasadzie, nie na pewniku wydobytym z rzeczywistego położenia. Jeżeli w średnich wiekach każdy los, jaki spotkał króla lub prywatnego człowieka, przypisywano wpływowi złej lub dobrej konstellacyi, pod którą się rodził—to znowu w naszych bezprzesądnych czasach przeniesiono to na wpływy pióra rządzące losami narodów. Mniemam jednak, że jak astrologia niebieskich aspektów była złudzeniem, tak i dzisiejsza astrologia literacka temuż obłudowi podlega. Twórczość poetyczna zawsze była i będzie skutkiem istniejących już przyczyn, a nie samą przyczyną, aczkolwiek przyczynia się do rozwinięcia onęj.

Natomiast bardzo przypuszczam i wierzę w zbawienne wpływy ludzi wyższego ducha, wytrawnych pojęć na młodego, niedoświadczonego pisarza, który wyniósł z ziemi swojej czyste serce, szlachetne chęci, dużo zapалу a mało światła co do prawd będących kamieniem węgielnym, balastem życia nieoddanego na prąd wszystkich wiatrów. Takim przyszedł Gaszyński do Francyi i mógł się nazwać szczęśliwym, że zdrowy instynkt nie rzucił go w objęcia klubów i kommiwojażerów różnych affiliacyj, ale kazał mu się przytulić do towarzystwa ludzi wyższych światłem, talentem, dążnością. Takich przyjaciół znalazł w Aix; byli nim Scipion de Roure i najzaciejszy poeta z dzisiejszej Francyi Wiktor de Laprade. Pierwszy wtajemniczył go w świat sztuki, drugi w świecie fantazyi nie prowadził go na bezdroża gorączkowych chimer, złudnych widzeń, ale uczył jak samolubną i do materyalizmu lgnącą społeczność prowadzić do ideału i piękna, jak słuchając wewnętrznego głosu iść za nim, a nie zrażać się ani brakiem powodzeń, oklasków, ani oklaskami bitymi w hołdzie miernościom wyzyskującym tę lub inną okoliczność czasową; jak nie palić ofiar modzie, zmiennościom ciekawości i smaku, jak wreszcie być prostym i silnym, spokojnym i zrezygnowanym w odosobnieniu, słowem, jak stać w sprzeczności nie z ro-

zumem, sumieniem, prawem moralném, uczuciem słuszości i prawdy w świecie i w duszach, lecz w sprzeczności jawnej z niskimi namiętnościami, zręczném wyrachowaniem, intrygą i reklamą. Takim był Laprade, poeta głęboko chrześcijański, którego wizerunek odfotografował się w tym wierszu:

Beau vase athénien plein de fleurs de Calvaire.

(Piękna urna grecka pełna kwiatów na górze Kalwaryi zerwanych).

Gaszyński ocenił ten wpływ i w światłym towarzystwie zmodyfikował wiele wyobrażeń, w innych się podniósł i zmęźniał. Sam o tém napomyka w przedmowie do zbioru swoich poezyj wydanego w Paryżu roku 1844, gdy tak się wyraża: „W poezjach tych nie panuje jedna i taż sama idea; owszem, czytelnik napotka często opinie wprost przeciwnę; ale tak być musiało: bo człowiek młody nie może trafić od razu na drogę, którą postępować będzie, i musi przejść, a przynajmniej usiłuje dojść przez błędy i wahania się — do prawdy i stałych zasad religijnych i politycznych. Data położona przy końcu każdego kawałka najlepiej te przeciwieństwa i sprzeczności objaśni.

„Zwątpienie i wiara — próżnia serca i miłość namiętna — zapał do arcydzieł sztuki ludzkiej, to znów rozmiłowanie się w tworach ręki bożkiej — wszystkie te uczucia różnorodne wydały dźwięki różnorodne i stały się pieśnią o wielorakich tonach.”

Zbliżył się jednak czas, że miał pożegnać gościnną Prowancję, o którą zawsze mówił: druga moja *cara patria*. Pożegnał ją rzecznym wierszem, osobiście w tych strofach:

O jak mi smutno rzucać ten ziemi zakątek,
Kędy mi przebiegł spokojny i miły
Pod piękném niebem, młodych lat dziesiątek,
Gdzie miłość, przyjaźń — tyle zostawiły
Błogich mi w sercu pamiątek!

Prowancyo! te pamiątki nigdy nie zaginą,
Węzeł mnie z tobą połączył wieczysty;
Choć los się zmieni i lata upłyną,
Ty będziesz zawsze — po ziemi ojczystej
Najmilszą dla mnie krainą!

I dotrzymał słowa, kiedy zawsze z wycieczek swoich wracał do jęj ciepłego słońca i serc ciepłych, kiedy tam наконец znalazł przytułek dla swoich popiołów, których ojczysta ziemia przytulić nie mogła.....

W r. 1844 przybył Gaszyński do Paryża i wydrukował tomik poezyj, poświęcając go w części autorowi *Irydiona*, przyjacielowi lat młodych, w części, to jest oddział sonetów, Mickiewiczowi, gdzie wyznając się uczniem tego mistrza, spodziewa się, że te drobne niezabudki zebrane na ziemi prowanckiej:

Rozkwitną—i pod cieniem twęj chwały, nabiorą
Więcej barwy, powabu, świeżości i woni.

W poezjach tych wiele kawałków nosi datę w Aix, co pokazuje, że nie samęj francuzczyźnie się poświęcał. Francuzkie autorstwo dawało mu utrzymanie, polskie odpowiadało tęsknotom serca, myślom, które stanowiły rdzeń jego istoty. Zaciągając się w szeregi francuzkich pisarzy, mógł być zająć wcale niepoślednie stanowisko przy swoich wiadomościach, zacnym sposobie myślenia i przy tęg oryginalności, jaką Słowianin może wnieść w tę literaturę, która już zużyła i nadużyła wszystkiego—atoli nie zapomniał on co winien był ojczystej muzie, ubogięj i tułaczęj, i o autorstwie swojem francuzkiem powtarzał z Horacym: „że nosił drwa do lasu, a do Aten sowy.”

Tomik ten nie zrobił hałasu — już bowiem czas był przeminał, kiedy poezya silnie wstrząsała;—przyjęto go jednak wdzięcznie jak wiązanke fiołków w kwietniu. Znawcy umieli cenić tę jego elegancyę formy, tę mistrzowską poprawność, która nie odjęła sobie przez to ani naturalnej prostoty, ani męzkiego wdzięku. Jeżeli oryginalnościami nie iskrzyły się jego wiersze, za to otaczało je pełne i prze-

nikające światło; czytając rozumiałeś je, bo nigdzie z umysłu rzeczy nie plątał i nie zaciemniał, aby zostawiać pole domysłom, odgadywać to, o czém sam poeta nie miał jasnego pojęcia. Uważałem, że ta wada nieraz na dobre wychodzi piszącym: ciemną ich zawilgość czytelnicy radzi brać za głębokość; ekscentryczne grymasy, humorystyczne wybryki, z których, żeby autora przycisnąć, nie umiałby zdać sprawy — za cuda fantazyi, za iskry geniuszu lub wybuchy wielkiej namiętności; w każdym razie pochlebia to czytelnikowi, że kiedy się zmęczy nad dociekaniami ciemnej i zawilgłej książki, staje się tępym współpracownikiem głośnego autora; a jeśli nie pochlebia, to go zdumiewa i każe mu wierzyć w prostocie ducha, że to musi być szczytne i bezdenne, kiedy się w jego zdrowym, gospodarskim rozumie pnieć nie może. Mam przekonanie, że przymiot jasności, ekonomii słowa i szczeroty znamionującej poezye Gaszyńskiego, zapewni im dłuższe trwanie; sama wykończoność formy, gładkość odlewu, spoistość części, melodia wewnętrzna, dają im wyraz odróżniający od zwykłych wyrobów rzemieślniczych. Weź jego piosieczkę, jego sonet i pomieszaj z innemi zapełniającemi dziś kolumny żurnalów illustrowanych i nieillustrowanych, a znawca pozna się zaraz, że nie do tej epoki należy, podobnie jak w steku ceramik naśladujących kształty i smak starożytny, odróżni jednym rzutem oka prawdziwy etrusk.

Ubliżałbym pamięci Konstantego, gdybym tylko tę stronę artystyczną widział w jego poezjach, a inną nie widział. Są tam piosenki drgające czuciem, strofki pełne świętego ognia zapału.

Gdybym nie więcej nie przytoczył tylko *Sonet do matki* napisany w wigilię Bożego Narodzenia, jużby nie mógł mię nikt o zbytek względności i pobłażania pomówić.

Otoż i ten sonet:

Matko! już piąty raz śniegiem się bieli
Dach twego domu — i piąty raz zima
W rodzinnej ziemi wiatr północny wzdyma,
Gdyśmy przy świętej wieczery siedzieli.

Dziś, kiedy wszyscy u stołu weseli,
Ty, patrząc w koło tęsknemi oczyma,
Myślisz w swą duszę: „Konstantego niema:
I któż się dzisiaj oplatkim z nim dzieli?!”
O Matko moja! gdy w wieczór stroskana
Modlić się będziesz przed Maryi obrazem,
Serc naszych głosy spotkają się razem,
I anioł święty poniesie przed Pana
Jedną krzewiny dwa woniące kwiatki:
Modlitwę syna i modlitwę matki!

„*La netteté est le vernis da maîtres,*” powiedział któryś estetyk, i zdanie to można stosować do poezyj Gaszyńskiego, który choć nie miał pretensyi uchodzić za mistrza, umiał nadawać mistrzowski pokost swym tworom. Brakuje im dwóch tylko rzeczy, aby je do areytworów literatury naszej policzyć, to jest: owych iskier, których się czytelnik nie spodziewa, a które uderzają w niego i przeszywają do szpiku, a następnie ową czarodziejskiej mocy, co opasuje cię zjawiskami swojego świata i robi jego niewolnikiem, że tylko ze smutkiem patrzysz na rzeczywistość.

Jest to słowem przyjemny poeta — a raczej mający wszystko, aby takim zostać, gdyby nie krwawa epoka, w której żył i cierpiał. Przyjemny poeta! to wygląda niemal na anachronizm w czasach, kiedy są tylko wielcy poeci, geniusze, sztukmistrze, lub tacy, co chcieliby za takich uchodzić. Przyjemnego poety w dawniejszém znaczeniu nie znajdziesz na lekarstwo, nie ma tej mieszaniny dowcipu, lekkości, wyobraźni, zaniedbania, dobrego humoru i tej zręczności, co z łada bagatelli korzysta, aby z niej upleść wierszyk, grzecznośćkę ładnej kobiecie, lub epigram pochwycony w mgnieniu oka, mający powodzenie i robiący nieraz fortunę autora.

O takim poecie dziś już nie słyhać. Społeczność nasza nastrojona poważnie, nie wiedziałaby nawet do jakiej kategorii go policzyć i co z nim robić; bo jeżeli czasami miewa kaprysy dla poety piszącego przyjemnie, lekko, dowcipnie, tedy musi znaleźć w nim coś więcej; jeśli nie splein i sarkazm byroński, to choćby frazeologię humani-

tarniej apokalipsy, zgola coś, coby ją wstrząsło, rozgorączkowało—bez tego niktby ani spojrział na wdzięcznego pieśniarza, śpiewającego sobie ot tak dla przyjemności.

Gaszyński w młodszych latach kiedy był jeszcze uczniem w Warszawie, pokazywał ten dowcip, tę niewymuszonosć, ten humor wesoły, tę lekkość w wierszykach rzuconych na prędkie, a utoczonych tak zręcznie, że się musiały podobać. Pewien też jestem, że niechby go los był zachował w zaciszu domowem, wśród stosunków patryarchalnego wiejskiego życia, nie kazał przebywać tyle zmiennych kolei, a tém samem ochronił od silnych wrażeń, które tak żywo odbijały się w jego duszy — czyli po prostu, gdyby nie był dzieckiem żelaznego wieku — i jego muza możeby miała familijne podobieństwo z muzą Krasickiego. Jest to tylko symboliczna formułka, przez którą chciałem wytłomaczyć naturę jego talentu; bo przecież i największy poetyczny geniusz, choć wylatuje za szranki pojęć swoich współczesnych i nowe światy odkrywa, niemniej nosi na czole piętno czasu, w którym żyje.

Gaszyński z Prowancyi, jak rzekłem, udał się do Paryża, gdzie się zajmował wydawaniem pism swego przyjaciela Zygmunta Krasieńskiego, który z początku ogłaszał je bezimiennie, a potem pożyczyl nazwiska Gaszyńskiego, dla lepszego zamaskowania swojego anonimu. Nie potrzebuję mówić, jakie wrażenie sprawił *Przedświt*, gdy się ukazał — a lubo Gaszyński jako autor figurował na tytule każdy ktokolwiek wczytał się w jego sposób pisanja, poznał z samej faktury wiersza, że to tylko mistyfikacya, i że ktoś inny ukrywa się pod jego nazwiskiem. Długo jednak utrzymywała się tajemnica; a choć ją gadano sobie do ucha, pisma publiczne nie śmiały jęj roztrąbić.

Okres ten nowy w życiu Konstantego przerzucał go ciągle z Paryża, gdzie zwykle część zimy przepędzał, do wód niemieckich i morskich na całe lato i jesień; atoli nie tylko sama potrzeba orzeźwienia się zmianą miejsca lub nabrania sił w leczebnych zdrojach, była pobudką do tych wycieczek, coś silniejszego ciągnęło go: przyjaźń i towarzysztwo autora *Irydiona* i *Niebożkiej*, który dla poratowa-

nia nadwątlonego zdrowia, najczęściej przybywał w Niemczech nadreńskich.

Połączenie się z dawnym przyjacielem i kolegą szkolnym, rozmowy z nim ukrzepiały go na duchu, obudzały wiarę w przyszłość, podnosiły nad poziom małostek, małpowanych sposobików, niewyczerpanych klótni o wiatr, bezsilnych wichrzeń, będących chlebem codziennym wychodźstwa. Konstanty harmonizował z Zygmuntem od dawna w sferze poetycznych usposobień, teraz pojął go całkiem, gdy ten mu odkrywał myśl bożą, mądrość chrześcijańską, jako jedyne, najwyższe prawo mające rządzić sumieniem człowieka, kierować sprawami narodów i ludzkości. Za każdym słowem mistrza, jak za uderzeniem dłota, spadały niepotrzebne okruchy, i wylaniał się ideał ducha promienny pięknnością, lecz jeszcze zawieszony tak wysoko w lazurze, że go za jedném westchnieniem lub modlitwą nie sprowadzisz na ziemię...

Lecz wróćmy do zajęć pisarskich Konstantego.

W r. 1846 wydrukował on obrazek z emigranckiego życia: *Pan Dezydery Boczek i sługa jego Pafnucy*. W obrazku tym natura pochwycona na uczynku, opowiadanie dziwnej naturalności, jak które z najlepszych kartek *Doświadczyńskiego*, a znajomość serca z taką prawdą oddana, charakter tak dobrze ujęte, jakbyś czytał jeden z najlepszych rozdziałów *Gil-Blasa*. Są tu rysy nieocenione do historyi emigracyi we Francyi, tém cenniejsze, że niezaprawne żółcią, niepowleczone pokostem ironii. Wystawia on litewskiego szlachcica rzuconego na bruki Paryża, przygody, jakie go tu spotykają, koleje, przez jakie przechodzi, biorąc udział we wszystkich klubach, komitetach, stowarzyszeniach i t. d.

Krótko, ale wybornie maluje posiedzenie takiego klubu:

„W owym czasie, emigranci mieszkający w Paryżu zbierali się licznie w wielkiej sali przy ulicy *Taranne* Nr. 12, gdzie była kontynuacja warszawskich honoratkowych klubów, i gdzie codziennie dowodzono z hałasem: kto zdradził, a kto nie zdradził? Głównie zaś rzecz szła o to: kto będzie rządził emigracją? A było dużo kandydatów!

„Pan Dezydery Boczek (bohater opowiadania, ów szlachcic Litwin) poszedł parę razy na te ogólne zebrania, i z początku podobało mu się niezmiernie towarzystwo za to, iż się wszyscy obywatelami zwali, i że podobnie jak na wyborowych sejmikach w kraju każdy miał prawo popisywać się własnem krasomówstwem i przerywać mowę innym. Ale gdy obywatel Krępowiecki zaczął deklamować cieniutkim głosem w imieniu uciemieżonych dwudziestu milionów kmotków — a ex-hrabia jednooki Gurowski, przed swoim odjazdem do Petersburga, wystąpił z argumentem, że póty u nas rewolucya się nie uda, dopóki ulice Warszawy nie będą wybrukowane czaszkami szlachty polskiej—mój Litwin się przestraszył i wspomniawszy swój klejnot rodowy i zakopcone portrety wásatych przodków, które w dworku swoim zostawił,—już więcéj nogą na ulicy *Taranne* nie powstał.”

Autor przeprowadza pana Dezyderego przez wszystkie odcienie polityczne zawiązywane w emigracyi, i kończy na rzuceniu go w objęcia tak zwanego: *Zjednoczenia*, które nigdy się nie zjednoczyło, *usque ad consumationem saeculorum*, i zjednoczyóby się nie mogło; służyć zaś jego Pafnucy, który porzucił pana i został wszystkim równym obywatelem, powiódł z klubu ulicy *Taranne*, gdzie gorliwie wotował na odezwy do Węgrów, Żydów, Włochów, Moskali, karyerą kommiwojażera, co już nie nosił kamizelki *à la Robespierre*, przeciw arystokratom nie deklamował, z dawnymi buzingotami nie witał się, aby mu nie zbrudzili jego rękawiczek i nie skompromitowali go w oczach prefekta, który go na bale zapraszał. Pafnucy przezwiał się panem Pafnuckim i oddał się duszą i ciałem partyi księżécéj Trzeciego Maja.

Stary z antenatów szlachcic skapiął — fagas miał się dobrze i pisał się do arystokratów; prawdziwa Owidyuszowa przemiana.

Powieść ta, acz wybornego pomysłu, jest zawsze drobnym rysunkiem oprawnym w ogromne ramy. Żałować przychodzi, że Gaszyński zrobił szkic, a nie skończony obraz; on jeden byłby do tego zdolny. Obserwator z trafnym poglądem, umięjący chwytąć delikatne odcienie, jak i wybit-

ne rysy, a nadewszystko stojący na stanowisku wyższej myśli nieunoszącej się namiętnościami stronnicych nienawiści lub miłości—mógł być zostać malarzem emigranckiego świata i napisać romans większej doskonałości niż owo *post-scriptum* na końcu powieści, przynoszące obrok duchowny, zateęchły owies, którego konie jeść nie chcą.

W następnym roku wyszła druga jego książka: *Reszty pamiętników Macieja Rogowskiego rotmistrza konfederacji barskiej* (1847 w Paryżu). Przypominam sobie, z jaką pożądlivością chwyciłem ją, gdy mi nadesłał egzemplarz. Tuszyłem sobie, że pamiętnik konfederata barskiego dostarczy tyle nowych szczegółów i rysów, tak nas obezna z trybem zbierania się, obozowania, walczenia, z fizjognomią tych figur mających dziś pewny urok oryginalny, z przypadkami ich, z charakterem wodzów i tęp wszystkiem, czego nie mają pamiętniki Kitowicza pisane z pretensją do historyi, a zawsze ze stronnictwem uprzedzeniem i kwaśnym humorem śledziennika. Lecz Rogowski zawiódł poniekąd moje oczekiwania: ani stylem, ani rzeczą nie przeniósł mi w swoje czasy, lubo dostarczył kilka ciekawych okoliczności, o których ani dzieje, ani pamiętnikarze nie wspominali.

Między innemi jest tam epizod dotyczący się sercowego stosunku między Kazimierzem Pułaskim a Franciszką Krasińską już księżną kurlandzką, który mógłby dać temat do napisania romansu; są także wiadomości o pobycie konfederatów w Stambule, i o wyjeździe Puławskiego do Ameryki; zresztą same nie nieznaczące notatki, tak dalece, że podejrzewałem autora, iż sam skomponował ten pamiętnik, na co naprowadzała mię ta okoliczność, że wiele słów i wyrażeń znalazłem nienależących do tamtej epoki, jak i ton opowiadania zmodernizowany. Rzeczywiście Gasiński miał oryginalne notatki owego konfederata, ale je podopełniał, wygładził, obrobił—i to sprawia, że obudzają niejakie podejrzenie.

Przypominam sobie—pod koniec r. 1847, kiedy mieszkałem w Brukselli, wchodzi ktoś o rannej godzinie, błądy, chwiejącym się krokiem, i zrobiwszy kilka kroków ode drzwi pada na fotel. Zbliżam się, patrzę i poznaję Kon-

stantego, który po pierwszém słowie powitania, wołał osłabłym głosem: „Bulionu! filiżankę bulionu!”

Przez cały czas, nim przyniesiono bulion, drżał jak listek i nie nie mówił.

Dopiero gdy się pokrzepił, przyszedł do siebie i zaczął opowiadać, że wprost z kolei do mnie zajechał, wracając z podróży do Niemiec, gdzie całe lato i jesień przepędził w towarzystwie ukochanego Zygmunta, a następnie o swojej chorobie, która mu odjęła władzę w nogach.

Przytaczam tę drobną okoliczność, lecz w życiu jego stanowiącą ważny moment — utraty zdrowia! Odtąd przez lat kilkanaście aż do samej śmierci dręczyła go ta niemoc.

W następnym roku zjechaliśmy się w Berlinie, gdzie znalazłem go krzepszym i pełnym nadziei na widok tych ruchów, jakie podobne falom wylewającej rzeki szły od zachodu ku północnemu wschodowi. Kilka listów Zygmunta odczytanych razem przeniosło nas w sferę dumań nad przeobrażającym się stanem społeczeństwa i rozpadaniem się form niemogących nowej myśli pomieścić.

Było to nasze ostatnie widzenie się.

Od r. 1850 zawiązała się między nami listowna rozmowa przerywana tylko wypadkami politycznymi, jak wojną w Krymie, we Włoszech... i napowrót zawiązująca się — aby raz na zawsze z jego zgonem ustała.

Tę część jego życia, jego prac i myśli będę usiłował uwydatnić i ozdobić wyjątkami z listów, które najlepiej objaśniają wewnętrzną stronę człowieka, a jeżeli ten jest poetą, literatem, artystą, tém pożądańsze są wyznania jego poufne, zakulisowe, nieprodukujące się zwykle przed publicznością.

Gaszyński ma to do siebie, że nie jest innym na widowni świata, a innym w negliżu. Ta sama zacność, ten zdrowy sąd, taż otwartość pełna delikatności — ten nieudany zapał do wszystkiego co dobre, piękne, wielkie. Widać, że prawdę miłując i w życiu, i w sztuce, brzydziłby się sławą ubitą z pianki reklam, jak i honorami zdobytemi na drodze popularnych maskarad.

Trzymając się korespondencyi i wyjmując z niej miejsca żywiej interesujące i komentujące osobę poety, mniemam, że przez to bliżej zapoznam z nim czytelników.

W listach tych uskarżania się na stan zdrowia, przepłatane uwagami o bieżącej literaturze lub donoszące o własnych pracach, stanowią główną treść.

Z Baden-Badenu 22 czerwca 1851 r. tak pisze:

„Już przeszło trzy miesiące, jak listy nasze skrzyżowały się w drodze. Piszę więc dziś do ciebie, bo pragnę, aby stosunki nasze nie przerywały się zbyt, i żebyśmy co czas jakiś wiedzieli o sobie. Od miesiąca jestem tu w Badenie i odbywam kuracyę, pijąc wodę Kissingen i kąpiąc się w tutejszych źródłach. Tak jak pod starą i chylącą się żydowską karczmę polską podstawiają dyle i krokiewie, aby nie runęła — tak i ja corocznie podpieram lichy zdrowie moje — i dotąd chwała Bogu trzymam się na nogach jako tako. Zabawię tutaj do późnej jesieni, a potem nie wiem jeszcze dokąd ruszę, czy do Paryża, czy do Prowancyi, ale najpewniej do tej ostatniej, bo ona stała się dla mnie drugą *cara patria*....

„Z nowin literackich krajowych czytałem w tych dniach kilka tomów Rzewuskiego. W *Teofrascie* są rzeczy ciekawe i dobre, ale też wiele brudów i paskudztw narodowych, które trzeba było zostawić w śmieciach, a nie na widowni publiczności pokazywać. Ale to systemat pana hrabi Henryka, aby dowieść, że naród niewart był żyć i że słusznie zginął. W przypiskach swoich odcina się ze złym humorem opinii publicznej, dowodząc, że u nas ta opinia nie nie znaczy, i że gdy wszyscy hurmem powstają na jakiego człowieka, to widać, że to musi być człowiek najpoczeiwszy i najrozumniejszy. Może to być i prawdą, ale trzeba dodać w jakich momentach, inaczej zarywa to na paradoks. W romansie *Smigielski* sfałszował historię, aby tylko Piotra W. nad wszystko wynieść. Jeszcze dotąd nie słyszałem, aby pod Póltawą w wojsku Piotra Polacy się znajdowali, a Rzewuski *Smigielskiego* z całą polską chorągwią sadowi tam, i t. d.”

Z Badenu 13 lipca t. r.:

„.....Zastanawiałem się nad tē, coś mi pisał o Słowackim, i uważam za słuszne twoje spostrzeżenia. Widywałem go często w Paryżu, szczególnie między 1844 a 1845 rokiem. W owych czasach już towianizm zламаł mu był inteligencyę, i choć żył oddzielony od Mickiewicza i innych braci, lecz na swoje kopyto zakładał nową religię ducha i werbował adeptów, szczególnie między młodzieżą przybywającą z kraju, która go nawiedzała. Mówił on mi, że Mickiewicz skompromitował i skrzywił ideę Towiańskiego, ale że ta idea jest w nim (t. j. w Słowackim) cała, i że ją pokaże światu. Napisał on był wtenczas dziełko p. t. *Nowa Genesis*, o którym mówił mi trzymając rękopism w ręku: „Są tu straszne rzeczy i lękam się ogłosić to drukiem.” Pewnego dnia wziął ów rękopism i roztworzywszy, pokazał mi jedną stronicę, mówiąc: „Czytaj!” — Wziąłem i wyczytałem *à peu près* następną rzecz: „Światło tworzy ciepło, ciepło tworzy elektryczność — ale że i wola ludzka może tworzyć elektryczność, a zatem i światło i t. d.” Dziś nie pamiętam dobrze owego tekstu, lecz było to w tym sensie. Gdym skończył czytać, rzekł do mnie: „Do takich wielkich rezultatów można dojść tylko z naszą (t. j. towiańczyków) ideą.” Ja mu na to odrzekłem żartem: „W szkołach nie tęgi był ze mnie chemik i fizyk, a zatem sądzić nie mogę; może to jest wielki rezultat, a może tylko odgrzewany i nie nieznaczący.”

„W owym czasie żył on kompletnie odosobniony od świata na *rue Ponthieu*, na czwartém piętrze, i miał balkon, na którym hodował kwiaty. Chodziłem często odwiedzać go z litości nad jego samotnością, i wyciągałem go ile mogłem między ludzi, aby go rozerwać. Był już wówczas bardzo mizerny, w ciągłej gorączce, gdyż jak mówiono zażywał opium, aby sprowadzić widzenia, które nieraz mi opowiadał. Nerwy jego były kompletnie roztrzaskane, organizm złamany. Często bardzo, mówiąc, łzami się zalewał. Dawny sarkastyczny jego dowcip, który tak błyszczy w *Beniowskim* jak ostrze sztyletu, zamienił się na mdły i zagmatwany mistycyzm, który się wyraził w poemacie p. t. *Król Duch*. Zawsze to znakomity władca języka, pisał z łatwością, czuł i myślał wyobraźnią, która była

u niego górującym przymiotem. Jeszcze w r. 1833 schodziłem się z nim bardzo często w Paryżu; wtedy to był inny człowiek: wesół, dowcipny, towarzyski—później obcowanie z nim było fatygujące, bo jak mówiłem, albo gadał nie stworzone duby, albo płakał.”

W tymże roku 1851 wydał był Gaszyński zbiór powiastek pod napisem: *Kontuszowe pogadanki i obrazy ze szlacheckiego życia*. Są to opowiadania w soplicowskim rodzaju, zajmujące bardzo, lecz znać, że pisał literat z wyobraźni, gdy soplicowskie pamiętniki zdawałoby się, że opowiadał szlachcic, co nigdy do rąk, prócz korda, różańca i kielicha, nie wziął pióra, a tylko o ludzi się ocierał i dobrze miał w gębie. W tém właśnie leży ich oryginalność przyprowadzająca o rozpacz każdego naśladowcę. Gaszyński wprawdzie usiłował go naśladować, bo miał swój własny sposób; atoli zaczepiając już o te czasy ostatniego połysku szlacheckiego życia, niepodobieństwem jest prawie uniknąć porównania z soplicowską Iliadą. Po tym Homerze, dla następców zostało tylko być tém, czém w epice greckiej był Stasius, Lesches, Agiasz, Eugamon...

Z Badenu 28 października 1851 r.:

„Donoszę ci najprzód, że jutro opuszczam Baden i przez Szwajcaryę i górę Š-go Gottarda jadę wprost do Genui, gdzie się zatrzymam z dziesięć lub piętnaście dni dla obejrzenia się, które miejsce we Włoszech najspokojniejsze: czy Rzym, czy Florencyja lub Neapol; w jedném z tych trzech miast zimę przepędzę, a na przyszłe lato wrócę znowu do Badenu. Zdaje się jednak, że Rzym z garnizonem francuzkim jest assekurowany od rewolucyi, i że tam założę główną kwaterę zimowiska, a do Florencyi i Neapolu zrobię tylko krótką ekskursyę. Wyobrażasz sobie łatwo, z jaką przyjemnością puszczam się w tę podróż. Zwiedzić Włochy było marzeniem mojego życia; już dwa razy, odkąd jestem w emigracyi, wybierałem się na seryo w tę drogę, i zawsze zaszła jakaś przeszkoda — dziś wszystko usunięte. Mam pieniądze, pasport *en règle*, kufer zapakowany, i jutro o godzinie drugiej z południa wyruszam na noc do Bazylei.”

Otoż i marzenie jego spełnione! Widzieć Italię, tę Italię, którą nie znając, opiewał w sonetach jak nieznajomą kochankę, napawało go nieopisaną radością. Można powiedzieć, że do tej podróży gotował się przez całe życie — tęsknotą.

O piękna Włoch kraino! dziś o twojem niebie,
O twój chwale przebrzmiałej w ciągłych walk pożarze,
O twych miastach, Madonnach i gondolach marzę,
I jak kochanek wdycham i tęsknię do ciebie!
Kiedyż piękna Florencyo, starożytny Rzymie,
Ujrzę wasze muzea i gmachy olbrzymie?
Kiedyż dotknę marmuru, co grób Danta kryje?
Kiedyż, pośród rozkosznej Wenecyi, co żyje
Jak Syrena wśród morza — na czarnej gondoli
Zasnę, ukołysany dźwiękiem barkaroli?

Pierwsze jego wrażenie miała Genua, zkad 18 listopada pisał do mnie:

„Każdą rozkosz, każdą przyjemność, każdą wielkość, aby osiągnąć i używać jej, trzeba opłacać wielkimi trudami i cierpieniem... Taką drogą krzyżową i ja do Włoch dowlokłem się. Kraj ten jest to ogród starożytnych Hesperydów, do którego przystępu bronią straszne potwory, gorgony i smoki. Z jednej strony morze, które mnie mocno fatyguje — z drugiej Alpy, które znałem tylko z pięknych pejzażów i opisów. Tę więc drogę obrałem nie wiedząc co to jest góra Św. Gottarda w zimie. Za długo byłoby ci opisywać wszystkie szczegóły tej przeprawy, — wiedz tylko, że zastałem tam ogromne śniegi, i że sankami trzeba było jechać przez 10 godzin po drożynie na pół odgrzebaną a zawieszoną nad przepaściami, na których wspomnienie dotąd dreszcz mię przejmuję. Otulony futrem, nie cierpiałem zimna, ale zimno moralne przejmowało mię sto razy, gdy na tej ciasnocie trzeba się było mijać z innemi konwojami sanek; wybierałem tylko myślą miejsce głębiny, w którym miałem być pogrzebany na wieki. Przy pomocy bożej przebyłem to wszystko bez szwanku; ale śnieg, jak jakaś mara biała, towarzyszył mi prawie aż do samej Genui. Śnieg, deszcz i zimno po brudnych małych

miasteczkach włoskich i po dyliżansach ciasnych i niewygodnych. Płynąc przez *Lago Maggiore*, pod parasolem przysłądzać się musiałem pięknym wyspom Boromejskim i wspańialemu krajobrazowi brzegów. Wreszcie odetchnąłem w Genui; słońce włoskie mię ogrzało; zastałem wygodny hotel i dobre jadło, co po trudach podróży doskonałą jest rzeczą. Genua nie napróżno nazywa się *superba*. Ci kupcy republikanie musieli ogromne pieniądze zarabiać handlem, olbrzymie łupy zagarniać orężem, kiedy mogli wystawić takie miasto pałaców, nagromadzić takie stosy marmurów, wyrzeźbić je, wyzlócić i na tych ścianach zawiesić arcydzieła sztuki. Wystaw sobie ulice całe złożone z Luwrów lub Tuileryów; co najwięcej zadziwia, to proporceye olbrzymie, a przytém harmonia. Sienie tak wielkie, że w niektórych mógłby się pomieścić ów zachwalony pałac księcia Oranii w Brukselli; a wszędzie lasy kolumn dwudziesto lub trzydziesto-stopowych, a wszystkie owe kolumny i balustrady i fasady całych domów z białego karraryjskiego marmuru. Kościoły marmurowe także zewnątrz i wewnątrz. Zwiedziłem kilka pałaców — najpiękniejsze i najbogatsze są pałac Durazzo i Brignole. Tam są portrety Van-Dyckowe tuzinami, ale takie, jakich nigdzie w Belgii nie widziałem. Kto chce poznać arcydzieła Van-Dyck'a, tu powinien przyjechać; większa ich część są to nie biusta, ale całkowite portrety od stop do głowy, naturalnej wielkości. Cóż to za przepych pendzla! Same portrety Van-Dyck'a zapłaciły mi niewygody podróży. Są i Rubensy prześliczne, i Wero-nezy, i Tycyany, i Andrea del Sarto i t. d. Nie chcę ci katalogu pisać, ale chciałbym ci dać uciech, jaki miły pokarm miałem „przez oczy dla duszy.”

„Jutro wieczorem wyjeżdżam ładem do Pizy, gdzie poświęcę dzień jeden dla obejrzenia *Campo-Santo*, a potem drogą żelazną do Florencyi, tylko na pięć dni, bo mi śpieszno do Rzymu, gdzie ze dwa lub trzy miesiące posiedzę i w największych szczegółach studyować będę to miasto miast. Do Florencyi wdycham także z żądzą kochanka; znam ją z opisów lepiej niż Genuę; ciekawym czy realność przewyższy mój ideał? Trzeba ci wiedzieć, mój drogi, że ja z rzemiosła mego jestem artysta i archeolog więcęć może

niż literat. Studyowałem długo te nauki, i teraz wiadomości moje z historyi, architektury, rzeźbiarstwa i malarstwa posłużą mi.”

List ten na progu Włoch pisany, pelen jest entuzjazmu artysty i archeologa, który jedzie na miejscu sprawdzać to, czego się z książek nauczył. Rozczarowania jednak nie doznał, a w wielu rzeczach znalazł więcej niż sobie wyobrażał. W pięcio-miesięcznym pobycie miał czas zwiedzić Florencję, Rzym, Neapol, ze wszystkimi kościołami, galeriami, muzeami, dzieląc się ze mną każdym wrażeniem jakiego doznawał, każdym postrzeżeniem jakie na miejscu robił. Urosło ztąd kilkanaście bardzo zajmujących listów.

Z Badenu, dokąd na lato wrócił, tak mi donosił o swoich projektach:

(1 listopada 1852) „Za dwadzieścia dni najdalej opuszczę Baden i jadę rzemiennym dyszlem do Prowancyi przez Paryż, gdzie zabawię do Nowego Roku. Jadę do Paryża najprzód dla tego, żem go już od dwóch lat przeszło nie widział (a znajdę wiele rzeczy zupełnie nowych), powtórę dla rozpoczęcia druku *Listów o Włoszech*, Manuskrypt kompletnie ukończony. Listy o Genui i Florencyi całkiem na nowo napisane, ani ich poznasz. Mnóstwo także weszło dodatków do opisu Rzymu i Neapolu. Słowem jest teraz ze dwadzieścia listów i przedmowa. Nie mogę drukować gdzie indziej tego dziełka tylko w Paryżu, gdzie chcę sam dopilnować korekty, aby nie poprzekrecano nazwisk, nie narobiono byków drukarskich. Każdy błąd drukarski jest dla mnie jakby pchnięciem sztyletu.”

Rzeczywiście z początkiem 1853 r. wyszły jego *Listy z podróży po Włoszech*, stokroć przyjemniejsze do czytania, i lepiej wrażliwe miejscowość, niż tyle pretensjonalnych podróży nadzianych ciemną i jałową estetyką.

Nie pomnę co zaszło, lecz cały r. 1853 i część następnego obadwa zaniedbaliśmy się w naszej korespondencji.

Pod dniem 5 maja 1854 taki list otrzymałem z Heidelbergera:

„Po dwuletniem blizko milczeniu odzywam się, aby się przypomnieć twojej przyjacielskiej pamięci. Ja ten czas przebyłem niezbyt przyjemnie, w ciągłych lekach

i niemocy. Przeszłego lata odbyłem kuracyę wodną w Bop-pardzie nad Renem, dla nabrania sił—ale okazało się, że zamiast się wzmoćnić, osłabiłem się tą końską kura-cyą; — zapadłem szczególnież na nogi. Całą zimę prze-pędziłem w Heidelbergu pod okiem sławnego Cheliusa, za-żywając ciągle żelazo w kroplach i biorąc smarowania krzyżów i nóg, przyszedłem do sił jakich takich, ale nie dawnych. Chodzę dobrze, ale tylko po równinie, a prze-chadzek po górach musiałem zaniechać. Stara karczma coraz bardziej się nachyla; krokwie trzeszczą, a belki ugi-nają się... *Fiat voluntas Dei...* Zresztą tak źle jeszcze ze mną nie jest, bo żołądek doskonały i sen wyborczy, a Che-lius mnie zapewnia, że i siły całkowite wrócą od kąpieli, do których pojedę w przyszłym miesiącu. Pojedę więc do Wildbadu niedaleko ztąd, ale już w Wirtemberskiem, gdzie są źródła wody żelaznej połączone z jodem; mają być bar-dzo wzmacniające. Daj Boże!

„Możesz sobie wyobrazić, że przy tarapatach kuracyj-nych nie było ochoty do pióra. Przez ten cały czas napi-sałem tylko kilka sonetów o Włoszech. Przerobiłem, po-prawilem wiele moich dawnych poezyj z edycyi 1844 r. i przygotowałem rękopism do drugiej edycyi, wypuściwszy z pierwszej wszelkie *juvenilia*. Ale teraz o druku nie ma co myśleć...”

W następnym liście z Heidelberga taki daje sąd o *Im-prowizacyach* Deotymy, które wtedy robiły wiele hałasu:

„Mam tu od pary miesięcy przepyszną edycyę war-szawską *Improvizacyj* Deotymy. Przyznam ci się, że gdym po raz pierwszy czytał w dziennikach wiersze: *Krucyaty* i *Taniec*, schwytany byłem na wędkę entuzjazmu, bo te dwa kawałki są piękne, bez pretensyi i pedantyzmu; ale gdym cały zbiór odczytał, odczarowałem się. Podług mnie, poezya Deotymy na polu sztuki jest tém, czém foto-grafia na polu malarstwa; jest to rodzaj szejnekatarynki, w której na nabijanych gwoździakach (złożonych z erudy-cyjnych cytacyj i imion własnych wyjętych z encyklope-dyi) modułują się treny i trelle, czasem bardzo harmonijne, ale najczęściej pospolite. W téj poezyi jest tylko popisy-

wanie się z rozumem i wszechwiedzą, — ale uczucia nie ma."

W r. 1855 lato i jesień przepędzał w Badenie, krzepiąc jak zwykle wątłe zdrowie. Był to jednak rok, który mu przyniósł szczęśliwe natchnienie. Na wiosnę napisał ową przeudną, z najgłębszych tajników serca wydartą *Sielankę młodości*, i przysłał mi ją w osobnym odbiciu z drukującego się w Paryżu nowego wydania jego poezyi. Napisałem o niej artykuł pod wpływem upajającej woni tego polnego kwiatka. W tej materji odpowiedział listem z Aix, gdzie pojechał na zimowe miesiące (18 grudnia 1855 r.):

"Przejeżdżając przez Paryż znalazłem twój artykuł o mojej *Sielance*. Bardzo był rad z niego, i przesyłam ci dzięki za twoją pamięć. Sielanka dotąd podobała się wielu osobom, i zewsząd dochodzą mię komplementa. Szczerą prawdą prędkiej trafia do ludzkiego serca niż wszelkie marzenia fantazyi. Istotnie sam to czuję, że to najmłodsze dziecko moje udało się ...

"Uniknąwszy trzeciej zimy niemieckiej, od dwudziestu dni wygrzewam się tu pod prowanceńskim słońcem. Dobrze mi tu i przyjemnie, bom tu spędził 14 najpiękniejszych lat młodości, i wszyscy moi dawni przyjaciele i znajomi przyjeźli mię z otwartemi rękoma i chętnym sercem. Przez kilka dni mieliśmy mróz do 3 stopni dochodzący, ale dziś już 8 stopni ciepła w cieniu, a około południa słońce będzie tak gorące, że spacerując, trzeba go unikać. W takim klimacie żyć dla inwalidów jak ja!... Odbywam tu kuracyę po dług zleceń najlepszego paryżkiego doktora p. Chomel'a: stawiają mi na kości pacierzowój *des vésicatoire volants* i piję po dwie łyżki *l'huile de foie de morue*. Przykre to lekarstwa, jedno i drugie, ale cóż robić, kiedy mają mi wrócić siły. Dotychczas wielkiego polepszenia nie widzę."

Tom jego poezyi ukazał się nakoniec z początkiem 1856 r. Wiele w nim dawniejszych kawałków odpadło, wiele nowych przybyło. *Sielanka młodości* swoim urokiem wiosennym, fiołkową wonią, prostotą niewinna, tak émiła inne, nawet nieraz szczęśliwie natchnione poezye, znajdujące się w tym zbiorze, że kto ją przeczytał, na resztę nie

zważał. Gaszyński przy układaniu rękopisu chcąc zachować porządek historyczny swych wrażeń, popełnił tę niezręczność, że *Sielankę*, jako odnoszącą się do jego szkolnych lat, choć napisaną w wieku dojrzałym, na samém czele zamieścił. Jest to jakby najwykwintniejszy *dessert* dany przed zupą; a jednak w dalszym ciągu ile tam smacznych rzeczy! Między innemi *Elegia na śmierć dziewięcioletniej dziewczynki*, przypominająca mi owych sławnych kilka wierszy z *Elegii* starego Malherbes'a także na śmierć dziewczęcia.

Nie mogę się wstrzymać, żeby nie przytoczyć choć samego początku:

Jak kropla rosy błyszcząca,
Co od rannego gorąca
Usycha;
Jak śpiew słowika pieszczony,
Co nagłym hukiem zgłuszony
Ucicha;
Jak złotoskrzydły motylek,
Co ledwo kilka żył chwilek
I mdleje;
Jako różyczka rumiana,
Co jeszcze w pączku zerwana
Więdnieje,—
Tak nad brzegami Sekwany,
Z dala od ziemi kochanej
Wołynia,
Zgasła różyczka, fiolek,
Kropelka rosy, aniołek—
Ludwinia i t. d.

Poeta nadał tu zwrot, jaki się spotyka w pieśniach ludu, a niekiedy w kanconach włoskich, co wszystko ujęte w nader wdzięczną formę, naznacza téj elegii miejsce obok najpiękniejszych w tym rodzaju, na których czele stoją Kochanowskiego *Treny*.

Rok 1857 nie przeszedł mu bezowocnie dla literatury. W Poznańskim hr. Heliodor Skórzewski ogłosił konkurs

i nagrodę za napisanie najlepszej satyry odpowiedniej czasowi. Zapalił się do tego Gaszyński i posłał wiersz pod tytułem: *Gra i karciarze*, który uznany za najlepszy, otrzymał pierwsze premium. Następnie napisał także z satyryczną tendencją dramatyczny obrazek w dwóch aktach: *Wyścigi konne w Warszawie*; a gdy go pytał, czy życzy sobie, aby ta komedyjka była przedstawiona w teatrze? tak odpisał: „Zostawiam to do twego sądu i do zdania aktorów, czy taka krótka komedyjka (która właściwie jest tylko dyalogowaną satyrą), bez intrygi miłosnej, nie zrobi *fiasco* na teatralnych deskach?... O partyach sportowych, o których mi piszesz, że są między amatorami wyścigów, nie nie wiedziałem, dla tego więc nie mogłem wprowadzić walki między anglo- i arabomanią — a teraz już trudno przerabiać.”

W rzeczy samej, w komedyjce tej brakuje tego rysu w pewnym względzie bardzo charakterystycznego — jak równie wielu innych rysów, których autor przebywając za granicą nie mógł z pierwszej ręki studyować; dla tego też obrazek ten, acz bardzo zręcznie ułożony i prowadzony, nie ma dość życia. Autor zdradza się jawnym zamiarem skarcenia i dania nauki; tymczasem gdyby był rzeczywistość ze strony śmiesznej wystawił, jakiej wyścigomanom nie braknie, — skutek byłby dzielniejszy.

W satyrze: *Gra i karciarze*, o wiele jest szczęśliwszy Po *Sielance młodości* najdoskonalszy to jego utwór. Można powiedzieć, że od czasów Krasickiego nikt nie napisał takiej satyry obyczajowej. W obrazkach zdjętych z natury nigdzie najmniejszej przesady, sama tylko prawda, tém mocniejsza im spokojniej wypowiedziana. Poeta wyczerpując wszystkie rodzaje tej nieszczęśliwej namiętności, nie pozostawia nic do życzenia. Najtrafniejsze to w nim, że potępiając grę i karciarzy, nie wyobraża sobie, że biczami swych wierszy wyruguje tę namiętność, przywiedzie do opamiętania, jakby on dopiero pierwszy wynalazł, że gra jest niemoralną i zgubną dla rodzin i społeczeństwa. Przeciwnie, pisze on nie w nadziei poprawy, lecz dla tego, żeby dobrym dał otuchę i poparcie.

Mniejsza, że źli i głupi powstaną nań z wrzawą,
Krzyząc: „Do strofowania kto tobie dał prawo?”—
Byle choć kilku mądrych i zacnych współbraci
Rzekło, dłoń mu ściskając: „Niech ci Bóg odpłaci!”

Tak tedy satyra: *Gra i karciarze*, i obrazek dramatyczny: *Wyścigi konne*, złożyły się na tomik, który wydał w Paryżu w r. 1858 pod tytułem: *Pro publico bono*. Zajmując się tém wydaniem, a jeszcze więcej swojem zdrowiem, pisał mi z Paryża (13 lipca 1858):

„Już blisko dwa miesiące siedzę tu odbywając zmuśnioną kuracyę. Pręcikami żelaznemi rozpalonemi do czerwoności, przypiekają mi skórę wzdłuż kości pacierzowój. Operacya odbywa się co pięć dni, i nie jest bardzo bolesna — a siły w nogach widocznie mi przybyło. W końcu tego tygodnia jadę do Trouville brać kąpiele morskie, i zabawię do końca sierpnia. Znam dwóch ludzi mających też samą co ja chorobę, których Guerin jeśli niezupełnie wyleczył, to doskonale podreparował. Mam więc nadzieję, że i ja znajdę polepszenie.”

W tym roku nie jeździł do Niemiec, lecz we wczesnej jesieni pojechał do ukochanego Aix na zimowe leże, gdzie w roku następnym w lutym doszła go wiadomość o śmierci Zygmunta Krasińskiego w Paryżu. Był to cios, który uczuł tak głęboko, jak tylko może uczuć przyjaciel lat trzydziestu. Około tego czasu odebrałem list od niego zawierający kilka serdecznych westchnień po zmarłym, o między innemi ten ustęp:

„Tylko pośród nas mogła się pojawić podobna anormalna pozycya, aby wielki poeta i cnotliwy obywatel, wypierał się przez całe życie swojej chwały literackiej, i krył się z zacnemi uczynkami, jak inni kryją się z podłością i występkiem, a wszystkie usiłowania wyteżał na to, aby marne zaszczyty i błyskotki, za któremi próżność tak goni, omijały jego osobę... Bóg zlał na niego wielkie dary; dał mu miłość i szacunek ziomków, wielkie serce, umysł genialny, żonę piękną, cnotliwą i najzacniejszą — miłe i dorodne dzieci — licznych i wiernych przyjaciół — na koniec znaczny majątek. Brakło mu tylko zdrowia i tego, czego nie dosta-

wało Alfowi... Banalnych i pstrych rozmów nie lubił, i dla tego stronił od modnych salonów... Najmilszą mu była wieczorna pogadanka z kilku przyjaciółmi, rozmowa gorąca, poważna, szczególnież z historyi i filozofii w pytaniach najżywotniejszych. O jakże świetniała wówczas jego wymowa! Jakże zdrowe i wielkie myśli wybyskiwały z tych improwizacyj! Nieraz słuchając go z uwielbieniem, myślałem sobie: „Gdyby ten mąż był Anglikiem lub Francuzem i miał przystęp do publicznej mównicy, stanąłby niezawodnie na równi z Pitt'em i Burk'em, z Guizot'em i Thiers'em, stanąłby na równi rozumem i mową — a sercem niezawodnieby ich przewyższył. Bogobojny, wylany dla rodziny i przyjaciół — dobroczynny prawie do rozrzutności...

„Można zastosować do niego znany własny jego wiersz, w którym szcharakteryzował zasługi dawnego rycerstwa...”

Po tym liście przerwała się na jakiś czas korespondencya z powodu wybuchłej wojny we Włoszech; dopiero we wrześniu (29) odebrałem następujący list z Paryża:

„Bóg świadkiem, wstyd mi, żem tak dawno do ciebie nie pisał, ale przez sześć ostatnich miesięcy byłem w ciągłych podróżach i pracy, a oprócz tego, w czasie wojny nie śmiałem pisać z nieprzyjacielskiego kraju.

„Mimo lichego bardzo zdrowia, żyję dotąd i energią ducha podpieram jak mogę chwiejące się ciało.

„W miesiącu kwietniu wyjechałem był z Aix do Paryża dla przejrzenia i uporządkowania pozostałych papierów po nieodżałowanym nieboszczyku. Czerwiec i lipiec przepędziłem w Aix zajęty ciąglą pracą. Sierpień zeszedł mi w Biarritz w kąpielach morskich. Od miesiąca jestem znów w Paryżu, i dopiero w końcu października będę mógł wyrwać się z zimna i deszczów tutejszych pod moje prowanekie słońce.

„Zajęty tu jestem drukiem dwóch dzieł pozostałych po Zygmuncie. Pierwsze nosi tytuł: *Niedokończony poemat* (urywki z pośmiertnych rękopisów). Jest to pierwsza część *Niebozkiej Komedyi*, ale pod względem artystycznym daleko wyższa od znanego poematu, bo w dziewięć lat później pisana.

„Miał to być poemat olbrzymich rozmiarów; na nie-szczęście nie dokończył go; ale w tém, co pozostało, jest pewna całość, epizod pełny wielkiej i głębokiej poezyi. Będzie najmnij 8 arkuszy druku. Drugie dzieło p. t. *Wyjątki z Listów Zygmunta Krasińskiego*. Miałem ogromną pracę dla przygotowania do druku tej publikacyi. Musiałem przeczytać przeszło tysiąc listów nieboszczyka i wypisać z nich tylko takie wyjątki, które mogą interesować ogół czytelników. Usunąć trzeba było wszelkie aluzye polityczne dla tego, aby książka mogła przejść przez różne cenzury. Tom obejmie najmnij 300 stronnic druku; później wyda się tom drugi, może i trzeci. Są tam nieocenione skarby wzniosłych i nowych myśli, skarby języka i stylu. Dzieło to powinno zrobić ogromne wrażenie; nie podobnego literatura nasza w tym rodzaju nie miała.

„Listy Józefa de Maistre są niższe od listów Zygmunta; bo pierwszy posiadał tylko rozum i dowcip — u drugiego serce zewsząd wytryska. Przed końcem tego roku dojdzie cię ten tom *Listów*; osądzisz sam czy mówię nieprawdę.”

Winienem tu przerwać list Gaszyńskiego, i zrobić uwagę, że chybił sposobem wydania korespondencyi Zygmunta Krasińskiego. Listy takich ludzi, co zdobyli sobie szczyt sławy w narodzie, nie obcinają się, ani przykrawują w żadnym przypadku; lepiej ich całkiem nie publikować niż publikować w niedostatecznym kształcie. Generał Morawski w jednym z listów swoich dał o tych listach nader trafne i sprawiedliwe zdanie, które muszę tu przytoczyć. Piszę on: „Czytałem w ciągu choroby oba dzieła Zygmunta Krasińskiego (*Niedokończony poemat* i *Listy*). Nie lubię takiego wydawania listów. Zostawiono dyssertacye uczone, a zdjęto wszystko, co maluje bliższe stosunki społeczne i co charakteryzuje człowieka serca. Przedmowa także dość licha...”

Wróćmy teraz do tego, co dalej pisze Gaszyński:

„Obok tych zatrudnień miałem inną robotę. Piszę obszerne dzieło pod tytułem: *Zygmunt Krasiński i moje z nim stosunki*. Już mam ze trzydzieści arkuszy mego drobnego pisma, i dociągnąłem pracę do r. 1849.

Tę zimy dziesięć ostatnich lat opiszę. Ale to dzieło, choć się ukończy, nie zaraz pójdzie do druku, i dopiero kiedyś po mojej śmierci, *gdy będzie można bez niebezpieczeństwa odkryć całą prawdę o zmarłym, ktoś zajmie się publikacją*. Widzisz więc, że nie próżnowałem, i masz ekskuzę na moje tak długie milczenie. O tych moich *Pamiętnikach* proszę cię nikomu nie wspominać; mam bowiem zamiar na przyszłe lato, jeśli da Bóg doczekać, pojechać za pasportem na dwa lub trzy miesiące do Królestwa dla obaczenia mej matki i brata."

Jak widzimy z tego listu, że śmiercią Gaszyńskiego nie zamknął się szereg produkcji jego. Owe *Pamiętniki*, które niewątpliwie do końca doprowadził, i zapewne coś o nich rozporządził, obiecują cenny nabytek dla naszej literatury, w ogóle dosyć ubogiej w wyznania ze świata literackiego. Czy nie przyszedł jeszcze czas na ogłoszenie ich drukiem? Zostawione to musi być komuś do rozstrzygnięcia, kogo zrobił wykonawcą ostatniej swój woli.

W roku następnym, o czym już w powyższym liście zrobiłem wzmiankę, wykonał swój długo układany zamiar odwiedzenia matki i brata mieszkających pod Częstochową...

...Konstanty odświeżywszy wrażenia młodości, upoiwszy się uczuciem synowskim i rodzinnym, po kilkomiesięcznym pobycie w kraju, jak przelotne ptasze — odciągnął do swojej Prowancyi...

Ostatnim utworem poetycznym, w którym porównywał siebie z Tytusem i boleje, że nie może mu dorównać, zamknął swój zawód. Wydał go w Paryżu r. 1864, pod napisem: *Kilka pieśni dla kraju*.

Nie cierpiąc żadnej zabójczej choroby, skończył na wyczerpanie sił żywotnych.

Miedzy nami w ostatnich czasach przerwała się korespondencya; nie mieliśmy dla siebie słów pociechy — więc milczeliśmy obadwa. Dopiero po kilku latach odebrałem od niego list pisany dnia 4 czerwca 1866 r. z Aix, a zatem na trzy miesiące przed zgonem.

„Już z kopę lat temu, jak korespondencya nasza urwała się nagle, nie wiem już z czyjej winy; — lubo się domyślam, że z winy nieszczęsnych wypadków; — dla tego

chwytam z uradowaniem pierwszą sposobność, aby ją odnowić.

„Co się mnie tycze, zdrow jestem; ale nogi moje biedne tak osłabły, szczególnież od roku, że stałem się prawie kaleką, to jest, że sam po ulicy chodzić nie mogę, i musiałem przyjąć służącego, który mi podaje rękę w przechadzkach. Po pokojach (jeśli posadzki niezbyt froterowane) chodzę śmiało, na kanapie lub fotelu jeszcze ze mnie zuch, ale po bruku już nie śmiem puszczać się sam.

„Co rok jeżdżę do kąpieli, które mi nie pomagają. Za miesiąc mam zamiar spróbować nowych wód, tu w południowej Francyi, w Balazuc w okolicach Montpellieru. Może mi ta kuracya jakąś ulgę przyniesie, bo te wody sławne są na wszelkie paraliże. Słowem, co mam jeszcze dobrego, to żołądek, głowę i serce — reszta w ruinie. Możesz sobie wyobrazić, że w takiej pozycyi umysł u mnie nie bardzo spokojny, i dla tego od trzech lat ani jednego wiersza nie napisałem. Czytam co piszą inni, i to dla mnie pociecha, zwłaszcza gdy coś dobrego napadnę, ale te niespodzianki są rzadkie. Dla tego wyglądam z niecierpliwością chwili, gdy wyjdzie z druku nowy poemat Pola: *O Domu naszym...*”

To był ostatni jego list...

Pan Gaut, świadek przedśmiertnych chwil poety, tak je podaje: „Dni 6, 7 i 8 października były jego konaniem. Wbrew zwykłemu przebiegowi chwil takich, w dzień pozostawał nieprzytomny, a w nocy w zupełnem posiadaniu władz umysłowych. Wtedy z otaczającymi prowadził zajmujące rozmowy o rzeczach tego świata i obietnicach przyszłego; czasami błysnął jeszcze wesołym słówkiem, albo jednym z tych żarcików pełnych bystrego rozumu, które niegdyś słuchaczów radowały. Tak przechodziła noc.

„Ze wschodem słońca zaczynała się znowu zażarta walka życia ze śmiercią: tracił przytomność, przychodziło grobowe zimno i usiłowało zmrozić krew krążącą w żyłach. Wtedy czarna trwoga ogarniała bezwiedny umysł konającego; instynkt zachowawczy brał górę nad potęgą ducha i walczył ze śmiercią — a zmęczenie się w tych zapasach objawiało się zimnym potem na bladém czole... Kiedy

zdjęty przerażenia dreszczem w objęciu śmierci pozostawał nie puszczał od siebie przyjaciół otaczających łóżko, za ręce ich trzymał, jakby chciał puklerzem przyjaźni zastawić się od ostatniego ciosu... Było to uczucie jemu wrodzone; człowiek ten żył dla przyjaciół, więc w ostatniej godzinie mniemał, że ich miłość może pozew Opatrzności odroczyć...”

Przy śmierci obecny był Krakowianin dr. Ignacy Janicki, nauczyciel synów Zygmunta Krasińskiego. Magnesem przyjaźni pociągniony z daleka, do śmiertelnego łóża pośpieszył i otrzymał ostatnie jego ręki ściśnienie i ostatnie polecenia.

Pogrzeb odbył się wedle woli zmarłego bardzo skromnie: prosta niepomalowana trumna i nie więcej... Towarzyrzyło mu kilku Francuzów i trzech rodaków, a na cmentarzu postawiono żelazny krzyż z napisem: *Konstanty Gaszyński*.

Ten epigraf jaki położył na drugiem wydaniu swych poezyj, przypomina się tu mimowolnie:

.... a dla ziemi, u mogiły,
Kilka piórek pozostanie,
Co ku niebu mnie wznosiły!

Te poetyczne piórka — to najszacowniejsza. cząstka i świadectwo pobytu jego między nami... to połowa długu spłaconego ojczyźnie ze skarbcza myśli, gdy drugą połowę włożył w uczynki miłe Bogu i ludziom...

Obóz Klassyków.

Od czasów kłótni Orzechowskiego ze Stankarem i Modrzewskim, żaden rozterk piśmienny nie był u nas tak głośny, jak walka Romantyków z Klassykami.

M. Mochnacki.

Dla lepszego rozjaśnienia sfery, w której się obracali pisarze sportretowani w tym zbiorze, przydać się mogą szczegóły w niniejszym obrazku literackiej wojny zawarte. Jest to pamiętnik ich myśli, ich wyobrażeń, charakteryzujący epokę. Wizerunek więc tak ważnego okresu w dziejach literatury, a mianowicie poezyi, może się, jak miemam, dość logicznie obok innych portretów pomieścić.

Spór między *starożytnymi* a *nowożytnymi*, którzy z nich lepsi? — nie od dziś się datuje.

Jeszcze za Rzymian pod Augustem starzy poeci mieli swoje stronnictwo prześladowające i oczerniające nowych poetów. Horacy należący do tych ostatnich, był jakby roman-

tykiem ówczesnym; dość przeczytać list jego do Augusta (I, księga II), aby się przekonać, jak sobie drwi ze starożytnych, zapytując, czy wiersze tak jak wino im starsze, tém lepsze:

Si meliora dies, ut vina, poemata reddit,
Seire velim, pretium chartis arroget annus?

A pisarz żyjący przed stu laty, czy ma być policzony do starożytnych, to jest wzorowych, czy między partaczów, to jest nowych pisarzy?

Scriptor adhinc annos certum qui decidit, inter
Perfectos veteresque referri debet? an inter
Viles atque novos?

Sławny siedmnastego wieku filozof Kartezjusz poruszył to pytanie w dowcipny sposób: „Nie mamy żadnej rozumnej przyczyny—mówi on—przyznawać tak wielką zasługę starożytnym za ich starożytność. My to raczej powinniśmy nazywać się starożytnymi: świat bowiem starszy dziś niż za ich czasów, a doświadczenia nierównie więcej mamy niż oni.”

Argument ten, w którym filozof daje znaczenie wyrazom odnośnie do wszechświata, a nie do człowieka dziś żyjącego, pochwyceno przed stu kilkudziesięciu laty we Francyi, i zaczęto zapuszczać się w coraz głębsze rozumowania, dowodząc, że jak dla jednych uznana powaga wszystko rozstrzyga, tak dla drugich własny rozum służy za powagę. Jedni też lubią powoływać się na starożytnych i dają się jak dzieci ojcom prowadzić; drudzy utrzymują, że starożytni należą do młodego świata, właśnie są nowożytnymi, a nowożytni, jako żyjący w starym już świecie, mają prawo nazywać się starożytnymi i stanowić właściwą powagę.

Pocieszne te subtelności, czepiające się znaczenia wyrazów, służyły potem za punkt wyjścia w długiej wojnie

piórowej między stronnikami wzorów greckich i rzymskich a obrońcami nowożytnej literatury.

Walka ta przeniosła się i do Włoch, i do Anglii, gdzie najnudniejszymi rozprawami spierano się o pierwszeństwo to dla starożytnych, to dla nowożytnych. Pope najtrafniej godził klóścących się, powiadając: „Nie przywiązujecie się ani do tego, co stare, ani do tego co nowe, ale umiejecie odrzucić fałszywe piękności; a podziwiać utwory z piętnem prawdy.”

W rzeczy samej, wszystkie te spory rozstrzyga to wyborne zdanie; zapomniano jednak o niem, kiedy przed pięćdziesięciu laty wytoczyła się wojna klasyków z romantykami.

Jest to pierwszy spór literacki, jaki przeniósł się z zagranicy i do naszej literatury. Dawniejsze spory z XVII i XVIII wieku nie dostały się do nas. Czemu? bo ani cza-sopism literackich nie było, ani też literaci nie tworzyli osobnego ciała. Nawet nie istniało nazwisko literata. Ten był ziemianinem, ten księdzem, ten kanclerzem, ten hetmanem,—a jeżeli pisał, to nie w zamiarze, żeby być policzonym do téj lub innéj szkoły. Właściwie koło literatów sformowało się dopiero na dworze Stanisława Augusta, i utworzyło nową szkołę, która nie potrzebowała z literatami reprezentującymi dawną epokę republikańską, staczać walk na polu teoryi, z prostéj przyczyny, że zastawszy przysposobione umysły, miała opinię po sobie. Tamci szli w zapomnienie, ci używali wziętości i protekcyi, dopóki, przeciw tym nowatorom wyczerpanym już i zużytym, nie zaprotestował w pierwszych dwudziestu latach XIX wieku romantyzm.

Tradycya literatury Stanisławowskiej najuparciej przechowywała się w Warszawie, i miała tam główny swój obóz, nad którym powiewała chorągiew *dobrego gustu*. Jak Turcy Koran, tak oni narzucali swój kodeks gustu, którego cała estetyczna tajemnica zasadzała się na tém, żeby nie takiego nie powiedzieć, coby się nie znalazło w pisarzach podanych za wzór dobrego smaku. Ktokolwiek zdobył

się na niezwykle wyrażenie, lub ze śmielszą, a mnięj spowszechniałą myślą wystąpił, srodze bywał karcony przez tych arcykapłanów świątyni gustu, wprawdzie nie po pismach publicznych, (nie lubili bowiem wdawać się w drukowane rozumowania), lecz na koteryjnych zebraniach, gdzie niemilośnie przedrwiwano wykraczających przeciw kodeksowi, a głównie w poufnych literackich korespondencyach, tworzących nieoszacowany materyał, dający poznać ich sposób sądzenia utworów romantycznój szkoły, a w ogóle stan literackich pojęć.

Szczęśliwy przypadek rzucił w moje ręce kilkaset listów obejmujących peryod najzwawszėj walki między klasykami a romantykami, to jest od r. 1823 do 1830. Są to korespondenye samych koryfeuszów tak zwanego klasycznego obozu, a zatém wcale nowy dokument do tēj epoki, którą gdyby chciał kto opowiedzieć, musiałby uciec się jedynie do broszur i artykułów dziennikarskich stronictwa romantycznego — bo jak wyżej rzekłem, klassycy, osobliwie główne ich powagi miały sobie za ujmę wstępować w polemiczną arenę. Prelekeye literatury Ludwika Osińskiego, tego Ulissesa klassyków, mogłyby także posłużyć za materyał; ale szanowny professor nie wdawał się w żadne rozbiory, ani w sądy o duchu i dążności nowėj szkoły, tylko dowiecipnemi sarkazmami odprawiał tak Szekspira, Schiller'a, Byron'a i wszystkie literatury obcych narodów, jak świeżo jawiące się płody litewskiego wieszczu. Pochwyciwszy dwa wiersze z *Dziadów*, sparodyował je:

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Głupstwo było, głupstwo będzie,—

i był przekonany w zarozumieniu swojem, że już na wieki zabił i dzieło, i autora.

Rzecz godna zastanowienia się, że między klasykami ludzie nawet wyżsi charakterem i czytani, uznawali powagę tēj lekkiej głowy, mającej jedyny talent dobrego deklamowania wierszy, i wierzyli w jego zdanie, chociaż nie miał żadnego, jak w sybillińską wyrocznię. Z tēj uważając ich strony, malują się oni nie jako klassycy zentuzyaz-

mowani dla arcydziół Grecyi i Rzymu, których nawet dobrze nie znali, ale jako stronnictwo walczące pod sztandarem tradycyjnej powagi przeciw nowemu stronnictwu, które z razu innym wzorom przyznając pierwszeństwo, dążyło do oswobodzenia się ze wszelkiej tradycyi i powagi, co, jak wytłómaczył Mochnacki, pierwszy z romantycznych estetyków, miało być uznaniem się w swoim jestestwie. Ale gdy wtenczas nie było mowy o dalszych następstwach tego prądu objawiającego się w młódem pokoleniu, cały spór ograniczał się w szrankach literatury, i na tém polu tak zwani klassycey przy bardzo miernych zasobach nauki, a przy ogromnej dozie rozumienia o swojej nieomylności potrójną ponieśli klęskę; pobiły ich utwory romantyków, któremi entuzjazmowała się opinia, pobiły polemiczne i estetyczne pisma, pobiły wypadki...

Epokę tej walki literackiej usiłują we wspomnieniach swoich łagodnie wystawiać stronnicy niegdyś klassycznego obozu, dowodząc, że umiano od razu ocenić talent autora *Dziadów*, *Ballad*, *Sonetów*, *Wallenroda*, tylko powstawano na niefortunnych naśladowców litewskiego poety. Następnie, że choć się toczyły po salonach rozprawy o klassyczność i romantyczność, nieraz aż do łajañ i gniewów dochodzące, jednak rozprawy te nie wychodziły za obręb salonu, nie miały rozgłosu i wpływu na zdanie powszechne, chyba o tyle, o ile młodszy romantycy chcieli sami robić je przedmiotem gazetarskich artykułów (*). Tymczasem rzeczy szły nie tak gładko, jakby się zdawało z powyższych słów. Koterya kilku poetów z czasów Księstwa Warszawskiego, składająca się z ludzi zajmujących wysokie urzędy, głośnych dawniej nabytą sławą, miała się za jedynie godnych i uprzywilejowanych mieszkańców Parnasu, tak dalece, że wprzód jeszcze nim romantyzm u nas się zjawił, oni stojąc na szczycie rymotwórczej góry, każdego śmiałka wdzierającego się w ich szaniec niemiłosiernie spychali na łeb na szyję. Przywłaszczywszy sobie monopol rymów, przedrwi-

(*) J. S. Dmochowskiego *Wspomnienia od r. 1806 do 1830*, w Warszawie 1858.

wali całą generację młodych pisarzów i potępiali ryczałtem, nie odróżniając nawet tych, co zaświecili lepszym talentem. Satyra pod napisem *Nowy Parnas*, wymierzona na młodych poetów, uderza najzajadlęj na Antoniego Góreckiego, który rzeczywiście więcej miał ognia i czucia, niż te suzereny parnaskiego zamku. Nie poznano się na nim, a może dla tego, że się poznano i obawiano o swój monopol, skartaczowano go takimi rymami:

Górecki! ciebie pierwszym nowy Parnas głosi!
Tyś wielkie imię twoje w samym lat twych kwiecie
Szeroką sławą swoją rozgłosił po świecie,
I gdzie nigdy nie dosięgnął Koźmian i Osiński,
Tam ciebie z chmurą wieszczu wzniosł twój zapal piński. (*)
Śpiesz się w swoim zawodzie obfity Antoni,
Patrzaj, ilu poetów za twą sławą goni.

Tu następuje cała litania młodych pisarzów, z których każdy dostał po palcach, ale którzy, o ile sobie dziś przypominam, nie pisali gorzej od monopolistów, a więcej może od nich mieli świeżości. Nie mogę jednak powiedzieć, żeby ta satyra wychodziła z fałszywego punktu widzenia; owszem, początek jej wyborny, uderzał w tę manię wierszowania napastującą naszą młodzież, manię, która zawodnym najczęściej laurom parnaskim poświęca zdolności mogące się lepiej przydać w jakim pożytecznym zawodzie:

Cóż to, czy mało cudów widzieliście jeszcze?
Calaż to młódź sarmacka zamieni się w wieszczu,
I wieczny cios zadając prozie Słowianina,
Najpospolitszą nawet rymem przecina?

Można sobie wyobrazić, jakie oburzenie się, jakie gniewy powstały w gronie tych powag, kiedy zjawił się ów dziwotwór romantyczny, do którego zaraz przystosowano początek listu do Pizonów:

(*) Uważałem to, że klasycy nie mogli przebaczyć Litwinom, że się rwali do polskiej poezji; ciągle im wyrzucali ich pochodzenie pińskie lub smorgońskie. Niesłychany monopol w sferze umysłowej!

Humano capiti cervicem pictor equinam
Jungere si velit...

a powtarzano chorem: *Risum teneatis amici?*

I śmiano się i dowcipkowano, nieucząc każde słowo, każdy niezwykły rym, każde silniejsze wyrażenie, każde nowe dla nich porównanie, wzięte z natury i życia, a nie z którego dawnego poety, okradzionego już z milion razy. Kiedy tak poważne wyrocznie w rzeczach gustu odzywały się z potępieniem, publiczność, także nieobeznana z nowością, wierzyła na słowo mistrzom, i ztąd czy to w miejscach publicznych, czy w mniejszych lub większych towarzystwach, czy nawet w kółku domowem, wszędzie wrzał bój zacięty starszych idących za powagą klasyków uprzywilejowanych, z młodszymi stawającymi w obronie romantyzmu. Myliłby się, kto by tę wojnę lokalizował tylko do stolicy i do osób bawiących się literaturą i piórem; nie było bowiem tak zapadłego kąta, gdzieby nie stawały przeciw sobie dwa te obozy, gdzieby obok argumentów, w ogóle i z jednej, i z drugiej strony bardzo słabych, nie ciskano sobie w oczy jakimś dowcipnem słówkiem Osińskiego roznoszonym po kraju, lub jaką ciętszą jeszcze repliką romantyków.

Starzy, wychowani w tradycyi epoki Stanisławowskiej, która stworzyła u nas oświatę nowożytną, widzieli zamach na świętości narodowe, jeżeli kto śmiał uwłaczać zasługom Krasieckich, Trembeckich, Naruszewiczów i nowszych jak: Dmochowski tłumacz Iliady, Osiński, Koźmian, Molski, Węzyk, Kropiński, Feliński, których uważano jako kontynuatorów tego wieku odrodzenia, tém bardziej, gdy z tymi pisarzami łączy się wspomnienie Napoleońskie, uchodzące za rodzaj liberalnej opozycyi. Przypominam sobie nieraz, z jaką litosną wzgardą cedzono przez zęby, jakby trudno było przelknąć nazwiska romantyków obijające się po pierwszy raz o przez starszych, a przez zapal młodzieńczy podnoszone do wysokości cudów świata. Gdy zaś dla poparcia twierdzeń, przyszło do sprezentowania dokumentu romantycznego, była nim zwykle jaka ballada wzięta z gminnego podania, pełna upiorów i duchów, gminnych wyrażen i porównań, co wszystko dawało pole wyznawcom klasy-

cyzmu do żartów i szydzeń z téj karczennój, podkądziel-nój, jak ją nazywano, poezyi.

— Jeżeli to ma być romantycznością — mówił raz poważny jeden obywatel, radca wojewódzki i członek jakiegoś prowincjonalnego Towarzystwa przyjaciół nauk, — to proszę zajrzeć wolnym czasem do mojej piekarni i posłuchać co między sobą gwarzą Bartosze i Kaśki. Jak pan Jourdain dopiero na stare lata dowiedział się, że gadał prozą, tak widać i ja dowiaduję się na starość, że moja czeladź nie-tylko kartofle, ale i romantyzm uprawia.

Na tym koncepcie najeczęściej jeżdżono; sam Koźmian nie pominął go w wierszu do Morawskiego:

Precz więc Greey z Parnasu, precz Rzymian prawidła!
Nasz Helikon za piecem, a muzy u bydła.

Młodzież więc była celem szyderych pocisków starszyzny; a choć się odcinała — przedrwiwając nawzajem wiersze klasyków i pokazując ich stronę czezą i deklamacyjną, — nie miała jednak ani dosyć wiadomości, ani wytrawnego zdania, aby mogła rozzumnymi argumentami przekonać przeciwników. Zapał i uczciwość — to był cały jój arsenał. Wreszcie choćby się i znalazł był taki, co dobrze rzecz zgłębiwszy, umiał ściśle wykazać przyczyny i dążenia téj rozwijającej się epoki nowych wyobrażeń w literaturze — to nie byłby przekonał przeciwników, tak samo nierozumiejących klassyczności, jak ci nie rozumieli romantyzmu. Najwyborniej też zdefiniował oba te obozy Michał Grabowski, który takie słowa włożył w usta pana Kościeszki (Literackie przygody pana Kościeszki):

„Interesa zbliżyły mię z arystokratyczną literaturą klassyczną (w Warszawie). Przypadek zdarzył, że się zetknąłem z prozelitami przemian wylęgających się w ostatnich szykach piśmiennictwa. Tam w górze nie wiedziano nie jeszcze o tém, i ja sam tak byłem zdziwiony, odkrywając romantyków warszawskich, jak być mógł poganin w Rzymie, kiedy się dowiedział o schadzkiach chrześcijańskich po katakumbach i grobach. Rzetelne stosunki dwóch literatur względem siebie były te same co tamtych dwóch

religij. Pierwsza była literatura wielkich i uczonych świata, druga gminu i nieznanej młodzieży. Pierwsza dzieliła się na dwie, jedyne kategorie, panów i pieczeniary; drugą składali poeci w łupince, tłumacze romansów i redaktorowie pism wychodzących tylko w prospektach. Żywiołem pierwszego koła było szyderstwo, pochlebstwo i zamniemanie; drugiego—entuzjazm, niewiedomość i znów zamniemanie.⁷

Wybornie! bo prawdziwie.

Z niezmiernie obfitęj korespondencyi, jaką mam przed sobą, ten a nie inny da się wyprowadzić wniosek. Powagi klasyczne wierzyły więcej w swoją powagę i nabytą sławę, niż ubiegały się o gruntowne zbadanie i przedstawienie téj kwestyi, a że pojawiające się pisma romantyków, mianowicie Mickiewicza, muzę ich dyskredytowały i zapędzały w cień, więc budziła się w nich namiętna zazdrość, chuda w rozumowanie i dowody, lecz kłusująca zajadłe. Hiszpańskie przysłowie: *La envidia está flaca porque muerde y no come*—dałoby się do nich w sam raz przystosować.

W dzisiejszym czasie takie stronnictwo klasyków, jak było wtedy, niezawodnie założyłoby zaraz dziennik, lub kilka dzienników mających być jego organem; lecz przed laty czterdziestu mieć swój dziennik było aktem nadzwyczajnego wysilenia i odwagi, a na téj zupełnie zbywało klasycznym koryfeuszom. Poprzestawali więc na ustnój propagandzie i walce, na znoszeniach się listownych, na wierszykach czytywanych w poufném kole zgromadzeń herbacianych, gdzie się wzajemnie admirowano, i na czwartkowych obiadach u generała Wincentego Krasińskiego, który jako gospodarz zachowywał rolę neutralną, i zapraszał do swego stołu tak powagi klasyczne, jak odznaczające się talenta z obozu romantycznego.

Na tych, głośnych w swoim czasie obiadach, bywał zwykle Niemcewicz, Koźmian, Osiński, niekiedy generał Franciszek Morawski, Brodziński, Salezy Dmochowski, Dominik Lisiecki, Witwicki, Odyniec, Gaszyński, i wielu innych młodych romantyków, w miarę jak który dawszy się już poznać, przybył do stolicy. Wszakże główny zastęp współbiesiadników generała składał się z falangi klasyków,

których łączyła z nim dawna znajomość lub przyjaźń, nie mniej odpowiednie w świecie towarzyskim lub urzędowym stanowisko. Dla uciechy tych nowoczesnych Rzymian, lubiących facecjami zaprawiać poobiednie godziny trawienia, znachodziła się regularnie na każdym obiedzie komiczna figura parazyta i wierszoklety, Jaxy Marcinkowskiego. Można o nim powiedzieć, że to była żywa parodia pseudo-klassycznej literatury; o ile koryfeusze powagi ubiegali się o poprawność, jasność, harmonię stylu i wierszów, o tyle on pisał liche wiersze i zawiązywał je tak łatwo rymami, jak „kozom ogony.” Ztąd pole do niewyczerpanych żartów i drwin, tém uporeczywszych i zjadliwszych, że Jaxa nie grzeszył potulną skromnością, owszem odcinając się biorącym go na fundusz, często wyrzucał, że on sam więcej napisał już i wydrukował, niż oni wszyscy razem wzięci przez całe życie. Gdy po kilku leciech wyczerpały się żarty z téj ofiary rymoklectwa, której dano chleb łaskawy, robiąc inspektorem szkoły wojewódzkiej w Płocku, przysłała kolej na romantyków. Gospodarz uczonych obiadów, wierny zasadzie neutralności, zapraszał reprezentantów obu szkół i zwykle podjudzał jednych przeciw drugim, z czego wszczynwały się z początku żwawe dysputy przeplatające każdą potrawę, a na wety wywiązywała się zajadła kłótnia ubliżająca nieraz dostojęństwu i powadze tego lub innego klasyka, który sobie poprzysięgał więcej nogą nie wstąpić w dom generała.

Zdarzało się często, iż w samym głównym sztabie klasyków zakradała się taka niezgoda, jak między greckie wodze w obozie pod Troją. W wyobrażeniach ich i skłonnościach były liczne eieniowania. Jeżeli Kajetan Koźmian i Osiński stali na czele wyprawy, jak Agamemnon i Menelaus, niewzruszeni i poważni, jak wyrocznia gromiacy, — to Franciszek Morawski, najzdolniejszy i najpochopniejszy z nich do pióra, najśmielszy i najwięcej mający poetycznych instynktów, miewał swoje humory jak Achilles, i często dla romantycznej Bryzeidy pałał nieudaną miłością. Byłby może nawet przeszedł do przeciwnego obozu, ale osobiste stosunki łączyły go z głównymi wodzami, którzy ze swojej strony umieli go trzymać zakłębem w imię

dobrego gustu, a przywiązywała nawyczka do manieri francuzkiej, której zawdzięczał pierwsze swoje powodzenie na polu literackiem.

Korrespondencye, z których zamierzyłem podać wyciągi, najlepiej te stosunki wyjaśnia, a zarazem dadzą miarę o stanie wyobrażeń literackich znamionujących ten okres najgorętszej walki między klasykami a romantykami.

Generał Morawski z brygadą swoją piechoty stał wtenczas to w Lublinie, to w Radomiu, tylko podczas obozowania pod Powązkami przebywał częściej w Warszawie. Kajetan Koźmian, radca stanu, stale zamieszkiwał stolicę, a będąc w toku literackiego ruchu, donosił o nim Morawskiemu, i nawzajem od niego odbierał spostrzeżenia i uwagi. Czasami Koźmiana wyręczał syn jego Andrzej, młodzieniec oddający się literaturze, bardzo *en vogue* w salonach stolicy, a przytém stykający się z młodzieżą akademicką i romantycznymi kółkami. Morawski pełny dowcipu umiał ożywiać swoje listy wybornymi często conceptami i wierszykami — biegały też z rąk do rąk po całej Warszawie, a wrywane z nich zdania, lub trafne słówka, służyły nieraz stronom wojującym za oręż, jakim się wzajemnie trapią. W ogóle miał on najwięcej poczucia poetyckiego, i za ukazaniem się pierwszych dwóch tomików Mickiewicza uległ wrażeniu, lubo broni się od niego, krytykując wyrażenia i niejasność. Zobaczmy, co z tego powodu pisze do Kajetana Koźmiana.

13 Sierpnia 1824 r. z Lublina: „Przeczytałem już ze trzy księgi, między innemi Mickiewicza. Niezaprzeczony ma talent, ale kto chce nowy rodzaj wprowadzić, trzeba go okazać w całej doskonałości, inaczej odrazi. Ballady jego mimo wad języka, są przyjemniejszym tworem; *Gryzelda* (nawet tytuł *Grażyny* przekreślił) nudna, a *Dziady* tak w swoich wyobrazeniach subtelne, niedociekłe, iż ciągle dorozumiewając się, niczego nakoniec nie rozumiałem. Czyż to tak bardzo trudno pisać naturalnie i jasno?

„Z rozkoszą Mickiewicza piękne plody słyszę,
Lecz w swoich chmurnych *Dziadach* tak mi ciemno pisze,

Iż zda się, że chwytając same cienie myśli,
Cień wieszczą, cieniem pióra, cienie wierszów kreśli....”

Klasyk uciekł się jak widzimy do znanego konceptu Scaroną z jego trawestowanej Eneidy, gdzie cień furmana cieniem szczotki czyści cień karety. Mimo tego, Morawski mający znajomość pisarzy angielskich i niemieckich, unosił się nad Byron'em i Schiller'em w listach do Koźmiana, i występował w obronie romantyzmu, na co tenże piorunował w swoich odpowiedziach, których jednak nie znajduję w zbiorze listów, ma się rozumieć z tej daty. Jest tylko jeden list młodego Andrzeja Koźmiana pisany z Warszawy 7 grud. 1824 r.:

„*Ziemiaństwo* idzie dalej, jednak wolnym krokiem, bo poważnej klasyeczności nie przystoi galopować. Znalazłem tylko 80 nowoprzybyłych wierszy. Miałby prawo Witwicki śmiać się z mego ojca, bo on, jak słyszę, po trzy ballady na dzień wali.... Lecz romantykiem i jakim romantykiem robi się mój ojciec, większym niż Schiller i Byron! Homer i Wirgili zawsze w porównaniach okazywali podobieństwo rzeczy umysłowych do zmysłowych, romantycy porównywały rzeczy zmysłowe do umysłowych. Mój ojciec już ich przeszedł, porównał rzeczy zmysłowe do umysłowych, i taki wiersz znalazłem między nowymi wierszami:

Smugi dostępne, zdroje śmierzące pragnienie,
Spokojne jak twa dusza, czyste jak sumienie.

„Co za tryumf dla romantyczności! lepsze mieć wyobrażenie o rzeczy umysłowej niż zmysłowej, jest to widocznie być romantykiem. Lecz większy nad to tryumf dla romantyczności gotuje się, gdyż Osiński zaczyna pisać ballady, nie tylko z *Przeleciały trzy pstre przepiórzyce*, ale nawet z owjej sławnej powieści gminnej: *Tańcowała ryba z rakiem, a pietruszka z pasternakiem*.... Osiński czytał *Ziemiaństwo* na obiedzie u Mostowskich; kobiety się splekały, a mężczyźni czuli wszędzie Wirgiliusza. Toby dopiero tryumf odniósł mój ojciec, gdyby *Ziemiaństwo* dało naszym elegantkom smak do wsi.... W świecie naszym lite-

rackim nie nie słyhać, tylko *Edyp* i *Edyp* (*)! Publiczność krzyczy: „Edyp!” Elegantki wołają: „Edyp!” a Osiński zyskawszy na reprezentacyi dosyć wiele, drwi z niego potężnie; bo w istocie, jeżeli Witwicki jest rozpaczą romantyków, *Edyp* ma być rozpaczą klasyków.”

Morawski pod datą 14 grudnia 1824 r., tak tłumaczy się Kaj. Koźmianowi ze swoich romantycznych sympatyj:

„Wpadłeś na mnie, i to niesłusznie, za romantyzm. Nie bronię ja tego, co jest dziwaczne, głupie i podłe; lecz nie w rodzaju romantycznym dostrzegam ja tego, tylko w dziełkach tych autorów, którzy pisząc w tym rodzaju, pośliznęli się jako w niebezpiecznym zawodzie. Zresztą cytujesz mi Witwickiego jako romantyka; a gdybym ja też jako klasyka zacytował Przybylskiego, boć pewno nie był ten romantykiem, co wszystkich klasyków tłumaczył? Podobnobyśmy obaj dopuścili się grzechu przesady, i mógłby nam kto z boku powiedzieć, że religię winimy o zbrodnię fanatyzmu, a wolność o morderstwa rewolucyi francuzkiej. Nie możesz przecie rozsądnie utrzymywać, że Ossyan, Szekspir, Byron, Szyller, byli zupełnie głupi, a ci wszyscy, co im się dziwią, stokroć głupszy, choć w tój liczbie są już i wieki, i całe ludy. Nie! takiego zagorzałego zdania powiedzieć nie byłbyś zdolny; musisz więc przyznać, że mieli geniusz, a kto zna ich pisma, ten zapewne przyzna, że właśnie było w charakterze takich geniuszów tak, a nie inaczej pisać.

„Popelniali wprawdzie niekiedy wielkie dziwactwa, lecz byłoż to w mocy natury ludzkiej utrzymać się zawsze na szczycie nadludzkiej wielkości, wreszcie lepiejżeby było, gdyby ich pisma spalono? Nie byłoby wprawdzie tych dziwactw, lecz ileż to także stracilibyśmy nadzwyczajnych piękności! Nie należyż jednemu dla drugich przebaczać, zwłaszcza gdy już od tylu wieków czekaliśmy napróżno od klasyków nowych piękności, a oni zawsze nam odpowiadali, aby już się niczego po nich nie spodziewać, lecz

(*) *Edyp*, tragedia I. n. Humnickiego, autora inniej tragedyi: *Żółkiewski* pod Cecorą.

w Horacego tylko wiecznie wlepić oczy, bo on jest całym światem, granicą natury, imaginacyi, i że zbrodnią jest śmieć przechodzić za okładki dzieł jego. Uparli się klasyccy żadnych od kilku wieków nie tworzyć piękności; nie dziw więc, że świat cheiwy nowego, nie mając nic od jednych, rzucił się do drugich, a potem, jakże chęć nowości przytłumić? Gdybyś się tydzień tylko samemi ananasami karmił, znalazłbyś później, że ziemniaki nawet smaczniejsze. Umiarkowanie, wołacie, w polityce, czemu nie w literaturze? Nie zwalczycie już tak romantyzmu, aby zupełnie zaginał. Nie lepiejże tych braci obłąkanych zbyttem zapędem zwracać łagodnie na bezpieczniejszą drogę, szanować ich chęć oryginalności, bo ta wiele skarbów zdobyła, lecz zwracać ją powoli do granic prawdopodobieństwa, pożyczyć od nich śmiałości, siły i ognia, a nawzajem udzielić ziemniejszj rozwagi i doświadczenia wieków; dozwolić im, aby nie gardzili naturą niższą od tój, która jest w salonach i na tronach, i aby mogli w wiejskich balladach kłaść wiejskie wyobrażenia, powieści i dumy, jak Koźmian w wiejskim poemacie mówi o wiejskim wieprzu, gęsi i szczypiorze. Nie wiem czemuś ziemniaka nie odważył się nazwać? czyż klasyeczność ma szczypior za poetyczniejszy?"

Morawski w tójże materji pisze z daty 16 grudnia 1824 r. do generała Wincentego Krasińskiego, wspólnego ich przyjaciela, lecz przystępniejszego romantyzmowi niż Koźmian:

"Cezar bijąc nieprzyjaciół Rzymu, przejmował od nich i przenosił do siebie wiele zwyczajów i rzeczy, które może za lepsze uznał. Tak robi i Koźmian. Gromi romantyków, a już niejeden wyraz, niejeden obraz *Ziemiaństwa* w ramach klasyecznych romantycznym świetnieje kolorytem. Może dożyjemy jeszcze tych błogich czasów, że odłączając jednych tożsamość i przesady, a ukracając dziwactwa drugich, sam się stanie punktem połączającym te dwa rodzaje, i wołać będzie: „Do mnie! do mnie! *in medio virtus*." Cały świat się zadziwi; Gawdzicki (*) nawet krzyknie: „Ky-

(*) O tym Gawdzickim wspomina często Morawski w swoich listach, jak siedzi mu nad głową i prosi o poprawienie jego tłumaczenia

rie eleyson!" Tysiąc ballad zabrzmi, a stary Śniadecki, trzęsąc się z gniewu, będzie musiał patrzeć przez swoją lornetkę, jak Ossyan i Homer poniosą Koźmiana na pola Elizeju; Szekspir go powita, a Byron uwieńczy. Co do Osińskiego, ten dla tego zdaje się milczeć, że nie może się jeszcze zdecydować, jak dalej kontynuować swój zawód: czy klassycznie, czy romantycznie? A jeżeli tak obstaje przy dawnych maksymach, toć naturalnie dla tego, że trzeba tych wynosić, których się przekładało, gdyż to dowodzi gustu i rozsądku w wyborze. *Nil est desperandum*, generale, czy rozsądek, czy też jakiś pociąg mimowolny do oczywistości, już ich zaczyna zbliżać do zgody, a nie trzeba temu wierzyć co mówią, bo wszystko biorąc od Greków, przejęli także i cokolwiek fałszu Ulissowego. Mimo wszelkich niedorzeczności Mickiewicza, zazdroszczą mu oni skrycie niektórych ballad, umieją cenić bogactwo farb poetycznych w *Świteziance*, tego tylko żałują, że wzoru do *Twardowskiego* nie widzą w Pindarze; umieją już наконец położyć różnicę między Mickiewiczem a Witwickim, choć obaj pisali w tym samym i zakazanym rodzaju; uznają wreszcie, że mogą być lepsze i gorsze ballady, co już nie małym jest krokiem do porozumienia się. Niech przecie generał nie powiada im o tém, bo jakby się pomiarkowali, gotowiby z przestachu na dwa wieki w tył odskoczyć, a takie wielkie skoki psują foremność klassyczną i śmieszniemy były dla olbrzymów naszej sławy, a co najgorsza, żeby znowu swoje starożytne monopolium kładli na wszystkie plody, i jakby niedość ich było na naszej ziemi, jeszcze i na Parnasie mielibyśmy Newachowiczów.....(*). Wszyscy piszą, Jaxie nawet *Rzek* przyrasta, a tyle wielkich, rzymskich nawet talentów siedzi w kącie, pleśniej i myśli, że wiele zrobiło dla literatury, mrużąc na ballady...

Atalii z Rasyna. Morawski dla utrzymania honoru klassyczności, prze-rabiał po paręset wierszy w każdym akcie.

(*) Newachowicz wziął był monopol trunków i tytoniu w Warszawie, i oburzył na siebie opinię z powodu przetrząsania jadących na rogatkach i rewizji po domach. Później chcąc się pogodzić z opinią, pisał komedyjki dla Teatru Rozmaitości.

„.....Sienkiewicz siedzi w prochu i zaduchu dawnych manuskryptów puławskich, i jakże ma tam co zrobić w tej duszności bibliotecznój?

„Tamże to iskra zapala
W piersiachby jego zabłysła,
Gdzie od starego szpargału
Pamięć wielkości zawisła?
Gdzie nieraz szczytni pisarze
W smutnem zapomnieniu leżą,
A zbutwiałe kalendarze
Do wielkich skarbów należą?
Gdzie zbyt często w lichszym stanie
Mędrzec, niżli głupiec sławny?
Jaxa błyszczy w safianie
A Newton w ciele poprawny?
Gdzie nakoniec tyle płodów
W dziwnój stoi mieszaninie:
Greki obok Antypodów
I Szaniawski (*) przy Ursynie?”

W następnym liście wypytuje Krasińskiego, jak się podobało w Warszawie tłómaczenie *Pani Jeziora* przez Sienkiewicza? i pisze:

„Ja go bardzo ciekawy jestem. Wiem, iż niektóre wyrażenia w bojaźliwej naszej poezyi polskiej będą krytykowane, i może nawet słusznie, lecz wiem i to, że tysiące wyrażen będą prawdziwie poetyczne. Co mię najbardziej boli w Warszawie, gdy jakie znakomitsze dzieło się pokaże, to jest, że cytacyą aż do znudzenia powtarzaną kilku mniej szczęśliwych wyrażen, całe dzieło chcą zaćmić. Nie jest to sposób sądzenia przyzwoity. Bardzo słusznie pani Stael mówi, iż najwięcej dzieł nie tém grzeszy, co się w nich znajduje, lecz brakiem tego, co się w nich powinno znajdować. Jedna myśl nowa, jeden obraz poetyczny, dotąd

(*) Kalasanty Szaniawski, cenzor, przedmiot ciągłych pocisków Niemcewicza.

nieznany, rozszerza pole umysłowe człowieka, a więc powinien i cenę dzieła utrzymać.

„.....Romantyzm będący jeszcze na nieutartej drodze, raz w zbytnią idealność, drugi raz w zbytnią gminność wpada. Co do tego ostatniego błędu, Koźmian najlepiej na dobrą drogę naprowadza, bo zstępując aż do wieprza i kartofli w swoim *Ziemiaństwie*, jeszcze niepospolitym umie być poetą. On więc za wzór służyć powinien romantykowi, jakim sposobem najniższe przedmioty wciągać w państwo poezyi i uzaucniać je szlachetnością wyrażen i pięknoscia kolorytu. Oddam mu więc tę pochwałę, że *Ziemiaństwo* wiele się przysłuży do wykształcenia romantyków. Wiem ja, iż wolałby być posądzony o Alkoran i Biblię Lutra, niż o romantyzm; ale cóż ja temu winien, że go na każdej znajduję karcie: czary, widma, duchy, zabobony, tradycje miejscowe, obyczaje narodowe i najgminniejsze przedmioty? Powie on, że w Wirgiliuszu i Tassie to samo się znajduje; lecz nie życzyłbym użyć tego dowodu na zgnębienie romantyzmu, bo mogłoby się okazać, że romantyzm ten jest w naturze poezyi, ponieważ już wówczas w najklassycznych przebiegał się pisarzach. Jak więc był *Medecin malgré lui*, tak Koźmian musi być *romantique malgré lui*.

„Proszę cię, mój generale, nie wystawiaj mię zresztą na gniew klasyków. Wyroki ich są krwawe, a do krytyki dała im natura tak szczególną, tak zadziwiającą wyższość geniuszu, że nikt ich nie przewyższy ani pojmie.

„Bo któżby wam w krytyce wyrównał na świecie?!
Wy to tylko, wy sami, tak trafnie umiecie
We wszystkiem, co jest piękne, klassyczność ocenić,
A każdą śmieszną brednię romantyzmem mienić;
Złapać tam jakieś słówko dziwaczne, przesadne,
I już wiedzieć, że wszystko głupie i szkaradne;
Tak się wreszcie przecuciem i instynktem rządzić,
Że nawet bez czytania potraficie sądzić.”

W innym liście z późniejszej daty nie poprzestaje wyśmiewać klasyków powołujących się zawsze i wszędzie

na powagę Horacyusza: „bo nietylko czuć i myśleć bez niego, ale gadać nawet bez słów jego niemożna” (*). „Z tém wszystkiem dla dowiedzenia Koźmianowi, że można wielbić Schiller’a i dziwić się Horacemu, i że nie chcę kłaść, tak jak on monopolium na literaturę i sztuki, przyrzekłem należeć w części do przekładu wiersza *De arte poetica*; tém chętniej to nawet czynię, że sam Horacyusz tym wierszem na wiele przesądów klasyków nowoczesnych pomocne niesie lekarstwo. Jest to Biblia druga, z której nasi klasycy robią Talmud; chociaż prawdy jej są tak święte, czyste, jasne i proste, każdy naciąga sens do swego widzi-mi-się; może i ja tak czynię w części, lecz przynajmniej mam dobroduszość przyznania się do tego; oni zaś wszelkie tłumaczenie odrzucają, które się nie zgadza z ich widzeniem w literaturze, a zwłaszcza z ich dziełami, gdyż tu jest cały powód tak zaciętego ich oporu.”

Odkąd zaczęły hałas robić ballady i inne romantyczne próby, różnie przemyśliwano w obozie klasycznym, jakby téj powstającej hydrze od razu ściąć głowę, aby więcéj nie mieszała ich błogich czasów. Zdaje się, że z rady w radę, stanęło na tém, jako najlepiej będzie ich pobić nowemi płodami. Łatwo powiedzieć, wykonać trudniej; bo zkadże wziąć tych płodów, kiedy klasycy nasi chorowali właśnie na bezpłodność? Mniemam, że od Morawskiego wyszła ta bardzo rozumna propozycja, ciągle ich bowiem zagrzewał do pisania. Na pierwszy początek, niby antidotum przeciw romantycznój truciznie, miało wyjść tłumaczenie Horacego *Listu do Pizonów*, dokonane wspólnemi siłami, o czém napomyka powyżej w liście do gen. Krasin-skiego. Głównym zaś taranem miało być *Ziemiaństwo Koźmiana*, od wielu lat zaczęte, teraz przerabiane na nowo

(*) W polemikach między klasykami a romantykami warszawskimi, ci ostatni nie umieli wyzyskać argumentów z Horacyusza, którym się nasi starzy ciągle zastawali jako wszechmogącą powagą, gdy tymczasem Horacy w ówczesnym stanie literatury rzymskiej był głową nowatorów, romantykiem ujadającym przeciw Enniuszowi, Newiuszowi, Afraniuszowi, Plautowi i Terencyuszowi, uchodzącym za wzory klasyczne.

Zobaczmy, jak Morawski ciągle go zachęca do pisania, jak mu dostarcza poetycznego materiału do rozmaitych opisów ziemi naszej. Tłómaczenie *Andromachy* przez Morawskiego grało także niepoślednią rolę w zbrojnym systemacie klasyków, a jeszcze więcej list jego o *Romantykach*, który zresztą trzymając się pośredniej drogi, nie zadowolili tych ostatnich. Do ciągłego harcowania z przeciwnikiem nieodzownie potrzebne było pismo peryodyczne. Morawski ciągle nastawał na to, zwłaszcza że *Astrea* Grzymały, pełniąc z razu tę służbę obozową, strasznie zaniedbywała się nieregularnym wychodzeniem.

„*Astrea* — pisze Morawski — nie może więc ani porodzić, ani poronić. To mi człowiek do *nonum per annum!* Stare przysłowie: „Po śmierć go posłać” — zdaje się dla niego zrobione.”

„...Namawiaj Osińskiego do pisma peryodycznego; ja 20 prenumeratorów biorę na siebie w samym Lublinie. Materiałów ja, ty, Niemcewicz, Kruszyński, co do poezji dostarczać będziemy. Ponieważ w tych czasach całego poematu (*Ziemiaństwa*) nie możesz wydawać, dobrze więc obraz jego planu z wyjątkami drukować. Niemcewicza podróże, Osińskiego lekye, manuskrypta i stare księgi twego syna, wszystko to jest do użycia. Więcej dobrego takie pismo zdziała niż wszystkie narzekania klasyków. Niech tylko zaraz ogłosi prenumeratę, a od 1-go czerwca wydaje. Tyle członków Towarzystwa P. N. powinny się przyczyniać także do tego i na ratunek śpieszyć.”—

Brodziński mający w literaturze swoją teorię o słowiańskiej sielskości, przytęm obeznany z pisarzami niemieckimi, a nadewszystko poetyczniejszą wyobraźnią i żywszem uczuciem obdarzony z natury, lubo nie łączył się z romantykami i dziwactwom początkujących pisarzy przyganiał,— jednakowoż budził podejrzenie w klasykach co do swojej ortodoksji, jak się przekonywam ze słów Morawskiego, pisanych do Jędrzeja Koźmiana: „Wiem ja, co mi Śniadecki mówił o Brodzińskim, a przecież Śniadecki klasyk. Może wiedząc zdanie Śniadeckiego, nawróciłby się ojciec twój ze swojej opinii, bo klasycy tylko na wzór i *magister dixit* czekają.

„...Nie pozwalając dążyć za natchnieniem, każą je zatrzymywać, i gdy przyjdzie jaki obraz lub gorące uczucie, poszukać pierwój po starych autorach, czy tak u nich było, a dobrze ostygnąwszy, rozsądnie dopiero maszerować na przód. Tak to niejeden klasyk czyni:

„Zawsze się wprzód w swojej zapytuje pracy,
Czy tak myślał Boalo? czy tak czuł Horacy?
I tak zawsze swą podróż kończy bezskutecznie,
Bo cóż taki ujedzie, co się wraca wiecznie?

„Ty, co nie lubisz *ultra* w polityce, jak możesz jego przesadę i śmieszność w poezji znosić? Nie znudzą cię te wieczne nicowania Wirgila i Horacego, jakby kapelusz Gellert'a? Jak młodość twoja zgodzić się może z tymi poetami *letniego natchnienia*?

„...Przysłał mi twój ojciec wiersze; nietylko rozum, poezję, ale i szkapę już nawet od Greków wywodzi; i potem gada o dziwaczności romantyzmu! Nie uwierzysz jak parsknąłem ze śmiechu, widząc tych biednych Danajów przyczepionych do naszych: *konia!* i *ruszaj!* Mój Boże! co też to pięknych rzeczy o polskim koniu można było powiedzieć!”

W ogóle Morawski niekiedy bardzo trafnie uniał stać w obronie nowych wyobrażeń w poezji i literaturze, ale sąd jego zwykle szwankował przy ocenieniu plodów Mickiewicza; widocznie obawiał się łajań Koźmiana, szderstw Osińskiego, i ztąd rzucał się najczęściej na gminne wyrażenia, grammatyczne błędy, niejasność, niezrozumiałość i tym podobne kategorie krytycznego arsenału klasyków.

Wiadomo, że Brodziński napisał był rozprawę o klasyczności i romantyczności; nie musiała ona przypaść do smaku Koźmianowi (ojcu), kiedy Morawski w tych słowach wykladał mu jej znaczenie: „Zapytujesz mię o rozprawę Brodzińskiego. Ile pomnać mogę, nie zgadzałem się z nim w wielu miejscach, ale też w wielu jednego z nim byłem zdania. Przypomnij sobie, że on o dążeniu moralnem poezji mówi; inaczej byłaby ona tylko świetną myśli i słów

igraszką, a nie językiem bogów. W Wirgilim zaś niewszystkie *Bukoliki* tak piękny cel mają, jak pierwsze; są zapewne takie, którychbyś nie dał na naukę dla młodzieży, jak up. drugą i tę, gdzie nieszczęśliwy pasterz skarży się na szal swęj kochanki latającej za buhajem. Nie mów się tu o pięknościach poetycznych Wirgilego, gdyż te zawsze wzorem dla wieków zostaną, o cel moralny idzie tu jedynie, którego nam zaniechać niewolno. Ale powiesz mi: cóż tam może być moralnego, gdzie dwóch śpiewa swoją miłość, lub gdzie samą piękność natury i wiejskie malujemy sceny? I owszem. Poeta, co miłość samą obrał za przedmiot sielanki, do czystszych uczuć skłaniać nas powinien; ten zaś, co piękność przyrodzenia i życie wieśniacze maluje, powinien nas miłym ich obrazem zwracać do cichego szczęścia prostoty; tam zaś, gdzie niedole tylko stanu wiejskiego wystawiać mu przychodzi, winien pociechą sumienia wywyższać go nad losy, i w tej niedoli nawet szczęśliwszym go jeszcze wystawić niż tryumfującą podłość, zbytek i dumę. Znaliż starożytni tę piękną nadzieję wieczności, która nam najnieszczęśliwsze rozjaśnia życie? rozwinęliż w swoich duszach to przecucie nieśmiertelności, które silnie w naszych przemawia? byłaż u nich nauka podobna chrystyanizmowi, któraby w niezgojone ich rany lała pokój cnoty, i łagodząc boleści duszy, zgadzała, oswajała ją z nieszczęściem? Olbrzymie charaktery, nadludzkie czyny, świetne rozpaczę znamionowały starożytnych; świat ich był może świetniejszym blaskiem poezyi okryty; ale prawdziwe cnoty moralne, w takim znaczeniu, jakie ja im daję, nie mogły być celem i pociechą ich życia. Tam się przesilała natura. tu w swoim zawodzie zostaje; tam człowiek chcąc zostać wielkim, musiał się przedzierać w sferę półbogów; tu, w dopełnieniu swego ziemskiego przeznaczenia, widzi swą wielkość moralną. Jeżeli więc taka jest różnica między ich życiem a naszym, musi też sama różnica ich poezyę od naszej odznaczać; cel jednej musi być moralniejszy od celu drugiej.

„Przytoczysz mi zapewne na zabicie mego rozumowania mnóstwo maksym i ksiąg moralnych z wieku Rzymian i Greków. Są one plodem najznakomitszym rozwagi i do-

świadczenia ludzkiego; są one, że tak powiem, wielką kartą konstytucyjną stanowiącą porządek towarzyskiego życia, zabezpieczającą wartość i szczęście człowieka. Ależ jaka jej podstawa, jakie zaręczenie? Dzieło samój tylko rozważi i doświadczenia, wtenczas dopiero każdego przekonawa, kiedy ktoś wielkie jego prawdy własną rozważą i doświadczeniem stwierdził. Jestże to dostateczne? Powtóre, jakaż pewność, że te wielkie prawdy przecisną się do wszystkich klass ludzi i przekonają ich? Jakiż tam bowiem interes nagli każdego człowieka w szczególności do dowiedzenia się o nich i wykształcenia niemi swego umysłu i serca? Jest niewzruszona ich podstawa i zaręczenie wieczystego ich trwania, a tём jest nadanie im świętości religijnej. Wielki interes wieczności wszystkich powoła do zaznajomienia się z niemi, i zmusi do pełnienia ich przepisów. Ta więc tylko moralność, której źródłem jest religia, upowszechnić się może, przekonać wszystkich i trwać wieczyście. Tu cię chciałem doprowadzić, mniej bacząc na to, czy żartować będziesz z mego kapucynizmu.

„Takie zawsze miałem przekonanie, a teraz mocniej jeszcze je czuję. Wreszcie nie nazwiesz mię fanatykiem, gdy wiesz, co o takich monstrach myślę.”

Powyższy ustęp, choć dzisiaj wydaje się mdłym i ciemnym z powodu niewyrobitego wówczas języka do pojęć filozoficznych i estetycznych, jednakowoż odkrywa w Morawskim te wyższe punkta, z których zapatrywał się na poezję. Człowiek pełen uczucia i wiary, żądał czegoś więcej od poezyi niż naśladownictwa i starożytnego politeizmu.

„Przychodzę teraz — pisze dalej w tymże liście — do artykułu, na który Osieński zwłaszcza nigdy zezwolić nie chce, to jest do potrzeby unarodowienia poezyi. Przesadza zapewne Brodziński, jeżeli, jak mówisz, Szymonowicza za wzór nam daje. Pomimo wielkiego uszanowania dla starożytnych ojców naszej poezyi, widzę w nim słabego malarza swego wieku, a bladego kopistę dawnych. Ale przypuśćmy, że ktoś ze zdolnością Wirgilego lub Teokryta zdołałby nam odmalować życie naszych wieśniaków, ich obyczaje, troski, nieszczęścia, pociechy — silniejby on przemówił do twego serca niż pisarz rzymski, miliejby cię za-

jął, boby to wystawił, na co patrzałeś i co dzieliłeś może. Któraż ekloga Wirgiliusza najpiękniejszą zdaje się Polakowi? któraż nawet przez wszystkich najlepiej przekładana była? Ta, co mówi o wygnaniu z ojezyny. Ani Gray, ani Karpiński nie mieli zapewne doskonałości starożytnych, przecież pierwszego Elegię o *Cmentarzu*, drugiego *Powrot na wieś*, z większém roztkliwieniem czytam niż wiele sielanek i elegij starożytnych; bo to są przedmioty bliższe mego serca, sposobu życia, moich losów i przekonania religijnego. Tyle to wiek, ziemia i wyobrażenia, w których żyjemy, nadaje uroku poezyi! Przykleknę przed doskonałością *Georgik* łacińskich, ale przycisnę do serca twoje *Ziemiaństwo*. Przeczytaj ludowi polskiemu najpiękniejszą odę Horacego, a po niej odę o zdobyciu Zamościa, lub wiersz o Koperniku—któraż z tych poezyj silniejszy ogień w piersiach rozbudzi? która lepiej celu swojego dosięże?

Ale wróćmy do sielanek. Nie samych tylko brudnych i pijanych Maćków w naszych chłopach widzieć nam należy. Mniej więc wszędzie ludzie ludźmi byli. Wreszcie jeżeli August poetów i August historyi tak różni byli od siebie, może i pasterze złotego wieku dalecy bardzo byli od tego obrazu, w jakim ich nam wystawiają. Czyż to wesołe dożynki naszych chłopków, zaślubienie pięknej wieśniaczki, rozstanie się rodziców i kochanki z synem, którego na kanton biorą, i jeszcze do obcego wojska, niwa odłogiem leżąca po zmarłym rolniku, ciche życie plebana wiejskiego, i te pociechy religijne, które niesie wieśniakom uciśnionym przez wojnę lub złych panów, a wreszcie życie naszych górali, i tym podobne przedmioty—nie są zdadne do poezyi? Czyż to wszystko piórem mistrzowskiem oddane, nie więcéj zajmie serce, niż owe Fauny, Sylwany, Tyrsyty i Filidy? Wołajmy o zwrot swobody dla chłopów, ale też potem i ubarwiajmy ich życie, aby im miłsze było, bo któż bardziej go potrzebuje niż nieszczęśliwi? Nie gardźmy więc ich obyczajami, troskami, pociechami; pieśni ich nawet i dmy żałosne, których tak wiele już na Podolu, Ukrainie i w Krakowskiém odkryła poezya, wpłatajmy w rymy sielskie, aby tém większą prawdę ich obrazom nadać. Niemcy więc takie bogactwa w piosnkach ludu litewskiego

znaleźli, a my ich znać nie chcemy! Pókiż ta nieczułość w sercach panów trwać będzie, że nawet i marzenia wieśniacze potępiają, jako niegodne znajomości ucywilizowanego człowieka? Do pisarza *Ziemiaństwa* polskiego należy przełamać ten przesąd tak zgubny i antypoetyczny, i w tym nawet względzie podnieść wartość wieśniaka.

„Masz więc list żądany ode mnie; czytaj, śmiej się, żartuj, rozgłaszaj moje dziwotworne rozumowania, ale pamiętaj, że w szczupłych listu granicach niemożna wszystkiego wyłożyć...”

Nie słuszniejszego; to też istota rzeczy ledwo po wierchu dotknięta, w ogólnikach zawarta i niedość elementarnie wyłożona, nie przeciągnęła zapewne hołdującego ścisłym regułom formy klasyka.

Lecz czas już od tych ogólnych uwag, udzielanych sobie o kwestyi romantyzmu, przejść do szczegółowych, nastęrczanych nowowychodzącemi płodami.

Sonety Mickiewicza wydane w Moskwie padły jak bomba na bruk warszawski i ożywiły mdlejącą już walkę.

Kajetan Koźmian w liście z marca 1827 takie uwagi przesyła Morawskiemu:

„Czego też już nie dokazują romantycy! czego nie piszą! Utworzyli sobie teraz jakiś młyn wietrzny, i jak Don-Quixoty wszędzie ogłaszają, że ich zazdrość napastuje. Godziłoby się wydrukować im i przypomnieć bajkę Niemcewicza *Niedźwiedź, Małpa i Świnia*. Dmochowski zrobił na nich bajkę pod tytułem *Stary i Młody*, wystawiając, że mimo przestróg starego, młody widząc, jak osieł pędzony przez muchy przesadzał rowy, rozumiał, że to arabski rumak i t. d. Sonety Mickiewicza najlepiej ozna-
czył Mostowski jednem słowem: *Paskudztwo*. Nie wiem, co w nich można znaleźć dobrego? wszystko bezece, podle, brudne, ciemne; wszystko może krymskie, tureckie, tatarskie, ale nie polskie. To jest sto razy gorsze niż wszystkie Marcinkowskiego płody. Marcinkowski jest płaski i wierszokleta prawdziwy; Mickiewicz jest półgłówek wypuszczony ze szpitala szalonych, który, na przekór dobremu smakowi i rozsądkowi, gmatwaniną słów niepojętego języka, niepojęte i dzikie pomysły baje; Marcinkowski jest tylko głupi, Mickiewicz szalony; Marcinkowski pisać nie

powinien; Mickiewicz myśleć nie umie; Marcinkowski w miłośkach jest płaski i ekliwy prostak; Mickiewicz brudny, karczemny; Marcinkowskiego imaginację ciężką i tępą rozkołysały w niesforność Dziedzille lubelskie; Mickiewicza niesforny zapal rozdmuchały brudne litewskie pomywaczki; Marcinkowski nie wie, że jest prostakiem i nieukiem; Mickiewicz z pychą i dumą przekonany, że szaleństwo jest poezją, brudy farbami, ciemność światłem, niezrozumiałość doskonałością. Czekam cię, abyś mi chociaż jeden jego pomysł, jeden obraz usprawiedliwił. *Eris mihi magnus Apollo...* Wyłączam z tego wiersz pod tytułem: *Wieczór*, w którym może się rozum czegoś domacać. Litwini tak są przejęci sławą swego smorgońskiego poety, że zarzucili wszystkie domy temi *Sonetami*. Waleryan Krasiński pędem roznosi je wszędzie.⁷ (*)

Do powyższego listu syn Andrzej taki dołożył przypisek: „Ja dzisiaj elegantkom warszawskim czytam wyjątki z *Ziemiaństwa* u księżny Michałowej (Radziwiłłowej); dobrze, żeby czasem coś dobrego usłyszały, żeby z *Sonetami* porównanie zrobiły; lecz te głupie *Sonetety* nawet im się nie podobają.⁷

Pokazuje się tu najdowodniej, że *Ziemiaństwo* (choć jeszcze niedokończone) miało służyć na odparcie wpływu utworów Mickiewicza. Czytywano je też kawałkami na publicznych posiedzeniach Towarzystwa Przyjaciół Nauk, czytywano wszędzie, gdzie się zbierał świat elegancki. Najczęściej Osieński, sławny deklamator, popisywał się wygla-

(*) Gwałtownej tej wycieczki przeciw Mickiewiczowi nie należy brać za niewzruszone przekonanie Koźmiana, za jego wyznanie wiary. List pisany był pod wrażeniem, i dla tego charakteryzuje wrażenia owę chwilę, nie zaś zdanie, jakie później sobie wyrobił, gdy autor *Pana Tadeusza* przemówił potężnym głosem ojczystych wspomnień i obrazów do jego polskiej duszy. Owe właśnie i aprzedzenia do romantyków nastąpiły miejsca późniejszemu szacunkowi dla narodowych poetów. Mickiewicz przesyłał życzliwe słowa staremu Koźmianowi, a między autorem *Felicyty* a śpiewakiem *Czarneckiego* zawiązała się korespondencya, świadcząca o zapomnieniu dawnych uraz, o porzuceniu uprzedzeń.

szaniem tych świetnych i efektowych wierszy, które zyskiwały oklask, lecz nie zostawiały trwałego wrażenia.

W innym liście Andrzej Koźmian tak się jeszcze odzywa o sonetach: „Cóż to są te *Sonet*y Mickiewicza, za którymi szaleje Morozewicz i tłumaczy już po francuzku i angielsku? Lecz ja je dopiero po francuzku rozumiem, i dla tego namawiam Morozewicza, żeby dał tytuł: Tłumaczenie *Sonetów* M. na język francuzki, dla Polaków.”

Po wyroku tak stanowczym, ferowanym przez powagi warszawskiego Parnasu, Morawski, jakby z tropu zbity, chcąc nie chcąc zgadza się na ich zdanie, wszakże robi pewne zastrzeżenia i przyznaje, że Mickiewicz, mimo swoich śmieszności, jest poetą. „Szkoda — pisze on do Andrzeja Koźmiana — że M. nie żyje w stolicy; gdyby sztukę dołączył do talentu, byłby powszechniej i bez różnicy ceniony. Uważać go trzeba za dziecie natury, zrodzone z darem poezyi, gdzieś tam w borach litewskich wyhodowane, bez form, ogłady, i zupełnie obce wszelkiej sztuce. Bywają takie zjawiska i po innych narodach, lecz takich głupców jak u nas nie bywa, aby takie dzieła brali za wzór do naśladowania, i to nie dla pięknych miejsc, ale dla śmiałych niedoręczności. Gdyby tylko sam Mickiewicz tak pisał, przebaczylibyśmy jego muzie i zapewne nie przeczyli jej zalet należnych; ale że tyle niedołęжных stworzyła naśladowców, dla tego tak krzyczymy na nią i piorunujemy na ten rodzaj, jakby na nową szkołę.

„... Cóż to za okropny list przeciw Mickiewiczowi napisał twój ojciec do mnie! Cała wściekłość klasyczna nieby większego nie zdołała. Ja przecież powtarzam zimno: *In medio virtus*. Utrzymywać, że Mickiewicz niższy od Marcinkowskiego, nie przystało na Koźmiana... Mostowskiego zdanie nie nie znaczy względem Mickiewicza, bo Mostowski Francuz, a więc tylko lub raczej najbardziej *stylista*, a to właśnie jest tak złém w Mickiewiczu jak w nikim. Jeżeli jednak głębokie czucia i wielkie obrazy stanowią poetę, styl zewnętrzny tylko jest poezyi ozdobę, to są pewne zalety, których Mickiewiczowi odmówić nie można, pomimo największych co do języka i gustu niedoręczności. Otoż — powie twój ojciec — Morawski chwali! Otoż

nie chwale, bom się biedził, nimem zrozumiał; bom stokroć plunął, gniewał się i do dyabła całe pismo rzucał; nakoniec zawsze mówię, że głupcy tylko mogą takie poezye na wzór młodym wystawiać; przecież wyznaję, że mam Mickiewicza za poetę; są nawet wiersze godne największych poetów, lecz naturalnie, te perły tak są obryzgane błotem, iż ledwie ich dostrzedz można. Niech jednak twój ojciec nie żąda ode mnie, abym mu tłómaczył, rozkładał piękności *Sonetów*; nigdy tego nie uczynię, bo poezya nie jest stworzona do operacyj anatomicznych. Chce ona jak religia i miłość sądzoną być samem uczuciem. Zresztą, niewszyscy jedną piękność kochają, niewszyscy w jedno wierzą; może to przyczyną, że zakochaniec Tyburu zimny na dzikie Krymu piękności. Ale co najgorsza! i co twego ojca i romantyków rozgniewa, to jest, iż znajduję, iż w tych właśnie *Sonetach* Mickiewicz zwrócił się na drogę klassyczności. Chcecie, bym tego dowiódł? Będę się starał. Najprzód zaczynam od tego, że styl i egzekucyę (które nie są poezyą, lecz jej szatą) zupełnie wam daruję. Lecz gdy najprzód zwrócę oko na formę, widzę ją używaną przez klassycznego Włoch pisarza i przepisaną przez Boala. Kiedy znowu zważę, co nazywamy romantycznym charakterem myśli i uczuć, nie widzę wcale, aby miał się przebijać w *Sonetach* M. Gdy nam obraz gór wystawia, zadziwia go tylko ich niezmierzona wysokość i nasza przy niej znikomość. Gdy wstępuje na stopy nieprzejrane, i ginie w tym cichym, pustym i bezludnym oceanie, przypomina mu się w tej rozległej samotności jego własna ojczyzna; wszystkoby dał, aby choć jednego z niej głosu mógł dosłyszeć. Cóż jest tu w tém bardziej romantycznego niż klassycznego? Gdy wreszcie z kochanką o swych czuciach mówi, częściej idzie za zmysłowością starożytnych niż marzącą nowożytnych miłością. Tysiąc mógłbym podać dowodów, że sonety Mickiewicza oznaczają jego przejście od romantyzmu do klassyczności; ale że to obraża dwie strony tak zaciekle, więc milczeć wolę. Dla ciebie to tylko dodam: jakże nie mogłeś czuć piękności tego obrazu, gdzie mówi o zburzonych murach świątyni:

Gdzie już Bóg nie chce mieszkać, a ludzie nie śmieją?

Lub ten:

Nie będę błagał mojej przebaczenia zbrodni,
Tylko niech mię Bóg twoją zgryzotą nie karze.

Lub ten:

Młody bluszczu, zielone obwijaj topole,
Zostaw cierniom grobowe otaczać kolumny.

Lub nareszcie ten wiersz godny Byron'a, gdy mówi o morzu:

W jego szumach gra światło, jak w oczach tygrysa.

„Wiem ja, że właśnie-te wiersze, dla tego, że je chwale (bo cóż wolno tam chwalić, gdzie wszystko głupiem nazywają?) najbardziej będą wyszydzane. Ale cóż mi to szkodzi! wy macie wasze zdanie, a ja moje; nie wdawajmyż się więc próżno w kłótnie drażniące, bo każdy nakoniec jeszcze uporniej zostanie przy swojej myśli. Niech się na tem skończy; nie mam bowiem ochoty odcinać się drwinkom Osińskiego, którego naturalnie każdy wiersz oryginalny drażnić i alarmować musi. Wszakże on nawet i tłómaczeniom, któreby się do jego przekładów zbliżyć mogły, nie lubi przebaczać, półgębkiem chwali, a czyha tylko na słabości lub błędy. Sam wiesz z doświadczenia, że radom jego wierzyć niemożna; co wczoraj sam radził, to dziś potępia. Są wiersze, o których, mając trochę czucia poetycznego, można mieć jasne przekonanie, że są najlepsze z całego przekładu; u mnie najczęściej takie zaczepiał; czemu? łatwo się domyslić. Chce być sam! Nie myśl więc, bym tyle miał nierozwagi, abym przed nim czytał *Andromakę*; woleę, że dla tego człowieka mniej dobrą będzie. Będę ją czytał twemu ojcu, tobie, wszystkim, ale nigdy jemu. Co poganicie lub pochwalicie, to szczerze. Zresztą, nie wiem czemu jest tak nieprzebaczący; wszakże i w jego wzorowych przekładach są okropne błędy, słabości i non-sensa; a zwłaszcza głos czucia niebardzo wzruszający.

Gdybyśmy tylko, tak jak on, wybierali pojedyncze wiersze i równali z oryginałem, gdyby wreszcie wydrukował, możeby się także немало plam pokazało. Dał on mi niegdyś pierwszy akt *Cyda* do poprawy, już wydrukowany (było to w r. 1817); szczerze się z nim obchodząc, musiałem bardzo wiele i może do stu miejsc w jednym akcie podkreślić; schował go, i już odtąd nie drukował. Niepodobna, aby to wspomnienie nie drażniło jego miłości własnej, choć wtenczas zdawał mi się najszczerzej dziękować. Tę całą tyradę *a homine* zostaw *tibi soli*."

Jak już napomknąłem wyżej, trwoga przed ucinkami Osińskiego terroryzowała w Morawskim odzywające się uczucie poetyczne, mieszała trafny sąd. Czuł on urok i potęgę poezyj Adama, a mimo tego zawsze bił czołem przed stylem i egzekucją Osińskiego i Koźmiana. Już ten list pokazuje, jak drży na wspomnienie o Osińskim. W innym liście jeszcze dobitniej to wyraża:

"Miałeś mi napisać list dwuarkuszowy (pisze do Andrzeja Koźmiana); przeszkodziła ci lekcya Osińskiego, który tam zapewne potężnie drwił z Schiller'a, jak to zwykle czyni. Niech szydzi.

"Żadna złość już tak wielkiej chwały nie umniejszy. Szydził z Tassa Boalo, a kto z nich sławniejszy?"

"Z tém wszystkiém, kiedy wspomnę na mój przekład *Andromaki*, drwinki jego obchodzić mię zaczynają. Niech wszyscy drwią, byle nie on; w nim pokładam nadzieję, że gdy drudzy drwić będą, on bronić zacznie:

Ten, co rozhukanemu głupstwu tamę kładzie,
Potrafi wrogom moim stanąć na zawadzie;
Z pokorą świętą jego trzymając się drogi,
Boję się Osińskiego, inną nie znam trwogi.

"Zdziwisz się, że z *Atalii* cytuję; ale jakże, kiedy ję mam pełno i w głowie, i w uszach, i we włosach nawet. Stary Gawdzicki ośm dni—ośm dni! wciąż tu siedzi od rana do wieczora, i każe mi poprawiać swoje tłómaczenie. Chcąc się go pozbyć z ręcznie i otworzyć mu oczy, zrobiłem

mu w różnych miejscach ze 130 wierszy. Wiesz co się stało? Oto chce, abym dla równości stylu wszystko tak poprawił. Bóg mię nim nawiedził, jakby jaką chorobą. Cóż czynić? Stary pocziwy, trzeba go ucieszyć, pomódz, byle tylko już nie wracał. Nie wiem, jak się z tego wykręce; chyba wojną turecką."

Co w obozie klassycznym było budującym, to solidarność między autorami. Wprawdzie nie przeszkadzało to, żeby Osiński nie dowcipował ze swoich kolegów, Morawski, żeby znowu nie odsłaniał słabych stron Osińskiego; ale taka była ich natura, że nadewszystko lubili nietyle unosić się nad pięknosciami, ile myszkować na usterki stylu. Solidarność, o której wspomniałem, zasadzała się na wzajemnem pomaganiu sobie w kuciu wierszy. Morawski w jednym liście wspomina, że Osińskiemu pomógł, kiedy ten biedził się z wytłómaczeniem sławnego Kornelowskiego słowa w Cydzie: *Rodrigue, as-tu du coeur?*— Młody Koźmian posyła mu jakąś elegię tłómaczoną z francuzkiego, którą Morawski szlifuje; nawzajem tenże prosi go, żeby mu przetłómaczył choćby ze sto razy dwa wiersze z Andromaki. Widzieliśmy, jak Gawdzickiemu pomagał, żeby klasykom wstydu nie zrobił. Stary Koźmian posyła mu kawałkami swoje *Ziemiaństwo*, i odbiera długie uwagi, poprawki, pokreślenia; że zaś utwór ten miał doskonałością swoją spiorunować romantyków, Morawski co chwila podsuwa mu poetyczne pomysły, za które rzeczywiście można było być wdzięcznym. W jednem miejscu tak się wyraża: „Dziś robię uwagi na drugą pieśnią *Ziemiaństwa*; ledwie kilka wierszy znajduję do odcięcia. Równa pierwszjej. W trzeciiej już mniej interesu poetycznego, i dla tego trzeba było koniecznie epizodu Bohdana. Ten epizod i pożar pieśń tę ratują jedynie, która przecież równie sztuczną jest jak pierwsza. Zawsze jednak w czytaniu najmniej zajmie, boś odstąpił w niej od ducha całego poematu, to jest, mówiąc o lasach, nie rzucasz na nie żadnego uroku narodowości, a przynajmniej mało. Pieśń ta w każdym kraju może być przyswojoną i t. d."

Jak zaś uwagi swych przyjaciół przyjmował autor, można się z tego ustępu Koźmianowego listu przekonać:

„Mostowski (*) tak początek jak koniec mego *Ziemianstwa* ze smakiem przeczytał; szczególniej mu się podobało: Opisanie chorób, Susza, Powietrze, Jałówka i Buchaj. Nad niektórymi tylko wyrażeniami porobił krzyżyki. Nie podobał mu się wiersz:

„W wyschłych gardłach języki gorą spieką srogą.

i drugi:

... „pod topór siepacza.

„A że na to i Osiński się zgodził, więc potrzeba poprawić...”

Pokazuje się, że mimo zasady o powadze, poddawano się głosowaniu, zwłaszcza jeżeli do głosowania wmieszał się Osiński, którego Koźmian miał także za wyrocznie ostatecznego sądu, i zawsze bronił przeciw sarkazmom i oskarżeniom Morawskiego i innych.

W liście z 22 grudnia 1827 r. tak pisze (do Morawskiego): „Wylałeś w ostatnim liście żółć swą na Osińskiego, który, wierzaj mi, nietyle na to zasługuje jak się zdaje Fredrze (Maksymilianowi) i Krasińskiemu...”

„Wczoraj zapowiedział nam na obiedzie u Krasińskiego Odyniec, że chwala Mickiewicza od morza Atlantyckiego aż do Araxu się rozchodzi, albowiem tłómaczą jego sonety: Wiazemski w Moskwie, w Petersburgu jakiś znakomity literat i senator, w Londynie dwóch żurnalistów nauczyło się po polsku, żeby mogli ziomkom swoim udzielić płodów tego wielkiego poety, którego już pisma angielskie pierwszym geniuszem i literatem polskim mianują. Cóż można było odpowiedzieć na to? tylko ruszywszy ramionami, oświadczyć, że i my pójdziemy do Stambułu dla nauczzenia się języka Mickiewicza, a nauczywszy się, może będziemy wielbili; teraz trudno chwalić, czego się nie rozumie. Śpie-

(*) Minister Mostowski, niegdyś wydawca klasyków polskich, uchodził za najwyższą wyrocznie dobrego gustu.

wał nam potem Odyńczyk(*) litewskim tonem dwie nowe ballady Mickiewicza, obiedwie o Turkach: jedną o prawowiernym, drugą o renegacie, które nawet mimo chęci drażnienia się ze mną, znalazł Krasiński niedorzeczności. Brodziński ganił, lecz nie bez zgorszenia i indygnacyi Lelwela. Dotąd na zarzuty czynione bredniom naszych młodych wierszokletów, zawsze mówiłeś: Pozwólcie krajowi mieć swoją narodową poezję. — Chciój mi teraz odpowiedzieć, co mają wspólnego z narodową poezją Czatyrdahy i renegaty tureckie? Niemcy w swoich balladach przy najmniej swoich baronów śpiewają, a my Turków, Tataków, Kozaków, i to jeszcze ich nawet własnym językiem. Sto razy ci to powiadałem, że nie mogę zrozumieć tój jednej w tobie sprzeczności: że inaczej piszesz, a czego innego bronisz; czego sobie nie pozwalasz, to w drugich pobłażasz. Niech ciebie tylko naśladowają, niech przez połowę tak dobrze piszą, a troskliwość nasza o literaturę pocieszy się i uspokoi... Nie słyszałem, żeby Osiński bądź w żartach przy stole, bądź na katedrze przy lekcyi w innym duchu mówił. Dla czegoż nie słyszałem go ganiącego twoich pism? Owszem oddaje im sprawiedliwość, a wierzaj mi, mimo skłonności do żartów i satyry, mimo wszystkich drwinek, których sobie dozwala, Osiński w naszym kraju jest najlepszym krytykiem, najwięcej ma pewnego smaku i sądu, i co do mnie, wolę jego satyryczne przyczinki niż wielu pochwały, bo myślę sobie, iż krytyka sprawiedliwa każdemu dziełu pomaga, niesprawiedliwa nie mu nie uwłacza. Brodzińskiego talent nie jest pospolity; praca może go zrobić pożyteczniejszym krajowi niż jest Osiński, lecz nigdy go z nim nie zrówna w geniuszu, poprawności stylu, pomysłach czystych i wyobraźni prawdziwie męzkiej. Nie miěj mię za uprzedzonego przeciw komubądź, lub za

(*) Jeżeli tu z pewnym przykaszem wyrażał się Koźmian o Ant. Edw. Odyńcu, to później wielce umiał go cenić i podnosić piękność jego *Felicyty* i innych utworów. Stosunek listowy zawiązał się potem między litewskim a małopolskim poetą i utrzymał się do zgonu Koźmiana. Nie zapominajmy, że to jest historia literackich wyobrażeń, a nie historia prześladowań i nienawiści stronnictw politycznych.

kimbądź; to jest moje przekonanie. Po dawniejszych pisarzach, Osińskiego tylko i ciebie, a po was Brodzińskiego uznają za dobrych pisarzy, boście się nigdy bredniami nie zdradzili; tyś więc robił, Osiński mniej, ale równie dobrze, a ty sam nawet nie nadałbyś był tyle piękności i poprawności twojej *Andromasze*, gdyby był Osiński tłumaczeniami swemi nie pokazał wzoru. Pogódź się więc z Osińskim, przywieź swoją *Andromakę* i pozwól ją grać przez miłość sławy narodowej. Jeżeli to uczynisz, przyrzekam ci, że ani ja, ani Osiński słowa nie powiemy przeciw romantikom, prócz tej rady: Piszcie jak Morawski!"

Niemalój widać doznał pociechy Koźmian, gdy Morawski znudzony lichymi naśladowcami Mickiewicza, palnął im dowiecipną bajeczkę umieszczoną w gazecie, lecz beziemiennie. Píše też z tego powodu:

"Choćbyś mi się nie wiem jak zapierał, żeś nie ty pisał bajkę: *Kogutek i Gąsięta*, umieszczoną we wczorajszej gazecie, nie wierzę; pozdradzałeś się i wybornemi koncepcjami, i dobrymi wierszami, i nader szczęśliwemi wyrażeniami, zgola cechą twojemu pióru właściwą: *Luba niepewność, czy się sam rozumie? Wiwat kogut oryginal! To to było kukuryku, właśnie dla gąsiąt stworzone!* Wszyscy powiadają, że mogło to wyjść tylko z pod Morawskiego pióra. Zabiłeś na wieki Mickiewicza; odtąd nikt nie chce być gąsięciem. Brodziński i Dmochowski walczyli orężem, a ty maczuga Herkulesa, tą bajką. Zmazaleś winę, żeś niezrozumiany od kobiet w zdaniu, które masz o *Sonetach*, przewracałeś im głowy. Póki masz czarne pukle na głowie, siły Herkulesa, głos Stentora, niebezpieczne są twoje żarty z kobietami; jak się doczekasz siwych jak ja włosów, wolno ci będzie figle z klasykami wyrabiać, a nie będą im szkodziły przy toaletach."

Alarmujący list Kaj. Koźmiana znajduję pod datą 13 lutego 1828 r.:

"Wiesz też, że Dmochowski najohydniej nas zdradził! Powstali przeciwko nam romantycy. *Gazeta Polska* umieściła moją strofkę urywkiem z *Ody na Pokój*: „Jak Arabyskwarem spiekle," dowodząc, że głupia i źle naśladowana z oryginału, cytując Mostowskiego tłumaczenie, jako

jedynie godne oryginału. Sam Mostowski ujął się za moim wierszem: „Wrą pod ich nogami piaski — słońce im silniej dopieka.” Lecz mniejsza o to. Żaba, czyli *Chwila spoczynku**), napisał, że miała wychodzić *Flora*, lecz zmarła. Tak to źle grozić się, a nie nie robić; gorzej głupców do konfideneyi przypuszczać. Czekamy ciebie, żeby coś uradzić, bo nigdy głupszymi, nigdy zuchwalszymi nie byli literaci i Krzemieńczanie niż teraz. Od twego wyjazdu nie nowego nie zaszło, prócz że ze składu Tow. Przyj. Nauk. skonfiskowano dzieła Staszica. Niemcewicz tём zgryziony, lecz przeszkodzić trudno było, skoro w naszym łonie mamy Benonów; łatwo zgadniesz, kto jest na ich czele. Jak żyć, z kim żyć, komu ufać? Bóg tylko wie.”

Czémże zawinił Dmochowski klasykom, że go tak potępili? Zdaje się, o ile mogłem dojść z różnych natrąceń, że pozazdrościł Morawskiemu jego tłumaczenia *Andromachy*, które Osiński mając wystawić w teatrze, czytywał na różnych zebraniach, i zbierał dla tłumacza głosy pochwalne, uwłaczające tём samém tłumaczeniu tём samej tragedyi przez Dmochowskiego. Na reprezentacyi więc tём sztuki, jak pisze Andrzej Koźmian:

„Dmochowski ciągle hałasował, śmiał się, krytykował, ażeby psuć efekt. Co zaś do epigrammatów jego, te są pełne żółci i jadu; gdy jednak chce generał, przesyłam ten, który mię doszedł:

Wiele pisarze dzielą między siebie prace:

Znać w *Rzekach*(**) Morawskiego, Jaxę w *Andromace*.

„Dmochowski codzién bywa teraz tam, gdzie my nie bywamy; *il est nommé l'historiographe de la maison*.”

(*) Pisemko peryodyczne pod tytułem: *Chwila spoczynku*, wydawał Żaba. Najwięcej do redakcyi tego pisma należało ze szkoły podchorążych.

(**) Marcinkowski napisał poemat *Rzeki*, do którego Morawski dodawał conceptów, wystawiających go na śmieszność. Epigram Dmochowskiego, więcej złośliwy niż sprawiedliwy, odsłaniał jednak tę stronę w obozie klasyków, że jeden drugiemu pomagał w robocie gładzenia i rymowania.

Dmochowski, póki trzymał się klasyków, póty był w łaskach. Kajetan Koźmian tak się w dawniejszym liście o nim wyraził: „Ten chłopiec ma talenta, lecz jeszcze nie ma sądu. Do naszego projektu łączy się i chce pomagać piórem i drukiem. Witwickiego balladę przecież wyćwiczył w swojej gazecie. Wszyscy w tém piśmie figurujemy, lecz niewszyscy stosownie.”

Nadechodził moment, w którym nowy wypadek miał sprawić ogromne zamieszanie w świecie literackim. Wszystkie te niespodzianki zwykle sprawiał Mickiewicz. Natchnienie jego zdawało się coraz potęgnić w mrozie podbiegunowym, fantazyja okradać z blasków i barw zorzę borealną, bo każde zjawienie się utworu jego w Warszawie szalony entuzjazm budziło w młodzieży, co widząc poważni klasycy, zachodzili w głowę, i nie mogąc sobie wytłómaczyć czarodziejstwa poezyi, przypuszczali już, że to jakaś skryta kabała lub spisek. Osiński sam się z tém w końcu odezwał: „Ponieważ ci młodzi gadają innym językiem i czegoś chcą, czego my nie rozumiemy, musi to więc być rodzaj massonii między nimi.”

Wallenrod wyszedł już był w Petersburgu, lecz do Warszawy jeszcze się nie dostał; tymczasem list pisany z Petersburga donosił, że Mickiewicz całą tragedję improwizował na pewnym wieczorze. Andrzej Koźmian pod datą 1-go marca 1828 r. tak o tém donosi Morawskiemu:

„W zeszły czwartek byliśmy na obiedzie literackim u generała Krasińskiego. Cóż to codziennych poetów przybywa! Wszak to i pocciwy nasz antykwaryusz Lelewel miesza się do poezyi i do dobrego smaku, on, który, jak Osiński powiada, nawet chustki nie umie sobie dobrze zawiązać. Obiad cały szedł dobrze, ale po obiedzie wpadł Lelewel z listem z Petersburga, pisanym o Mickiewiczu, w którym mu donoszono, że ten geniusz całą tragedję już improwizuje, że w téj chwili jest jakby duchem bożym natchniony, że gdy improwizował coś o Lwie Sapieżu, terazniejszy Leon Sapieha zemdłał, a Łęski i Jelski ledwie nie zemdleli. Ja myślę, że chyba ich nudzić zaczęło. Dodają w tym liście, że ryją już popiersie z białego marmuru autorowi *Sonetów*, i na koniec, że niech ta jędrza zazdro-

ści warszawska, niech ci starsi literaci wyją i miotają się, już ich sława zaćmiona! Przeczytawszy list taki, Lelewel uciekł, a Odyniec zaczął podnosić każdy wyraz jego. Krasieński według swego zwyczaju judził, a ztąd wielka a nawet nieprzystojna zaczęła się kłótnia. Wartoż to, aby mój ojciec i Osiński tak się zapalali na tych biedaków! I toż to mają być obiady literackie?

Takiż to Parnas, o nieba!
 Gdzie literaci wybrani,
 Jakich trzeba i nie trzeba,
 Gdzie Osińscy pomieszani
 Pośród balladowej dziczy,
 I gdzie bardziej przewodniczy
 Duch Momusa niżli Feba;
 Gdzie Lelewel, chudy, blady,
 Czysty upiór do ballady,
 Po pięknem poezji państwie
 I burmistrzuje, i radzi.
 Gdzie Korwin (*) o wszystkiem sądzi,
 A Gosławski o *Ziemiaństwie*!

„Krasieński, który daje obiady, pasował na poetów i Gosławskich, i innych, i za nimi głośno trzyma.

I kiedy takie chrzciny nie kosztują wiele,
 Można więc sobie pozwolić ich jeszcze.
 Można Odyńce, można Lelewele,
 Równie przerabiać na wieszcze.

„W przyszły czwartek jeszcze pójdziemy na obiad, bo Woroniec na uim będzie; lecz jeśli znowu takie same żarty, koncepta i kłótnie, i judzenia trwać mają, mój ojciec przyrzekł sobie, że więcej tam nogą nie stąpi. Osiński już nie drwi na lekcjach z Schiller'a, unosi się teraz nad Racinem i Francuzami. Kiedy jesteśmy w kilku tylko, wyprowadzać się staram Osińskiego na dysputę literacką, aby zbierać materyałów do mojej *Rozmowy* (**), i coraz bardziej

(*) Korwin, Krasieńskiego herb.

(**) Andrzej K. zbierał materyały do napisania *Rozmowy*, w której miał przedstawić zdania obu literackich obozów i scharakteryzować piszących.

się przekonywam, że on jest bardziej Francuzem niż wielbicielem starożytnych. Brodzińskiego coraz bardziej poważam; mało mówi, ale z tego co powie, można się czegoś nauczyć. I tego to człowieka nazywano romantykiem i mieszano z Witwickim!”

Najważniejszym przedmiotem tego listu jest improwizacja Mickiewicza; dziwnie odbija się ona na tle tej literackiej kłótni, która gruchała po kraju. Morawski zaraz zapytywał z Radomia, gdzie stał z brygadą, czy to prawda, że u Opinogórskiego mecenasa (*) na obiedzie Odyńce wyzwał na pojedynek Osińskiego? Dzienniki, ile sobie przypominam, podały ów list z Petersburga opisujący festyn literacko-artystyczny, na którym Mickiewicz improwizował tragedję, Orłowski improwizował olówkiem sceny do *Wallenroda*, a znakomita pianistka pani Szymanowska improwizowała na fortepianie. Były to wszystko nadzwyczajności, które odbierały sen marszałkom konfederacyi klassycznej, a romantyków wprawiały w szal ekstazy. Ci pierwsi, żeby paraliżować wrażenie, nazywali improwizacyę szarlataneryą i drwili z mdlejącego Mickiewicza i z mdlejących słuchaczy. Kajetan Koźmian pisze tonem ubolewającego politowania: „Sprawiedliwie zemdłał, słysząc improwizacyę jego, książę Leon Sapieha, bo zapewne byłby zemdłał przodek jego Lew Sapieha na tak szalone wyobrażenia o uczuciach Litwinów.” Morawski, o którego uszy odbijały się te wiadomości dolatujące ze stolicy, odpowiada Koźmianowi: „A to awantura z tą improwizacyą Mickiewicza, jeżeli prawda, że tragedia ta już dawno w kilkunastu scenach jest gotowa i że tam dopiero omdlał zręcznie, gdzie już zabrakło rękopismu sztuki? Ale podobnaż wierzyć takiemu kuglarstwu? Nie wierzę w tak długie improwizacye po polsku; ale też nie wierzę i w szarlataneryę podobną.”

Przyznam się, że lubo w swoim czasie improwizacja ta narobiła ogromnego hałasu, jednakowoż prócz krótkiej relacji w *Gazecie Polskiej* nigdzie nie znalazłem obszerniejszego jęj opisu. Ile sobie przypominam, przedmiotem

*) U generała Krasińskiego, właściciela dóbr Opinogóry.

tragedyi był podobno Samuel Zborowski, lecz jak z listów obu Koźmianów pokazuje się, musiał być jakiś przedmiot z późniejszej historyi, kiedy do niego wchodził Lew Sapieha(*).

Najlepiejby o tym wieczorze mógł opowiedzieć hr. Henryk Rzewuski; on bowiem wyprawił ten wieczór, a jako gospodarz zapewne niepośledni brał udział w tym popisie talentów, w którym jego opowiadania o panu Soplicy zwiastowały nowy żywioł w literaturze... W każdym razie było coś upokarzającego dla warszawskich luminarzów, kiedy z nad mroźnej Newy pociągał wiatr taki ciepły, taki wonny, jakby zabrał w siebie wszystkie promienie południowego słońca, wszystkie wonie Italii. Nie poddając się wrażeniu, woleli je ostudzić ironią i zaprzeczeniem. Jeden tylko Morawski nie przypuszczał szarlatanii i nie pomylił się.

Wkrótce za wiadomością o tym festynie improwizatorów, zjawił się, jak czarny rycerz ze spuszczoną przyłbicą — *Wallenrod*.

Posłuchajcie, jakie zdania referuje o nim klasyczny Sanhedryn.

Andrzej Koźmian pod d. 29 marca 1828 r. tak pisze do Morawskiego:

„Dzisiaj posyłam *Wallenroda* i czekam pierwszą pocztą na krytykę lub pochwałę jego. Mostowski daje o nim zdanie, że wtenczas podobne romanse wierszem mogłyby się stać szkodliwemi, gdyby się mogły ostać wzorami, czemu zaprzecza. Sam mój ojciec przyznaje, że jest lepiej pisany i że nie jest ogołocony z pięknych wierszy, jednak nie jest wyższy nad *Iliadę*, jak to *Gazeta Polska* za wczasu utrzymywała.

„Czytałem go już całego; wiele jest do powiedzenia przeciw niemu, kiedy go tak okrzyczano. Lecz przyznać należy, że wielki widać postęp w języku, w grammatyce

(*) Treść improwizowanej przez Mickiewicza tragedyi *Zborowski*, wyjętą z pamiętników Mikołaja Malinowskiego, który był świadkiem improwizacyi, ogłosił przed kilku laty W. Korotyński w *Kronice Rodzinnej warszawskiej*.

(Przyp. wyd.)

i stylu. Mniej jest może poezyi, ale też mniej dzikości, mniej szusów, wszędzie jest zrozumiały i jasny, co już bardzo wiele; słowem jednem, jako areydzioło (jak go okrzyczano) bardzo może być krytykowany, ale jak dzieło tylko, może być nawet chwalony. Osiński, któremu wczoraj czytaliśmy wyjątki, powiada tylko:—Z wielkiej chmury mały deszcz.”

Ten sam Andrzej Koźmian w kilkanaście lat później, pisząc biografię literacką Ludwika Osińskiego (*), przypomniał sobie zapewne ten płaski sąd profesora literatury i taką dał nad nim uwagę: „Omylił się, wyrzekłszy to, omylił i pod względem literackim, i pod innymi względami. Ta chmura nie deszcz, lecz pioruny w łonie swym niosła, które prędzej czy później zapalić pożar i zniszczenie rozszerzyć miały. Ta chmura spowodowała nie tylko rewolucję literacką, ale rewolucję w wyobrażeniach, w uczuciach, w charakterze narodowym.”

Kajetan Koźmian zaraz po synu pisze w tejże materii:

„Posłaliśmy ci już *Wallenroda*. Nie będziesz go zapewne admirował: szczególny przedmiot, szczególnym sposobem wybrany. Nikomu nie takiego nie przyszło jeszcze do głowy, wystawiać rymem waryata, pijaka, a dla tém lepszego uświetnienia nadawszy mu, wbrew historyi, postać becznego zdrajcy; zrobić go Litwinem dla dania wyobrażenia, w jak szlachetnym sposobie Litwini kochają ojczyznę. Co się w tych pińskich głowach roi, wszelkie pojęcie przechodzi. Na nieszczęście, to bożyszcze Odyńców, Ordyńców i Lelewelów—Mickiewicz zrozumiały jest w tym dziwotwornym płodzie, niż był w *Balladach* i *Sonetach*. Osiński nawet mówić nie chce o tym przesławnym poemacie.”

Na te listy i na przesłany sobie poemat odpowiada Morawski:

„*Wallenroda* dopiero przed dwiema godzinami dostałem, co więc po pierwszém jego przerzuceniu przyszło mi do głowy, to ci piszę, ale nie bierz tego jeszcze za niecof-

(*) Ludwik Osiński, w Poznaniu 1857.

nioną krytykę, bo *dzieła myśli* nie godzi się z lekkością sądzić i z pierwszego wrażenia stanowić o niém tam śmiało! Każesz, piszę:

„Zdania względem tego poematu nie mogą być tak różne, jak względem *Sonetów*. Mojem rozumieniem, na które ani twój klasyczny ojciec, ani najzagorzalsi nie zgodzą się romantycy, jest to: że gdyby nie *Ballady* Mickiewicza, w których i pomysł, i egzekucya zbliżają się do pewnej dokładności, *Wallenrod* byłby jego celniejszym dziełem. Pomysł *Wallenroda* zdradnej zguby Krzyżaków jest śmiały, poetycki, a może i wielki nawet. Ballada *Alpuhara* nadzwyczaj trafnie wiąże się z akcyą, dodaje jęj żywości dramatycznej, całą posuwa ośnowę i zręcznie oświeca czytelnika o charakterze i zamiarach Konrada. Poświęcenie się Aldony ma swoje piękności, charakter Konrada do końca utrzymany, śmiało i zręcznie utkany z tylu na pozór przeciwnych sobie przymiotów dumy, czułości, wielkości i niskich błędów, choć niepotrzebnie pijaństwem skalany. Można było zasłonić tę plamę historyczną, bez ujęcia żywej prawdy obrazowi. Ale czemuż ta ośnowa, której plan przedstawiał się pocie tak prosty i naturalny, jakby naumyślnie przez niego zamieszana jest nieładem? Nadto nam wiele domyślać się każe w pierwszej połowie dzieła; nazbyt długo zaciemnia rzecz z siebie tak jasną. Chęć bałamucenia czytelnika nadto jest widoczną. Nie tym środkiem zręczny pisarz wzbudza ciekawość. U niego rosnąca tragiczność położzeń coraz żywszym zajmuje interesem: tu zaś przez pół dzieła nie wiem prawie kogo widzę, z kim przestaję? Jakże więc może mnie to obchodzić, czego natychmiast pojąć nie mogę? Można, i należy czasem użyć téj sprężyny, ale trzy osoby zarazem, jakimi są: Konrad, Aldona i Halban, wprowadzać na scenę, i wszystkie tak długo ciemną okrywać powłoką, nazywa się podług mnie — bałamucić niepotrzebnie.

„Trzeba wprawdzie coś zostawić domyślności, ale nie wszystko; trzeba drażnić imaginacyę czytelnika, ale nie mordować jęj zawsze i zawsze tym samym sposobem. Sądzę, że należało przypuścić wcześniej, choć w części czytelnika do tajemnicy; z łatwością bylibyśmy się przenieśli

w miejsce Krzyżaków i wyobrażali sobie dostatecznie ich złudzenie i pewność, w chwili wiszącej nad nimi zguby, jak to się dzieje w czasie śpiewania ballady *Alpuhara*, sceny, podług mnie najlepiej i po mistrzowsku skreślonej.

„Są jeszcze inne błędy, które mnie przy tém pierwszym odcytaniu uderzyły.

„1. Wallenrod byłże, lub nie był Krzyżakiem? Nie widzę tego w wykładzie poematu dość jasno. Chował się wprawdzie u mistrza krzyżackiego, ale nigdzie nie powiedziano, czy wstąpił do zakonu. Jeżeli nie był Krzyżakiem? jakże mu mogli wierzyć, że nim jest, wpuszczać go do zakonu i dawać mu nakoniec stopień w. mistrza? Jeżeli zaś nim był, jak mógł żenić się z Aldoną. Wreszcie ożeniwszy się z nią, jak mógł znowu zostawać Krzyżakiem, jak pogodzić przysięgę krzyżacką z przysięgą żonie? Co tu rzeczy do wyjaśnienia! Nakoniec, przez ileż lat po opuszczeniu Aldony dosługiwał się w zakonie, nim został mistrzem? Jest tam wprawdzie w jednym półwierszu wzmianka, że Aldona dziesięć lat już jest w Malborgu, i z tego dorozumieć się trzeba, że już więcej niż dziesięć lat Konrad jest w zakonie; lecz to półwiersza w inném i dalekiém miejscu rzucone, łatwo przez czytelnika może być mniej uważane, prześlepione, lub zapomniane; bo gdy go czyta, jeszcze nie wie, że te dwa wyrazy: „lat dziesięciu” całą są podstawą podobieństwa do wiary i jedynie do zrozumienia rzeczy doprowadzić mogą.

„Jest to właśnie błąd, jaki w ekspozycjach tragedij francuzkich widzimy, i które Schlegel tak doskonale zgromił. Ale mniejsza o to, pójdziemy dalej.

„2. Co było powodem Witoldowi, że przybywszy łączyć się z Krzyżakami przeciw Litwie, nagle, i to bez żadnego powodu opuszcza znowu tych Krzyżaków w Malborgu i idzie ich zdradzać, i to kiedy?—wtenczas, gdy już Konrad wojnę postanowił, która dla niego taką miała przynieść korzyść.

„Trzeba się czegoś domyslać znowu, ale czego? nie wiem.

„Późno, ale bardzo późno dowiaduję się, bo dopiero przy końcu, że w lesie miewał rozmowy z Konradem,

i że jest zdrajcą podobnym Konradowi. Po cóż stwarzać charakter tak podobny do głównej osoby?

„3. Dowiadujemy się od autora, że Aldona mieszka w narożnej wieży zamku Malborge, a sama dalej mówi, że osiadła w pustelnicznym domku. Gdzież więc jest? tu trochę trudno domyślić się.

„4. Po co, ku jakiej potrzebie, w jakim celu Wallenrod padając otruty, bierze wprzód lampę z okna i rzuca ją o ziemię? Nie widzę ja tu, jak mówię, celu Konrada, tylko trochę zbyt widoczny cel autora, i niezręczne przygotowanie zamierzonego efektu, aby lampa koniecznie padła naostatek przy twarzy konającego Konrada, i oświeciła jego pobielale oczy. Tu jest wielka niezgrabność malarza.

(W manuskrypcie tego listu czwarty punkt jest przekreślony, i ręką autora, który widać pomiarkował się, dołożony dopisek: *Niestuszná krytyka*).

„5. Czemu Aldona taki krzyk wydała, gdy Konrad skonał? Wszakże siedząc w innej wieży, ani tego widzieć, ani też natychmiast wiedzieć nie mogła. Miejsce to oprócz tego jest za nadto naśladowane z *Paryżyny* Byron'a; ale ta słyszała dzwon ogłaszający blizki zgon Hugona; widziała tłumy ludu śpieszącego na miejsce kary; mogła wreszcie widzieć samo jej spełnienie. Mickiewicz właśnie znowu w tém miejscu mówi: „*Wy się domyślicie*.“ Otoż przyznam się, że ja pierwszy żadną miarą domyślić się nie mogę, a radbym z duszy rozumiał.

(W manuskrypcie i ten 5-ty punkt przekreślony, z dodatkiem: *I to niestuszná, a więc małę*).

„6. Konrad wiedzie na wojnę Krzyżaki w celu ich zgubienia, a więc w celu uratowania Litwy. Pojmuję więc, że przegrywa bitwy, traci wojsko, ucieka, daje pustoszyć, palić ziemie krzyżackie; lecz na cóż, jeśli Litwę chce ratować, sam jej pierwszy te wszystkie klęski zadaje, jak sam autor wyraża: rzeź, grabież, pożogę, tak, iż całe niebo wieczorem krwawym oblane promieniem? Szczególny to sposób ratowania swjej ojczyzny. Nigdybym go się nie był domyślił!

„Oto są wady logiczne, jeśli sam się w mojej logice nie mylę i zbyt śpiesznie nie sądzę; lepiej więc nie poka-

zuj tego listu nikomu, bobym nie chciał zaszkodzić wziętości dzieła, które tyle innych ma zalet i dowodzi tak wielkiego postępu autora co do smaku, języka i jasności. Zachowaj go dla Świdzińskiego, który ciekawy jest mego zdania. Może po głębszym namyśle i po usłyszeniu zdań waszych wiele z mego odstąpię.

„Co do obrazów: Wstęp mi się niezmiernie podobał. Autor umiał i malować, i przywiązać do miejsca, które sobie za scenę obiera; z łatwością i wdziękiem wstępuje na nią; radbym tylko, aby w tém, tak piękném miejscu, gdzie maluje wijącą się przez Niemen roślinę i sięgającą nadbrzeżnej topoli, nie chmielu był użył, który jest nadto pospolity i nasze piwo dubeltowe przypomina. Czemu nie było powoju umieścić?

„Znałem ludzi dwoje“ — niejasne.

„Obraz charakteru Konrada, choć może trochę długi, ma wiele prawdy; a gdy mówi o jego śpiewie i graniu, wszystko bardzo piękne.

„Ale nie wypisałbym w jednym liście wszystkich piękności, wszystkich wyrazów tak głęboko z serca branych. Jakże cudne są trzy przedostatnie strofy pieśni z wieży; jak wdzięczne porównanie księżycy:

Jak dumający w pustyni kochanek,
Obiegłszy myślą całe życia koło....

„Mało jest błędów przeciw językowi: śledzić co, nie: czego; stołu, nie: stoła; uschnąć, nie: usechnąć; uszczknąć, nie: uszczyknąć. Otoż pono i wszystko.

„Apostrofa do pieśni gminnej do piękniejszych miejsc należy.

„Jednej rzeczy tylko pojąć nie mogę, jak człowiek z tak poetyczną duszą, z tak marzącą myślą, mógł napisać 31 wierszy tak prozaicznych, że w żadnym pono poemacie nie ma nic podobnego, to jest oskarżenie wielkiego mistrza przez jednego z rycerzy. Wiem ja, iż podobne miejsca nie mogą być bardzo poetycznymi, lecz za to zwięzłością swoją powinny być dobitnymi i ścisłością rzeczy mocnymi. Odczytaj, a może przyznasz.

„Piszę i piszę bez obejrzenia się, i Bóg wie com tam był nabazgrał. Twój ojciec wszystkiego nie odczyta, a i ty może znudzisz się tak długim wywodem. Proszę cię nie pokazywać tego nikomu. Czekajmy, co też drudzy powiedzą.

„Kłaniaj się Fredrze ode mnie, Niemcewiczowi i Osieńskiemu. Niechże ten ostatni pochwali przecież co dobrego jest w Mickiewiczu. Tym sposobem dowiedzie sprawiedliwości; inaczejby piękną klasycyzację do stronnictwa zniżał.

„P. S. Com przemazał, przemazałem po drugim odczytaniu; może po trzecim przemazałbym wszystko.“

Spodziewałbym się tego po Morawskim; sam on jeden z całej koteryi klasyków mógł się poznać na poezyi; struna ta odzywała się w jego duszy; lecz bał się, żeby go nie wyśmiano za zuchwale zdanie, za które potem musiałby się w obec swoich powag rumienić.

Wpływ każdej koteryi, czy szkoły, zawsze działa ze szkodą umysłowej swobody, a nie bardziej nie miesza trafności zdań w rzeczach literatury niż polityczne doktryny.

W innych też listach urywkowo tylko wyraża się w tym przedmiocie, snadź potężnie sfukany już przez sztab generalny.

„Jakże będziesz na mnie krzychał! Odczytałem znowu *Wallenroda*, i nadzwyczajnie w mojem zdaniu zyskał. Wiele, wiele poezyi, i czucia, i patryotyzmu....

„Jakże to zdanie o Mickiewiczu Mostowskiego podobne jest właśnie do tych krytyk drobiazgowych, które on tak trafnie wyszydza: *Kilkadziesiąt pięknych wierszy!* Co za sposób charakteryzowania, już nie mówię talentu, poematów, ale nawet i wierszy autora! I takiegoż to krytyka twój ojciec cytuje, takiemu wierzy, takim się zasłania! Widocznie ojca twego otumanił.

„Osieński i twój ojciec szczególni to ludzie; niewolno tego chwalić, czego nie znają, ni trzymać się drogi, na której nie przewodniczą. Twój ojciec przynajmniej pocziwie rzeczy bierze, ale Osieńskim skryta duma włada.“

Na te uwagi i docinki Morawskiego, odpisał Andrzej Koźmian 5 kwietnia 1828 r. z Warszawy:

„Czytałem i odczytywałem list generała ze zdaniem o *Wallenrodzie*. Mój ojciec czeka drugiego listu, po drugim odczytaniu tego poematu, sądząc, że generał w nim surowiej go skrytykuje. Utrzymuje on, że przedmiot źle wybrany, że bohater powieści przywiązywać nas powinien do siebie, kiedy Wallenrod zdrajca, szaleniec i pijak może tylko odrazę wzbudzać; wreszcie zapytuje, gdzie jest sens moralny? Azali czyn Wallenroda choć miłością ojczyzny powodowany, może być szlachetnym? Temu zaś wcale nasz surowy a kochany klasyk nie zaprzecza, że polszczyzna czystsza, że się autor wprawił trochę w grammatykę, i że mniej jest dzikości i ciemności. Niemcewiczowi i księciu Adamowi dosyć się podobał, a przynajmniej o wiele więcej niż memu ojcu. Co do mnie, znajduję, że jest poprawniejszy, lecz mniej poetycki, że jest naśladowaniem *Korsarza* Byron'a, ale dalekiem od wzoru, że ani Konrad, ani Aldona nie wzbudzają interesu, lecz mimo to, talent autora częściej niż zły gust przebija się.

„W gazetach żadnych rozpraw, ani pochwał, ani krytyk nie ma o Mickiewiczu, bo żadnych już umieszczać o nim nie wolno. Imienia jego publicznie wspominać nie można, tak jak nowego Herostrata.

„— Czy za to, że świątynię Gustu spalili? pytają się klassycy.”

Jak widać, klassycy nie taili głębokiego ukontentowania z powodu zakazu cenzury pisania o Mickiewiczu, który zgruchotał ich gipsową świątynię, co pokazuje ich słabość, a razem i tępość, bo cenzura lepiej odgadła ducha *Wallenroda* niż oni, co przyszli mierzyć tego olbrzyma swoim cyrklem i łokciem, a nawet nie dostawali mu do kolan.

Do powyższego listu ojciec K. robi dopisek: „Nie upieram się przy mojem zdaniu, lecz Mostowski jest tego samego zdania co ja. Przedmiot jest źle wybrany i poniżający dla poezyi. Żadna siła imaginacyi nie potrafi zdrady usprawiedliwić pozorem jakiegokolwiek bądź cnoty. Brutus, dla miłości wolności topiący miecz w piersiach swego dobroczyńcy, godzien raczej politowania niż uwielbienia, i dla tego nikt nie napisał o nim poematu.” (?)

Stawiając się na tём subtelńém stanowisku moralńém, usiłowali klasycy podkopać imponującą im postać Wallenroda, ale opinia publiczna tak dalece przeszła była na stronę litewskiego wieszczą, że czuli się coraz więcej opuszczonymi.

Właśnie około tego czasu przyjechał był do Warszawy jeden z najzaciętszych zwolenników staréj szkoły francuzkiéj, a przytém wielki rębacz i gorączka, który każdego przeciwnika, coby śmiał przed nim bronić przeciwnego zdania, gotów był jeśli nie argumentami, to szablą lub kulą przekonać. Zapewne, przybycie takiego Alberta Miera, mogło być dodać ducha zdyskredytowanym wielkościom i powagom; ale on, stary egoista, wierzył tylko w siebie, o resztę mało się troszczył, i wcale go to nie obchodziło, co tam gadano o jakiéjś nowéj poezyi, jak o żelaznym wilku.

Kajetan Koźmian napomyka o nim dość lakonicznie: „Jest tu Mier; dziś do niego idę na kawę. Przyznaje teraz, że w wielu miejscach twoja *Andromacha* gładsza, lepsza od jego, a jednak swoją chce już nieodzownie drukować.”

Podobno jéj nie wydrukował; zapewne stara jego muza, należał bowiem jeszcze do wieku Stanisława Augusta, nie chciała rywalizować z młodszą Morawskiego. Ciekawo ten oryginał, którego tu jedynie dla urozmaicenia téj grupy wprowadzam, wybornie został odmalowany w jednym z listów Morawskiego, pisanych z Radomia w maju 1828 r:

„Siedzę sobie onegdaj w mojem wielkiem krześle, drzemie nawet trochę i używam swobody, spokojności po długim znużeniu — kiedy nagle hałas straszliwy na ulicy budzi mię. Słyszę, że się ktoś z szyldwachem kłóci zajadle, i wrzawa coraz głośniejsza. Przypadam do otwartego okna, i — zgaduj kogo spostrzegam? Miera! Niestety chciało, że właśnie w tym domu był u mnie sąd wojskowy; szyldwachowi zapomniano powiedzieć, że się już skończył, i że wpuszczać może; ztąd całe nieporozumienie. Nie trzebaż na to szczególnego przeznaczenia, aby po czwartéj części wieku, którą w wojsku przebywam, i w której nikt

jeszcze przez mego szyldwacha nie był zatrzymany, zdarzenie to padło na zjadliwego Miera! Jednak ułagodził się wkrótce, i zaraz o *Andromace*. Pytam go o zdrowie? on o *Andromace*; co Austria teraz myśli? on o *Andromace*; mówię mu o wypowiedzeniu wojny Turkowi, on zawsze o *Andromace*. Od czwartej do dwunastej w nocy siedział u mnie i porównywał mój przekład ze swoim; musiałem być uczynnym dla gościa i wszystkiego dozwolić. Krytykował niekiedy bardzo trafnie i sprawiedliwie; lecz w ogólności powiedział mi, iż wiele miejsc jest u mnie lepszych, a wiele u niego. Mówi, że się nigdy nie spodziewał po mnie takiej poprawności, złączonej z wiernością godną poety, i że mogę temu śmieliej wierzyć, niż pochwałam Osińskiego, którego ma w podejrzeniu o nieszczerłość. Skończył więc swój przekład, lecz chyba z życiem skończonem skończy o nim gadać. W Ilży pocztmajstrowi deklamował. Powiózł swoje tłumaczenie ślicznie przepisane Osińskiemu do grania, który nie wiem jak się z tego wywinie, mając moje już tak dawno oddane sobie na scenę. Nie wypada jego przekładu pierwój wystawiać, a odmówić niebezpieczno. Co to będzie? Co to będzie? Osiński musi zgryźć ten orzech. Ojca twego bardzo wynosi, lecz szczególnym udziałem, więcej ma daleko trafności i prawdy w wytykaniu błędów niż w pochwałach.“

W późniejszym liście:

....„Zapomniałem ci powiedzieć co Mier utrzymuje, iż nie gorszego od przekładu *Horacyuszów* Osińskiego. Co za niesłusznosc! Podług mego zdania, to najwierniejsze ze wszystkich jego tłumaczeń. Jaka moc i gładkość zarazem! Przyznał mi się Mier, że tłumaczenie jego z Tassa w większej części jest Trembeckiego, że razem robili, lecz że on wiele rzeczy przeciw dobremu gustowi sprostował. Mier najmniejszego nie ma wyobrażenia o nowszej literaturze. Pani Stael i Schlegla nienawidzi aż dotąd. *Il est encore aux anegdotes de siècle de Louis Quatorze*; z tém wszystkiem trzeba przyznać, że ówczesnej literatury francuzkiej nikt trafniej nie sądzi i nikt jęj nie zna uczeniej od niego.“

W innym liście znajduję jeszcze o nim wzmiankę:

„Miałem dzisiaj list do Węzyka z Krakowa; pisze, że Mier wszystkich traktuje swoją *Andromachą* i obiadami pyszniejszymi jeszcze; zresztą, mówi, że tak tam jedzą i piją, jak gdyby tylko na to Bóg ich stworzył.”

Do charakterystyki tego obozu potrzebny był, jak mniemam, ten epizod o Mierze, literacie staréj daty, co uwięziwszy umysł w Racinie, nie już więcej nie widział, ani chciał widzieć tylko swoją *Andromachę*. Osobliwsza to rzecz, w téj chwili, kiedy strona przeciwna na wszystkich punktach źle czy dobrze, ale występowała do walki, nasi klassycy popadli w skamieniałą jałowość, i nie mieli niczém lepszym ratować swoich parnaskich zasług i powagi, niż tą *Andromachą*, którój aż cztery tłómaczenia zjawily się na raz (*): pierwsza Dmochowskiego, druga Morawskiego, trzecia Miera, a czwarta mało wówczas głośna, bo znana tylko we Lwowie, *Andromacha* Kopystyńskiego, który nie robiąc wielkiego hałasu, najwięcej się podobno przysłużył literaturze, bo wytłómaczył wszystkie tragedye Racine'a. Kto chce też poznać tego autora w całości, a nie w ułamku, może z jego pracy korzystać. I w tym nawet kierunku klassycy warszawscy nie odpowiedzieli wymaganiom wziętym nawet z ich punktu widzenia. Wprawdzie to przywiązanie się do *Adromachy* miało jakieś przecuciowe, symboliczne znaczenie. Hektorowie klassycyzmu mieliż głos ostrzegający tajemnic, że niebawem zwycięzki romantyzm ciała ich włóczyć będzie za wozem, i dla tego tak przewlekali pożegnanie się z tą cnótliwą matroną trojańską? Być może, i niestety! tak było.

W roku 1829 zawitała do Warszawy nowa edycya dzieł Mickiewicza, w Petersburgu drukowana, i zamiast przedmowy mieściła bicze na recenzentów warszawskich. Poeta, długo cierpliwy na tyloletnie brednie uchodzące za kodeks literacki, raz odpowiedział. Był to prawdziwy *coup de grâce*. Co tam potraconych wielkości! co podeptanych sław!

(*) Jest jeszcze piąte tłómaczenie Morsztyna z XVII wieku.

Andrzej Koźmian donosi o tém Morawskiemu w tych słowach:

„W świecie literackim wiele narobi hałasu nowa edycja Mickiewicza, na której czele umieścił przedmowę o krytykach i recenzentach warszawskich. Na wszystkich z pogardą patrzy, łaje, wyśmiewa, nietylko żyjących, ale nawet umarłych: Dmochowskiego (ojca), Stanisława Potockiego, Piramowicza; z żyjących zaś najbardziej nieuje szarlatana Dmochowskiego Astrej! Mają *un coup de patte*: Osiński, Bentkowski i t. d. Słowem, jest hatiszerif literacki, napisany z dziwną zarozumiałością, z impertynencją nawet, a to właśnie w téj chwili, kiedy sam daleko poprawniej pisze.”

Z listu Kaj. K. do tegoż:

„Mickiewicz im lepszym się pokazuje poeta, tém głupszym człowiekiem. Co za zarozumiałość na Boga! Dla honoru literatury puszczaj w obieg gromy na romantyków, bo co do nas, których nazywacie klasykami, już nas podeptano, zgębiono. W téj chwili spaliłbym wszystkie moje pisma, gdybym się tylko przekonał, że Mickiewicz będzie tryumfował ze swoich głupstw.”

Z innego listu:

„O nowém Mickiewicza głupstwie musiał ci Jędrus opowiedzieć. Będę mówił księciu Adamowi, aby jadąc do Puław, wziął dla ciebie dzieła tą sławną przemową opatrzone, gdyż mu autor je przysłał. Rzecz bardziej politywania godna niż odpowiedzi. Jednak Dmochowski już odpisał; Mochnacki zaraz w *Gazecie Polskiej* dwa razy tyle. Odpowiedź na to Dmochowskiego znowu jest pod prassą; a tak cała kłótnia *de lana caprina*. Lecz Dmochowskiego trudno nie usprawiedliwiać, kiedy broni ojca, literatury i smaku, przeciwko zuchwałości i zarozumiałości Smorgończyka. Mówią, że Mickiewicz protegowany w Rosyi, jest użyty w wydziale, i pozyskał pensyi 1200 rubli sreb. Teraz, teraz byłby czas, teraz powinnośc puścić w obieg wiersz twój o romantykach. Dajcie już pokój klasykom; już oni podeptani od Litwinów razem z Potockim, Piramowiczem, Dmochowskim i t. p.”

Kiedy nieszczęście na kogo się usadzi, coraz nowe nasyła zgryzoty. Z ową sławną przedmową zawitała *Melitele*. Był to noworocznik wydany przez Odyńca.

Pod d. 24 stycznia 1829 r. pisze Andrzej Koźmian, zwykle donoszący o wszystkich nowinach stołecznych:

„Wyszła już *Melitele*; jest to flora litewska. Jest w niej kilka kawałków Mickiewicza. *Farys*, powieść arabska, choć pełna szaleństw, lecz pełna poezyi. *Niepewność* jest niezła; Wojewoda trochę karczemny; ale inne ballady, dumy i t. d., a szczególnie *Kasztelan* Odyńca, mogą oburzyć nie tylko pseudo-klasyków, ale każdego ze zdrowym sensem. Dziwnie ten *Kasztelan* wygląda przy *Łzie* generała.”

Z listu Kaj. K.:

„Co za głupstwo *Melitele*! nie Flora, ale Paraszka w baranich kozuchach. Co też te waryaty i prostaki Litwini wyrabiają! Jak mogliście dać do tego zbioru swoje pisma? Zmiłuj się, przyszlęj mi Romantyków, każę moim kosztem wydrukować.”

Andrzej K. z 27 stycznia 1829 r.:

„Najciekawszą teraz nowością jest *Melitele*. Mój ojciec zgrozą przejęty, a szczególnie za to, że Niemcewicz, Morawski, Fredro, Brodziński wmieszali się do tej szalonej gawiedzi. Prawda, że jest kilka ballad sławnie głupich. *Kasztelan* Odyńca taki głupi, jak *kasztelan* Wich.... Pisząc dla płci pięknej i ofiarując jej ten noworocznik, napakowali w niego mnóstwo ślicznych wyrazów, np. psu-brat, łeb, dyabli wzięli, do stu dyabłów. Mickiewicza *Wojewoda* podobny do *Kasztelana* Odyńca. Osiński powiada, że gawieź korzystając z tego, iż senat jest *en disgrâce* (*), ciągle teraz wyjeżdża z wojewodami, kasztelanami i we łby im strzela. W sobotę przesłał u nas wyleli całą żółć swoją klasyczną mój ojciec i Osiński; ale bo też prawda, że bezczelne głupstwa piszą. Mickiewicza powieść arabska *Farys* jest ciemna, ale pełna poezyi, nawet aż do zbytku:

(*) Senat zawiązany w sąd sejmowy na obwinionych o spisek, uwolnił ich, co ściągnęło na niego nieukontentowanie Cara Mikołaja.

widać w niej jednakże autora z wielkim talentem i poetycznym natchnieniem; mój ojciec musiał sam to przyznać."

W innym liście Andrzej K. donosi:

„Dmochowskiego odpis Mickiewiczowi będzie miał wiele dobrego i wiele złego; w tym tygodniu wyjdzie z pod prasy. Będzie dość gruba broszura z obszernymi przypiskami. Sens jej taki: Panie Mickiewicz, byłem i ja też wielbicielem wpana talentu; jesteś niewątpliwie pierwszym poetą, pełnym imaginacji, wdzięku i t. d., lecz żeś ojca mego zaczepił, głośno ci odpowiadam — żeś nie. Oto jest treść rzeczy. Grzymała gra tu wielką rolę między romantykami; zdaje mu się, że swoją figurą i powagą zatrzymuje te wały rozhukanego szaleństwa romantyków, któreby niezałodnie zalały wszystkich klasycyzności przyjaciół, gdyby ich jak wał lub grobla nie zatrzymywał. Bywa u mnie i u Osieńskiego, i proteguje nas u Mochnackiego, nad którym wziął jakąś przewagę, grożąc mu nieustannie, że jeśli się nie upamięta, upiór *Astrei* powstanie z biczem. Mówił mi nawet, że coś rodzi pojednawczego."

Ten odpis Salezego Dmochowskiego na Mickiewiczowską reprimendę w ogóle nie zrobił żadnego wrażenia, a klasykom, choć bił na ich przeciwnika, także nie dogodził; bo, jak trafną zrobił uwagę A. Koźmian, stawał tylko w obronie zasług swego ojca, znanego tłumacza *Iliady*, a nie w obronie klasycznego obozu. Odpór tedy dany szturmującym tak potężnie romantikom, zredukował się do bardzo szczupłych rozmiarów. Mimo to starszy Koźmian, lubo zwątlony na duchu, nie przestawał wzywać Morawskiego, żeby czémprędzej dawał do druku swój list o Klasykach i Romantykach, a szczególnie o tych ostatnich; nawzajem Morawski naglił o jak najspieszniejsze wykończenie *Ziemiaństwa*, w tej nadziei, że ten utwór tyle lat pielęgnowany w ukryciu, ciągle poprawiany, przerabiany, gładzony, ukaże się jak Afrodyte z pian morskich, i zaćmi wszystko, co dotąd uchodziło za piękne i doskonałe.

Ale *Ziemiaństwo* grające na patryotycznej strunie dawnego nastroju, nie mogłoby ukazać się w ówczesnych stosunkach bardzo drażliwych, a potem że Koźmian jako

wysoki urzędnik nieraż był ściągnąć na siebie prześladowania za zbyt wyraźne uczucia i wspomnienia narodowe. Zostawiała jedyna otucha w dwóch listach Morawskiego o *Klasykach* i *Romantykach*; lubo i to jego wystąpienie miało charakter więcej pośredniczący niż wojujący przeciw tym ostatnim, którym wyraźnie sprzyjał. Usposobienie Morawskiego najlepiej maluje się w odpowiedzi na urągliwe doniesienie o wyjściu *Meliteli*.

„*Meliteli* — pisze on — jeszcze tu nie mamy, a więc o niej sądzić nie mogę. Gdy jednak prócz Osińskiego i twego ojca, wszyscy prawie lutniści tam figurują, musi być coś dobrego, a przynajmniej dobre musi złe przeważać. Zresztą pytam się czy mieliśmy już jaki lepszy *Almanach*? Cóż wydawca winien temu, że dwaj najznakomitsi wieszcie nie mu nie dali, a że ci, co przysłali swoje płody, nie umieli nic lepszego napisać? Gańcie co złe, grube, niedorzeczne; ależ pozwólcie co ma jaką piękność w sobie lub cechę oryginalności, tak rzadką u nas, że choćby ta oryginalność i błędna była, już ma zasługę ze względu śmiałości i odrębności od innych. Radbym, aby indygnacya przeciw *Meliteli* wzbudziła ogień do *Ziemiaństwa*. Uściskaj twego drogiego ojca, tak strasznie zmartwionego tą *Melitelą*! Bo i jakież to nazwisko! czemu nie coś rzymskiego? Byłby prędzej przebaczył.”

Morawski zabierał się na prawdę wydać swoich *Klasyków* i *Romantyków*. Prosił on Andrzeja Koźmiana, którego zdatność cenił, aby mu zrobił kilka przypisków do tych wierszy, które Fredro gwałtem chce wydać.

Andrzej K. pisze: „Generała przypiski bardzo dobre (do *Romantyków*), nie ma dodać, ani ująć; lub raczej byłoby co dodać, bo za delikatnie z waryatami romantykami obchodzi się generał. Jeżeliby co znalazł jeszcze przeciw nim, tobym jutro rano przysłał.”

W innym liście tenże:

„Wracając do przypisków, wymówilem wczoraj generałowi, że oszczędzał za nadto romantyków. Trzeba było trochę batem ich wyćwiczyć, a szczególnie za te ich recenzje w gazetach. Do rzędu recenzentów śmiesznych należy teraz bez wątpienia Mickiewicz przez *Przedmowę* swoją;

a więc i za nią trzeba było choć raz palnąć; a generał tak mu grzecznie tylko wymówił komeraże literackie i to, że nie wspomniał o Brodzińskim. Ale ta wymówka jakże osłodzona pochwałą Wallenroda! W ogólności generał okazuje więcej pobłażania dla pseudo-romantyków, niż dla pseudo-klassyków; a jeżeli ci ostatni *sont un peu ignorants, les premiers sont fous et impertinents.*"

Morawski wiersze swoje gotowe do druku posłał był Koźmianowi (ojcu), jak to zwykle robili między sobą, zasięgając wzajemnego zdania i rady. Widać jednak, że list o klasykach nie musiał zyskać approbaty, owszem gorzkie wymówki, kiedy znajduję takie Morawskiego tłómaczenie się:

„Mówiłeś i pisałeś mi tylekrotnie o potrzebie wytłómaczenia się przed publicznością, że nie o klasykach, lecz o fanatykach klassycyzmu piszę. Uczyniłem to w przedmowie. Dziś piszesz do mnie, abym (jeśli wydrukuję) drukował bez żadnej przemowy. Przyznam się, że tego nie pojmuję. Pisałeś do syna, że listem do klasyków mogę szkodzić dziełu przyjaciela; dałem więc przypisek dowodzący, ile cenię twe dzieło, kiedy je z pewnego względu z *Jerozolimą Wyzwoloną* porównywan. (*) Piszesz, że nie chcesz tego przypisku, pochwały, ani wspomnienia przyjaźni, którą do moich zaszczytów liczę. Cóż więc mam czynić?... Jako przyjaciel, masz prawo żądać ode mnie, abym ani ciebie, ani dzieła twego nie wspominał, i jeżeli cię syn nie skłoni do mego zdania, niech je wymażą; choć prędzej czy później, zawsze ktoś to samo napisze, a może lepiej, że ja. Lecz nie możesz mię zmuszać do odstąpienia od tego, co jest mojem przekonaniem, bo takięj nietolerancyi nie byłoby przykładu. Nie chcesz, bym wynosił w przypiskach chwałę starożytnych. Dla czego? bo i piękności wielkich pisarzy romantycznych wynoszę. Nie chcesz, bym twoje głosił pochwały. Dla czego? bo *Wallenrodowi* przy-

(*) Trudno pojąć, jaką analogię można było upatrzeć między epopeją Tassa a *Ziemiaństwem*? bo przecież Czarnieckiego wtenczas jeszcze nie napisał Koźmian.

znaję niemałe zalety. A więc nie a nie niewolno pochwalić w Mickiewiczu? wszystkoż ma być głupstwem, a wymówienie jego nazwiska zbrodnią? „Jak ognia z wodą tak mnie z Mickiewiczem łączyć niemożna.” Takie są twoje wyrazy. Nikt nie myślał was ani równać, ani jego obok ciebie stawiać we względzie wartości. Ale choćbyś się i rozgniewał na mnie, przez miłość prawdy wyznając, że podług mego przekonania jesteście teraz naczelnikami szkół realnych: ty, z waszą nauką, sztuką, ogładą, gustem; on, z mniejszemi od ciebie zaletami, ale zawsze niepospolity. Ganisz moje przypiski, przemowę i list do klasyków, ganisz odpowiedź Dmochowskiego — czemu? bo nie potępiamy nowej barwy rzuconej na poezję, bo śmiemy w Mickiewiczu widzieć poetę. Gdybyśmy powiedzieli obadwaj, że Mickiewicz nieuk, głupi, i że niewarto z nim gadać, wtenczasbyś może pochwalił. Przecież zdaje się, że lepiej jest rozumować, niż na takich eksklamacyach przedstawiać. Rozumowanie to może być mylne; każdemu wolno je odeprzeć; ale zawsze jest lepsze niż *łatwa* wzgarda i żarty, bo dowodzi przynajmniej chęci szukania prawdy. Jeżeliśmy tacy głupi, że niewarto z nami gadać, to przynajmniej ta mniemana zaraza w puliczności i całej Europie zasługuje na branie tej rzeczy seryo. Nie idzież wam o to, aby w ojczyźnie zatrzymać to złe, które się tak gwałtownie szerzy? Nie wezmąż tego milczenia za dumę nieprzystojną literatom, lub za skutek niemocy? Horacyusz byłby pisał w podobnym razie, choć zapewne ani jako poeta, ani jako patriota nie może się równać z tobą. Ale ty wolisz cichość niż burze. Potępiałbym to zdanie, gdyby nie *Ziemiaństwo*. Nie odpisuj więc nie i poświęć się cały ukończeniu twego dzieła, które, mimo twoich na mnie gromów, z całej duszy kocham i uwielbiam. Lecz że ty nie piszesz, mająż inni zamykać usta, póki Osiński nie pozwoli ich otworzyć i tak gadać jak on chce? mająż mówić wbrew przekonaniu swemu i tym naukom, które z tylu wielkich wyczerpali krytyków? mająż nakoniec zamilknąć i uznać ich i siebie za zwyciężonych, kiedy nikt im tego nie dowodzi? — bo żarty i dasy nie nie znaczyły nigdy w literaturze, nawet za Greków i Rzymian.

Wiem, co mi odpiszesz na to; — oto, albo *nie*, albo też: Drukuj sobie, leć w przepaść kiedy chcesz, a ja, jako przyjaciel; ze łzami tylko spoglądać będę. Jeżeliś mój przyjaciel, a więc zbij wszystkie moje przypiski i całe rozmówanie; ale gruntownie punkt po punkcie. Wszakże ci nie może być obojętnem oświecenie przyjaciela i zatrzymanie go nad przepaścią; konwersacya na to niedostateczna i do zapалу niepotrzebnego wiedzie, który psuje szyk rozumowania. Oto masz odpowiedź na twój list gromiący tak okropnie; starałem się być moderatem. Nie pisz już do mnie tak srogo.”

Tego rodzaju spory i wyrzuty nie psuły starzej przyjaźni, ani osłabiały wzajemnego szacunku między nimi. Różnili się w zdaniach literackich, nie różnili się w uczuciach obywatelskich. Z tém wszystkiem wiersze o klasykach i romantykach spóźniły się z wyjściem na świat, — a tymczasem różne objawy nowego ducha, wkradające się nawet do najregularniejszych dotąd instytucyj, wciąż niepokoiły sędziwego radcę stanu.

Pisze on z Warszawy 2 maja 1829:

„Onegdaj odbyło się posiedzenie Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Wynudziły się kobiety, szczególnież namiestnikowa (*) (którą także już podbił Niemcewicz) czytaniem naszych literatów. Osiński tylko, chociaż rzecz z natury ekliwą, o *pisowni*, lecz wybornym stylem wypracowaną, umiał tak przedać, iż go z upodobaniem słuchano; lecz za to jak zaczął Kwiatkowski o *medalach* eicho i nudnie, już sen obejmował wszystkich, kiedy nadeszła kolej na poezję. Gdyby było przypadło na mnie czytać, byłiby pewnie zaczęli chrapać, lecz skoro zaintonował harmonijnym głosem Osiński kilkadziesiąt wierszy o drzewach, a następnie o pszczołach i pożarze (ustępy z *Ziemiaństwa*), nie zasługą wiersza, lecz cudownej deklamacyi, ożywił ostatnie 20 minut, w których odczytał 250 wierszy. Uważałem appro-

(*) Wdowa po księciu Zajączku namiestniku Królestwa, pierwsza z warszawskich elegantek, choć już w podeszłym wieku.

batę po twarzach uczniów, lecz Mochnacki stał zachmurzony, i pewnie napisze jakiś sarkazm na literaturę klasyczną, a tak ja padnę ofiarą za towarzystwo, że chociaż nie w gronie swoim romantyków, przecież wypuszczą ich *ex nexu*, a nas wystawią na pociski. Musiałeś czytać w numerach *Gazety Polskiej* satyrę na Towarzystwo, do której należał Lelewel, mszcząc się za Mickiewicza. W drugim zaraz numerze był umieszczony artykuł Witwickiego, pod imieniem Prawdzica, w którym Horacyusza z błotem zmieszał, a wyliczając poetów nowoczesnych, którzy zasłużyli być wzorem, tylko Niemcewicza, Woronicza, Fredrów i Brodzińskiego uznał być godnymi stanąć obok Mickiewicza, Odyńca i Korzeniowskiego. Ciebie więc już wypychają do nas skazanych na wieczną proskrypcję... Gdybyś tego szczerą czuł potrzebę, tobyś puścił swoich romantyków, lecz się wszysej boicie Mickiewicza, a nas wypychacie..."

Nie wiem, czy ta uwaga w duchu powiedziana sobie, że na cóż się zda ciągle narzekać i łajać na pismaków, a samemu nie nie produkować? czy naciskania Morawskiego to sprawiły? — dość, że Koźmian rąco się zabrał do skończenia *Ziemiaństwa*. O postępie i doprowadzeniu do końca swęj pracy tak donosi Morawskiemu, zdając w różnych czasach sprawę z tego co robił:

"Żółwim krokiem postępuje moje bydło rogate; nie wiem, czy zastaniesz 60 wierszy, gdyż się muszę ścisnąć, a krótkie pisanie więcej kosztuje pracy niż długie."

"...Posyłam ci z kolei epizod: Spotkanie się rycerza z rolnikiem, który kończy pieśń czwartą i ostatnią. Teraz już wyciągam treść do każdej pieśni, a za miesiąc siadę do poprawy i ostatniego strugania wierszy. Trzeba, ażeby się odleżały i wyszły z pamięci, aby potem błędy łatwiej spostrzedz; i w tych, które ci posyłam, są, lecz przy pomocy bożej znikną. Bardzo mi się dobrze skleił początek pierwszej pieśni ze wspomnieniem o Staszcu, kilku nowymi wierszami. Zalety ziemi polskiej idą na miejsce balu miejskiego, którego by niemożna było drukować..."

"...*Ziemiaństwo* moje zbliża się do końca; gdyby tak była wolna myśl, jak jest chęć, jużby się było skończyło. Będzie to ostatni śpiew na grobie klasyczności, jak

nazywają. Bierze, bierze górę szal wszelkiego rodzaju. Nie masz na niego podobnych biczów, jak we Francyi. Mickiewicz wslawił się Herostratesa czynem... Mówiono mi, że Niemcewicz w zagajeniu swoim (Tow. Prz. N.) ma wynurzyć zdanie swoje, czy też zdanie Towarzystwa względem romantyzmu, aby pogodzić bazgraczy gazetowych, lecz jeżeli prawda, że nazywając Mickiewicza geniuszem, ma powiedzieć, że Racine nieprzydatny jest naszemu wiekowi i smakowi, ubolewałbym, aby w jednym prawie czasie, w którym na scenie paryżkiej odezwał się głos: *à bas Racine!* od zgromadzonego gminu, ten sam dał się słyszeć w sali Towarzystwa Przyjaciół Nauk."

Ostatnia wzmianka o *Ziemiaństwie* tak brzmi:

„Pędzę do końca. Już mam tylko trzydzieści wierszy obrobić, które spoją epizod rolnika z rycerzem, i już koniec! Powinszuj mi, że mi już z głowy spadł kamień, i że już rymować nie będę. Nie uwierzysz, jaka jest przyjemność kończyć rzecz tak dawno zaczętą. Teraz myśleć trzeba o poprawieniu, przepisaniu, kopersztychach i wydaniu. Wiersz o tobie i o Osińskim może nie są tak dobre, jakich jesteście godni, lecz zdaje mi się, że was dobrze charakteryzują. Ogół dopiero da sądzić o rzeczy."

Otoż i *Ziemiaństwo* stanęło u końca! Autor dwadzieścia lat pisał to poema, które lubo wszystko przechodzi, czego można żądać od poprawności stylu, harmonijnej sztywności dobranych wyrazów, jednakowoż dla braku ciepła i kolorytu nie mogło sprawić spodziewanego wrażenia, ani też przyćmić płodów Mickiewicza, które cały naród pochwycił i umieścił zaraz przy sercu. Łudzili się więc klassycy mniemając, że z ukazaniem się *Ziemiaństwa* zatrzymają prąd nowych wyobrażeń literackich. Materiał, którym posługiwali się ci pisarze tak zwaney klassycznej szkoły, był już nie do użycia, jak spróchniałe drzewo. Oddalonym od owych czasów, trudno nam dzisiaj pojąć, jakim sposobem nie otworzyły się im oczy na ich własną niemoc i na nowe żywioły, dające młodość i życie poezyi? czemu oni, którzy tak lubili pokonywać trudności, woleli zostać przy swoich konwencyonalnych prawidłach i konwen-

cyonalnym stylu, niż kusić się o to, żeby mieć swój własny styl, a materyał brać z pierwszj ręki, nie czekając, czy go użyć pozwoli Horacy, Wirgili lub Racine? *Ziemiaństwo* więc pozostało w tece, znane z niektórych wyjątków publiczności warszawskiej. Niebawem też nadszedł rok 1830 i okoliczności niesprzyjające tój publikacyi. Dopiero późni^(*) wydrukował je Edward Raczyński swoim nakładem, także pojąć się miłą nadzieją nadania innego zwrotu piśmiennictwu; lecz utwór ten wzbudził mniej niż się spodziewano rozgłosu. Nie była to pora entuzjazmowania się dźwięcznym wierszem, goniącym więcej za poezją słowa niż za poezją myśli, ani malowidłami szumnej maniercy Lebrun'a, siląc^{ej} się nadawać cechę majestatycznej wielkości przedmiotom już obrobionym, a zawsze z jednej strony. Zjawił się malarz, który trzymając na kolanach kawałek płótna, usiadł przed *Ziemią naszą* i rzucił j^{ej} szkic, chwytając najcharakterystyczniejsze rysy, ukolorowane poezją natychmiastowego, bezpośredniego uczucia... Robota na-
gła, improwizowana — wykończenia żadnego, a o cechy stylu jakiego znamienitego mistrza ani pyta^j. Czemuż do tego szkicu palili się znawcy i nieznawcy? Czemu na widok olbrzymiego kartonu Koźmiana pozostali zimni?

Tajemnica poezyi.

Feralny to był ten rok 1829 dla naszych klasyków. Upokarzająca przedmowa Mickiewicza i *Melitele* bratająca dwa przeciwne obozy, a co najgorsza, pewna nietaktowność w opiniach tych, których uważano za swoich, wszystko to zapowiadało blizki upadek dotychczasowych powag. Towarzystwo Przyjaciół Nauk, mające się w pewnym wzglę-
dzie za francuzką akademię czterdziestu, zaczęło już pokazywać zatrwajające symptomata. Koźmian donosi o t^{em} Morawskiemu:

„Czegom się trochę lękał, tegom doczekał, że Towarzystwo spokojne i poważne pod Albertrandim i Staszicem, pod nieoszacowanym, pocziwym, zabawnym, lecz

(*) We Wrocławiu 1839 r.

już zbabiałym Niemcewiczem *), mimo jego instynktu genialnego, którym, jak powiadasz, nigdy nie błdził, — zamieni się w krzyczącą pod straganem babę, i wzorem jej będzie się wadziło na bruku? Chcecie, niechże się tak dzieje!...

„...Zwyczajem swoim, Niemcewicz nie posłucha mojej rady; wypali swoje i narobi nowój po gazetach walki. Już się nawet gotują Krysińscy, Wołowscy i t. d., ale choć to zajadłe klasyki i niezgrabne, lecz rozum mają za ciężki, na żadne względy nie uważają i przesyłają krytyki do zagranicznych gazet.”

Inny list jego w tej materji wolniejszy już od niepokojących przewidywań:

„Wczoraj byłem na sessyi Towarzystwa Przyjaciół Nauk; była bardzo interesująca. Niemcewicz posłuchał trochę mojej rady, nad moje spodziewanie powiedział tak, jak był powinien powiedzieć. I teraz chyba taki szalony, jak Krysiński, może się gniewać. Powiedział prawdę i pseudo-klaszykom i romantykom, a zakończył twemi wierszami z listu o klasykach... Książę Adam powiedział o Woronieczu dziwnie pięknie, rzewną, treściwą i szlachetną wyprawą. Zdaje się, że jakaś sympatya rzewności, smutku i miłości ojczyzny natchnęła go. Pięknie napisał, rzewnie czytał; mało kto nie płakał słuchając, a gdy skończył, mimowolnie wszystkich dłonie dały huczny poklask. Od założenia Towarzystwa, drugi to jest dopiero przykład takiego tryumfu. Otrzymał go Osiński za odę na powrót wojska w roku 1809, i dziś książę Adam. Mało rzeczy zrobiło mi taką przyjemność... Tłómaczenie Kamińskiego (Ludwika) *Jerozolimy* w najpiękniejszym epizodzie Kloryndy, czytanej cudownie przez Osińskiego, nie zrobiło spodziewanego efektu; bądź już uczucia były nasycone narodowym przedmiotem,

(*) Niemcewicz na publicznem posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk chciał sąd o poezji wyprowadzić na właściwe pole krytycyzmu, powiadając, że jeśli głupstwem jest pisać jak autor lwowskich Sonetów (J. N. Kamiński): „Wypiłem duszą duszę kałamarza“ — to znowu taki wiersz: „O pieśni gminna, ty arko przymierza!“ — aczkolwiek z romantycznego pióra pochodzi, należy do najwspanialszych kwiatów poezji.

bądź czegoś brakowało tłómaczeniu, bądź niewdzięczną formą oktawy — zgadnąć niemożna. Osiński mi mówił, że niekontent z wierszy, i w istocie nie zawsze są szczęśliwe wyrażenia, chociaż zdawały się wierne.

Wyjąłem umyślnie te zdania, aby pokazać, jak bawiąc się samemi tylko tłómaczeniami, nie znano się na warunkach tłómaczenia. W jakiejże formie wiersza miał być Tasso przekładany, jeśli Koźmianowi niepodoba się oktawa oryginału? Czy ciężkie aleksandryny, w jakich Mier z Trembeckim spolszczali kawałki *Jerozolimy*, mają zaletę przypominającą włoski oryginał? Osobliwa rzecz, że ludzie, którzy mieli i myśli, i uczucia szlachetne, obywatelskie, a i niepospolity rozum w sprawach publicznych, w zdaniach literackich stali niżej zera. Dylettanci poprzesztawali na najpowierzchnowniejszej części sztuki, a cokolwiek szło głębiej, odpychali jako niezrozumiałe, niejasne.

Jeszcze cała nadzieja zostawała w Morawskiego listach o klasykach i romantykach, które już były napisane, ale brakowało przedmowy i przypisków. O te ostatnie prosił Morawski Andrzeja Koźmiana, którego naukę bardzo cenił, aby swemi postrzeżeniami powiększył. Dopelniał tego proszony, jak to widać z następującego listu:

„Doskonale są twoje przypiski — pisze generał — i jakże uczone przy moich! Zrobiłem z najpierwszego przedmowę, drugie tylko co do języka i rozwlekłości sprostowałem, rzeczy nie a nie nie odmieniłem. Bóg ci zapłać za dobre serce, chęci i głowę tak porządną. Pytasz, czemu Mickiewicza oszczędzam? Dla tego, że mniemam, iż to potrzebne jest teraz na chwilę: 10 dla odłączenia utalentowanego poety od tłuszczy pismaków; 20 że jemu samemu chcę wprzód oczy otworzyć, co to ma za chwalców; 30 że mówiąc o przedmowie, miałbym minę łączenia się z niefortunnym Salezym, od którego uciekam jak mogę.*) Przedmowę później wezmę na warsztat i gruntownie rozłożę, że *magnum nihil*, więcej impertynencyi niż rzeczy; ale jesz-

(*) Odnosi się to do owych epigramów, które Dmochowski napisał o tłómaczeniu *Andromachy* Morawskiego.

cze nie czas do tego. Posyłam dziś Fredrze rękopism. Co to będzie! co to będzie! obie strony wzruszą się na mnie. Dodałem kilka jeszcze uszczypnień romantykom. O Litwie i Polsce, coś mi pisał, nie wypada tego rozdrażniać ze względów polityki; *łączyć trzeba nie rozdawać, nawet w literaturze*. Oto jest moje tłumaczenie się na twoje zarzuty. Poblązanie Mickiewiczowi jest korzystną i trafną może zręcznością, co uznasz, gdy się zastanowisz, a zwłaszcza zechcesz nad tęp pomyśleć."

Wyszły nakoniec te długo, oczekiwane listy Morawskiego, podobno we wrześniu 1829 roku. Dzienniki pochwyciły i posypały się liczne artykuły za i przeciw. Koźmian (ojciec) tak o tęp donosi swemu przyjacielowi:

"O twoich listach *Klasyk* wiele głupstw napisał, lecz jednak niewszystko. Wystąpił teraz sławny *Romantyk* Mochnacki. Nawet gniewać się nie można za niedorzeczności takiego rodzaju. Ani sensu, ani związku. Ciebie, siebie, nie rozumie, a nabazgrał długą kolumnę bez sensu, bez rozsądku, tylko ze zwykłym naszych romantyków grubiaństwem, nierozsądkiem, a nadewszystko presumcją. Zapewne ruszyłeś ramionami z politowania. Tak tu wszyscy zrobili. Gdy romantycy wzięli za godło: „Mądry przedysputował, ale głupi pobił” — któż się wda z tymi pijanymi parobkami literatury w polemikę?... Chłędowski i Szaniawski są szczególnymi opiekunami tego waryata, i uzuchwalony ich protekcją powiedział sobie i wydrukował, że więcej waży niż Krasicki, Trembecki i Szymanowski. Grzymała Franciszek indygowany tym artykułem, zabiera się odpisać i odłajać, lecz dotąd jęczy i nie może nie urodzić.

"...Pokazuje się teraz, że głupi artykuł *Romantycy* o twoich wierszach pisał Ostrowski (J. B. O.) młody, którego protegowaleś w Lublinie i w Warszawie; który za pierwszą swoją wizytą u mnie zraził mię krzywą głową, a którego Chłędowski wziął za kollaboratora do swego dziennika. Na brednie odpisywać nie trzeba, lecz odkryliśmy w tych młodych jeszcze jedną zaletę—wdzięczność."

Na tęp kończą się rozprawy i uwagi w ważniejszych kwestych literackich zebrane z tych korespondencyj. Od-

tańd rzadko tylko spotyka się gwałtowniejszy wybuch gniewu przeciw romantykom, chyba że z obozu ich jaki nowy plód wystrzelił i żółć klasyczną poruszył.

Ukazanie się *Zamku Kaniowskiego*, tój silnój, męskiej poezji wyrwanej z duszy rozszalałego hajdamactwa, wywołało indygnacyę Morawskiego, który tak o tém w liście donosi:

„Cały tydzień na moją zwykłą chorobę leżałem w łóżku, i wiesz com robił? Oto drugi raz czytałem *Zamek Kaniowski*! Szczęściem, że mię nie dobil! Przez jakież konwulsye przechodzić trzeba! Wszystkie razem budzi uczucia: śmiech, gniew, oburzenie, a najwięcej litość. Ale co mię najbardziej zasmuca, to ta mowa polska, która już do tego stopnia upada, że podobne dzieła nietylko głoszone drukiem, lecz i czytane bywają. Jakże krótkiego czasu było potrzeba do tak sprosnego jěj oskaradzenia!

„Gdzież jěj piękność, gdzie wzniosłość, gdzie czystość bez
[skazy?

Gdzież te męskie, malowne i wdzięczne wyrazy,
Czułe, jak miłość matki, jak prawda niemylna,
Brzmiące jak szczełk oręża, jak cios śniereci silne?
Ach wkrótce pono, wkrótce, przed szalem ślepoty
Runie ten Zygmunrowskich wieków posąg złoty,
I pychę nowych Glińskich obalony zdradnie,
W bezdenną barbarzyństwa znowu otchłań padnie.
Polsko! jakże się kiedyś płaczące po tobie
Nasze wnuki na twoim zrozumieją grobie?”

Morawski przeląkł się prowinecyonalizmów wprowadzonych do mowy pisaněj. Nie pojmował on, że bogactwo języka ogromnie na tém zyska; ale przeczcucie ostrzegało go, że po za tém coś innego się ukrywa, co przeprowadzone przez wszystkie inne konsekwencye mogłoby podkopać idealną jedność całości...

Te mgliste, przeczcuciowe instynkta zachowawczości, kierowały całą szkołą klasyków; ztąd taka nienawiść do nowatorów romantycznych, takie uparte odmawianie im

wszelkich darów pisarskich, taka ślepotą na uderzające piękności w ich utworach. Na nieszczęście nie umieli oni ani mogli pozycyi swojej obronić w obec zentuzyazmowanego ogółu młodych, żywiej czujących, mniej rozumujących umysłów, i w obec zwyczajstw, jakie codzień odnosiła nowa poezya i nowe wyobrażenia w literaturze. Nie mając tedy w tym kierunku żadnego punktu oparcia, prócz swojej powagi i powag, którym hołdowali tradycyjnie, musieli ulegć prądowi, który nie tylko ich reguły pisarskie, ale i polityczny porządek rozsądził.

Konserwatyści pełni patryotyzmu i doświadczenia, lękali się o stratę nabytków osiągniętych przez rzadki zbieg okoliczności, nabytków zostających na łasce mocniejszego; przeczuwali, że się coś innego święci po za tym sztandarem ballad i wierszowanych powieści. Osiński, choć głowa tak lekka, a pewnego razu odezwał się w gronie zaufanych przyjaciół: „Kiedy widzę, że dziś zwłaszcza młodzież wielbi i podziwia to, czego my zrozumieć nie możemy, wpadam na myśl, że ta ich poezya, ta ich mowa, jest jakby umówionym, tajemnym między nimi językiem, nieprzystępnym dla nas znaczenie kryjącym.” Na te słowa wszyscy zamyślili się i zamilkli, tylko Niemcewicz odezwał się: „Choćby ta uwaga sprawiedliwą być miała, nie trzeba jej powtarzać.”

Przytoczony ten fakt w jednym z późniejszych pism Andrzeja Koźmiana, dowodzi, że przewidywano na co się zanoszono — a jednak dziwnym sposobem nie umiano niczem zażegnać grożącego niebezpieczeństwa, ani wpływem dalej widzącego patryotyzmu, ani przewagą wytrawnych zdań literackich. Komeraze stołeczne, kilka satyr i ucinków, a na koniec listy potrącające o kwestye bieżące, które posłużyły do złożenia powyższego rysu, oto wszystko, na co się wysiliły ówczesne powagi klasycznego obozu. Przyznając sobie nieomyślność i zarozumiałą wyższość tam, gdzie jej nie mieli — musieli przyjąć rolę stronnictwa i wytrzymywać szturmy literackie, podkopujące jednocześnie ich autorską i obywatelską powagę.

Oda do Młodości dotrzymała swego programu, któremu nie mógł przeszkodzić *List do Pizonów*, tak samo, jakby kto dla zasłonięcia się od trąby powietrznej stawiał parawaniki z chińskimi karykaturami.

Tych kilka ostatnich uwag sądzę być potrzebnymi dla osłabienia śmieszności, jakaby mogła padać na warszawskich klasyków za ich gniewy, szyderstwa, wzdurliwe zdania wymierzone przeciw romantykom. Tym ostatnim nie a nie nie przeszkodziły one wznieść się do tego szczytu, na którym znalazła ich dzisiejsza potomność. Mickiewicz, Mochnacki, Witwicki, Goszczyński, Odyniec doszli, dokąd doprowadzić miał geniusz lub talent, a i sami koryfeusze klasycznego obozu przejrzawszy później, abdykowali z wielu swoich uprzedzeń i nienawiści, a co lepsza i z przestarzałych teoryj. Kajetan Koźmian w młodszych latach, kiedy miał oczy wlepione w Wirgila i Horacego, nie byłby podołał *Czarnieckiemu* i nie ułał takiego brązowego posągu swemu bohaterowi, jak później, kiedy rozgrzany ciepłemi śpiewaka *Przedświtu*, rozszerzył horyzonty swój wyobraźni i czucia.

Generał Morawski, który w czasie klasyczno-romantycznego boju często bił się z myślami, a jednak nie odstępował swego sztandaru,—później, kiedy go gniotły więzy zwietrzałych teoryj i nacisk koteryjny, posłyszał w głębi duszy wielki ton pieśni rodzimój, i stworzył *Dworzec* swojego dziadka. Andrzej Koźmian, wtedy młodzian, wytresowany w konwencyonalnych regułach stołecznych salonów, zmienił także swój ciasny sposób widzenia, i w późniejszych pismach umiał wybornie oceniać ducha tamtęj epoki i ludzi. Jeden tylko Osiński zstąpił do grobu ze swoją *Odą do Kopernika*, z Laharpe'm pod pachą i z dwoma wierszami parodyi z *Dziadów*.

Nie przeszkadza to jednak, żeby korespondencye, z których podałem wyjątki, nie miały być najwiarogodniejszym komentarzem do wyobrażeń literackich, mających obieg od r. 1823 do 1830.

Aczkolwiek literacki ten rozterk poszedł dziś w zapomnienie, stłumiony tryumfem wyobrażeń innego pocho-

dzenia i porządku, niemniej dowiódł on najistotniejszej żywotności naszej literatury.

Gdyby naród nasz, jak wiele innych, produkował same tylko książki, a nie literaturę — nigdy nie przyszłoby do walki. Namiętność ścierających się z sobą opinij dowiodła właśnie ważności rzeczy, o którą szło jednym i drugim.

Na odwrot, tam, gdzie były książki, a literatury nie było — romantyzm usadowił się bez oporu, jak modna nowość, i nie więcej.

XXIV.

ANIOŁ SZŁĄZAK

(Angelus Silesius v. Szeffler).

1624—1677.

I.

Osobliwe to zjawisko, poeta mistyk, występujący w XVII stuleciu, wśród największych zawichrzeń religijnych, mocno nadwątlonych tradycyj, i to między Niemcami, narodem wcielonej negacyi, a występujący w charakterze nowo nawróconego doktora filozofii i medycyny. Poetą tym, nawróconym i wierzącym, jest wysoko ceniony w literaturze niemieckiej *Angelus Silesius*. Krytycy z uszanowaniem zdejmują przed nim czapkę, i wyznawają, że przed nim i długo po nim nie było nikogo, ktoby pisał tak pięknym językiem, a myśli miał tak oryginalne, szczytne i głębokie. Z tego samego tytułu wartoby już zapoznać się z tym niepospolitym człowiekiem.

Nazwisko jego Angelus Silesius pierwszy raz wzmiankowane u nas w filozoficzno-mistycznych dystychach Mickiewicza noszących tytuł: *Zdania i Uwagi* z dzieł Jakóba Böhm'ego, Anioła Szlązaka i Saint-Martin'a zebrane. Wiadomości bliższj, o ile wiem, nikt o nim nie podał, ani pytał, co za jeden? chociaż sama ta okoliczność, że nad nim myśl swoją zatrzymał geniusz naszego wieszcza, powinna była

natchnąć ciekawością poznania go bliżej. Zresztą tłómaczy się to panującym uprzedzeniem do pism tełnących duchem religijnym, a zwłaszcza mistyką, które zapewne dla wielu umysłów na równi stoją z kabałą, lub z czemś tak chorowitem jak gorączkowe hallucynacye, a w każdym razie są tylko niepotrzebną mordęgą dla praktycznego rozumu, poprzestającego na tém, co zaspakaja zmysłowe potrzeby. Bądź co bądź, bliższe poznanie się z poetą szlązkim XVII wieku, kto wie czy nie naprowadzi na to postrzeżenie, że obok głośnych koryfeuszów, jakich ma każda literatura, mogą się znachodzić w cieniu padającym od ich wielkości, niepospolite głowy i pierwszorzędne talenta, które dla tego tylko nie wypłynęły, że nie zgadzając się z prądem swego społeczeństwa, swoją szły drogą.

II.

Jan Szeffler, znany niemiecko-szlązki poeta pod imieniem Angelus Silesius (Anioł Szlązak) przyszedł na świat we Wrocławiu 1624. Ojcem jego był Stanisław Szeffler, Krakowianin, z ojca i dziada połączony ze szlacheckimi rodzinami Glińskich i Dembińskich (Rawiczów), zasłużony w wielu okazyach pod królem Batorym i Zygmuntem III, wyniesiony był przez tego drugiego do stanu rycerskiego, jak świadczy dyplom (*) wydany mu na sejmie warszawskim dnia 17 marca 1597.

(*) Szczęśliwym trafem znalazła się w aktach grodzkich krakowskich oblata dyplomu wydanego Szefflerowi, której wynalezienie zawdzięczam panu Suszezyńskiemu archiwistcie grodzkiemu. Jest zatem niezbity dowód oparty na dołączonym na końcu dopisie dyplomu, czém był Stanisław Szeffler. Zgadza się na to i uczony prof. wrocławski dr. August Kahlert, w dziełku swoim o Angelusie Sileziuszu: Eine literar-historische Untersuchung. Breslau 1853. Rozprawa ta była moim przewodnikiem w niniejszej pracy. Pan Kahlert dodaje jeszcze ten szczegół, że Stanisław Szeffler pisał się panem na Borwiczach (Herr zu Borwiche). Mniemam, że to pomyłka, i że mógł być właścicielem Bronowie, wioski pod Krakowem. Herb zaś jego nazywał się: *Dwuwieża*.

Niewiadomo, co szlachcica polskiego, zaszczyconego klejnotem i łaską królewską, mogło zmusić do opuszczenia Rzeczypospolitej, przypuszczenie bowiem niemieckich pisarzy, że do tego zmusiły go religijne prześladowania różnowierców, nie ma żadnego prawdopodobieństwa. Różnowiercy tak wysoko nosili głowę i mieli tak potężne za sobą plecy, że dla samych różnicy wyznaniowej mogli w kraju osiedzieć. Surowe prawa na arianów, politycznych zdrajców, nastąpiły o jakie trzydzieści lat później. Stanisław Szeffler nie był ani arianinem, ani socyaninem, tylko wyznania augsburskiego, jak się z tem za przybyciem do Wrocławia wyraźnie oświadczył, a i syna swego tam urodzonego wychowywał w témże wyznaniu (*).

O młodości Jana Szefflera mamy drobne tylko szczegóły. Chodził do gimnazjum wrocławskiego, gdzie już zaczął pisywać wiersze—potem na wyższe studia uczęszczał w Straszburгу—przebywał parę lat w Holandyi—a nakoniec na uniwersytecie padewskim otrzymał stopień doktora filozofii i medycyny, a na patencie przy imieniu ojca jego figuruje tytuł *eques polonus* (**). Powróciwszy z Włoch, znalazł miejsce nadwornego lekarza przy księciu Oleśnickim Sylwiuszu Nimrodzie, gdzie przez trzy lata zostawał, zapewne niebardzo sympatyzując z metodyzmem fanatycznego luteranina, który paragrafami przepisywał swoim poddanym reguły obyczajów życia. Jednakże w położeniu swém znajdował niemałą pociechę przez blizkie sąsiedztwo z przyjacielem swoim Frankenbergiem, który był wielkim wielbicielem, a nawet wydawcą pism sławnego pseudonimistyka Jakóba Böhme'go. Szeffler, jeszcze za pobytu swego w Holandyi, gdzie tyle rozmaitych sekciarzy miało schronienie, zaczerpnął był tej filozofii mistycznej, która

(*) Dyplom na szlachectwo mówi, że Stanisław Szeffler z żoną swoją Anną Wilczkówną brał ślub w kościele katolickim, co jednaki nie zbija tego, że mógł być protestantem.

(**) Johannem Sefflerum, filium viri nobilissimi et amplissimi Stanislai Seffleri equitis Poloni, doctorem philosophiae et medicinae—tak mówi patent doktorski.

wyżej się stawiała nad wszystkie religie, mieniać się religionum *cor* i. e. *catholicae, orthodoxae et reformatae* (*).

Zdaje się, że zgon Frankenberga, który Szefflerowi zapisał swoją najcenniejszą (mistyczną) bibliotekę, uczynił mu dłuższy pobyt w Oleśnicy nieznosnym. Najsilniejszy węzeł duchowego powinowactwa raz zerwany, robił próżnię koło niego. Przeniósł się też do Wrocławia i tam w r. 1653 uczynił ważny krok w życiu: w kościele krzyżackim S. Mateusza wyrzekł się błędów Lutra i przyjął rzymskokatolicką wiarę, a do swego imienia Jan przybrał Angelus. Akt ten ogromne wywołał nań krzyki — trzeba bowiem wiedzieć, że protestantyzm od stu lat prawie rozmógł się we Wrocławiu, ogarnął większą część ludności, a nad katolikami ciążył bezwzględnie nietolerancją. Duchowieństwo opierało się tej przewadze, lecz nie miało dość siły, co widząc przeor Krzyżaków, Hartmann, sprowadził był przed kilkunastu laty dwóch księży Towarzystwa Jezusowego, ma się rozumieć tajemnie, a ci prawdziwi atleci w walce o prawdę, dokonali tego wymową, gorliwością i poświęceniem się, że mnóstwo zacniejszych osób, żyjących w błędzie odszczepieństwa, zaczęło wracać do kościoła, z którego wyszło. Najbardziej jednak oburzyli się akatolicy na Szefflera, który miał sławę biegłego lekarza i bardzo uczonego człowieka. Paszkwile, pamflety, karykatury posypały się gradem. Nie wiemy, czy że go dotknęło do żywego to oburzenie się opinii, czy też potrzebował wytłómaczyć się z tego kroku, aby drugim oczy otworzyć — dość, że wydał pismo, w którym wyluszczał powody swego nawrócenia się, powiada: „Postąpiłem sobie, jak każdy szczery chrześcianin postąpić powinien, albowiem to, co w sercu nosilem, w zupełnej zgodzie z sumieniem, wygłosiłem ustami.”

Robiono mu różne zarzuty, że krok ten uczynił z biedy, że znowu dla tego, aby uzyskać względy domu rakuskiego; lecz tylko ślepa nienawiść mogła to wymyślić — bo Szeffler miał i po ojcu znaczny majątek, i zebrał też dosyć na praktyce lekarskiej, a dwór austriacki dając mu tytuł

(*) Ortodoksami nazywano lutrów, reformowanymi kalwinów.

hofmedyka, nie wzbogacił go, ani wyniósł na wysokie do-
stojeństwa.

Gorące serce, duch ognisty poety, znalazły się w swo-
im żywiole. Na podziękowanie Bogu, że go łaską swoją
oświecił i z drogi błędu na drogę zbawienia sprowadził,
odbył pielgrzymkę pieszo do klasztoru w Trzebnicy o trzy
mile od Wrocławia. Ksiądz Schwartz w mowie mianej na
jego pogrzebie, powiada, że pielgrzymował w jednej ręce
niosąc krucyfiks, w drugiej świecę, a na głowie miał cier-
niową koronę.

Uczucia i myśli jego stłumione metodyzmem, ziębione
racyonalizmem protestanckim — wylały się teraz szerokim
strumieniem. Odkrył się w nim poeta, jak równego mu
nie było w Niemczech, myśliciel, mistyk głęboki i natchnio-
ny. Odsłonił też, że tak powiem, skarbiec swój wewnętrzny,
ogłaszając w Wiedniu r. 1657 zbiór tysiąca kilkuset dwu-
wierszy pod tytułem: *Cherubinischer Wandersmann* (Piel-
grzym Cherubiński), który później wyszedł pomnożony
w wielu wydaniach. — Zaraz potem ukazało się inne jego
poetyczne dzieło: *Heilige Seelenlust* — Święte duszy wesele,
czyli pastoralki w Jezusie swoim zakochanej Psychy (du-
szy), wyśpiewane przez Jana Angelo Silesio, z melodyami
ułożonemi przez Georgio Josepho, we Wrocławiu; approbata
cenzury wydana w roku 1657. Ostatnie dzieło: *Sinnliche
Betrachtung der vier letzten Dinge* (Rozpamiętywanie
czterech rzeczy ostatecznych), wyszło w Świdnicy 1675 r.

Religijne te poezye, o ile można wnioskować, powstały
w okresie lat ośmiu; to jest: od nawrócenia się do katolic-
kiego kościoła do przyjęcia ślubów zakonnych. W roku
bowiem 1661 przywdział habit Braci Mniejszych Ś-go Fran-
ciszka, a w następnym już odebrał święcenia kapłańskie
w Nissie, i na processyi Bożego Ciała, solennie odprawianej
we Wrocławiu w r. 1663, co było tam od stu lat nieprak-
tykowanem widowiskiem, niósł monstrancyę. Odtąd zaczyna
się dla niego nowy zawód, do którego nie ciągnęło go
wewnętrzne usposobienie, lecz który musiał przyjąć na sie-
bie, w posłuszeństwie dla zwierzchności duchownej. Angelus
Silesius odpowiada za mistyczne poezye, gdyż tylko pseu-
donim figuruje na wszystkich wydaniach, — teraz zaczyna

występować Jan Szeffler, autor mnóstwa pism polemicznych, w których wzywa już do wojny przeciw Turkom, grassującym na Węgrzech i zagrażającym rakuskiej stolicy, już rękawicę rzuca błędom protestanckim, już się ujada z napastnikami nieszczędnymi obelg na kościół i na niego. Siła słowa, dzielność argumentów, dyalektyka niepuszczająca płazem żadnej zaczepki — wszystko to, naprowadzało na domysł, że kochający taką anielską miłością poeta Angelus Silesius, nie jest jedną i tą samą osobą, co Jan Szeffler, bież na kacerzy, niezmordowany polemista.

Miedzy innymi dr. Schrader wydał w Halli (1853) rozprawę, w której zestawiając gromiącego ducha polemiki Szefflera z pełnem miłości namaszczeniem poetycznego Angelusa Silesiusa, wykazuje psychologiczne niepodobieństwo, aby te przeciwności dały się pogodzić w jednej i tej samej osobie. Na te wątpliwości odpowiedział niewątpliwemi dowodami dr. Kahlert, prof. uniwersytetu wrocławskiego, i dowiódł tożsamości osoby. Wszakże nie przytoczył jednego najważniejszego argumentu, że gromiąca herezyę polemika nie wyklucza miłości; przeciwników i nieprzyjaciół kościoła można kochać, jak bliźnich, i dla tego wytykać im błędy. Moderantyzm na nie się zda tam, gdzie trzeba postawić prawdę całą i zdeterminowaną; półśrodki bowiem zawsze niemal prowadzą do coraz większych koncesyj, — a tych kościół nie robi z tej prostej przyczyny, że robiąc je, przestałby być samym sobą.

Poeta mistyczny przedzierzgnięty w polemistę zstępował z krainy bogomyślności na ziemię i musiał się ucierać z rzeczywistością. Że to nie dogadzało jego duchownym skłonnościom, widać z przedmowy do *Ecclesiologii*, w której zebrał 39 pism swoich polemicznych. Tam mówi: „Chociaż rad nierad, musiałem mój spokój duchowy poświęcić sprawom kościoła, i z niemałym gwałtem wydrzeć się wewnętrznemu życiu, aby wystąpić czynnie, jednakowoż skłoniła mnie do tego wielka miłość Chrystusa, a głównie przykład Ś-go Augustyna. Trudno mi to przyszło, bardzo trudno — a przecież w nagrodę nic innego nie zebrałem na tém polu prócz niewdzięczności, nienawiści i prześladowania. Obelgi, potwarze, szyderstwa opadły mię, jak rój

szerszeni. Sypały się zewsząd hańbiące pisma, paszkwile, ryciny. Nawet przed cesarskim urzędem oskarżono mię, że wicherzyciel i buntownik. A cóż się działo w méj duszy, gdy i wielu katolików (moderantów), co z wielkiej miłości wołało widzieć kacerzy raczej w piekle, niż żeby się mieli gniewać za prawdę—gdy i sami katolicy patrzali na mnie krzywem okiem! A jednak polykałem te wszystkie utrapienia cierpliwie.”

Przedmowę tę pisał na rok przed śmiercią.

Na tém skończyła się jego czynność literacka, tego bogatych zdolności i ciężko doświadczanego męża, u którego duch poetyczny zawsze był górą. W wieku zawichrzeń i walk religijnych nie chciał on pogрузić się w kwietyzm i obojętnem okiem patrzeć na to, co się działo dookoła, lecz owszem stanąć w szeregu z innymi obrońcami kościoła. Ztąd przejście z bogomyślności do stanu czynnego działania nie jest wcale tak sprzeczne z jego usposobieniem wewnętrznem, jak to niektórzy mieć chcieli. W jednym ze swoich pism polemicznych sam robi niejako rozbrat z dawniejszym swoim stanem, gdy mówi: „Pisma moje (teraźniejsze) nie są z rodzaju subtelnych pytań o Boga, lecz są wyrazem prawdziwego kościoła, a jako oświecony chrześcianin i kapłan mogę o nim coś wiedzieć.” W samém mistic, którą teraz odłożył na bok, umiał robić rozróżnienie—wypiera się też pseudomistyka Jakóba Boehm’ego, o którym mówi, że go tak samo, jak Lutra, nie miał nigdy za proroka. Przyznaje się jednak, że będąc w Hollandyi, czytał niektóre jego pisma, ale z nich odniósł tylko ujemne korzyści. Mówi on o nich: „Były one jedną z przyczyn, że przez nie przyszedłem do poznania prawdy i nawróciłem się do kościoła katolickiego. Przekonałem się, że luteranie nie mają gruntu pod sobą, i że każdy cokolwiek uczeńszy wykląda podług siebie Pismo Ś. i robi z niego co mu się podoba. Pokazuje się z tych przytoczeń, że poetyczną swoją mistykę pożegnał, zamieniając na obowiązki gorliwego kapłana.— Na ostatek dni swoich, złożył urzędy duchowne i zamknął się w zaciszy klasztornej, gdzie w ciężkich cierpieniach ciała, dogorywał. Ks. Schwartz, mówca pogrzebowy, powiada o nim: „Szczupły pokarm, jakim się

obchodził, wysuszył mu ciało, że się stał podobnym do bezcielesnego ducha. Na wiele tygodni przed zgonem nikogo nie dopuszczał do siebie.” — Umarł też po długiej chorobie w 53 roku życia, dnia 9 lipca 1677 r. Umierając nie nie zostawił po sobie, tylko starą sutannę, — znaczne zaś pieniądze, jakie miał, rozdał już był na różne fundusze dla ubogich miasta.

III.

Mistyczne poezye Anioła Szlązaka (pod tém imieniem ogłaszał je) mają ten wspólny charakter z utworami innych mistyków, że nie są nic a nic polemiczne. Ś. Teresa, Ś. Jan od krzyża, nie staczają walk z reformacją, zdają się nawet nie wiedzieć o niej, tak wszystko, co się koło nich dzieje, nie powiem, jest im obojętne, lecz z tej wysokości, do której wzbili się duchem, znikome. Nasz szlązki mistyczny poeta, choć w koło niego namiętności religijne, często polityką podszyte, głuszają wszelki spokojniejszy pogląd, i tylko wysilają się na wydystylowanie najzjadliwszej nienawiści — ma oko w całkiem inny świat zwrócone; myśl jego skoncentrowana wewnątrz, ani na chwilę nie wybiega w rzeczywistość, nie oburza się nią, nie częstuje jej morałem, — tylko z najgłębszych tajników sypie złote ziarna bożej mądrości i zdaje się mówić: „Bierzcie, albo nie bierzcie, ja prawdę zdobywam i tę wam daję, jak róża wonność swoją, lub słowik pieśni.” — Traktatów mistycznych nie pisał Angelus; mistyka jego zawarła się w dwu lub czterowierszowych zdaniach, rzucanych bez obmyślanego z góry planu, ale tak dorywczo, jak się rodziły w duszy. Tym sposobem powstał tysiąc kilkaset dystychów liczący *Pielgrzym Cherubiński* (Cherubinischer Wandersmann) z razu w czterech, następnie w sześciu księgach wydany. Aby dać o tym utworze pojęcie, a głównie, żeby skreślić doktrynę mistyczną, ujętą w tę rozdrobioną, luźną formę, zachodzi wielka trudność, gdyż wypadaloby, aby ktoś uporządkował zdania mające związek z sobą, co prawie jest niepodobnem ze względu, iż w sferze duchowej wszystko w całość się zlewa, koncentruje się w jednym ognisku — w Bogu. W każdym też

zdaniu jest coś, co się nie da od reszty odłączyć, i tak może należeć do téj, jak do innéj kategorii. Zresztą poeta mistyk sam nie chciał usystematyzować swoich myśli, kiedy je tak spisywał jak przychodziły — a nie się na tém nie traci, bo gdziekolwiek go otworzysz, zawsze wsypie się ziarno i padnie ci w duszę.

Po większej części kilkaset dwuwierszowych zdań ściąga się do metafizyki i mistycznej teologii, mniejsza część jest psychologiczną i etyczną, a wszystkie w ogóle wyszły z wysokiego podniesienia się w duchu. Myśli o Bogu i świecie wzięte nierozdzielnie dopełniają się tu i tłómaczą nawzajem. Poeta używając ciągłych aforyzmów, naraża się często z braku precyzji na dwuznaczny wykład; pomawiano go też o panteizm, jak tylu innych mistyków, ale on stanowczo odparł ten zarzut w przedmowie do drugiego wydania swego *Pielgrzyma*, mówiąc, że nigdy tak nie myślał, aby dusza nasza stworzona miała i mogła utracić swoją istność i przez zbożenie się stać się Bogiem, lub zamienić się w niestworzoną istność. Nigdy! przenigdy być to nie może — i powołując się na zdania mistyków jak Tauler, Ruysbroek, Ś. Bernard, Ś. Bonawentura, dowodzi, że jak oni i on nie przekroczył granic osobistości boskiej.

Ażeby się bliżej poznać z poetą, przytoczymy niektóre przypowieści odnoszące się do wszechświata, do wieczności, do czasu, a po tych przyjdą takie, gdzie mówi o pojmowaniu Boga przez człowieka i o jego stosunku do Boga, równie jak o zbawieniu nas przez Chrystusa.

Wszechświat w pojęciu poety nie ma granic, również pod względem bytu nieskończony; porównanie z kulą lub lotem ptaka odrzuca, jak odrzuca wszelkie zmysłowe obrazy. Koniec świata będzie przeobrażeniem świata, czy oswobodzeniem go od ciężacéj na nim ciemnoty. Pod ciemnotą rozumie on to prawo konieczności, które nadaje ruch materji, rozwija ją i niszczy — my zaś otoczeni materją nie widzimy unoszącego się nad nią światła wolności. Oto niektóre ze zdań téj kategorii:

Jak nie wiesz czém są świata bożego ogromy,
Tak nie wiesz, czy okrągłym jest ten świat widomy.

Czas jest jak wieczność, wieczność na czas się przemienia,
Jeśli nie robisz między nimi rozróżnienia.

Ty sam czas robisz—zmysły, to kółka w zegarze:
Stłum niepokój,—a czas już oczu nie pokaże.

Mówią: czas bieży—w biegu kto widział go przecię?
Czas leży nieruchomy w pojęciu o świetle.

—Świat się skończy.—O nigdy! świat nie jest bez duszy;
Lecz Bóg ciężące na nim ciemności pokruszy.

Bóg jest podstawą wszystkiego, co jest: niezgruntowany, wiekuisty, wszechwiedzący, miłosierny. Złe nie jest w nim, lecz w człowieku. Istotą Boga — miłość. Poeta, najwięcej zdań swoich poświęca miłości, tej miłości mistycznej, która prowadzi duszę, oblubienicę do połączenia się z oblubieńcem. Z tej kategorii przytaczam kilka:

Im więcej poznasz Boga, tym mniej jesteś w stanie
Pojąć go i na jego zdobyć się nazwanie.

Imię Boga chcesz w czasie wygłosić obrębem,
Gdy Go nazwać nie mogą i wieczności głębie?!

Bóg nie stoi na niczym, niczym się nie mierzy;
Kto duchem jak On będzie, pozna go, uwierzy.

Bóg jest tak sprawiedliwy, że gdyby dziś może
Był kto wyższy—on czołem biłby mu w pokorze.

Bóg nie myśli—bo niechby myśl w nim pracowała,
Więc mogłaby się zachwiać;—myśl boża—to skała.

Nie nie trwa bez użycia: sam Bóg się używa —
Bez czego takby usechł jak niezżęta niwa.

Miłość w naturze Boga, kochać jego rzeczą;
Chcesz być jak On, miłością kochaj nadezłowieczą.

Bóg nie robi nowości; choć coś nowém zda się,
Dla niego to już było, co ma stać się w czasie.

Miłosierdziem szeroki, głęboki mądrością,
Wszechpotęgą wysoki, Bóg długi wiecznością.

Wszystkie liczby spływają w jednostkę jedyną,
I żyjotka z jednostki bożej wszystkie płyną.

Czém jest Bóg? jak Go nazwać? czy światłem, czy rajem?
Czy duchem, czy nazwiskiem, jakie Bóztwu dajem?
Czy mądrością, rozumem, wolą lub miłością?
Czy rzeczą, czy nierzeczą, ideą, nicością?
Czém On jest, nikt nie powie — próżne głów łamanie,
Dopóki jak On takim człowiek się nie stanie.

Ostatni ten sześciowiersz wyraźnie powiada, że człowiek do poznania Boga nie dochodzi przez badanie myślą, twierdzi nawet, że to niemożliwe całkiem; bo jeżeli człowiek chce dociec boskiej istoty, powinien doskonałością ducha stać się jak Bóg, i tym sposobem przyjsć do poznania go. Trzymając się téj nici, tłumaczy stosunek Stwórcy do rzeczy stworzonych. W następujących teraz kilku zdaniach podaje niby zarys chrześcijańskiej etyki; — głównie jednak przebijają się w nich ta myśl, że istota człowieka jest niepojęta, lecz osadzona w ciasnym kółku, nie trac możliwości wydobyć się z téj cieśni, aby potęgą rozwiniętych skrzydeł wzbić się aż do Boga i z Nim się połączyć.

Z następujących zdań przeglądają te wyobrażenia:

Świat ten ma dwoje oczu: jedno w czas spoziera,
Drugie się na wieczności Ocean otwiera.

Kto nad samego siebie duchem się nie wzbije,
Taki raczej w człowieczym stanie niech nie żyje.

Cudowna to rzecz człowiek, któremu jest danem
Tak robić, że się zrobi Bogiem lub szatanem.

Człowiek w stosunkach ziemskich napotyka trudności
połączenia się z Bogiem. *Pielgrzym Cherubiński* chce mu
wskazać i ułatwić tę drogę, do czego nie posłużyły ani
nauka, ani wyższa filozofia, ani dobre uczynki, ani nawet
sama bojaźń Boga, lecz tylko wyrzeczenie się siebie, po-
kora i miłość, ta miłość, która wyłącznie tylko do Boga
ma być skierowana:

Mądrość źródłem, z którego im kto więcej pije,
Tém się staje pełniejsze, wyżej w niebo bije.

Pięknie jest wiele wiedzieć, lecz większa pociecha,
Kiedy kto od dzieciństwa czuje się bez grzechu.

Mędrzec w jeden cel mierzy, bo w dobro najwyższe,
Głupiec za wszystkiem goni i chwyta najbliższe.

Wierzaj mi, jeśli wszystko żądnemi oczyma
Posiąść chcesz, jesteś żebrak i nic w tobie niema.

Poczekaj! dokąd pędzę? Wszak niebo jest we mnie;
Szukać Boga gdzieindziej—daremnie! daremnie!

Najszlachetniejsza z istot w uszlachconém mnóstwie
Jest człowiek czystej duszy przy wielkiem ubóstwie.

Najprościej iść do Boga przez miłości bramę;
Droga nauki wiedzie przez zakręty same.

Miłość jest jak królowa; enoty jak panienki;
Uczynki jak służebne.—Mów: czyjś chcesz ręki?

Miłość staje przed Bogiem wprost bez odpowiedzi;
Rozum i dowcip długo w przedpokoju siedzi.

Miłość Boga tu jeszcze słodyczą cię poi;
Kto drży przed Nim—daleko od Boga on stoi.

Pokornych każdy kocha, pysznych nikt nie może;
Czemuż tak mało ludzi ćwiczy się w pokorze?

Róża jest bez „dla czego?” kwitnie, bo rozkwita,
Nie dba o siebie, ani czy ją widzą pyta.

Nie pojmuje on miłości Boga bez miłości człowieka,
i to w pięknym dwuwierszu wyraża:

Deszcz pada, słońce świeci wszystkim z każdej strony—
I tyś dla *drugich*, nie zaś dla *siebie* stworzony.

Gdzie poeta mówi o Chrystusie, jego przyjściu, nauce
i śmierci, wyraża to w mistyczny sposób. I tak:

W Bogu rodzi się człowiek, w Chrystusie umiera,
Dopiero w Duchu Świętym życie się otwiera.

Choćby Chrystus w Betleem sto razy się rodził,
A nie w tobie, toś przystęp do Nieba zagroził.

Sam ów krzyż na Golgocie od złego nie zbawi,
Jeśli kto w wnętrzu swoim krzyża nie postawi.

Zmartwychwstanie Chrystusa nic ci nie pomoże,
Dopóki w więzach grzechu leżysz ty nieboże.

Bóg stając się człowiekiem—tém samém dowodzi,
Że więcej o mnie, niżli o duchy mu chodzi.

Podobnie jak inni mistycey, i Angelus nie dopuszcza,
aby na drodze rozumowej można zgłębić naturę Boga;
przez jedną tylko miłość dochodzi się do tego. Piękny jest
ów dwuwiersz, gdzie mówi o Św. Augustynie:

Augustynie! nim pojdziesz Boga w jego treści,
Wprzód to morze ogromne w tym dołku się zmieści.

Niektórzy protestancy pisarze chcieli widzieć w tych
dystychach pojęcie czysto teozoficzne, bez żadnej przymieszki
katolickiej, — tymczasem znajduje się tam wiele takich,
które noszą cechę prawdziwego katolika, jak między
innemi:

Nie zów się mądrym, chociaż rozumu masz wiele:
Przed Bogiem mądry tylko katolik w kościele.

Nie spuszczaź się, żeś chrzczony, o szpetny grzeszniku!
Zbłocona lilia śmieciem zgnije na śmietniku.

Chleb Pański ma działanie mądrości kamienia (*):
Co się w nas roztopiło, to w złoto zamienia.

Śliczna Lilio! gdzie druga zrówna Twój urodzie?!
Nie znaleźć takiej drugiej i w rajskim ogrodzie.
Jaśniejiesz jako śniegi, gdy je niebo szklane
Potrząsa promieniami... Złoto wysypane
Zaćmi słońce i księżyc; zaćmi gwiazdy zwłaszcza—
Obłonki Twe piękniejsze, wspanialsze od płaszcza
Salomona, gdy zasiadł królewską stolicę—
Przy Tobie Serafinów gasną błyskawice.
Twa wonnością się poi wszystko co tu żyje,
Kto przed Bogiem się korzy, Tobie czołem bije.
Tyś piękności dziewiczej zbiór jest doskonały,
Tyś męczenników ramię, Tyś wieniec ich chwały.
O ena Lilio! zstąp do mnie—ożyw—a nie zginę,
Wiecznie patrząc i w Ciebie, i w Twoją Dziecinę!

Trudność to jest niemała wybierać te ziarna i układać je w jakiś systematyczny porządek — tém więcej, iż przekonałem się, jako ci, co to wykonać usiłowali (Kahlert, Schrader), niekoniecznie podołali temu zadaniu, do czego i sami się przyznawali. Przeznaczenie bowiem tych przypowieści Angelusa ma nieinny cel, tylko żeby je czytać gdziebądź się książka otworzy, czytać, biorąc w siebie ziarnko po ziarnku, nie wpierw jednak, aż póki nie skończy się rozmyślanie nad pierwszém. Z tych powodów, dla lepszego poznania się z tym bogatym plonem mądrości chrześcijańskiej, dołączam szereg wyborniejszych przypowieści, dających się więcej stosować do praktyki życia chrześcijańskiego:

Najwyższy, Niezmierzony—o to nie ma sprzeczeki,—
A przecież wchodził cały w serca komóreczki.

(*) Tak zwany kamień filozoficzny.

Ciało swe szanuj; skrzynka cudnej to roboty,
W niej wizerunek Boga chowaj jak klejnoty.

Sen jest trojaki: w śmierci śpią zwykle grzesznicy;
Leniwi w ziemi; w Bogu—Boga miłośnicy.

Trzeba skosztować piekła choć raz, chrześcianinie:
Unikniesz go za życia, po śmierci nie minie (*).

Wiele ksiąg—kłopot; jedną czytaj, a najdłużej
(Rozumiem tu Chrystusa),—na wieczność posłuż.

Bogacz na tej tu ziemi jakież zysk odnosi?
Że wszystko na raz straci, kiedy go śmierć skosi.

Kiedy bogacz na swoje ubóstwo się skarży,
Wierz mu, nie kłamie—większych nie znam ja nędzarzy.

Zrzuć ten ciężar—lekkimi winni być szermierze;
W bój idąc, worów złota nikt na grzbiet nie bierze.

Ostrożność jest potrzebna. Niejeden szwankował,
Że fórtki do swych zmysłów lepiej nie pilnował.

Kto się nad tego świata zamyśli obrazem,
Będzie w nim i Demokryt, i Heraklit razem.

(*) Jest pewna analogia z tem, co mówi Mickiewicz w *Dziadach*:

Kto nie dotknął ziemi ni razu,
Ten nigdy nie może być w Niebie.

Z kim się zwiążesz, od tego przyjmiesz i istotę,
Z Bogiem—bożką, a z dyablem dyabelską robotę.

Szukasz raju i chciałbyś dostać się tam prędzej,
Byś wolen był kłopotów i cierpień, i nędzy.
Czy go gdzie znajdziesz? nie wiem, lecz obmyj się z brudu
A w sercu swém się ujrzyysz wśród rajskiego cudu.

Budujesz na mniemaniach wśród trzasku i prasku.
Głupi, kto chce budować gmachy na tym piasku

Śpiący żołnierz na czacie—stracona to czata;
Duszę, co o swym wrogu nie wie—czeka strata.

Grzebiesz w Piśmie, i chciałbyś Bożego zeń Syna
Wyrzebać, a dowcipnie. Rzuć! to łatanina.
Lepiej pójdz do stajenki, całuj Mu rączęta—
I dusza Boga pojmie, Bogiem przeniknięta.

Jam jest biedną owieczką zabłąkaną w nocy,
Trafieź na dobrą drogę sama o swéj mocy?
Któż mi drogę pokaże? komuż ufać, komu?
Jezu przyjdź! weź na ręce i zanieś do domu.

Jak pajak ssie truciznę z najwonnieszej róży,
Tak samo Pismo Święte fałszują niektórzy.

Że Pan Bóg chce cię zbawić, wierz do pewnej miary;
Lecz, by zbawił bez ciebie—to za wiele wiary.

O cudo! wszystko goni za słodkim spoczynkiem,
A tylko zły człek z nudów wciąż kręci się młynkiem.

Człek ma trzech wrogów głównych: świat, szatana, siebie,—
Z ostatnim mu najtrudniej, aż nim go pogrzebie.

Nadzieja raz się kończy; uwidocznia wiara—
Językiem nikt nie włada, i wszystko jak mara
Znika z czasem; li miłość, ta jedna trwa wiecznie:
Budź ją w sobie za wczasu i pełń ją statecznie.

Jedwabnik wciąż pracuje, aby dostał skrzydeł,
A ty nie, abyś z ziemskich wyzwolił się sideł.

Co wciąż burzy i psuje,—zje się i wywróci;
Kto pędzi w zatracenie, do nicości wróci.

Moc przed prawem. U kogo przemoc ta nie kłamie,
Ten i bramy niebieskie przemocą wylamie.

Za *nic* nie w zysku; jeśli kładziesz *nic* na stawkę,
To i na wieki z *niczém* będziesz miał zabawkę.

Parobki w stajni, z trzodą lubią być pastuchy;
Jeśliś szlachcic—siedź w czystém i z czystymi duchy.

Zwierciadło li zewnętrzne pokazuje twarz;
Czemuż ono wewnętrznych rysów nie pokaże?

W tém mnóstwie przypowieści, osobiwie w pierwszych
dwóch i dwóch ostatnich księgach, zdania obracają się
w najrozmaitszy sposób około kilku głównych pomysłów,
jak miłość Boga, wzgarda świata, pokuta, pokora, podda-
nie się woli bożej, zlanie się duszy z Bogiem w wieczności,
i wszystko inne, co z tém się łączy. Dwie środkowe księgi,

trzecia i czwarta mniej są mistyczne, a więcéj związane z wyobrażeniami i nabożeństwem katolickim, co pokazują piękne przypowieści odnoszące się do życia Chrystusa, do Najświętszej Panny i do Świętych Pańskich. Między innemi spotyka się dwuwiersz poświęcony Św. Franciszkowi Serafickiemu:

Tu spoczywa Serafin! cud, że głaz nietknięty!
Jakże go nie przepalił ten płomienny Święty?!

Zresztą na tysiąc kilkaset zdań nigdzie nie spotyka się żadna alluzya do kwestyj religijnych rozdzierających ówczesne społeczeństwo na Szlązku, a osobiwie we Wrocławiu, który był ogniskiem zapasów teologicznych a przeciwnych sobie demonstracyj, z czego tylko ten można wyprowadzić wniosek, że Angelus ze wzrokiem utopionym w mistyczny świat swojej duszy, nie patrzy na to, co koło niego się dzieje, bożego mędrca nie dosięgają kipiące namiętności, tak dalece, że nawet ta forma epigrammatyczna, w której wyraża swoje pomysły i uczucia, nigdy go nie kusi, aby w najlżejszy sposób przyciał ludziom lub zdarzeniom swojego czasu. Cudowna wstrzemięźliwość, której że nie umiano sobie wytłómaczyć, usiłowano z Angelusa i Szefflera zrobić dwie osoby. Również godne zastanowienia, iż nigdzie siebie nie wyprowadził na scenę, chociaż nieustannie czyta w księdze tylko własnego serca. W jednym tylko czterowierszu, zdaje się być jakaś daleka wzmianka, że za pobożność swoją, za miłość dla Zbawiciela, naraził się na prześladowanie. Ten czterowiersz tak brzmi:

Cierń, co głowie Chrystusa zadał srogie bole,
Jak wieniec rozańcowy chcę nosić na czole,
Z jego ran brać płynący balsam w moje rany,
I jak on być wyszydzon, oplwan, biczowany.

Życzenie to spełniło się, nietyłe może za *Cherubińskiego Pielgrzyma*, ile za późniejsze wystąpienie do walki polemicznej z innowiercami. Owszem, książka ta zdań pobożnie-mistycznych miała od razu wielkie powodzenie, sam bowiem autor zrobił drugą powiększoną edycję, a za temi

poszły inne; powodzenie nie ograniczało się do samych katolików, lecz i do innych poszło wyznań. Pierwsi owego czasu uczeni, między nimi Leibnitz, zwrócili na nią uwagę, i podnosili wysoko jej filozoficzną wartość. Słowem była to wziętość uniwersalna, podobna do tej, jakiej używa dotąd książka o *Nasładowaniu Chrystusa*. Wszakże na *Che-rubińskiego Pielgrzymu* przyszedł czas, że o nim zapomniano, i dopiero na początku tego wieku wydobył go z zapomnienia Fryderyk Schlegel; potem Varnhagen v. Ense wydał wybrane z niego przypowieści więcej mistyczno-filozoficzne, z uwagami, jakie pod niektórymi zrobiła była sławna Rachel (Angelus Silesius u. Saint-Martin, Berlin 1849.) U nas pierwszy Mickiewicz zrobił wzmiankę o Aniele Szlązaku i dał z niego kilkanaście zdań, które pomieszawszy ze zdaniem Jakóba Böhme'go i St. Martin'a, utrudnił znalezienie i oddzielenie. Te jednak niewątpliwie są z Angelusa:

Niebo samo nie spadnie, trzeba je osiągnąć,
I Pan Bóg sam nie zstąpi, potrzeba go ściągnąć.

Trzymaj ten sznur, choć fala nad głową szaleje;
Wybrnąłby szatan, gdyby mógł chwycić nadzieję.

Niepokój jest zegarem, on czas ludziom stwarza,
Kto umorzył niepokój, wnet i czas umarza.

Inne wyliczę tylko z tytułów: *Środek, Wiecznością, Bogactwa Świętego, Nic darmo, Miara Bóstwa, Cnota, Boże Narodzenie, Figura nie zbawi, Gdzie Niebo, Warunek władzy*, i inne, które mniej więcej mają charakter mistyczno-teozoficzny.

IV.

Drugie poetyckie dzieło Angelusa, *Święta duszy zabawa*, czyli pieśni duchowne i pastoralki w Jezusie swoim zakochanej Psychy, wyśpiewane przez Jana Angelusa Sile-

siusa (*Heilige Seelenlust* oder *Geistliche Hirtenlieder*, gesungen von Johann Angelo Silesio) składa się z wielu pieśni na cześć Jezusa i Najświętszej Panny. Niektóre z tych pieśni dotąd, od lat dwudziestu śpiewane są tak w kościele katolickim, jak w luterskich zborach, z tą jednak różnicą, że w ostatnich uległy pewnym zmianom. Przemawia to na korzyść poety, którego gorąca i wzniosła dusza wszystkich obdziela i wewnętrznym pragnieniom dogadza. Także i to osobliwa, iż pieśni te już wtedy były po zborach śpiewane, kiedy panował między ewangelikami największy gniew na polemistę katolickiego. W trzech pierwszych księgach, na jakie podzielona, jak: *Święta duszy zabawa*, opiewa poeta połączenie się miłującej duszy z Chrystusem, i tworzy jakby liryczną epopeję, albowiem opiewając narodzenie się Chrystusa, towarzyszy mu przez cały żywot, a kończy na męczeństwie jego i ukrzyżowaniu. Jest to zupełny żywot Zbawiciela w pieśni. Kilkanaście liryk wstępnych wyraża niezmierną tęsknotę duszy, która w całej naturze widzi pustkę i czerzość; kiedyż przyjdzie Ten, co ma ją napęłnić swym duchem? Z tém łączy się uwielbienie dla Najświętszej Dziewicy mającej urodzić Zbawiciela i Odkupiciela świata. Inne pieśni pierwszej księgi opiewają igraszki Dzieciątka, z niezrównaną pieszczotliwością i uroczą prostotą, którą jednak psuje częste powoływanie się na mitologię pogańską, jak np. „Amor, nasz Jezus kochany,” albo „Kupidynie ślepe dziecko, wyśnoś się ztąd precz!” Charyty, nektary i inne tym podobne wyrażenia, psują harmonię tych obrazów natchnionych innym duchem. Zdaje się jednak, że poeta miał w tém nietyłe upodobanie pochodzące ze złego smaku, ile zamiar literacki. W przedmowie bowiem dowodzi wyższości poezyi opiewającej chwałę bożą, nad poezią światową, i pragnie tego, aby wszyscy poeci cały swój arsenał liryczny oddany na usługi „uroczej Dafny” lub „wiernych Damonów,” ofiarowali raczej Jezusowi, i pokazując im jak mają sobie w *tęj* materii poczynać, porównywa Galateę z wiekuistą dobrocią, Sophię z przedwieczną mądrością, Kallistę z bożką piękną, czyli widocznie kładzie nacisk, aby panujący wówczas smak sielankowy, który i w Niemczech, i u nas

był najpospolitszą formą poezji (Zimorowicz), podciągając pod wyobrażenia czysto chrześcijańskie, religijne. To samo razi i w naszych poetach owego wieku, którzy opiewając przedmioty religijne, hymny na cześć Bogarodzicy lub Zbawiciela, wszędzie prawie uciekają się do mitologicznych porównań lub przenośni. Jedni tylko mistyczni hiszpańscy poeci, jak Św. Teresa i Św. Jan od Krzyża, umieli oddzielić się murem od pogańskiego renesansu, jakby on nie istniał na świecie. Angelusowi trudno już było wyrzucić go całkiem, tak się był rozpanoszył w umysłach; obrał więc drogę pośrednią, i tym figurom z innego świata dawał symboliczne znaczenie chrześcijańskie, co, jak mniemam, działało się także i u naszych poetów, którzy będąc religijnego ducha, brali te pięknie brzmiące klasyczne nazwy do swoich pobożnych pieśni, jak brano styl greckich kapitelów i kolumn do świątyń pańskich.

Druga księga pieśni Angelusowych opiewa męczeństwo i ukrzyżowanie Chrystusa, wybierając sobie momenta, jak Chrystus się poci w Ogrójcu, biczowanie, Chrystus dźwiga krzyż, ukrzyżowanie, w następnych pieśniach zatapia się po szczególe w ranach Zbawiciela i rozpamiętywa je.

Trzecia księga mówi o zmartwychwstaniu, o drodze do Emausu, o wniebowstąpieniu, o darach Ducha Św., a na koniec opisuje miłość Psychy do swego Odkupiciela w rodzaju pieśni Salamonowej, co jest ulubionym tematem wszystkich mistycznych poetów, tłumaczących się w tym duchu, w jakim ją objaśnił był pierwszy Orygenes, a które to objaśnienie przyjęte zostało przez kościół; przybywa tu tylko nowy dowód, jak dalece poeta szlązki trzymał się drogi wytkniętej przez wielkich swoich poprzedników w mistyce, dla których pieśń Salomonowa służyła za jedyne punkty wyjścia, za temat nigdy niedający się wyczerpać, a zawsze świeży uczuciem, dla którego stan ekstazy był rzeczywistością niemal dotykana.

W czwartej księdze przychodzą pieśni na cześć Najświętszej Panny królowej nieba, także ewangelisty Św. Jana i Maryi Magdaleny, czyli trzech ziemskich wyobrazieli i miłości Chrystusa.

Piąta księga jest zbiorem pieśni rozmaitej treści, jak się zdaje, ułożonych później niż poprzednie księgi, a napisanych z widocznym celem, aby były w kościele śpiewane, są tu bowiem i tłumaczenia, i naśladowania łacińskich liturgicznych hymnów, jak: *Jesu corona virginem*, jak: *Veni Creator Spiritus*, lub *Cur mundus militat*.

W ogóle w pieśniach tych panuje duch gorącej pobożności, wyraz rzewny i tęskny; niekiedy tylko zrywa się męzka siła i grzmi szczytnym tonem hymnu.

Z pomiędzy tak obfitego zbioru, wybór tém trudniejszy, ile że w każdej pieśni świeci bodaj iskierka wyższego natchnienia, nieraz jedno poetyczne wyrażenie tak porywające, że mu oprzeć się niepodobna; wieleby zatem trzeba wybrać pieśni, aby dać poznać ich autora, lecz przeszłoby to i rozmiar tego pisma, i siły tłumacza. Dla tych powodów poprzestaję na jednej pieśni, która tchnie siłą i zapalem rycerskim, jakby w owym pobożnym słudze bożym, w owym zagłęzionym w bogomyślności mistyku, zagrała polska krew, i przez duszę, co dawno pożegnała marność tego świata, przemknął się tabór rycerski z hetmanem na czele ciągnący na niewierne:

— „Za mną! nasz hetman Chrystus tak woła,
Za mną! wy moi chrześciance!
Porzućcie świat ten, zdepczcie warchoła,
Dalej na moje wezwanie!
Krzyż swój niech każdy na barki bierze,
I gdzie ja idę za mną rycerze!

„Jam jest światłością, pochodnią enoty,
Świecić wam będę w ciagnieniu.
Kto przyjdzie do mnie, wstąpi w te rotę,
Nie pozostawię go w cieniu.
Jam jest szlak bity, i wiem którądy
Ciągnąć do prawdy, a nie w oblędy.

„Serce mam pełne pokory, ciszy,
Miłością duch mój rozgrzany;
Z ust mych nie złego nikt nie usłyszy,
Z nich płynie balsam na rany.
Dusza, uczucie, siła i władza
W Bogu złożona, i z nim się zgadza.

„Trudźcie was lęka? więc idę pierwszy;
Kto słaby, ramieniem służę, —
I sam bój stoczę! wyłom najszerszy
Zrobię, i pewnie nie stehórzę.
Lichy pacholek w tyle zostanie,
Kiedy się boi stać przy Hetmanie.

„Kto mniema duszę swą uratować
Beze mnie—pewnie ją straci;
A kto ją za mnie chce hazardować,
Zdrowo powróci do braci.
Kto za mną krzyża nie dźwiga swego,
Nie wart mię, nie już nie mam dla niego.”

Idźmyż za naszym Hetmanem w ślady!
I krzyż na grzbiecie dźwigajmy;
Choć nas żrą smutków i cierpień gady,
Wesoło w niebo patrzajmy.
Kto nie chciał walczyć jak rycerz boży,
Wieńców zbawienia na skroń nie włoży.

Pieśń ta nie ma nic niemieckiego zacięcia; Angelus był wtedy najczystszy Polakiem z ducha, kiedy ją pisał... Nie jest to bynajmniej naciągane, u niego bowiem często pod niemiecką manierą spotyka się ten jasny rzut oka, to niewymuszone postawienie przedmiotu, to trafnie użyte słowo, ta mianowicie pewność w oddaniu tego, co się czuje i myś-

li — słowem, wszystkie te przymioty właściwsze naszym dawnym poetom niż niemieckim. Mniemam, że Szeffler musiał znać język polski i czytywać naszych poetów. Ojciec był Krakowianinem, z dziadów pradziadów osiadłych w tém mieście i z polskimi rodzinami spokrewnionych. Ojciec był szlachcicem polskim, udarowany tym klejnotem za świetne usługi oddane Rzeczypospolitej pod dwoma królami. Niepodobna też, żeby te tak silne tradycye domowe nie zaszczerpiły się w jego sercu, chociaż przyszedł na świat w zniemczalym Wrocławiu; témbardziej przypuścić tego nie mogę, że z owoczesnych niemieckich poetów na Szlązku, oprócz Opitza, który był sekretarzem na dworze Władysława IV, wielu bardzo smakowało w polskich poetach, mianowicie w Kochanowskim, i tłómaczyło jego pieśni. Wpływ żywiołu polskiego daje się bezsprzecznie napotykać na poetach Szlązkich, tak, że ci w literaturze ogólnej niemieckiej tworzą osobną szkołę, która ma wiele tych cech, jakie charakteryzują naszą poezję XVI i XVII wieku, to jest: pewny nastrój do heroicznej pieśni, język niekunsztowny nieudanej prostoty, pod którą czuć godność i siłę wewnętrzną. Cechy te już się nigdy nie powtórzyły w poezyi niemieckiej, — a jest to zdanie Fryderyka Schlegla, który jednak nie poszedł dalej i nie zapytał, z kąd się to wzięło na Szlązku, a nie odezwało się w innych stronach Niemiec?

Niektóre pieśni tej „Zakochanej Psychy” są jakby dalekiem echem naszych kolęd i pastorałek; nie ma w nich tylko tej rubaszości, jaka nasze niekiedy cechuje, lecz za to nie ma i tego humoru, tej otwartej wesołości, która tryska z serc prostaczków, naszych Bartków i Maćków wyśpiwujących i przygrywających Dzieciatku nowonarodzonemu. Dla porównania spolszczyłem parę strofek, pragnąc dać poznać z różnych stron poetę:

Dziś zwyciężona moc naszego wroga,
Śmierć już zabita.
Życie nam wraca, i wesołość błoga
Za serce chwyta.
Dalej w tan
Z dłonią dłoń,

Śpiewaj, dzwoń,
Tryumfuje Chrystus Pan!

Lub inna w tymże rodzaju:

Chwalcie Pana na około,
Jak świat wielki, a wesoło —
Niech grzmiały kotły, trąby grają,
Na multankach wyciągają,
Niech zahuczą i organy,
Chór śpiewaków na przemiany
Niechaj głosi
I roznosi
Panu chwałę wiecznemu.

Nie wątpić, że pieśni te musiały być w Niemczech śpiewane, a może jeszcze i dotąd śpiewają je — aczkolwiek, jak powiada prof. Kahlert w rozprawie o Szefflerze, wiele z pieśni dawniej śpiewanych tak w katolickim kościele, jak w zborach ewangelickich, wypuszczone z kancyonałów.

V.

Ostatnia poetyczna praca Angelusa przypada, sądząc z roku wydania jej na widok publiczny (1675 w Świdnicy), na czas jego polemicznych zatrudnień. Jest na wskroś dydaktyczno-liryczną i przedmiotową; tytuł jej: *Rozmyślanie o czterech ostatnich rzeczach, ku zbawiennemu przerażeniu i zachęceniu ludzi podane.* (Sinnliche Betrachtung der vier letzten Dinge i t. d.). — Poemat ten mniej jest znany, niż *Cherubiński Pielgrzym* i *Psyche*, mniej też ożywia go poetyczne technienie; a to uczucie miłości, które górowało nad wszystkimi innymi uczuciami, przechodzi tu w zapalczywą gorliwość groźnego zwiastuna kar strasznych czekających grzesznika, jak również rajszych rozkoszy przeznaczonych dla dobrych. W obu tych obrazach posługuje się najjaskrawszymi kolorami, i niczego nie zaniedbuje, aby jednych przerazić okropnościami, drugich pociągnąć obietnicami

rozkoszy niebieskich. Ten cel wyraźnie założywszy sobie, poeta sadzi się na opisy niezawsze zgodne z dobrym smakiem, i ta przesada, w której zdaje się lubować, nie sprzyja poezji; rzecz bowiem pewna, iż każda z góry postawiona dążność podcina skrzydła swobodnej poetycznej twórczości. Że właśnie z tym zamiarem wziął się do napisania tego poematu, sam powiada w przedmowie: „Chcę umysły ludzkie, już to przez przerażające obrazy, już przez uroczne szczęścia obietnice, wstrząsnąć i zachwycić. Że zaś o tak poważnych, wzniosłych i prawdziwych rzeczach ma mówić, przeto postanowił się całkiem wstrzymać od wszelkich przez pogan wynalezionych terminów i powieści, któremi to zwykle poeci szpikują swoje utwory.” To niefortunne założenie, odjęło poematowi temu wielkie przymioty, jakimi świeciły dwa jego dawniejsze dzieła wyżej omówione. Mimo tego napotyka ją się tu miejsca, w których znać dawnego mistrza.

Poemat ten ma cztery oddziały: W pierwszym mówi o śmierci; w drugim o sądzie ostatecznym; w trzecim o wiecznej karze potępienców; w czwartym o wiecznej szczęśliwości zbawionych. Żeby dać choć pobieżne wyobrażenie o tym poemacie, przełożyłem kilka strofek początkowych z pierwszego rozdziału, który nie jest opisowy, lecz dydaktyczny, na wysoki ton psalmisty nastrojony:

Rozważ to sobie człowiecze,
Istoto próżna i marna!
Rozważ! nim pora uciecze,
Nim na cię przyjdzie śmierć czarna.
Świat porzuć, i złączon z Bogiem
Wzbij się wysoko nad karły,
Byś w śmierci objęciu srogiem
Na prawdę nie był umarły.
Umrzój, nim umrzeć ci każą;
Rzuć wpierw, nim przymuszają rzucić;
Zdław grzechy, niech cię nie mażą;
Żądze pamiętaj ukrócić.
Kto wprzód nie umarł, nim skona,
Złe grozi mu przeznaczenie.

Robak się wciśnie w głąb łona,
Toczyć będzie nieskończenie.

Pełną wzniosłości strofką jest następująca z ustępu o sądzie ostatecznym, kiedy szatan czyta powołanym przed sąd grzesznikom registr ich grzechów— a poeta summując ich winy, powiada:

Nigdy miłość nie powstała
W ich piersi—to czeluść głucha;
Nadzieja nie podbijała
Do wyższych lotów ich ducha.
Wielu z nich mówi: „Mam wiarę!”
Lecz tylko mają ją usta.
Na zewnątrz noszą maszkarcę,
A wewnątrz—przepaść tam pusta...

W opisach szczęśliwości raj ucieka się poeta do aparatu zmysłowych obrazów, mających zrobić przyjemne wrażenie na oczach, słuchu, powonieniu, smaku; atoli nudzi jednostajnością i nagromadzeniem kosztownych kamieni, jak w opisie niebieskiego miasta Jerozolimy apokaliptycznej, gdzie sypie bez miary karniole, hiacynty, chryzopale, topazy, szafiry, beryle i t. p. W tym opisie rajskiego pałacu takie ogólniki przychodzą, że dziś mogłyby się zastosować do pierwszej lepszej rezydencji jakiego giełdzysty lub bankiera:

W oknach kryształowe szyby,
Jak najczystiej wygładzone,
Ramy srebrne, bez ochyby
Szczerosrebrne i rzeźbione.
Do której wnijdiesz komnaty,
Wszędzie misterne makaty.
Cudne obrazy na ścianie,
Że patrzysz a patrzysz na nie.

Ogrody rajskie zawsze kwitnące, zielone; labędzie pływają po sadzawkach; gaiki brzmią chórami ptaszków;

a lamparty i lwy są tak dziwnie przystępne, że z nimi bawić się możesz. To tylko w tych opisach charakterystycznego, że istota używająca szczęśliwości raju, traci swoją indywidualność, kiedy w piekielnych mękach zachowuje ją na wieczność. Poeta tłómaczy się z tego zmysłowego obrazu raju, i powiada, że to musiał zrobić, aby „niższe umysły” lepiej pojęły znaczenie tych obrazów.

SZEFFLER (SEFFLER) h. DWUWIEŻE.

*Actum in Castro Cracoviensi feria
5-ta post festum Sanctorum Viti et Mo-
desti martyrum proxima, Anno Domini
1598.*

Oblata litterarum nobilitatis Stanislai Szeffler.

Ad officium actaque praesentia castrensia capitanealia Cracoviensia personaliter veniens nobilis Stanislaus Szeffler obtulit officio praesenti castrensi capit. crac. litteras nobilitatis in pargameno scriptas, infrascriptas, per Sacram Maiestatem Regiam eidem Stanislao Seffler datas et concessas, manu Sacrae Regiae Maiestatis subscriptas et sigillo appenso maioris ex una et minoris cancellariae Regni Poloniae partibus ex altera munitas, petens easdem ab officio praesenti in acta castrensia capit. crac. inscribi et ingrossari. Cuius affectationi officium praesens annuendo litteras praedictas videns omni suspicionis nota carentes, suscepit et in acta praesentia inscribi admisit iuxta tenorem earum talem:

In nomine Domini Amen. Ad perpetuam rei memoriam. Nos Sigismundus III, Dei gratia rex Poloniae etc. Significamus praesentibus litteris nostris, quorum interest universis et singulis, praesentibus et futuris earumque notitiam habituris. Quod tametsi secundum naturam cuique ea semina virtutis a Deo tributa sint, ut iis quisque ad vi-

tam recte sociatate humana transigendam contentus esse possit, tamen cum in rebus humanis ad conservandam societatem nihil magis valeat, quam uti quisque quanto magis ingenii bonis caeteris praestat, ita ea non intra privatos parietes recondat et in latebris sepulta iacere sinat, sed ad communem civium utilitatem conferat, atque inde fieri videmus homines illiberali et humili ingenio, quorum studia in constituendis duntaxat suis commodis versantur, quique sibi soli natos esse existimant, postremo in republica loco censeri eorumque qui negotia publica tractant omnibusque prodesse cupiunt imperio ac interdum arbitrio esse obnoxios. Quare cum prudentia hominum videret reipublicae cuique maxime expedire cives quam plurimi ut essent qui promovendis publicis bonis animum ad studia admovent, praemia virtutum prima et praecipua, honores et dignitates, quibus praeclara ingenia plurimum moveri solent, proposuit, atque ita bene meritos ex ordine ignarorum civium eximit et discrimen inter utrosque data illis veluti quadam tessera posuit, nec sane abhorrent ab hoc signi veterum instituto istius quoque Regni sanctiones et leges, quae omnes et quolibet ordine in palestram virtutis descendentes eiusque bravium multo sudore et variis laboribus periculisque expetentes cupide amplectuntur et sublimi solio, dignitatis corona nobilitatis victrici redimitos collocant. Cum enim nobilitas virtutis fundamento nitatur, imo vero antiquitatis iudicio pulcherrima virtutum nuncupetur, non sine probatissima causa veteres optimos et praestantissimos cives hoc nomine et ordine a vulgo discernendos esse putaverunt. Quorum nos exempla imitati et instituta Regni istius secuti, posteaquam in hisce comitiis Regni generalibus in publico senatus consensu propositus fuisset nobis egregius *Stanislaus Seffler*, honestis ac claris parentibus in civitate nostra Cracoviensi, videlicet honesto Stanislao Seffler et nobili Anna Wilezkowna de magna Dembieńsko ex ducatu Opoliensi in Silesia iuxta ritum sanctae ecclesiae catholicae in matrimonii copula procreatus, cuiusque avia materna fuit nobilis Dorothea Plińska de Szczekarzow, districtus Prossoviensis e palatinatu Cracoviensi, Jastrzembeciorum familia oriun-

da' atque item avia paterna mater videlicet patris ipsius nobilis Felicia Dembińska de Dembiany de armis Rawicz nuncupatis eiusque ita virtus eximia a plerisque Regni nostri consiliariis publice commendata nobis est, ipsum nimirum pueritiam primum in perdiscendis liberalibus studiis traduxisse, demum aliquot annos in servitiis magnifici Stanislai Krasieki de Sieczyn castellani Premisliensis et Sere-nissimae principis Dominae Annae reginae coniugis Nostrae charissimae curiae magistri contrivisse, atque eundem dominum protunc suum sub oppugnationem civitatis Gedaniensis per dominum Stephanum regem, antecessorem Nostrum factam atque demum per omnes eiusdem Stephani regis in Moschoviam bellicas expeditiones secutum fuisse, ibique, quantum per aetatem licuit, primae adolescentiae vigorem et in adeundis periculis alacritatem comprobasse, postea vero post electionem Nostram dum illustris et magnificus Joannes de Samogosczie, supremus regni Nostri cancellarius et exercituum generalis, Belzensis, Knisinensis, Marienburgensis etc. capitaneus, Cracoviam, regni Nostri sedem pro nobis et reipublicae retineret, eundem Stanislaum Szeffler una cum aliis militaribus viris saepe excubias in moeniis et turribus eiusdem urbis die noctuque vigilantissime obiisse, prout etiam haec omnia ab ipsomet illustri et magnifico supremo cancellario et exercituum regni Nostri generali abunde cognovimus. Talia quoque caeteri consilarii regni Nostri virtutum et meritorum de ipso testimonia praestanter petierunt, ut eum autoritate Nostra regia speciali privilegio in equestrem et nobilem regni Nostri ordinem transferre et ascribere dignaremur. Nos, ut et quem ipse egregia virtute promeruisset honorem ipsi reponderemus et alios ad eundem virtutis cursum excitaremus, hunc ipsum Stanislaum Seffler nobilitandum censuimus uti quidem hisce praesentibus litteris Nostris nobilitamus, ordini equestri ascribimus et vere ac legitime nobilem creamus et declaramus Nostra autoritate atque Senatus consilio ipsi eiusque posteritati regni legesque, iura, libertates, immunitates, praerogativas et privilegia omnia attribuimus et ad amplissimos quosque honores dignitatumque gradus petendos, adipiscendos gerendosque facimus potestatem, ad ex-

tremum nihil illi posterisque eius ad utendum, fruendum et gaudendum excipimus, quo tam generaliter universi quam singularim omnes et singuli regni Nostri nobiles tam domi quam foris, tam in senatu quam in iudiciis, tam pace quam bello, tam universalibus quam particularibus agendis conventibus utantur, fruantur et gaudeant aero perpetuitatis durante. Quod quidem ius nobilitatis ut illustrius certis insignibus tanquam veris quibusdam notis et argumentis reddamus, haec insignia illis suisque posteris tribuimus, scutum videlicet triangulare rubri coloris, in quo duae turres albae a parte inferiori coniunctae appareant, super scutum galea militaris aperta, corona aurea redimita, de qua aliae similes duae albae turres, ut in sento eminent, scutum vero ab utraque parte rubri et albi coloris lene ambientes circumfluent, quemadmodum pictoris manu hic clarius depicta cernuntur, insigne seu stemma ipse nobilis Stanislaus Seffler et posteritas eius in perpetuum retinebit, eaque in consignandis epistolis, quibusvis privatis et publicis negotiis, aedificiis, vexillis, munimentis ille et posteritas ipsius utetur eo modo, quo insignibus suis alia regni Nostri nobilitas ac familiae utuntur. Quod quidem universis et singulis regni et subiectarum nobis ditionum hominibus ac caeteris quorum interest praesentibus hisce denuntiamus, mandantes, ut ipsum commemoratum nobilem Stanislaum Seffler cum illius sexus utriusque posteritate ab eo descendente, pro vero et legitimo nobili reputent et habeant locum illi tanquam vero nobili in omnibus actibus et congregationibus publicis et privatis dent, armis supra expressis atque insignibus suis illum uti permittant, atque adeo quae veris nobilibus equestri ordinis iure vel more et consuetudine regni huius recepta debentur ipsi et posteritati eius tribuant. Id quod Nos optimum quemque et virtutis amantem etiam sua sponte libenter facturum non dubitamus. Quod si quis ejusmodi fuerit, qui temeritate vel invidia ductus nobilitati ipsius detrahere aut obtrectare ausus fuerit, poenis contra detrahentes aliorum nobilitati legibus sancitis subiacebit. In quorum omnium evidentius testimonium et fidem hasce manu nostra subscriptas sigillo regni appenso consignari mandavimus. Datum Varsoviae, in conventu regni generali, die 17 mensis

Martii anno domini 1597, regnorum nostrorum polonici decimo, suetici vero anno tertio. Praesentibus illustrissimis, reverendissimis et reverendis in Christo patribus, dominis Stanislao Karnkowski gnesnensi, legato nato et regni Nostri primate, Joanne Demetrio Sulikowski Leopoliensi—archiepiscopis; Georgio Sacrae Romanae ecclesiae cardinali Radziwillo duce in Olika et Nieswież episcopatus Cracoviensis administratore perpetuo, Hieronimo Rozdrażowski Vladislaviensi et Pomeraniae, Bernardo Maczieiowski Luceoviensi, Laurentio Goślicki Premisliensi, Petro Tylicki Culmensi, Ottone Schencking Vendensi—episcopis; nec non illustribus, magnificis, generosis et venerabilibus Ianussio duce in Ostrog castellano Cracoviensi, Cerkasensi, Nicolao Firley de Dambrowicza Cracoviensi, Novae civitatis Korczyn Hieronimo Gostomski do Luzenice Posnaniensi, Sandomiriensi Sredensique, Christophoro Radziwill duce in Dubinki et Birze Vilmensi, Kokenhausensi, Alberto Łaski Siraciensi et Marienburgensi, Stanislao Miński Lenciciensi Plocensique, Andrea Leszczyński de Leszno Brzestensi, Constantino duce in Ostrog Kijoviensi, Ioanne Sieniński Podoliae, Hieronimo Parys Mazoviae, Alberto Wilkanowski Ravensi, Nicolao Działyński Culmensi, Ludovico a Mortagen Pomeraniae Pokrzywnicensique—palatinis et capitaneis; Stanislao Bąkowski Lenciciensi Siraciensique, Petro Niszczyci Belzensi, Ioanne Leśniowski de Obory Cernensi, Parnaviensi, Stanislao Krasinski Podlachiae, Andrea Firley Radomiensi, Stanislao Krasicki Premisliensi et Serenissimae Reginae curiae magistro, Stanislao Golski Haliciensi, Borensique, Francisko Krasiński Ciechanoviensi—castellanis et capitaneis; Nicolao Zebrzydowski supremo regni marschalco, Cracoviensi, Ioanne Zamoyski cancellario et exercituum regni nostri generali, Belzensi, Derpatensi, Leone Sapiha magni ducatus Lithvaniae cancellario, Ioanne Tarnowski Cracoviensi, Vladislaviensi Lenciciensique praeposito regnique vicecancellario, Gabriele Woyna magni ducatus Nostri Lithvaniae vicecancellario, Ioanne Firley regni Nostri thesaurario Lublinsensique, Demetrio Haleczki magni ducatus Lithvaniae thesaurario, Laurentio Gembicki regni nostri maiore secretario, canonico Cracoviensi, Ioanne Galeczyński

canonico Cracoviensi, Ioanne Thoma a Drohojow capitaneo Premisliensi curiae regni Nostri referendariis, Mathia Pstrokowski, Simone Rudnicki canonicis Cracoviensibus et secretariis Nostri, nec non nuntiis terrarum omnium ad praesentem conventum generalem congregatis. Per manus supradicti Ioannis Zamoyski cancellarii et exercituum regni Nostri generalis, Belzensis, Derpatensisque capitanei. P. Cziekliński. Sigismundus Rex.

Ex libris oblatorum castrensiū capitanealium Cracoviensium No. 25 pag. 1227 depromptum.

XXV.

ANTONI MALCZEWSKI

w Warszawie.

Od lat czterdziestu z górą, jak daleko sięga język polski — a gdzie się nie znajdzie mówiących nim? — czytana jest *Marya* Malczewskiego, nie wiem już po który raz przedrukowana.

Krytyka, stojąca przy jej wyjściu na świat na bardzo niskim stopniu pojęć literackich, powitała ją, jak wiadomo, owemi zimnemi i nie nieznaczącemi ogólnikami, jakich spory zapas noszą z sobą zaciężne dziennikarskie zastępy, obowiązane do wymierzania doraźnych wyroków; a że łatwiej przyganić niż się poznać na pięknem, łatwiej znaleźć brak czegoś niż ocenić co jest — więc i *Maryę*, plód niegłośnego jeszcze autora, na samym wstępie musiała spotkać konfuzya.

Był to fatalizm, który sięgnął dalej, niż się krytyk spodziewał.

Nie z polecenia więc kierowników opinii literackiej zajęła się publiczność tym poematem, z ową nieprzymuszoną statecznością, jaka nie sprzyjała dotąd żadnemu może z potężnych utworów, doskonałych tak pod względem piękności wiersza, wdzięku słowa i innych tytułów do pozyskania zasłużonej wziętości.

Poemat Malczewskiego od samego początku wystawiony był na ciężkie próby współzawodnictwa. Koloryt *Zamku Kaniowskiego*, niepraktykowanej mocy, jak również sceny pełne malowniczej grozy, olbrzymia a tajemnicza postać *Wallenroda*, kipiąca jeszcze rzeczywistość drugiej części *Dziadów*, wreszcie *Pan Tadeusz* bijący wszystkimi tętnami życia domowego i publicznego — raz po raz padaly około *Maryi*, istne urwiska granitów — gdy ona ci chemi stopkami wciąż szła swoją stepową drożyną, i zawsze spotykała jakieś serce stęsknione lub zrozpaczone, które się do niej tuliło.

Właśnie w chwili, kiedy poezya wzięła całą skalę uczuć narodowych i wygrywała swoje akkordy, — zaczęto szukać *Maryi*, sieroty królewskiego rodu, żyjącej w zapomnieniu. Ten i ów znał ją i uniósł wrażenia, a teraz chciał się przekonać, czy się nie omylił; ale *Maryi* nigdzie nie było. Pierwsza edycja warszawska stała się rzadkością... powstawały więc w różnych stronach nowe, w mgnieniu oka rozchwytywane. Nie było bowiem nikogo, ktoby nie chciał mieć *Maryi* na własność... Raz ją przeczytać, to nic; *Marya* ma to do siebie, że chce być czytana gdziekolwiek się książka otworzy, a jeżeli raz zaczniesz, to cię nie puszcza od siebie.

Zaszedł więc z nią przypadek, trafiający się, lecz nader rzadko w dzisiejszym stanie literatury. Dusze czytelników wprzód do niej przyłgnęły i pokochały ją, nim sąd znawców sztuki umiał ją ocenić i polecić. Wziętość największych arcydzieł zwykle przechodziła tę kolej, zwłaszcza w czasach, kiedy nie było krytyki z urzędu. Wprawdzie sympatye okazywały się nieraz chybionemi, publiczność oszukiwała się na swoich ulubieńcach; ale gdy okoliczności dopomagające do tego powodzenia mijały, przychodziło oziębienie. Zdarzało się nawzajem, że co w swoim czasie przemykało się niepostrzeżenie, potomność rewindykowała.

Marya nie będąc ani okolicznościowym utworem, ani powleczonej jaskrawym szmelcem patryotycznym, który daje pół wygranej, niczemu innemu nie zawdzięcza swojej wziętości, tylko że pootwierała takie przepaści duszy cier-

piącej, jak owe, które Mickiewicz odmalował w jednym z *Krymskich Sonetów*. Strach bierze spojrzeć w nie, bo za spojrzeniem, za myślą i człowiek może się stoczyć w te bezdnie... a jednak ciągnie ku niej jakaś demoniczna siła, coś, czemu się oprzeć niepodobna. To wszystko byłoby jednym więcej dowodem, że nie nie zajmuje bardziej i stateczniej niż studium wewnętrzne serca ludzkiego, nie tak nie pociąga jak bezmiar boleści. Serce ludzkie obrabiane od wieków, zdaje się być niewyczerpaną kopalnią; zawsze znajdzie się ktoś, co ołowiankę zapuści w niezbadane tajniki, lub taki zuchwały nurek, co nie zleknie się potworu i hydry, i pójdzie między nie, aby zdać sprawę ze swojej wycieczki.

Marya przecież nie samej powieści winna swój rozgłos, a jeszcze mniej komentarzom historycznym, wyjaśniającym zdarzenie, na którego tle osnuta.

Powieść bardzo jest prosta, a niemniej dramatyczna.

Magnat ukraiński ma syna, który skrycie poślubił mierniej sytuacji szlachciankę. Duma wielkiego pana cierpi na tём i postanawia usunąć przeszkodę jego ambitnych widoków dla syna. Kulig złożony z oprawców najeżdża dom szlacheica i pozbawia życia niewinną ofiarę... Młody małżonek wróciwszy nocą z wyprawy na koszt tatarski, zamiast ukochanej, zastaje trupa...

Motywów tragicznych nie brak tu, jak widzimy, i z motywów tych umiał skorzystać poeta: atoli takiej tragiczności nie brak w *Grażynie* i w *Konradzie*, i w *Zamku Kaniowskim*, w których to poematach znać nierównie wprawniejszy rysunek, biegłęjszą kompozycję, wiersz lepiej ulany, precyzyę wyrażen, a nadewszystko to pełne, szerokie oświetlenie, na jakim zhywa *Maryi*, utrzymanej w grubym cieniu tajemniczości i domysłów.

Komentarz historyczny, wywodzący na jaw zdarzenie, wałęsające się ledwo w mglistém podaniu, niewiele przyczynił się do nadania większego znaczenia *Maryi*, która sama w sobie wzięta, miała już takowe. Czy ta *Marya* była rzeczywiście Gertrudą, czy wojewoda był panem Sałezym Potockim, czy oprawcy udawali Moskali, czy zamas-

kowany kulig? czy ofiarę utopiono w przereźbli, czy ją udu-szono? nie pomagało to ani szkodziło utworowi Malczew-skiego. Poetyczna kreacya szła górą nad temi szczegóła-mi. Był to świat skończony dla siebie i w sobie, niby ob-lók z bogami Olimpu przesuwający się nad ziemią...

Nie śmiałbym przeto utrzymywać, że *Marya* stała sa-mą powieścią, samym romansem, chociaż może się znaleźć rodzaj czytelników w pewnem położeniu, którzy chcieliby *Maryę* uważać za wymowną protestacyę przeciw nierów-ności stanów, pysze rodowej lub majątkowej, która pomia-ta najheroiczniejszą miłością i z zimną krwią rozdziera lub zabija dwa serca, nie niewiedzące o tych tam różnicach... Zapewne, niejedna w tém położeniu znajdująca się istota mogła znaleźć echo swych przekonań i uczuć w *Maryi*, a tragiczne sytuacye stosując do siebie, karmić się jak Mitrydat temi truciznami, do których dusze cierpiące, me-lancholiczne, mają niezwykłą potrzebę, nie żeby im przy-nosiły pociechę i ulgę uspokojenia, lecz żeby w wymarzo-nych torturach widzieć swoje własne, w jękach rozdartej duszy odgłos własnego rozdarcia. Człowiek ranami okry-ty, często z bólu jątrzy je, choć się goją — tak samo dzie-je się z ranami serca, które rozjątrzać największą bywa pokusą cierpiących z miłości, póki nie doprowadzą się do stanu rozpacz, decydującego zwykle, bo albo następuje koniec, albo uzdrowienie.

Poemat Malczewskiego ma pełno tych czarnych myśli, które mogą rozpacz podsyć i doprowadzić ją do ostatnich granic moralnego przełomu. Tylko ten, co przechodził wszystkie szczyble rozpacz, tylko ten zdolny był wyko-pać takie przepaści.

Atoli nie samemi czarnymi myślami i zdesperowanym na świat poglądem robi sobie *Marya* zwolenników; ma ona mnóstwo róż powplatanych w te ciernie, mnóstwo miejsc, gdzie uczucie wzajemnego affektu odzywa się tak pieśczo-nem, czarującym słowem, że nie ma cokolwiek zajętej główki lub serca, żeby nie dostało zawrotu lub nie wy-buchło płomieniem. Wiemy, jak każdy sentyment łakomie chwyta wszystko, co go podnieca i żywi. Któża kobieta

nie powie: że poeta podsłuchał jój tajemnicę, że jój wykradł z duszy te wiersze:

Czy Marya ciebie kocha? mój drogi, mój miły!
Więcej niż kochać wolno i niż mogą siły,
Więcej niż wątle serce, gdy jemu już zadość,
Znieść może....

albo:

Tak mi lekko, tak słodko, tak mi nie nie trzeba,
Jakbym w twojém objęciu leciała do nieba.

Jakaż oblubienica nie przyswoiłaby sobie tego programu Maryi, gdy go składa w objęciach swego Wacława?

Cieszyć się twą radością, twój smutek łagodzić,
I myśleć tylko o tém, czém tobie dogodzić,
Być twoich chwil osłoda, czasem ich ozdoba,
Żyć dla ciebie i w tobie, umierać przed tobą,
I w tej ostatniej chwili, choć w cierpień natłoku
Gasnącym wzrokiem szczęście składać w twojém oku itd.

Zdarzało mi się nieraz słyszeć te ustępy w ustach niewieścieh, wymawiane tym łzawym głosem, który był miarą wzruszenia; im to zawdzięcza *Marya* to niesłychane powodzenie u płci pięknej, mianowicie w epoce bliżkiej od swego ukazania się i do lat temu kilkunastu, kiedy panował w towarzystwie pewny nastrój sentymentalny, jakaś romansowość bujająca po nad praktyką życia i wyrachowane pewniki. Miłość uchodziła wtedy za niezbędny jeszcze element w życiu mężczyzny lub kobiety; przynajmniej uważano ją za wieniec zapędów młodocianych, za ideał szczęścia, który choćby zawiódł w rzeczywistości, niemniej blaskiem swym złościł dni pochmurne, cukrował gorycze.

Nie dziwnego, że *Marya* stała się rodzajem *vade mecum* rozkochanych lub do miłości tęskniących.

Przymiot ten wiele się przyczynił do spopularyzowania jój w czytającym świecie, który, gdyby go spytał, ja-

ki utwór przypadł mu najwięcej do smaku, niezawodnie wymieniłby *Maryę*. Zaprowadzony nawet w tej kwestyi literacki plebiscyt wykazałby także ten sam rezultat w cyfrach.

Inni znowu, którzy z więcej artystycznego punktu uważali *Maryę*, znachodzili w niej bogactwo obrazów nakreślonych szerokimi pociągami pióra, którym bujna stepowa natura za tło służyła. Ów farysujący kozak na stepie, ów pochód rycerstwa, bój z Tatarami, Miecznik, Wojewoda, Marya, Wacław, wszystko to postaci uplastycznione i natchnione życiem. Sama kompozycja w wielkim stylu imponuje, ma w sobie coś tak arystokratycznego, że zawsze świecić będzie jak monument w steku dzisiejszych i późniejszych trywialności realistycznych.

Nie umiałbym powiedzieć, czy jest jaki z poematów naszój literatury, do któregoby skwapliwiej lgnęli malarze, niż do tej *Maryi*. Zdawałoby się, że poeta umyślnie przygotowywał dla nich motywa, aby na gotowém ćwiczyli swój pendzel. Umiejętność ugruppowania, wyraz, ruch, kostium każdej figury z taką pewnością rysunku nakreślony, że malarz niewiele sobie głowy nałamie nad układem obrazu. Nie dziwię się, dla czego temata *Maryi* nęcą najwięcej początkowe lub mierne talenta, którym wydaje się dostatecznem dla zaspokojenia artystycznego sumienia powtórzyć pendzlem to, co książka pisze. Z licznych produkcji w tym przedmiocie wszystkie niemal okazały się niższemi od wzoru, zatrzymały się bowiem w warunkach prostej ilustracji. Dotąd też nie odmalowano *Maryi*, któraby taką samą była znakomitością pendzla jaką jest poezyi.

Czegożby dowodziło to bogactwo malowniczych motywów, jeżeli nie wysokiego kreacyjnego talentu, jeżeli nie bożkiego daru ożywiania swoich postaci, szcharakteryzowanych tak potężnymi rysami, postawionych tak mocno na nogach, że oddech czasu, który zdmuchuje utwory wyobraźnej pianki, od urodzenia pozbawione krwi i kości, zdmuchnąć ich nie może?

Owoż *Maryą*, jak miała szczęście do ludzi, którzy ją pokochali niewyrozumowaną miłością, tak znowu nie miała szczęścia do sądu kompetentnej, lub za taką uchodzącej

opinii. Na samym wstępie w świat przysiadł ją jeden z tych sędziów, co przy inkwizycyi mają zwyczaj podechwytywać za słowa. Stróż jakiegś wodnistej czystości języka i konwencyonalnych wyrażen, zgorszył się niepomału, znajdując w *Maryi* sposoby mówienia i zwroty niewyszlifowane na bruku warszawskim, chociaż te żywce wzięte były z potocznej mowy, lub ze starych naszych pisarzy—i nazwał tę barwistą nowość „niewykształconym gustem” Malczewskiego. Zdanie to, krzywdzące stan ówczesnych pojęć literackich, samoby przez się upadło, gdyby na nieszczęście, pocisk choć tak niedołężnej ręki, nie zadał był na razie ciosu książce, od której zależała egzystencya poety.... Książka ta była jego ostatnią stawką, jego *by or not to by*.

Mochnacki w lat kilka później rehabilitował *Maryę*; wykazując jej piękności, mówił o architektonice poematu, o charakterach, o kolorycie ukraińskim, o dramatyczności i tragiczności scen. W ogóle stawał w obronie romantyczności przeciw napaściom pseudo-klassyków.

Jeszcze później Michał Grabowski w książce swjej *Literatura i Krytyka*, rozpiął się z powodu *Maryi* o szkole ukraińskiej, która była jego *idea fixa*, a podzieliwszy ją na kategorie, poemat Malczewskiego pociągnął pod rubrykę Ukrainy szlacheckiej, jak *Dumki* Zaleskiego pod rubrykę Ukrainy ludowej, a Goszczyńskiego *Zamek Kaniowski* pod Ukrainę hajdamacką. Trzy te żywioły miały podług niego krystalizować się w tych utworach. Jeżeli te naciągnięte cokolwiek rozgraniczenia nie objaśniają natury poezyi i są tylko łatwym do spamietania ogólnikiem i formułką,—to ma on tę zasługę, że *Maryę* nazwał smutnym, bardzo smutnym poematem. Krytyk ten z wielu miar znakomity, instynktem trafił na właściwość tego utworu; ale rzuciwszy słowo lekkie jak piórko, poszedł dalej, rozprawiając wiele o ulubionym kolorycie.

Odtąd nie wiem, czy kto więcej zajmował się rozbiorem *Maryi*; za to więcej mówiono o życiu poety.

August Bielowski, ze znaną gruntownością i trafnym sądem, pierwszy napisał żywot autora *Maryi*, zasięgnąwszy o nim wiadomości od krewnych jego i znajomych; wiele szczegółów później pozbierał o nim Wójcicki, a ten i ów

jakiś skrawek dorzucił. Nikt jednak, o ile mi wiadomo, nie szukał w *Maryi* stosunku do jęj autora i w autorze stosunku do *Maryi*, aczkolwiek z wyjątkiem jednych *Dziadów*, nie wiem czy mamy drugi utwór, w którymby podobnie jak w *Maryi*, zespoliła się indywidualność poety ze swoją kreacją. Zespoleniem zaś nazywam nie opis okoliczności dotyczących się pewnego momentu życia, ani całego żywota, ale to przeniesienie istotnego stanu wewnętrznego w utwór, w którym powtarza się każdy krzyk niezmysłowego bólu, każde pęknięcie serca odtętnia na strunach słowa, każde spojrzenie na świat okrada z ostatniej nadziei—aż rozbitek na morzu społeczném nie przed sobą, ani koło siebie nie widzi, krom grubych chmur i głuszy pustynnej.

Ostatnie dwa wiersze pieśni pierwszej:

I eicho jak modlitwa w łono Boga płynie,
I pusto, smutno, tęskno—jak gdy szczęście minie,—

tudzież ostatni wiersz poematu, będący powtórzeniem powyższego—to dwa echa krzyku rozpaczy.... Zdaje się, że slyszymy poetę jak mówi w duchu: „Skończyłem plód mój wykarmiony łzami i krwią mego serca... Nie powiem: Exegi monumentum, dajcie na com zasłużył!”—I patrzył w świat różnobarwny, co się ruszał, bawił, gonił za szczęściem.... a wszystko mijało go cwałem i nie zatrzymywało się, aby czytać w jego oczach połyskujących geniuszem poezyi....

Żeby był nawet jak Andrzej Chénier wołał: „Jest coś we mnie, a to coś złożyłem w *Maryi*!...”—świat wzruszyłby tylko ramionami, i gilotynaby spadła....

Pozwolę sobie uchylić zasłonę, aby zajrzeć w rzeczywiste położenie poety.

Wiadomo, że Malczewski lat kilka przepędził za granicą, zwiedził Niemcy, Włochy, Szwajcaryę. Pociągnęła go tam skłonność wyższego umysłu pragnącego się wykształcić, nauczyć, przypatrzeć z bliska daleko posuniętej cywilizacyi, lecz obok tego miała go pociągnąć za sobą pani znakomitego rodu, fortuny i wdzięków, która zwyczajem światowych dam, wybrała się na kilkoletni wjazd.... Malczewski przyłączył się do jęj towarzystwa, co addogzało

obojgu; czuli bowiem wzajemną skłonność ku sobie, skłonność, której nie nie przeszkadzało uwieńczyć się związkiem małżeńskim, gdyby, jak jedni utrzymują, nie zaszły jakieś przeszkody czy względy familijne, a jak drudzy, że w decydującej chwili zawahała się piękna pani, która przy świetnym imieniu i tytule, nie chciała rozstać się ani z imieniem, ani z tytułem, co było nieuniknionem przy oddaniu ręki miłemu, wykształconemu, zakochanemu na zabój, lecz bez majątku i bez sławy kawalerowi.

Być może, że światowa dama, wychowana w konwenyonalnym rygorze, zbyt uważająca na te delikatne granice, po za które uczuciom nawet wybiegać niewolno, przelekła się tych burz namiętnych, jakimi wrzała pierś poety... Był on poetą, choć się jeszcze nie objawił. Ekstacyjny rodzaj miłości zazwyczaj przestrasza istoty lekkie i rozrzuczone, lubiące tylko bawić się z płomieniem, lecz nigdy w nim piórek nie spalić.

Malczewski ubóstwiał ją do szaleństwa....

Zdarzyło mi się czytać jego ręką skreślony, lecz w języku francuzkim jęj portret moralny, prześliczny pastel nawiany pyłkami barw, wypieszczony temi dojrzanemi tylko oku kochanka odcieniami niewieściego charakteru, które krzyżując się z cieniami kontrastów, nadawały całej fizyognomii wyraz nieopisanego uroku....

Takim malarzem mógł być tylko ten, co duszę swą przelał w przedmiot służący mu za wzór do malowidła.

Wiemy z żywota poety, jako wróciwszy z zagranicy, wziął dzierzawę na Wołyniu, zakopał się na wsi, i cały oddał się pracom umysłowym.

Jeżeli wolno robić domysły i zgadywać, jaka myśl zaprzętała mu głowę w tym nowym okresie, powiedziałbym, że po doznanej klęsce na polu miłości, usunął się na bok, aby zebrać ducha i pokrzepić siły umysłowe do nowego zawodu, w którym miał zdobyć to, czego mu nie dostawało do zrównoważenia świetności rodu, majątku i tytułu osoby ukochanej.

Dotąd był on nieznanym na szerszym świecie, aczkolwiek nroda, charakter, towarzyska ogląda, wdzięk rozmow-

wy, wyróżniały go i podnosiły w kołach przyjaciół i znajomych, lecz nie robiły go sławnym i głośnym.

Wieniec sławy rzucony na szalę mogły tylko zainprowizować kobiecie, która go odrzuciła jako nierówną partyę... Zapragnął też sławy w narodzie, nie żeby stracone szczęście odzyskać, lecz żeby wzbudzić niewczesny żal w tój, co go odsunęła od siebie. Zdaje się, że wszystkie swoje plany i marzenia do niej tylko odnosił, a jeżeli gonił za rozgłosem sławy, to jedynie aby jej kwieciami ubrać ubóztwioną, której obraz w sercu nosił.

Bo słodszy i jaśniejszy od chwały połysku
Ten blask, co w jego serca żywi się ognisku,
Ten uśmiech, w którym może choć część zachwycenia,
Z jakim wybrani słyszą cherubinów pienia.

Tak mniej więcej tłumacząc sobie to jego zamknięcie się w zaciszu wiejskiej.

W żadnym razie nie był to poryw zrujnowanego człowieka, który nie wiedząc co z sobą robić, bierze się do pióra dla tego, że inni piszą. Malczewski przy bogatych darach natury, gruntowném wykształceniu dobrze odbytych nauk, znał obce języki, obce literatury, widział wiele i wiele obcował z ludźmi znakomitymi, co wszystko lepiej usposabiało go do autorskiego zawodu niż tylu ówczesnych pisarzy używających już pewnej wziętości, chociaż zawód swój praktykowali z bardzo miernym funduszem.

Zdaje się jednak, że Malczewski mało miał wprawy do pisania w języku ojczystym. Znać to z pierwszych jego próbek. Znać jeszcze i w *Maryi*. Zapewne znał to do siebie, i jał się czytania starych naszych autorów, a mianowicie ćwiczenia się w stylu, aby zdobyć sobie narzędzie posłuszne myślom i polotom fantazyi.

Tu zadaję sobie pytanie, czy już wtedy, gdy się schował w zakątek wiejski, smutna legenda o *Maryi*, tak dobrze nadająca się do poematu w rodzaju byrońskim, zaprzątała jego wyobraźnię?

On, spoufalcony z pięknościami poematów angielskiego lorda i zachwycający się niemi w oryginale, on, który

w podróżach swoich zetknął się z samym autorem i zajrzał jego demonicznemu geniuszowi w oczy, — nie oparł się zapewne podwójnej przemocy jego wpływu, i o niczem nie marzył, niczego goręcej nie pragnął nad to, żeby na ojczyś-tęj lutni wygrać utwór, któryby z byrońskiemu mógł rywalizować. Ten prąd myśli zaprzatającej umysł zdaje mi się dość logiczny i naturalny. Potrącenia wychodzą zawsze od czegoś lub od kogoś, a w położeniu Malczewskiego, żeby wypłynąć na wierzch, trzeba było wystąpić z czémś nie-zwyczajném, czyli dać utwór z piętnem oryginalném, utwór, za którymby goniła publiczność, utwór, któryby od razu zrobił imię autorowi, a za imieniem posypały się gwineje jakiego warszawskiego Murray'a, które nietylko niezaleź-ność, ale dadzą, jak Byron'owi lub Walter-Scott'owi, świet-ną pozycję....

Marzyć to rzecz poety, i każdy niemal rycerz pióra, wstępujący w szranki, przynosi gotowy program swych marzeń o sławie i o—Murray'u.

Rozpatrując się w *Maryi*, nie wiem czy nie uwodzę się złudzeniem, że miała ona swój pierwszy rzut, proste ramy, w których zamykała się sama powieść; atoli z po-za nich nie pokazywał się poeta z tą czarną rozpaczą, co podobna do kłębow dymu, zaciemniała horyzont.... Jak mniemam stan jego wewnętrzny nie był jeszcze w tém sta-dyum najwyższych cierpień i rozpaczliwych zwątpień, aby potrzebował na te wprawdzie smętne, lecz wspaniałe obra-zy i na te pełne życia postaci rzucać ten kir pogrzebowy, jakim je okrył później.

Poemat, podług wszelkiego podobieństwa, przygotowa-ny dla zjednania autorowi wstępu w świat literacki, nie-podobna, aby się prezentował z tym krzykiem duszy do dna rozdartej, jaki wydobywa się z utworu tego w ostat-niem jego obrobieniu. Raz, że nie było jeszcze powodu do tych wynurzeń ogromnej boleści i rozczarowań; podrugie, że poeta stara się zawsze być szczerem swych wrażeń i uczuć tłómaczem, a tém samém nie wyprzedzałby wyob-rażnia tych momentów, jakie nań jeszcze nie przyszły.

Nie przesądzam, lecz tylko podsuwam moje zapatry-wanie się co do sposobu, w jaki *Marya* powstała, i mnie-

mam, że Malezewski miał ją w tece swojej, gdy przez zbieg nowych okoliczności widział się zmuszony Wołyn opuścić i przenieść się do Warszawy.

Opowiem tu okoliczność, która nim pokierowała.

W sąsiedztwie poety mieszkała jego kuzynka, osoba młoda, bardzo sentymentalna i zameężna, lecz na nieszczęście nawiedzona napadami nerwowych cierpień tak gwałtownych, że przywoływani najznakomitsi lekarze, pomimo użycia najpewniejszych środków swęj sztuki, opuścili ją, ogłaszając za niewyleczoną. Kiedy chorego lekarze odstąpią, pozostaje jedyna ucieczka szukać ratunku u niepatentowanych empiryków lub szarlatanów, albo w tych generalnych arkanach, które co jakiś czas polecane bywają za środek wszystko leczący, za dobrodziejstwo ludzkości, póki się nie zdeskredytują i miejsca nie zrobią nowemu dobrodziejowi.

W owęj epoce, mesmeryzm używał u nas ogromnej wziętości, i tak zawracał głowy, jak dziś druga jego edycja: spirytyzm wirujących stołów. Jednocześnie z mesmeryzmem jakieś nadzwyczajne cierpienia nerwowe zaczęły grassować między plecią piękną; prawie w każdej okolicy znalazł się ktoś odstępiony od doktorów i nietylko cudownie przywrócony do zdrowia przez magnetyzera, lecz jeszcze w dodatku opowiadający nadzwyczajne rzeczy z tamtego świata. Że zaś, jak głosiła ta nauka, każdy silniejszy organizm, a szczególnie silna wola ducha, mogła zrobić magnetyzera, więc odpowiednio do ilości pacjentek namnożyło się cudownych lekarzy.

W jaki sposób przyszło do tego, że poeta zrobił się magnetyzerem swojej cierpiącej i opuszczonej od doktorów kuzynki? nie nie mówi podanie. Być może, co się najczęściej trafiało, że chora doznawała okropnych nerwowych ataków w obecności jednych, a znowu cudownej ulgi w obecności innych osób. Synipatya i antypatya grały tu najważniejszą rolę. Nie uszło zapewne uwagi czuwających przy łożu cierpiącej, że sama obecność poety w jej domu już uspakajała paroksyzmy i kurecze, a cóż dopiero zbliżenie się i dotknięcie jego ręki! Odkrycie to najwyraźniej naprowadzało na jedyny sposób pokonania choroby.

Poeta zatem stał się magnetyzerem, uzdrowicielem swojej kuzynki, i jak mówi *Niebozka Komedya*: „Palcami wionął jęj w oczy; długimi palcami twarz jęj okrażył i przeląkł się, bo czuł, że sam zasypia.”

Nie wiem, czy magnetyzer przeląkł się skutków swojej sztuki, lecz najpewniej zbudził się w nim tak silny pociąg do snem magnetycznym uspionej, że pewnego dnia zabrawszy się oboje, opuścili: on gospodarstwo, ona męża — i wyjechali do Warszawy, aby dalej prowadzić dzieło uzdrowienia.

Poeta znalazł się w stolicy, jak się można domyślać, ze skromnym funduszem i obowiązkami dla kobiety wyrwanej z koła swoich powinności. Niepokojąca myśl o tem, co dalej będzie, z razu, póki upojenie trwało, trzymała się od niego daleko, a choć przebiegła przez głowę, to ją odpędzała ufność we własne siły, wiara w to coś, co w nim było, a tak nie troszcząc się o jutro, marzył tryumfy pióra, wieńce sławy, a może i gwineje Murray’a.

Malczewski w tem ognisku ówczesnego polskiego świata gotował się rozpocząć zawód dotąd prawie niepraktykowany u nas, zawód pióra wolnego od wszelkiej zależności i protekcyi, a mającego zrobić mu imię i dać więcej niż chleb powszedni.

Była to pierwsza próba literata nowego autoramentu, bez żadnej pozycyi prócz klienteli czytelników, bez protektora, prócz opinii publicznej; słowem zamierzał być literatem, jakim go chce mieć wiek dzisiejszy.

Powołanie autorskie, jak wszędzie, tak tem bardziej w Polsce, było tylko przyczepką do innego powołania czy stanowiska w społeczeństwie.

W teokracji średniowiecznej literat wyłącznie należy do stanu duchownego i zatrzymuje sobie najlepszą część: dogmat, moralność, latopis; świeckiej drużynie, i to czepiającej się kościoła, zostawia kantyczki lub piosnki pijackie.

W epoce renesansu, kiedy druk się rozpowszechnił, pokazują się świeccy literaci, lecz ci olśnieni klasyczną starożytnością, w nią tylko wierzą i patrzą, a tego co w koło nich nie chcą widzieć; zresztą czytają dużo, piszą nie mniej, a myślą mało... Każdy z nich ma niezawisłe

w obywatelstwie stanowisko; atoli świstka nie napisze, żeby go nie złożył u nóg możnego protektora, który zwykle bywa nakładcą... Tak się działo do czasów Stanisława Augusta; autorstwem trudnili się wyłącznie ludzie duchownego stanu, świeccy zaś uważali ją za umysłową zabawkę. Ostatni król, który chciał naśladować Ludwika XIV, a właściwie republikańskie wyobrażenia przerobić na monarchiczne zasady, otoczył się gronem literatów, porobił z nich dworzan i przez nich wpływał na opinię. Było to pierwsze ciało literackie z pewnym wybitnym kierunkiem, zawsze jednak zależne. Zależność ta dawała synekury, znaczenie i impozycję; przedmiotem ich żartów staje się „chudy literat” — biedak, bez protektora i bez geniuszu, któryby sam sobie stworzył publiczność... Idee rewolucyi francuzkiej, w miarę jak się rozchodziły po świecie, przerzucały protektorat autorski w inne ręce. Odtąd literat coraz mniej ogląda się na możnego pana lub króla, nie spodziewając się, aby ten podniósł go w znaczeniu, zrobił mu wziętość w opinii, lub przyzwoity byt zapewnił; nierównie też więcej liczy na publiczność, zawsze bogatszą i hojniejszą niż największy pan, byle jej dobrze służyć: entuzjazmować, rozeiekawiać, bawić tém bardziej, że z natury mniej bywa drażliwą i obraźliwą, lubi wprowadzić pochlebstwa, atoli bezkarnie możesz jej mówić ostrą prawdę, szydzić z niej, nawet chłostać biczem satyry; miej tylko dowcip, a pierwsza śmiać się będzie z siebie; bo któż z nas nie ma sąsiada, by mu przypiąć tę łatkę? Wielka publika — to zawsze i wszędzie ten sam arystofaniczny *demos* cieszący się i przyklaskujący własnej karykaturze. Nowy ten stosunek dał autorowi jedną wielką korzyść — swobodę. U nas stosunek literata do publiczności bardzo powolnie schodził na tę drogę; a wówczas, kiedy autor *Maryi* stawał w stolicy z tą myślą, system protekcyjny trwał jeszcze, lecz już pod inną formą. Ważniejsze dzieła, jeżeli się nie drukowały nakładem protektora, to je drukował autor zaopatrzwszy się w fundusz drogą prenumeraty. Sam Niemcewicz z najgłośniejszém imieniem, jak Polska długa i szeroka, szukał przedpłacicieli, a na tych trzeba było wywierać pewny nacisk. Księgarz był tylko wydawcą książek, za które au-

torowi nie płacił, lecz owszem często brał od niego na kosztą druku. Narobił też niemało hałasu fenomenalny wypadek, gdy księgarz za *Jana z Tęczyna* położył na stół Niemcewiczowi sto czerwonych złotych — ależ to był Niemcewicz i pierwszy romans historyczny!

Autor wyzwał się z zależności dotychczasowej — ale publiczności jeszcze sobie nie stworzył.

Nie umiałbym powiedzieć, czy ją ma i dzisiaj; publiczność pocięta na części; książkowy obrot hamują tyśiączne trudności; ów więc szeroki stosunek, jaki gdzie indziej się rozwinął, daje tylko zachcenia, rzeczywistości nie daje.

Autor *Maryi* padł ofiarą nowego stosunku — lecz poemat jego zwyciężył. *Sic vos, non vobis*..

Nieodżałowana szkoda, że ten warszawski okres życia poety nie dostarcza żadnych rysów zdjętych przez jakiego bezinteresownego obserwatora, któryby patrzył na tę autorską Golgotę; a jeszcze większa, że nas nie doszło żadne z tych wyznań osobistych, co wybiegają z duszy w chwili zapomnienia się, a więc mówią niż całe tomy. Wałęsa się wprowadził kilka drobnych wskazówek nieopłaconego najmu, spisu ruchomości i t. p., które pozwalają się domyślać smutnej walki z niedostatkiem, tym natrętem, który włazi drzwiami, oknami, kominem, nieledwo wciska się powietrzem do oddychania. Dziś się go pozbyłeś ofiarą niejednej drogiej pamiątki, — jutro, pojutrze, znowu szturmuj! Cóż mu rzucić na pastwę? Tam wisi futro na kołku, tam płaszcz — zima taka łagodna — obejść się można — i zastawia lub za bezcen sprzedaje, aby na jakiś czas pozbyć się natręta. Szybka to kolej; jedno idzie za drugim, i filozofia w rodzaju Bianta zamieszkuje pod dachem, rozwiązując codzien tę palącą kwestyę o życiu... Temi ofiarami opłaca poeta bilet do świata swoich marzeń, siedzi w nim choć już zapadła kurtyna, uśmiecha się do niego, klaszcze mu z tą wiarą, która mówi: „Nie opuszczaj mnie! póki nie skończę — a wtenczas nasza wygrana!” I poetyczny

marzyciel ofiarą wszystkich potrzeb, do których nawykł, kupuje drogi spokój dla myśli; spokój, istne piżmo, którem lekarze przedłużają żywot konającego, aby podyktował testament.

Marya była testamentem *Malczewskiego*.

Na cokolwiek rachował w życiu, zawiodło go: sława poetyczna, głośnie imię, entuzjazm wielbicieli, stanowisko w kraju, nietroskliwe jutro — jeden tylko niedostatek, wierny stróż domu, odprowadził go do grobu — bez nazwiska.

Taka była dola poety.

Rozmawiałem raz o tej cichej tragedii z pewnym starym wojskowym, który z *Malczewskim* kollegował w szeregach i bardzo wysoko cenił jego honorowy sposób myślenia i rzadkie zdolności, — i gdy wyraził mu swoje oburzenie się przeciw społeczeństwu patrzącemu obojętnie, jak gasła ta pierwszorzędną gwiazda, a nikt nie podał ręki — odpowiedział mi: „Nieboszczyk miał przecież tylu znajomych i kollegów między oficerami, że każdy byłby się z nim ostatnim groszem podzielił; czemuż się do żadnego nie zgłosił?”

Uwaga ta naprowadzała by na wniosek, że *Malczewski* pomimo przykrego położenia, w jakim się znajdował, wołał cierpieć niż zaciągać dług wdzięczności; wołał wszystko sobie niż komu być winnym, czy że tak mocno ufał w potęgę swego talentu, czy że uczucie godności, szlachetna duma wstrzymywały od upakarzającego przyznania się choćby najzaufańszemu przyjacielowi? Być jeszcze może, że ciśnięty okolicznościami, odważył się zrobić krok do osoby, na której przyjaźń i delikatność rachował, i otworzywszy się przed nią opowiedział, lub dał do zrozumienia, w jak smutnym znajduje się stanie, tém smutniejszym, że dla człowieka z honorem nie było z niego łatwego wyjścia. Wysłuchał go przyjaciel, nie zrozumiał, lub nie chciał zrozumieć, jak to zdarza się w podobnych przypadkach, albo też wywinął się chłodną wymówką na brak gotówki, świeży wydatek nieprzewidziany i rujnujący — lub, co najpewniejsza, odprawił przyjacielską radą, aby wziął się do czego innego niż do autorstwa, bo to nikomu chleba nie daje.

Jeżeli coś podobnego zaszło, od razu złamało w nim odwagę liczenia na ludzką pomoc, a tém samém zrodziło wstręt do odnawiania dawnych przyjaźni.

Dusza poety — to sensiwa; za lada dotknięciem za myka się:

... i przeszłe żale, obecne zgryzoty,
Pokrył kir nieprzebity grożący sromoty.

Malczewski, jeżeli się od razu nie spotkał, to przeczuwał, że się prędzej czy później spotka z opinią źle o nim uprzedzoną. Zła opinia o młodym człowieku miała jeszcze wtenczas niemałe znaczenie, i trzeba się było dobrze na nią oglądać. Pewne wykroczenie z granic przyzwoitości i reguł towarzyskich nie uchodziło płazem, choćby i w stolicy, która nie grzeszyła zbytkiem purytanizmu. Okoliczność ta najprędzej wytlómaczy, jaki powód robił tego światowego, dobrze wychowanego młodzieńca, lęklwym, zażenowanym, jakby ust nie umiał otworzyć. On, co zawsze wchodził w najświetniejsze salony z podniesionem do góry czołem, z tą pewnością, że czeka go uprzedzające przyjęcie, — teraz czuł, że nie śmiałby ani czoła podnieść, ani utrzymać się w tej pewności, co zdaje się mówić: „Tu miejsce moje, i nikt mi go nie zaprzeczy...”

Człowiek, na którym coś cięży, jeżeli nie umie miną nadrobić, nosi na sobie piętno swęj winy lub błędu.

Awanturniczy stosunek z kobietą wziętą od męża rzucił cień na młodzieńca i niepoehlebnie o nim uprzedzał opinię poważnych ojców i matron, które w owęj epoce miały głos decydujący. Społeczeństwo dobrowolnie poddawało się tej moralnej wyroczni, stojącej na straży obyczajów, i rzeczywiście nader rzadko zdarzyło się, żeby kto, z młodych, przyjmowanych w dobrem towarzystwie, odważył się mieszkać z kobietą „na wiarę,” jak wtedy mówiono. Przed takim zamykały się drzwi uczciwych domów, a nawet i karyera publiczna; ci bowiem, co mieli prawo wgłądać w kwalifikację, wiele przywiązywali wagi do nienagannych obyczajów.

Dzisiaj niejeden nazwałby to niepostępowością, zafauiem się; ale wówczas nie znano się jeszcze na tych

wszechmocnych słowach i uznawano opinię idącą z góry za regulatora, tak samo jak teraz idącą z dołu; tamta była wybredną, uważającą, lecz w praktyce pobłażliwą; ta ostatnia, której źródłem bałaśliwa ulica i knajpa i bałaśliwsza prassa, co żywi się skandalem, a błotem argumentuje—mniej jest wybredna, to prawda, lecz za to nie przebacza żadnej wyższości.

Gdyby nie ta obciążająca okoliczność, poeta znalazłby się jak w swoim żywiole, w tém towarzystwie świetnych dam stolicy, które lubiły dzielić swoje chwile między elegancję a zajmującą rozmowę czy o sprawach publicznych, czy o sporze literackim klasyków z romantykami, a w ogóle szczerze lub nieszczerze entuzjazmowały się dla poezji. Nie było wieczoru i większego zebrania się, aby kto nie deklamował jakiego ustępu z *Ziemiaństwa*, jakiej sceny z przekładu *Andromachy*, nowej ballady Mickiewicza, dumki Bohdana, lub świeżej bajeczki Niemcewicza z przytykiem do belwederskiego tygrysa. W takiem kółku znalazłoby się miejsce i dla *Maryi*, — a sądząc po wrażeniu, jakie robiła i robi na płci pięknej, musiałaby wzruszyć i zachwycić, mając zaś takie głosy za sobą, rozbroić głupią krytykę i od razu za wyjściem z druku zapewnić to powodzenie, jakie później się znalazło. Płeć ta w ogóle zdrowsze i pewniejsze miewa instynkta, ilekroć nie radzi się głowy, lecz serca—a to szczególnie, gdy idzie o poznanie się na wartości poetycznego utworu w rodzaju *Maryi*.

Ta jedna droga mogłaby doprowadzić poetę do spodziewanego celu; imię jego przelatywałoby z ust do ust; księgarze ubiegiliby się o zaszczyt nakładu — a co lepsza, ocaliliby się człowiek, który z dnia na dzień:

..... brnął w rozpacz niezwykłej niemocy,
Deptał burzliwym krokiem po ciemnościach nocy,
Jakby w jęj czarném technieniu chciał zgasić swą mękę.

Droga ta była dla niego zamknięta. Zawikłany w stosunek, który codziennie budził go z pierwszych upojen czy zapomnienia się—szamotał się w nim jak w sieci, ale go nie targał... wierząc nareszcie, że takie jest jego przeznaczenie...

Marya wyszła na świat nieznana i niezaprotegowana, i przeszła go bez niebezpieczeństwa dla siebie, jak owo irlandzkie dziewczę, co z gałązką w ręku przewędrowało zieloną wyspę od końca do końca... Nie wiem, co dalej stało się z dziewczątkiem, ale *Maryę* świat podniósł i zawiesił między gwiazdami ojczystej poezyi.

Czytając poemat, starałem się czytać w tajnikach duszy poety, i zdaje mi się, że zdecydowałem niektóre hieroglify, inaczej bowiem te czarne przepaści, jakimi poorał swoją stepową powieść, i te mgły gęstsze niż londyńskie, w jakie je przyobłókl, nie dałyby się usprawiedliwić ani wymaganiami przedmiotu, ani samym kaprysem fantazyi, kuszącj się odgrywać piąty akt wewnętrznej tragedyi, ze wszystkimi mdłościami, konaniami, pęknięciami serca, stratami nadziei i z widokiem na świat kirem wybyty.

Czarno i straszno musiało być w tej duszy „zbołałej życiem,” kiedy wyrzuciła te dymy.

Nicze nie przynosiło choćby chwilowej ulgi? Znikąd promienia pociechy? znikąd lży uśmierzającej męczarnie zwątpienia?

A cóż robi przy jego boku ta postać kobiety?

Rozumiałbym samotnika skazanego na tortury z własnymi myślami; nie ma on bowiem nikogo, komu by się zwierzył; nikogo, ktoby go wzmocnił słowem wiary, przytulił do serca, ochłodził rozpalone czoło i mówił: „Chcę z tobą razem cierpieć, każdy twój ból podzielać, abys tylko nie wątpił i nie zabijał się rozpaczą.”

Ależ on nie był samotnikiem!

Jakaż więc rola tej kobiety przy jego boku?

Zdarza się często, że podobne istoty przypisują sobie rolę anioła pocieszyciela, gdyż tytuł ten służy im za usprawiedliwienie się w oczach własnych, a témbardziej w oczach świata dość skłonnego do pobbżania w sprawach sercowych, zwłaszcza gdy te wychodzą ze zwykłej kolei.

Zapewne wpływ magnetyczny fluidu, po dokonaniu romansowej wyprawy do stolicy, z każdym dniem tracił swą moc, i przestał działać tak na magnetyzera, jak na magnetyzowaną. Może zbyt prędkie nastąpiło przebudzenie, przebudzenie się straszne, przerażające, o którym piszc *Nie-*

bozka Komedya: „Ciała gdyby dwa trupy zostały przy sobie.”

Rzeczywistość zaczęła się dobywać do ich mieszkania, a zamiast pieszczonych gwarów, smutne ściany odbrzmiwały echem pokątnych szlochań lub wyrzutów...

„Tobie wszystko jedno, bo już nie patrzysz na mnie i odwracasz się, kiedy wchodzę, i zakrywasz oczy, kiedy siedzę blisko.”

Poeta, który trzymał w ręku pióro, cisnął je i pomyślał w duchu, lub głośno:

„Twoja miłość jako liść, co ginie wśród tysiąca zeschłych.”

Niedawno przerzucałem *Niebozką*, i napadłem na jedną scenę, która mi się wydała jakby podsłuchaną tajemnicą z ostatnich chwil autora *Maryi*.

Miałaby ta kobieta, co tak lekko rzuciła się w jego objęcia, nie nie wziąć z sobą? Gdzież te kwiaty wonne i świeże, aby niemi potrząsać ciernistą drogę, po której stapał? gdzież ten łzawy blask oka, co miał rozświecać ciemne przepaści otwierające się pod nim? gdzie ten dźwięk głosu, co burze uśmierzał? gdzie dotknięcia ręki jak balsam gojące?

Ow anioł pocieszyciel przyniósł z sobą, jak mi powiadano, czułościowość zamiast czułości; przytęm gorącą główkę, a zresztą nic, coby przechodziło garderobę moralną zwyczajnej ładnej twarzyczki. Białe skrzydła nie otwierały się, aby odpędzać widma rozpacz, lub wlać nadzieję w serce, co się przed nią zamknęło...

Dla obojga były to męczarnie przymusu, zanotowane w tych dwóch wierszach:

Ach! jakże to okropnie w przymusie zostawać,
Ręką, co chce lekarstwo, truciznę podawać!

W tém otoczeniu i w okolicznościach, w jakich się znajdował, przykładał on, jak się dorozumiewam, ostatnią rękę do swojej *Maryi*, która miała iść do druku i przy-

nieść choćby skromną pomoc materyalną. Na coś więcej, może już i nie liczył.

Kto się pilnie wpatrzy, dostrzeże pewny brak spokojności w tym utworze; tu i owdzie materyał zgęszczony, który się jeszcze nie roztopił i niedobrze zlał z całością. Znać tam co szło od jednego rzutu, a co się mozolnie sklejało. Delikatne uczucie artystyczne zadaje sobie widoczny gwałt, ale krzyk duszy przemaga, i grobowe to echo rozlega się po zielonym stepie, po tej sielskiej zagrodzie ocienionej lipami, miesza się do wesołej zabawy i odbiera im właściwy charakter prostoty, spokoju i poddania się wyrokom wyższej woli. Jest coś w tym jęku rozdartej duszy nieharmonizującego ani z naturą miejsca, ani ludzi, ani zdarzenia, aczkolwiek pełnego tragicznych motywów. Z tego powodu robiono zarzut *Maryi*, że nie jest poematem narodowym czystej wody; zarzut ten nie ubliżałby jej; na to możnaby powiedzieć: Tém lepiej, bo do całego świata należy,—i jest w tém niemało prawdy, jeżeli przypomnimy sobie, ile to razy była tłómaczona na obce języki... Właśnie te poetyczne a parté, w których poeta wychyla się ze swego przedmiotu, a raczej, gdzie spuszcza się w głąb siebie, i z czeluści tych wywlokłszy blade widmo rozpacz, każe mu siedzieć przed sobą,—o ile robią koloryt powieści ponurym, o tyle znowu dają miarę o wewnętrznym stanie pisarza, nieuwzględnionym przez tych, co utwór jego roztrząsali z różnych punktów i estetycznych i narodowych, a nie zwrócili baczości na bardzo ścisły związek człowieka z jego dziełem.

Ktoby chciał czytać *Maryę* (przeczytawszy ją wiele razy) z uwagą na ton ogólny, na szczególne wyrażenia, obrazy, porównania, jak na całe ustępy — przekona się, że piszący nie był w stanie normalnym. Nie rozumiem przez to stanu ekstazy lub natechnienia, tém mniej stanu gorączkowego, gdyż w poemacie tym panuje spokój rozmysłu, świadomość tego, co chcemy powiedzieć; lecz nie-normalnym stanem nazywam u naszego poety tę chorobę duszy, co patrzy na świat przez czarną krepę, co w każdej przyjemności, słodyczy, radości, szczęściu znajduje gorycz, w kwiecie robaka, który go toczy.... Puścił się po

ziomym lotem w świat lekkich roztargnień, bez jutra, i świat, jak kierz cierniowy, obdarł go ze wszystkich ulud i kolce w piersiach zostawił..

Mówilem wyżej, jaką koleją wlokło się to życie, które nareszcie stało się dla niego boleścią. „Boli życie” to wyrażenie jemu zawdzięczamy; znalazł je w sobie... Podobnych wyrażeń pełno na każdej karcie, sami się w nich portretuje... A czyż to nie jego wizerunek?

....Przeszłych już zgryzot nie widać tam wojny,
Tylko zgasłej nadziei grobowiec spokojny;
Lampa szczęścia, co w oczach jego się paliła,
Zagasła i swym dymem całą twarz okryła...

Zdaje mi się, że gdyby duch Małczewskiego stanął przede mną w swój ziemskiej postaci, ten a nie inny nosiłby wyraz.

Byłaby to długa i nudna dla czytelnika i dla mnie robota, gdybym się chciał zatrzymywać nad każdym pociągiem pendzla maczanego w czarnej farbie rozpachy. To czarne, to jeszcze czarniejsze, a to... już przepaść! przy której wszystkie czarności bledną... Legenda o Rembrandcie powiada, że ten malując raz ze zwykłą sobie furją, gdy silił się wydobyć z obrazu dość już trzymanego ciemno, ton jeszcze czarniejszy, — tylecm pendzla przebił płótno i otrzymał żądany efekt. Podobnie robił Małczewski; jakby niedość mu, że stworzył ponury obraz, okopcony dymem zgaszonej lampy życia i wszystkich jego ulud i nadziei, jeszcze przy każdej sposobności otwierał tę przepaść rozpachy, jaką w sobie nosił, przepaść syczącą węzami Laokoona.

Któż nie pamięta tej ślicznej postaci rycerza, ewalującego na czele pancernych hufców w bój przeciw Tatarom? Temu kochankowi Maryi:

„Jest teraz miłośnicą rycerska powinność.”

Uśmiecha się on do zwycięstwa, a do niego śmieje się wszystek świat boży, bo to co kocha będzie już mógł swoim nazywać... Wtém—struny jego uczuć, „jakby tknięte ręką nieszczęścia, zabrzmiały przeczcuciem.” Cóż mówi

to przeczucie?... Poeta nasuwa domysł, że jakieś wielkie nieszczęście wisi nad nim, że już się w tej chwili spełniło!

Poeta mógł być bezpiecznie na tém poprzestać, wystarczało to czytelnikowi, żeby się czuł zaniepokojonym, a i sama powieść nie wymagała czegoś więcej. Atoli zaraz w najbliższym ustępie (VII pieśń 2) nagromadził taki stos cierpień moralnych, męczarni wewnętrznych, że gdyby im dać kształty i ruch, ten świat okropności rywalizowałby z Dantowskiem piekłem. Niech czytelnik sam osądzi te wiersze, które sobie pozwolę przytoczyć, choć powszechnie są znane:

Jest trosk i kołców, bólów niemało w tém życiu,
I więcej niż na jawie płynie łez w ukryciu;
A kto się hucznym śmiechem wśród jęków odzywa,
Jak szalony w szpitalu, szczęsnym się nazywa.
Lecz gdy umysł szlachetnej uległszy ponęcie,
Z gruzów najdroższych uczuć wznosząc przedsięwzięcie,
Brnie w zdradliwej ufności, a za każdym krokiem
Podkopanych przepaści otoczony widokiem;
Gdy ptak z karmem pisklęcia trzepocze swe skrzydła,
Widzi chłopię z paleczką, a na szponach sidła;
Gdy sroższej od najsroższych wpatrując się męce,
Sama nawet Odwaga załamuje ręce,
A z tysiąca blizn czarnych, co jęj w sercu cięży
Gniazdo syczących na świat wylega się węży;
Gdy Złość w swoim szaleństwie zrobiła zabawę,
Wydrzeć życie w kaduku, ale pierwój sławę,
I nie tylko Obecność tarza się w ohydzie,
Przyszłość jeszcze otruta rozczochna idzie,—
Komu? anielskiej duszy, co za to przekłeta,
Że cukrem przyjmowała drapieżne zwierzęta;
Gdy każdy dobry przymiot w gorzki żal się zmienia,—
Większe to niżli ziemskie, piekielne cierpienia!...

Jakkolwiek wiele tu ciemności i zawikłania, jest coś przerażającego w tym jęku boleści, każącym się domyslać, przez jakie to tortury przechodził człowiek, któremu rwało się wszystko, co tylko przedsiębrał, zdradzało, w czém ufność pokładał, trulo, co brał za nektary....

Boję się przytaczać więcej przykładów, aby mój sposób widzenia nie wydał się zbyt naciągany. W każdym razie niepodobna złożyć na manierę literacką tego, co pochodziło z nieurojonych cierpień moralnych. *Maryę* nazwałbym pamiętnikiem serca poety, lecz serca zatrutego rozpaczą. A jako charakter rozpaczki bywa różny, stosownie do człowieka, tak i jego rozpacz, choć tehem byrońskiej poezji owiana, nie jest téj satanicznej natury co u angielskiego lorda, ani o śmieszność potracą, jak u chorujących na Weltschmerz. Malczewski nigdzie nie bluźni Opatrzności, nigdzie Boga nie wyzywa, aby mu się usprawiedliwił, dla czego szczęścia mu nie dał, a dał innym mniej wartym od niego; nigdzie nie miota się na społeczeństwo i nie robi go odpowiedzialnym za to, że on cierpi; nie przeklina za obojętność, nie piętnuje głupstwem, że się nie poznało na jego geniuszu lub talencie. Próżno tego szukałbyś w skargach poety, nie znajdziesz. Żali on się na świat, widzi go czarniejszym, niż jest—ale to jego własna вина, a raczej вина ciążącego na nim przeznaczenia. On „obcy wszystkim wśród swojej ojczyzny, której śmierć zostawiła mu czarne w piersiach blizny.” On „jadł w świetle zatrute kołaczki” i odtąd zawsze ciężko mu na duszy; „rozmieje się—to jak za pokutę,” zaśpiewa—„to na smutną nótę.” W duszy jego „wypłeniono radość,” więc niczego już nie spodziewa się od życia; anioł opiekuńczy w całym blasku zjawia się dopiero nad grobem.

Rozpacz autora *Maryi* nie należy ani do kategorii satanicznych, ani anti-socyalnych desperacji. Właśnie dla tego przymiotu poeta obudza dla siebie tyle współczucia, tém bardziej, że poezja jest u niego wiernym echem tych męczarni i smutków, jakich rzeczywiście doświadczał; wyobraźnia nie gra tu oderwanej roli, idzie ręka w rękę za sercem, na nieszczęście schorzałem i strutem cierpieniami. Poeta jest wprawdzie — i temu zawdzięcza tryumf swojej *Maryi*—jest wierzącym, bo przepaści jego duszy, aczkolwiek tak ponure, rozświeca niebieski promień. Tu na padole płaczu zwątpił już we wszystko, co ludzkie;

Lecz.... skrzydły rączemi

Szukał swójego gniazda daleko od ziemi.

Malczewski wydrukował *Maryę* w r. 1825; wyszła ona, ile sobie przypominam, pod zimę, a już na wiosnę następnego roku poeta nie żył. Rak duszy przeszedł w krew i ciało i dokonał zniszczenia.

Utrzymywano, jakoby Malczewski zaczął pisać po *Maryi* nowy poemat historyczny: *Samuel Zborowski*. Być może, iż zabierał się do tego, lecz to zapewne w czasach dawniejszych, nim ostatnią rękę do *Maryi* przyłożył. Jeżeli mówią, że Werther po tém, co czuł i cierpiał, musiał koniecznie w łeb sobie strzelić,—to i ten, którego wewnętrznych męczarni *Marya* jest echem, nie mógł już żyć, a tém mniej pisać.

Marya, jak powiedziałem, była testamentem poety; po tém, co już w nią włożył, nic się nie zostawało.... Zachęciu, gdyby nawet przyszło, śmierć położyła koniec.

Po poemacie rozpacz—cóż pisać?...

XXVI.

JAN PAWEŁ WORONICZ.

Niektóre znakomitości naukowe i literackie należące do odległych wieków, a z teraźniejszością niepołączone żywym węzłem tradycyi, bywają tak cudownie zbliżone do nas przez erudycję i dar odgadywania, że lepiej są nieraz znajome niż wiele innych zgasłych niedawno postaci, zasłużonych na polu umysłowem i obywatelskiem — które w obec dzisiejszych pokoleń zostają jakby we mgle oddalenia.

Wprawdzie nie oni oddalili się od nas, lecz my się oddalamy, unoszeni prądem, jakim świat idzie... Oni stoją w miejscu, robotnicy swojego czasu, współczesnych wyobrażeń i dążeń echa, niekiedy wyprzedziciele; my, miotani szturmującą w nas falą, parci wiatrami na skały, łatwo stracilibyśmy równowagę i kierunek, gdybyśmy co czas niejaki nie spojrzeli po za siebie, i nie zapytali tych szlachetnych postaci o tajemnicze hasło ich ducha, i nie prosili o użyczenie cząstki tego świętego ognia, którym gorzały ich serca.... Zbliżyć się do nich cofniętą myślą jedno jest, co wnikać w tę treść moralną, jaką wynieśli ze zwalisk, aby przekazać do pielęgnowania potomnym.

Bóztwa wyniesione z palącej się Troi, gdzie mogły znaleźć godniejsze siebie ołtarze, jeśli nie w piersiach spi-

zowych, nieprzystępnych nowym fałszywym bożyszczom, tak często ludzającym naszą dobrą wiarę lub próżność?...

Zbliżyć się do tych piersi dotąd niewystygłych, jedno jest co zbliżyć się do źródła i widzieć, jak z razu wąską snuje się nitką, jakie pokonywa przeszkody, jakie zdroje do siebie przybiera, aby rozlać się w rzekę lub jezioro, często topiąc w niem swój początek i imię...

Studjum to najwdzięczniejszemu wypłaca się, gdy je przyjdzie robić na ludziach duchem i czuciem reprezentujących swoją społeczność—a reprezentujących nie w sposób jak to dziś pojmujemy, dając temu lub owemu głosy większości—jest bowiem inny jeszcze rodzaj reprezentantów, których Opatrzność zsyła bez radzenia się ogółu, i tacy z sobą przynoszą gotowy już fundusz, mający wiele podobieństwa z tym miodem, którym pasiecznik karmi czasu zimy zgłodniałe pszczoły...

Jednym z takich reprezentantów, głośnym i w historii naszego stulecia, i w dziejach poezji i wymowy—jest majestatyczny *Jan Paweł Woronicz*.

Wystawiać go za wzór obywatela, kapłana, wyliczać jego zasługi w kościele, w rządzie krajowym, gdy pracował w wydziale spraw duchownych podczas czteroletniego sejmku, gdy zasiadał w radzie stanu za Księstwa Warszawskiego, w senacie za kongresowego Królestwa — nie moja rzecz, i byłoby z ujmą dla tych dostojnych i wymownych głosów, co we właściwem miejscu i chwili poskładali najwspanialsze wieńce na jego trumnie, powiedzieli więcej, niżbym umiał powiedzieć i niżbym powiedzieć odważył się—ja, który nie miałem szczęścia znać go osobiście, tak, jak oni go znali, patrzący przez długie lata na jego żywot i czyny.

Nie pozostaje mi tedy nic innego, tylko wziąć pochop z tej jednej okoliczności, że Woronicz uprawiał poezję i wymowę, i z tego wychodząc założenia, pomówić o jego dziełach poetycznych i krasnomowczych, które się stały integralną częścią naszej duchowej spuścizny, klejnotem w skarbcu literatury.

Jak zaś mam pomówić o mężu posagowej sławy? Czy zapuścić się w roztrząsanie szczegółów, ważyć pomysłów

wartość szalą krytyki, na pierwiastki rozkładać jego utwory często jednym tchem rozbolełój duszy ulane? Czy też w kilku wybitnych rysach ująć rodzaj natchnień, scharakteryzować język, którym do współczesnych przemawiał, podbijając, czarując, słowem zdobywając wpływ na tę społeczność, wśród której stał z Jeremiaszową i wieszczą pieśnią?

Mniemam, że ta ostatnia metoda odpowie i czei, jaka męża tego otacza, a to tém właściwiej, że nie wiem jakby inaczej obejść się można z poetą robiącym takie wyznanie:

Ton mi serce, takt wdzięczność, prawda struny dała,
Co tam miłość szepnęła, to ręka wygrała....

albo:

Fletni moja, potłukłbym cię pod tą topolą,
Gdybyś się miała kazić kłamstwem lub swawolą.

W wyznaniu tém, włożoném w usta jakiegoś pasterza, gdyż tylko w formie sielanki uchodziło wtedy robić osobiste wyznania — zawierała się jakby przysięga, ślub młodości na wierność kapłaństwu poezyi, a więc program poetycznego i literackiego zawodu, dotrzymany do ostatniej godziny życia, przekazany potomności. Kiedy to pisał, imię jego było nieznane, i zdaje się, że nawet nie marzył o współzawodnictwie z koryfeuszami dworskiej poezyi, nazywając sam siebie „wróblem,” który

z temi orłami

Nie mógłby latać górnemi szlakami.

A jednak już wtedy ton jego pieśni różnił się pewną smętnością od tonu muzy oficcyalnój, dowcipnój, trzeźwój, wymuskanój, powagą klassyczną przesiąklój; faktura wiersza zdradzała się u niego pewném zaniedbaniem, a styl wyrażeniami branemi z potocznej mowy, co w oczach ówczesnych arystarchów gustu nie rokowało mu powodzenia. Dla tego też przeszedł niepostrzeżony, nigdzie niewspomniany, podobny w tém do piękności wychowanój w zaciszu

domowém lub klasztorze, która dopiero, gdy pójdzie za mąż, obudza podziw, i wszyscy się pytają: Jak taki klejnot mógł się uchować, żeśmy o nim dotąd nie wiedzieli?!

Woronicz, póki nosił w sobie tylko przeczucia nie-szczęść, póty nie robił żadnego wrażenia melancholiczną nutą swęj fletni; dopiero gdy nieszczęście dojrzało, a on je po-słubił, pieśń jego grzmiała jak archanielska trąba, budząca z grobów wielkie postaci, które jak w dniu zadusznym processjonalnie oprowadzał po zwaliskach, i porównywając dawne sławy z obecnym upadkiem, brał niebo na świadka, i korząc się przed gniewem pańskim, uznawał w nim tylko karę i próbę przemijającą. W poprawie obyczajów, w roz-gorczeniu serc czerpał on wiarę w przyszłość.

Taka była teoria jego Muzy, takie wewnętrzne prze-konanie, taka dążność całego życia.

Czysty ten niepokalany duch, jaki kiedykolwiek ry-mem przemawiał, stał się organem tego idealnego państwa, które nie mając miejsca w rzeczywistości, schroniło się w skrytości dusz, i ztamtąd przy każdym zdarzeniu prote-stowało i upominało się o sprawiedliwość u świata, o swoje nieprzedawnione prawa. To, co starożytni nazywali: *os magna sonaturum*, znachodziło się w jego poetycznym orga-nizmie; ztąd powinowactwo Woroniczowskiej liry z heb-rajską, śpiewającą Boga i naród wybrany, zawsze w po-łączeniu nieba z ziemią, kościoła z ludem, niepojmującego nawet, jakby to święte przymierze mogło być kiedykolwiek rozechwiane.

Lecz zbliźmy się do osoby wieszca-kapłana, żeby się lepiej przypatrzeć człowiekowi, w którym siedział ten duch wysoki, o jakim rzekło się wyżej; zbliźmy się, żeby mu towarzyszyć w pielgrzymce żywota, pełnej tych śladów, które wydeptała pobożna praca i miłość.

Woronicz urodzony na Wołyniu w roku 1757, oddany został do szkół jezuickich w Ostrogu. W młodym wieku wstąpił do ich zakonu, a po skończeniu nauk poświęcił się zawodowi nauczycielskiemu w tych samych szkołach, gdzie był uczniem. Sam to o sobie napisał w jednej z sie-lanek:

Ośm lat na bąkach, ośm na szkolnych szlochach;
Trzecie ośm na pierwotnej usłudze krajowej...
Chłopiec szesnastoletni zostałem stoikiem,
A dziatwie mistrzem, ojcem i królikiem
W mój platońsko-babiński rzeczypospolitej,
Rozdając krzesła, ordery, zaszczyty;
Jakoś tyle zachęty szlachetne wskórały,
Że ten przełudny chwałą drobiazg mały
Prędzej wzrastał, niż indziej drałgal pod nahajem.

Na poprawniejszy system prowadzenia młodzieży przez łagodną perswazję i zachętę widać sam trafił w praktyce młody nauczyciel, wyższy zdolnościami i sercem od współczesnych rutynistów, ufających raczej w silną rękę niż głowę...

Ten rys zapowiada, jakiego będzie miał z niego kościół dusz pasterza...

Po zniesieniu zakonu Jezuitów, z którymi spędził pierwszą część życia, przeniósł się z Ostroga do Warszawy.

Zdawałoby się z wyznań zrobionych w poemacie: *List do przyjaciela*, że z wyjazdem jego do stolicy łączył się także interes familijny, jakiś proces, którego dochodzenie włożyło nań młodsze rodzeństwo. Szło widać o krzywdę zadaną małoletnim przez jakiegoś opiekuna, snadź krewniaka, co bezbronnych odarł, a potem wyparł się krwi.

Przetrząsałem mchem porośłe archiwa i grody,
Dochodząc z kłębka téj krzywdy i szkody;
Stawiłem z swych wskrzeszone grobów nieboszczyki
Za nieomyłne świadki i prawniki.

Sprawa poszła przed sędziów, a ci wydali dekret:

Ta sprawa nieprawna i krzywa,
Bo jest z mocniejszym, chociaż sprawiedliwa!

Na ten wyrok zasępilo się niebo i były pioruny...
Krew dusz zgubionych niewinnie spadła:

Tak na tych, co zabójczy wyrok podpisali,
A potem na tych, którzy nim wygrali.

Tu opisuje okropny zgon krzywoprzysięców i głos ich ostrzegający z głębi grobów, że i tych, co korzyść odnieśli z cudzej krzywdy, czeka prędzej czy później okropna kara...

Młody obrońca i rzecznik pokrzywdzonych nie upada jednak na duchu, i pokładając całą ufność w Opatrzności,

„Co żywi wróble i rządzi niebiosy,”
odzywa się do swoich:

Ażaj (rzekłem rodzinie) mało tych naliczym,
Których fortuna srogim śmiga biczem?
Jeśli nam złość wydarła ojców naszych świetność,
Została we krwi duszy ich szlachetność.
Zachęć do sławy wszystkich wznieść i odziać może:
Pracujmy i my, a Bóg dopomoże.”

Pokazuje się, że adagium: *Aide toi, et Dieu t'aidera*, którego wynalazek przypisywali sobie Francuzi jako świeży i oryginalny, było już u nas po pierwszym podziale kraju wybornie sformułowane w tém: „Pracujmy, a Bóg dopomoże.”

Ów tedy proces jest nieczem inném, tylko allegoryą procesu przegranego przez stronę słabszą z mocniejszym przeciwnikiem. Cały ten wstęp przedstawia się w formie tak prostej, tak naturalnej, że bardzo łatwo wziąć go można za osobistą przygodę poety; tymczasem dobrze rozpatrwszy się w pismach Woronicza, przychodzę do przekonania, że tam nawet, gdzieby się zdawało, iż swoje prywatne sprawy na scenę wprowadza, on właściwie mówi tylko o rzeczy publicznej, maskując to jakimkolwiek z życia potocznego wypadkiem.

Gdy zauważymy, że wiersz ten pisany w r. 1783, to już widoczna, jaki natchnienie jego obrało kierunek od samego wstępu w poetycki zawód.

Tak tedy, wracając do opowiadania, przegrawszy ów proces, a czując, że krajowi koniecznie służyć potrzeba po-

dług zdatności, siły i chęci — obrał „spokojniejsze życie na Parnasie.”

Od dawna spoufalony z muzami, a do tego znudzony bakalarstwem w zakątku prowincjonalnym, miał nadzieję, że talent jego zwróci na siebie oczy i zdobędzie sobie jakieś odpowiedniejsze stanowisko na wielkim świecie stołecznym; co tém więcej dodawało mu otuchy, że głos powszechny w kraju słał mądrego króla, protegującego poetów i uczonych,

Co wszedł z muzami w traktat bardzo ścisły,
By tém snadniej zwydrzałe ugłaskać umysły.

Jeżeli poezya służyła za środek polityczno socyalny, co praktykowało się niemal od czasów Orfeusza i Amfiona, nie dziwnego, że przez nią dawano się poznać i otwierano sobie drogę do urzędów i zaszczytów. Tłómaczy to również, dla czego robienie wierszy stało się panującą manią w owym tak zwanym złotym wieku Augusta.

Nie w innym zamiarze przybył do Warszawy i nasz wychowaniec jezuicki — poeta i professor, nieznany jeszcze na większej widowni i sam nieznający tam żywego ducha... Początek to zwykły każdej sławy mającej do walczenia z ludźmi i okolicznościami, podobnej w tém do owych średniowiecznych paladynów staczających walki z olbrzymami, czarodziejami i fantomami, aby zyskać w końcu uśmiech lub wieniec z rąk pani myśli tajemnych... Wszyscy ludzie z wyższem powołaniem geniuszu i talentu musieli staczać takie turnieje, a co cięższa, przechodzić przez zimną kąpiel obojętności, lekceważenia, zazdrości, plotek i intryg, dopóki nie wybrnęli z téj toni, będącej próbą ich przyrodzonych zdolności i hartu woli.

„Bez przyjaciół, pomocy, kredytu, zalety,
Biednaż to dola takiego poety!”

wołał zrozpaczony młody ksiądz i nauczyciel, gdy się ujrzał wśród obcych twarzy, mijających go obojętnie, niezatrzymujących się nawet, żeby mu popatrzeć w oczy i w to piękne czoło, siedlisko wielkich, szlachetnych myśli.

Cóż mu to szkodzi, że nie zważają nań, kiedy on również na ten pstrokaty wir nie zważa i zapomina o wszystkim, on, kochanek poetycznych marzeń, zwłaszcza gdy się zetknął z poetami głośniejszej sławy, jak Trembecki, Naruszewicz i „żartowny w purpurze Juwenal,” jak nazywa Krasickiego. Geniusz ich nie dał mu spoczynku, wyrwał ze snów młodzieńczych, wyzywał w zawody na lutnie.

Począłem więc wprzód sielskich piszczałek nadymać,
Chociaż nieraz mi przyszło gorzko się nazzymać,
Bo przyuczone flety sercu odpowiadać,
Nie mogły miejskich przekwintów wygadać.
Chwyciłem się gitarki potem, naprzemiany
Wielbiłem sławne w okolicy pany.

Otoż i rzeczywistość wciągnęła go w swoje zębate koła! Serce chciało śpiewać złote marzenia młodości — i nie znalazło słuchacza... A przecież sielanki jego z owej daty jak: *Aleksys*, *Emilka*, *Bolechowice*, *Sen Antka Paweży*, *Pieśni wiejskie*, o wiele są głębsze uczuciem i treścią niż nadęte gesneryady Naruszewicza. Sielanka Woroniczowska różniła się od panującego wzoru, i już wtedy zakrawała na powieść poetyczną osnutą na tle własnych wrażeń. Nie szukał on nowej formy, ale ją znalazł w melancholijnych, czystych jak spowiedź anioła, dziejach swego serca i życia, niekiedy zaprawnych nawet tą dobrą humorystką staropolską, tak niepodobną do kwaśnego angielskiego humoru, jak niepodobne słońcu wilgocia morską zamglone powietrze do lutowego przymrozku iskrzącego się w słońcu. Nie ma też w drobnych tych poematach ani krzty naśladownictwa Gesner'a lub Florian'a, sielankarzy będących wówczas w modzie; prędzej domacasz się w nich wysokiego nastroju czwartej Eklogi Marona. Nie musiały też robić w swoim czasie wielkiego wrażenia ciche te kwiatki, co powschodziły na ubocznej ścieżce, a nie na szerokim ubitym gościńcu — kiedy nikt długo o nich nie wspomniał, nawet późniejsi literaci. Dopiero w obecnym okresie, który tém się od swych poprzedników wyróżnia, że jak w poezyi, tak w sztukach pięknych, daje temu pierwszeństwo, co jest

brane z natury, czyli z pierwszej ręki — wypadło mi podnieść je z zapomnienia; w nich bowiem odzywają się nieklamane uczucia, głos z serea wprost idący, nie przez alembik jakiego wzoru, ale żywy prawdą obserwacyi, na sobie i na tém co nas otacza zrobionój. Wydane to wierszem ciężkim, niepoprawnym rymem — za to w wyrażeniach jaka prawda, jaka świeżość! zgola całkiem odmienny ton od tonu, na jaki wszyscy współcześni śpiewali. Jest coś szczerzego, niewyszukanego w tém opowiadaniu przygód życia wcale nieromansowych; jest ciepło wiary, ufność i poddanie się Bogu... Czytając te sielanki, czujesz, że mówi za siebie i nie chce być ani Teokrytem, ani Gesner'em, ani Naruszewiczem — tylko samym sobą.

Dworski kodeks poetyczny litosném okiem mierzył taki wyrób domowy, niemający uprzywilejowanego stempla z popiersiem starożytnego lub francuzkiego klasyka, i zatrącający jakimis wyobrażeniami i wierzeniami, z któremi tak zwany duch wieku nie chciał w żadną wchodzić ugodę.

Zbiły z tropu poeta mniemał, że lepiej da się poznać i sławę od razu zdobyć, gdy rzuciwszy pastuszą piszczałkę, pocznie brzdąkać na gitarze pochwały możnych mecenasów.... Tyrania panującego smaku bywa tak nieubłagana, że rzadko, chyba nadzwyczajny geniusz, potrafi nie uleść jěj. On uległ wszechwładnej pani—ale jego ucziwa prostota i tu platała mu figle, najczęściej bowiem bił w struny na cześć tych ludzi, co wystawieni byli na pociski zawiści lub stronnictw. Między innymi dość wymienić księdza Olechowskiego archidyakona, kapituły krakowskiej, który ścigany przez mniemanych patriotów za wzięcie w kuratelę biskupa Sołtyka, licznych doznał przykrości od tak zwanėj opinii publicznej. Poeta nieuprzedzonymi oczyma patrzy na tę sprawę i staje w obronie księdza Olechowskiego w tym pięknym wierszu:

Zgwałciłeś prawo! pełno wszędzie wrzawy:
Winia, skazują, nie słuchając sprawy....
Ale cóż czynić? znoś męźnie te losy,
Ta była z wieków niewinności dola....
Cierpieć i wznosić ręce pod niebiosy....

Jako burzyciel i bogów, i prawa,
Sokrat, mistrz cnoty na sąd powołany,
Stań!.... Ateny zagłuszyła wrzawa....
Kreskują.... Sokrat na śmierć już skazany...
„Bójcie się Boga ludzie! człek bez winy!”
Wołają starzy wśród tłumnej gawiedzi.
„Cóż ztąd? Niech umrze! my za jego czyny
Potém mu posąg wystawimy z miedzi....”
Większa narodu część i jego głowa
Lepiej cię ceni—zasługi wyświeci;
Złość się otruje, płocha skończy mowa,
A czas niezwiędłej poda cię pamięci!

Imię Olechowskiego nie nabrało w dziejach rozgłosu, bo łączy się tylko z głośną sprawą Sołtyka; ktoby więc chciał odegrać ten zapomniany proces i mieć o nim bezstronne wyobrażenie, musiałby trzymać się na wodzy i niekoniecznie iść za namiętными pismami, które dla tego najwięcej gardłowały za biskupem, żeby przez to dawny jad konfederacki wylać na króla, pochwalającego postępek księdza archidyakona.... Biskupa cierpiącego pomieszanie zmysłów chciano zrobić do ostatka męczennikiem patriotyzmu.... Prawy sąd Woronicza nie dał się zbałamucić, choć gorętszego miłośnika kraju i kościoła nad niego nie było.

Jeżeli w owych czasach łany parnaskie sypały hojny plon magnackim domom, to należało również do zwyczaju praktykowanego i przez najwstrzemięźliwszych rymopisów, żeby króla, protektora poezji i literatury, obdarzyć bodaj jedną odą, lub rymowanym listem. W każdym zbiorze wierszów z tej epoki musi być koniecznie coś do króla z większą lub mniejszą przymieszką kadzidla.... Woronicz nie uchylił się od złożenia hołdu swojemu monarsze; ale uchylił się od przyjętej metody, gdy wspaniałą pieśnią wyśpiewał pamięć tych bohaterów i uczonych narodu, których popiersia i portrety zdobiły nowe pokoje królewskiego zamku.... Chwałę i cnoty wielkich przodków stawil mu przed oczy, bynajmniej nie mówiąc: „Zrównałeś się z nimi,” lub: „Przeszedłeś ich!”—ale pojmując i jego położenie, i okoliczności obecne, podejmował myśl polityczną, którą za

zbawienną dla kraju uważał osobliwie w tym ustępie, gdzie mówi:

Nie wielkością, o bracia! nie powiatów likiem
Rosną państwa i chwałą swą sięgają nieba.
Runął ów światowładny Rzym przed Alarykiem—
A opasłe zaborem królestw carstwa wschodnie
Nie mogły połknąć Aten ni Lacedemony:
Naopak w oczach naszych Batawy zachodnie
Posiały swe na błotach miasta i zagony....
Bracia! gdzie się narody nawznak pochylają,
Wróżą im, jak komety jakie, wojownicy....
A gdy się na potęgę i wzrost zabierają,
Zgody im i pokoju szle Bóg miłośniki.
Czterdzieści Krzywousty wygrał bitw w Pomorzu,
Wszelako syny jego w państwach podrobnieli....
Wziął kraj prawa, oświatę i rząd w Kazimierzu,
I my po tym gościńcu sławy dobieżeli....

W całym tym wierszu „Na nowe pokoje w zamku” przezierał już ton podniosły późniejszego śpiewaka *Sybilla*. Dla króla nie było tu innego przysmaku, tylko w ostatnich dwóch wierszykach zamykających poemat, a zwróconych do narodu:

Szanujcież wy waszego (króla) jak Palladę w Troi,
A jeszcze wasza Troja w laury się ustroi.

Dziewięćdziesiąt lat z górą, kiedy ten wiersz był napisany (1783), a przestrogi w nim zawarte dotąd nie straciły swojej wartości. Każda tam prawda policzoną być może do naszych prawd żywotnych. Nie w sile ramienia, lecz w sile moralnej widzi on zbawienie i tryumf, i w tém proroctwie nie myli się, jak się nie myliła Cassandra.

Dziwna rzecz, iż wspaniały ten rym przesunął się bez rozgłosu; tego nie mogę czemu innemu przypisać, tylko bardzo zepsutemu smakowi panującemu w stolicy. Płeć piękna, umiejąca najlepiej wyzyskiwać to, co do jęj uczucia przemawia, co ją może sfanatyzować, — widać nie po-

znała się na tym kawałku, za ciężkim na jój umysł i serce ubiegające się o lekkość z zefirkiem. Pusty madrygał, dowcipny czterowiersz Węgierskiego, lub tkliwa sielanka kochanka Justyny, mogły liczyć na powodzenie; poważny ton arfy Dawidowój uspasabiał do ziewania.

Namacalne to, że Woronicz czas swój wyprzedzał. Na ufryzowane głowy nie wdziano jeszcze pokutnych kapturów, nie posypano ich popiołem—ale nie tryumfujecie za wcześnie! stanie się wszystko, co wieszcz w przeczuciu wyśpiewał....

Nie umiem powiedzieć, kto był tym przyjacielem od serca, do którego Woronicz pisał ów rzewny list „Z wygnania”—a wygnaniem nazywał życie za kłauzurą w klasztorze kks. Missyonarzów, gdzie dużo przecierpiał, przenudził, gdzie, jak dowcipnie mówi: „Pegaz jego tłukł głową o mur, i zwiesił uszy, bo klasztor dla poety to prawdziwy kastel Św. Anioła...” Otoż dla tego przyjaciela nie znajduje on dość słów wdzięczności. Widać, że mu w nieszczęściu podał rękę, ale odjeżdża w obce kraje... prosi go więc o wstawienie się za sobą: „Szepnij w ucho Palemonowi, którego ojcem wszyscy zowią, a król kocha więcej, niż rzymski August kochał swego mecenasa, aby się zaopiekował mojem sieroctwem.”

Któżby to był tym Palemonem? Domyślam się i z pseudonimu, i z rzeczy, że nie kto inny, tylko książę generał ziem podolskich.

Wszystkie literackie i militarne znamienitości drugiej połowy ośmnastego wieku wyszły z pod skrzydeł tego opiekuna nauk.

Niedługo zapewne człowiek tyle obiecujący zostawał w cieniu.

Biografowie podają, że poznał się na nim i wziął go w szczególną opiekę ks. Kasper Cieciszowski świeżo mianowany biskupem kijowskim, perła duchowieństwa w ośmnastym wieku, a Stanisław August zaopatrzył w chleb duchowny dając mu probostwo liwskie, które przeszło nawet miarę skromnych jego życzeń, gdy pisał:

Dajcież mi kącik jeden pewny, choć malutki,
Gdziebym ukoił kłopoty i smutki,

I jak robak w blawatnej zasklepiony chatce,
Miał gdzie czémkolwiek służyć wspólnej matce.

Otrzymał nareszcie ten upragniony kącik, lecz nie dano mu go używać...

Ważne sprawy publiczne potrzebowały co najwięcej zdolnych pracowników. Jak zawsze w takiej okoliczności, mnóstwo ciśnie się ludzi więcej zręcznych i zaufanych w siebie niż zdatnych i pewnego charakteru, gdy tymczasem gruntowna umiejętność, prawy sposób myślenia, czując swą wewnętrzną wartość, nie natrąca się i nie solicytuje. Snadź podkanclerzy, ks. Garnysz, biskup kamieniecki, dobrą miał znajomość ludzi, gdy z początkiem wielkiego sejmku zwrócił uwagę na Woronicza i zaraz powołał go do wyższych, że tak powiem, dyplomatycznych spraw duchowieństwa. „A chociaż, jak powiada autor pochwały jego, czytanej w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, niewinna prostota i ognista szczerość, znamionująca jego umysł najmniej go zdolnym uczyniły do rzeczy mających jakąkolwiek łączność z dyplomacją lub dworactwem, przecież bezambitna jego gorliwość i talent dały mu chlubny i obiecujący wstęp do ministrów ówczesnych i do łaski króla Stanisława Augusta...”

Nieszczęścia publiczne wkrótce stargały to pasmo świetnie zaczętej kariery publicznej.

Z upadkiem ustawy konstytucyjnej Woroniecz ustąpił z widowni, i znalazł to, do czego serce i dusza tęskniła: obowiązki wiejskiego kapłana i grobową ciszę sprzyjającą jego rozpamiętywaniom. Zakopany na wsi, oddany obowiązkowi apostołskiemu swojego stanu, w dwóch wierszach spisał co się w nim działo:

Nikt mego obłąkania ni widzi, ni słyszy,
Zdrętwiało wszelkie uczucie w ponuręj zaciszy.

Pobyt w ustronnej parafii, samotność, obcowanie z Bogiem, z otaczającą go naturą, z prostym ludem ciemnym, ubogim i zrezygnowanym, usposobiło świątobliwego kapłana do przyjęcia w pierś swoją bólów żywem pogrzebionej

matki. Na wielkim świecie, wśród wiru dziennych interesów i zajęć, zwykle modyfikują się uczucia i przekonania; — w samotności ból się rozognia wyobraźnią w dwójnasób czynną i uczucie pierś rozpiera w miarę jak przekonanie tężeje. Prorocy i apostołowie wprzód nim ogłaszali swoje słowo, ustępowali na pustynię.

Woronicza „rozpaczająca miłość” zrobiła wielkim poetą, wieszczem.

Wielu mieliśmy i mamy piszących rzeczy bardzo zajmujące wyobraźnię, poruszające najgłębsze uczucia, co kiedy pochwycą jaki przedmiot, robią z niego drogocenne cacko, ozłocą, ustroją, wonnościami zaprawią, że jest się czém zabawić i poszczycić przed szerokim światem.

Woronicz nie znał tej sztuki... Znał on wzory starożytnych klasyków, lecz z nich o tyle tylko korzystał, o ile harmonizowały z jego wysokim nastrojem; szukał w nich ducha pokrewnego swojemu, nie formy... Wieszcz widzenia Wirgiliusza, który w piersi nosił Romę, najwięcej trafiały mu do duszy; jeśli nie brał mantuańskiego łabędzia za przewodnika po piekle jak Dante, to nie dla tego, że siedzącemu na złomku wielkiej ruiny, z głową posypaną popiołem, z okiem w niebo utkwionem — nie trzeba było przewodnika.

Aczkolwiek dzisiejsi pyszni mędrcowie nie radzi przyznają Opatrzności prawo mieszania się w sprawy i czyny ludzkości, która, jak utrzymują i dowodzą, nauczyła się już chodzić o własnych siłach, — Woronicz inne miał przekonanie: wierzył on, że nieszczęście i upadki są z dopustu bożego, są karą lub próbą...

Podzielając tę jego wiarę, mam jeszcze i tę, że do pogwałconych i rozpaczonych, żeby ich od zwątpień i wyrzeczenia się samych siebie ochronić, zsyła Bóg w łasce swojej takie kapłany-proroki, jakim był śpiewak *Sybilli*.

W jakiejże to chwili zbudził się wieszcz jego duch?

Oto w godzinie grobowego milczenia, w tej czarnej nocy, kiedy wszystkie światła pogasły na tym królewskim niedawno tak świetnym i głośnym Parnasie... Naruszewicz z tęsknoty dogorywał w biskupięj rezydencji w Janowie;

Karpiński zagospodarował się, trzebiąc lasy w zapadłym kącie Polesia; Trembecki, elegancki szambelan, zaniedbał się i wolał żyć z wróblami niż z ludźmi; Książnin na oblakaniu z miłości skończył swój zawód pisarski; Zabłocki, satyryk polityczny, został księdzem; Krasiecki zapomniał, że niegdyś miał dowcip na zawołanie; Dmochowski przebywał za granicą, a Niemcewicz podróżował po nowym świecie...

Wszyscy oni przywykli śpiewać na wolną nótę, zbierać oklaski, wszędzie gdzie językiem ich mówiono; teraz, gdy się porozcinały najbliższe krwi związki i sąsiedzka zażyłość, a nowe organizmy usuwały dawny przyrodzony organizm, wtłaczając go w obce formy—pozawieszali lutnie na wierzbach płaczących, powtarzając z Dawidem:

Co nam innego czynić? jeno płakać smutnie,
Powieszawszy po wierzbach niepotrzebne lutnie...

Woroniecz, który nie należał do dworu i nigdy nie dzielił świetnych tryumfów starszej braci w Apollinie, został sam jeden tłumaczem wierzeń, kapłanem na straży świętego ognia... Jeżeli uczucie te pielęgnowano w zaciszu domowej, to i Woroniecz, wszystko co wyśpiewał w tym cztertnastoletnim peryodzie, jak *Hymn do Boga, Assarmot, Pieśń o Lechu, Sejm wiślicki*, na koniec *Świątynia Sybilli*, krążyło tylko z rąk do rąk, z ust do ust w przepisywanych kopiach; wszakże niemniej było znane, a i odciskało się może silniej w sercach i pamięci niż te druki, pod których stosami jęczy dziś społeczeństwo niemające wiele pociągu do czytania...

Znalazł jednak Woroniecz kanał jeden, którym pomysł jego mogły się swobodniejsze w świat przedrzeć. Rząd pruski w Warszawie zamierzający sobie zniemczenie nabytych prowincyj na drodze administracyjnej, mniej był drażliwy na rozwój literatury i języka, byle ten zawierał się w obrębie prywatnego przedsięwzięcia. Zezwolił też na zawiązanie Towarzystwa Przyjaciół Nauk, do którego grona należał od samego początku i nasz Woroniecz. Tu mu się zaraz nastreczyło pole do poruszenia kwestyi bardzo

żywotnęj i dotąd jeszcze nieporuszanęj. W roku 1803, na publiczném posiedzeniu czytał on rozprawę o Pieśniach, w której wystąpił z pomysłem ułożenia pieśnioksięgu z pieśni religijnych, moralnych i historycznych; do pierwszych wskazał źródła dawniejsze i zalecał z nich wybór; drugie omówił i także radził czerpać z tego, co miała literatura; do trzecich powybierał z dziejów przykłady. Ustęp ten godzien uwagi, bo zakreśla plan, który później urzeczywistnił Niemcewicz w swoich *Śpiewach historycznych*.

„Któżby na przykład — mówi Woronicz — nie chciał widzieć ożyłej w pieśni owęj Rzepichy? Z jaką się ona uwinnością po wszystkich kątach domu krzątała, aby dwóch nieznanomych pielgrzymów do jej chatki przybyłych nakarmić i ucześć, kiedy tymczasem jej mąż ostatnią kadzią miodu zgłodniałych naszych rycerzów uraczał! Ktoby się nie rozrzewnił pamiętną walkę Orestowęj przyjaźni między Leszkiem Białym a Goworkiem? Kogoby nie nauczył zgodę sąsiedzką miłować ów Saryusz, przodek rodu Zamojskich, który na pobojuwisku pod Płowcami, ranami okryty, trzewa wydarte ręką w siebie tłoczący, litującemu się Łokietkowi odpowiada: „To nie królu! wszystko dobre i znośne dla ojczyzny, gorszy zły sąsiad!” Ktoby się słusznie nie nadał ową wspaniałością Jana Abdauka, co niekupiony cesarskimi skarbami, złoto do złota dorzucił? W podobném zdarzeniu pokazał się prawdziwym Polakiem ów Krzysztof Zbaraski, który godząc się z Turkami o wykupno z niewoli Polaków, kiedy za tak drogi towar hojnie szafował szkatułą, chciał go wezyr przynajmniej w tém upokorzyć, aby z odkrytą głową sultana uszanował: „Głowę mi wprzódzy zdejmiesz niż czapkę” — odpowiedział Zbaraski. Nie o czapkę zapewne mu chodziło.”

Dla nas dzisiaj społecznemi kwestyami zaoprątnionych może mniej wyda się doniosłą i ważną ta strona historyczna, jaką Woronicz podniósł i ożywił lat temu z górą sześćdziesiąt; na owe czasy jednak, kiedy rozbite państwo zepchnięte było ze stanowiska historycznego w życie prywatne, zajęcie go obrazami przeszłości było głębokim i bardzo trafnym pomysłem. Taki ideał, jaki Woronicz chciał wszczepić w duszę rodaków, zbrać z rzeczywistością, był czy

stém niepodobieństwem. Nie nadarmo też trzy w przedmiocie tym napisane rozprawy zawiązał tym czterowierszem:

Nie gorzał ten rodzinnym ogniem z nieba tehnionym,
Ani jęj enotowlewcą piersią był karmionym,
Ani na jęj szacunku, ni się znał na sobie,
Kto się rad z nowym bytem żenił na jęj grobie.

Przy tych rozprawach liczniejsza publiczność pierwszy raz słyszała jego hymn do Boga i jeden ustęp z *Lechiady*... Z ułamków tych mogła sądzić o innych utworach, które nie były przeznaczone do czytania ze względów na cenzurę...

We wszystkich tych hymnach i poematach wymienionych powyżej, a należących do tego okresu, panuje zadziwiająca jedność, że nie powiem jednostajność głównej myśli, prawie aż do znużenia czytelnika, choćby najbardziej korszającego się przed majestatem przedmiotu... Serce i głowę poety jedno tylko zajmuje: przeszła wielkość i jęj upadek; co po za tęp dzieje się koło niego — nie widzi, nie chce widzieć, ni słyszeć. Zdawałoby się, że sprawy codzienne tego padołu już go nie obchodzą; tak utonął w mrokach przeszłości, tak zagłębia się żrenicą w najmglistszych początkach za odszukaniem powinowatych plemion z poprękręcanemi nazwami przez Greków, a szuka ich choćby u podnoża niedokończonego Babelu, w nadziei, że spotka gdzieś praszczura słowiańskiego rodu, i wędrując z nim przez azyjskie stepowiska i Kaukazy, uściśnie przy gnieździe orląt Lechowych... Szczęśliwy, że wydziercom ze staręj siedziby może rzucić w oczy rodowód idący od którego z synów patryarchy Mezopotamii... A cóż dopiero gdy wyprowadzi w szranki pewniejszą historię: owe postaci królów, hetmanów, prymasów, wielkich kanclerzów! jakże pieści się z ulubieńcami swymi! Jak ich stroi we wszystkie moralne klejnoty Plutarcha! jak serce mu bije na każdy tryumf ich oręża! a jakie lzy padają za każdą klęską! a ile przeklęstw godnych Dydony wysypie na odstępców Boga i odstępców Rzeczypospolitéj!... Rozwinął to najzupełniej i najszerzej w *Sybilli* podzielonej na cztery pieśni, która w całym swoim układzie najwięcej ma syme-

tryi i całości. Pierwsza pieśń opisowa na wzór delillowskich ogrodów opiewa Puławę, ognisko tego życia, co się wszczepiało w duszę przez wspomnienia i tradycję— gdzie wreszcie stał widomy symbol, Świątynia pełna pamiątek zgromadzonych przez księżną generałową... Nim poeta przestąpi próg Sybilli, wprzód wielkimi pociągami pendzla maluje przepyszną okolicę i sławny ogród. Można o nim powiedzieć, że jest pierwszym pejzażystą; pierwszy też odezwał się językiem tłumaczącym naturę, i pod tym względem najzupełniejszą ma wyższość nad *Zofiówką* Trembeckiego. Żaden z naszych dawnych poetów nie miał tego rysunku i kolorytu co on, szczególnie w szczęśliwych malowniczych wyrażeniach, jak owa Wisła, co:

Igra z rozkosznym brzegiem, strzępem swym srebrzystym;
jak ów strumień, co:

...przetapia czyste swe kryształy,
I znowu przymuszony nieznany gościńcem
Piąć się w górę i igrać na powietrzu młynem,
Gniewny za gwałt przyrodnym prawom swym zadany,
Ciska w same obłoki niezbłagane piany.

Wszystko to było nowością, podobnie jak ta topola:

Starożytna prababa tych roślin i krzewów,
Wśród licznych prawnucząt gałęzistych grona,
Odmłodziła w siwiźnie czepecem ustrojona;

lub wiąz:

...sążnistemi rosochami dumny,
Niepożyty szturmami, kark potrząsa szumny,—

którego liście:

obsiadły snów przelotnych roje,
Usypiając podróży kłopoty i znoje;

lub te dęby:

szelestem powiewnym ozdobne,
Młodniejące starością, siwym mchem szanowne,—

a nareszcie i nasza brzoza:

...nieutulona płaczelnica,
Zasłoniwszy na zawsze twarz niegdy nadobną,
Rozpuszczonych kędziorów powłoką żalobną...

Nie ma tu zapewne tój precyzyi pendzla, jaka spotyka się u romantycznych poetów, ale jest dotknięcie jedno lub drugie zdradzające żywsze uczucie dla piękności naszych okolic, gór i pól, drzew i kwiatów.

Woroniec nosił w sobie wszystkie zarody i przymioty tój poezyi, która się zaczęła rozwijać w trzecim dziesiątku dziewiętnastego wieku...

Z drugą pieśnią przenosi się on z ogrodu do świątyni. Widok zwoju pergaminu z pieczęcią, ułamka berła lub korony, zbroi starożytniej, miecza i buławy stawia mu przed oczy całą przeszłość. Jak na tarczy Achillesa rzeźbi on dzieje Rzeczypospolitej, jój początek i wzrost, szczyt wielkości i kwitnienia, nareszcie schyłek i ostateczny upadek.

Historyę schwyconą w najwybitniejszych i najwspanialszych rysach przesuwa nam przed oczyma, jakby dramat niosący za sobą głęboką przestrożę: Nieszczęścia narodów są karą bożą za odstąpienie praw jego zakonu—tylko odrobek win przez pokutę i rzetelną poprawę mógłby wyjednać napowrót błogosławieństwo Nieba.

To jedna myśl; a druga: Bóg porozsadzał narody na ziemi i porobił między niemi odrębności i różnice.

Dwa te wyobrażenia przesuwiają się przez wszystkie jego poemata; w jednym piesie napomnienie, w drugim otuchę... „Wiary tylko, silnej wiary w miłosierdzie Opatrzności!” woła co chwila i dowodzi:

„Myślicież, żeście losu ślepego igrzyskiem
I wcale obojętném Niebu widowiskiem?

Niebaczni! nie są głuche te górne sklepienia
Na odzowny szereg waszych oków i jęczenia...
A gdy nie pamiętając na wyroki święte,
Rozwodzicie mrukliwie żale nieujęte,
Jak gdybyście na pastwę ucisku oddani,
Omackiem po obłądnęj tłukli się otehlani...

Poeta nie chce, żeby ktokolwiek śmiał przypuścić, że Bóg może zapomnieć o człowieku — w oczach jego największe to bluźnierstwo...

Cały koniec *Sybilli* ma paręset wierszy jak z bronzu ulanych; każdy powinien umieć je na pamięć, aby sobie dopełnić ów szczytny *Hymn do Boga*, który jeden stawia go na czele naszych liryków.

Nie ma w tém przesady, gdy powiem, że Woronicza miłość do przeszłości napęlnia całe jego jestestwo; ale miłość ta będąc czystą i uduchowioną, spływa się i łączy z miłością Boga, staje się zakonem, i można ją zawrzeć w tej zwięzłej formule: Miłuj Boga, a umiłujesz kraj swój; umiłowawszy kraj, nie możesz nie miłować Boga.

Kapłan-wieszcz odsłonioną ma przed oczyma swęj duszy przyszłość... atoli robi ją zależną od nas samych:

Nie traf ślepy, nie kolęj narodami władnie—
W Boga się ręką rodzą i czasy, i losy...
Więc gdy Bóg nas nie może karać bez przyczyny,
Los nasz być musi płodem naszej własnej winy.

Poezye Woronicza w stosunku do naszej literatury w dziewiętnastym wieku — chociaż on jest właściwie tym, co jęj główny ton nadał — zostawały w pewnym odosobnieniu... a jeżeli były pojmowane, to tylko pod względem uczuć rodzinnych, jakimi tętnęły...

Nowa szkoła filozoficznych psalmistów przyjęła myśl Woroniczowską, a chcąc ją pełnać dalej po młecznych drogach fantazyi i egzaltacyi, skrzywiła ją... Balon ten odciał sznury prawd pozytywnych i zgubił się w przestrzeniach nieskończoności.

Polska, podług téj nowéj teologii, ma podobnie jak Chrystus odkupić ludzkość. Głos z nieba w *Przedświcie* wyraźnie stawia swój dogmat:

Bądź więc prawdą jak On (Chrystus) wszędzie—
Imię twoje Ludzkość cała.

A tak tedy nasz naród ogłoszony został „w trzecim objawieniu: Bogiem ludzkości.”

Za to niebaczne, a pyszne wdzierstwo na tron Boga naszych ojców, przyszła sroga pokuta; sprawdzają się wieszczce widzenia Woronicza:

Pamięć naszą uczciwą, głośną w poprzek świata
Jak skorupę, garncarską, o kamień stłuczoną,
Pogwizdując wędrowiec depee i pomiata...

A proroczy kapłan ze swojemi sybillińskimi rymami, wierny zakonowi prawd objawionych, zdaje się z tych górnych i jasnych krain, gdzie duch jego przebywa, przesyłać we krwi i łzach skąpanej ziemskiej matce pocieszające wyrazy:

Nie płacz niebogo, nie płacz! żyje Bóg na niebie,
Wielki Bóg ojców naszych—on nas nie pogrzebie...

Poezye te, dziś, jak z usposobień sędzę, niewielu mają czytelników... Dawniejsze społeczeństwo, a współczesne wieszczowi tak wysokiego nastroju, jakim był Woronicz, lubiło szukać w literaturze upięknionego odbicia się swoich uczuć i pragnień—i w wizerunku tym widziało dla siebie naukę i podniecie. Teraźniejsi zwydrzeni czytelnicy przedewszystkiem szukają rozrywki... Niegdyś społeczność mówiła do literatury: Badaj mię i ucz mię myśleć i czuć szlachetnie; a teraz mówi: Baw mię, bo się nudzę... I wyobraźnia sama jedna, najczęściej bez pomocy innych władz ducha, krząta się jak może, aby smakowi dogodzić... Wprawdzie niezawsze i nie na długo potrafi zabawić—lecz za to coraz głębszy wykopuje rozdział między społecznością a literaturą, aż w końcu całkiem rozumieć się przestaną...

Woronicz przestał śpiewać... Głos czarodzieja umilknął, bo duch stawiał się na zawołanie. Natomiast zaczął być mówcą, już nie dla samych prostaczków jak niegdyś w Liwie, Kazimierzu lub Powsinie, którym od dawna służył słowem bożem, lecz w okolicznościach mających doniosłość polityczną... Te same pomysły, które ubierał w szatę poezyi, i tu się snują w jędrnej, mężkiej prozie. Najtrafniej dwa rodzaje Woroniczowskiej wymowy scharakteryzował ks. biskup Łętowski (Katalog biskupów, pralatów i t. d.). Słowa jego powtarzam, bo lepiej trudno powiedzieć: „Był on mówca i wielki mówca, lepszy dla ludu wiejskiego i prostaczków niż dla bogaczów tego świata, w czém naśladował Mistrza Niebieskiego. Gdy mówił w stolicy, słuchali go tak zwani wielcy i możni; porywał go duch wieszczą i unosił po za granicę prostoty ewangelicznej. Dla tego to, gdy się zniżał, czuł i poruszał; a gdy górował, zadziwiał, ale to nie szło do serca. W kazaniach wiejskich swoich mówił do nas wszystkich, a w mowach przygodnych dla sławy własnej. Nie było w tém jego winy ani próżności, tylko ta siła umysłowa, która gnała go, gdy raz puścił jej wodze.”

Tak tedy Woronicz czy w wiązanej, czy niewiązanej mowie, wszędzie ten sam... Nazwałbym go poetą o jednej strunie... Powiedzenie to niebardzoby poglaskało miłość własną tylu autorów, gdyby je do nich stosować, lecz zastosowane do śpiewaka *Sybilli* ma wręcz inne znaczenie. Jedną miał strunę, trudno zaprzeczyć — ale koniec jej uwiązał u stop prawdy wiekuistej, a drugi przeciągnął przez serce pełne świętego ognia i czystości anielskiej... Nuży cię czytanie dłuższe jego wierszów; mimo tego powrócisz i znowu zaczniesz smakować w tym kordyale...

Jest to przymiot utworów mających przed sobą pewniejszą przyszłość, niż te plody, co raz pochwyciwszy naszą ciekawość, gdy ta będzie zaspokojona, nie przypominają się więcej.

Pozostaje mi jeszcze zaokrąglić ten piękny żywot do powiedzeniem reszty.

Z ogłoszeniem Księztwa Warszawskiego, następnie kongresowego Królestwa, nietylko król saski, lecz i cesarz Aleksander, umieli ocenić jego wysoki charakter i zdolności; pierwszy powołał go do rady stanu, drugi posadził na stolicy biskupstwa krakowskiego, jakby chciał nową gwiazdę dodać do owych, co przyświecały téj dyecezyi od czasów Św. Stanisława przez ciąg kilku stuleci...

Wśród najsroźszych i najwymowniejszych zabytków przeszłości znalazł się pasterz nasz jak w swoim żywiole... On, co lubił otaczać się symbolami i godłami przypominającymi dzieje dawne w szczupłych izdebkach plebanii wiejskiej, tu dogodzić mógł upodobaniu swemu na wielką skalę. Ściany pałacu biskupiego pokryły się scenami naszych dziejów i widokami najbardziej uroczych okolic krakowskich: Woroniec dawał do tych kompozycyj pomysły, a poeciwy Stachowicz wykonywał jak umiał... U jednego i u drugiego uczucie starczyło za umiejętność i sztukę...

Drogą tę pamiątkę po wielkim pasterzu zniszczył pożar, i dotąd stoi w ruinie.... Malowania Stachowicza zginęły niepowrotnie, ale duch ich wcielił się w naszą sztukę...

Blizko 12 lat siedział Woroniec na stolicy biskupiej, aż wreszcie po śmierci Skarzewskiego cesarz Mikołaj powołał go na arcybiskupstwo warszawskie, tę najwyższą duchowną godność... Został prymasem Królestwa ten, co niegdyś pragnął choćby cichego zakątka, żeby mógł wyśpiewać wielką przeszłość... dziś przyszło mu wkładać koronę na skronie monarchy.

Choć rzeczywistość nigdy nie bywa tak piękna jak sen,—jednakże marzenie ziściło się dla niego.

Zastanawiając się nad całym biegiem tego żywota, znając te myśli, któremi był ciągle miotany — można nie widzieć w tém osobliwego zrządzenia Opatrzności, że nikomu, tylko jemu przeznaczyla poświęcić tę koronę?

Niedługo cieszył się Woroniec tém najwyższém dostojenstwem... Nieszczęściami, wiekiem, chorobą znękany, szukał pomocy u wód czeskich, dokąd się udał, i wracając z téj drogi, w Wiedniu, na obcej ziemi, dnia 4 grudnia 1829 roku ducha oddał...

Zwłoki jego przywiezione do Krakowa złożono na Wawelu, pośród tych wszystkich sław i wielkości królewskich, które on kapłańsko-rycerskiem pieniem, on dworak grobów, nasiał w pamięci i sercu ziomków...

Było w tém spełnienie woli jego, często objawianej za życia, gdy mawiał: „Pochowajcież mię na tym tam górcu waszym Wawelu.”

I pochowano jak sobie życzył—nie, jak zasłużył...

Monumentu godnego męża zamykającego niejako szeregi wielkich postaci dawniej Rzeczypospolitej, dotąd nie wzniesiono.

XXVII.

EMIR TADZ-EL FAHER.

(Wacław Rzewuski).

Któż nie zna Farysa, tego szaleńca pustyni, co rozpuściwszy rumakowi wodze, mija oazy, urąga sępowi, obłokom, a z uraganem poszedłszy w zapasy, zwycięża go i dobija się gwiazd, aby odetchnąć całą pierśią, ostrzem myśli przybić się aż do nieba i w niem duszę utopić?...

I któż ten Farys? Czy to apokaliptyczny jeździec symbolizujący ludzkość w zapasach ducha z naturą? Czy poeta w walce ze społeczeństwem, która go przygniata, za miłość płacąc nienawiścią, za duchowe porywy ku górnym sferom — szyderstwem, że aż biedny więzień ucieka na pustynię, aby tam mógł skrzydła rozwinąć i wyciągnąć ku światu ramiona i objąć go w uścisku miłości?

Kogo tu rozumie ten dytyramb lotny jak skrzydło sokole, olśniewający jak meteor, entuzjazmujący jak hymn olimpijski?

Czyżby to była gra wyobraźni, jakiś fantastyczny obrazek? czy upoetyzowana rzeczywistość?

Mniemam, że to ostatnie.

Mickiewicz wszystkiemu, co wyszło z pod jego pióra, zwykł był dawać grunt rzeczywisty; nie lubił on między ziemią a niebem wieszać swoich kreacyj, a zawsze łączył je z życiem, na które patrzył, na które kładąc rękę czuł ciepło...

Warunek ten właściwy wszystkim wielkim poetom, daje i jego utworom nieprzemijającą świeżość... Zkądże wziął tego Farysa? nasuwa się logiczne pytanie.

Że go nie ulepił z wyobraźnej pianki — więcej niż pewna.

Okoliczności napisania tego poematu nie są mi wiadome; wiem tylko tyle, że go napisał w Petersburgu w roku 1828; lecz czy się osobiście zetknął z jego pierwowzorem, czy nasłuchiwał się opowiadań o nim? zostaje do rozstrzygnięcia.

Pierwowzorem tym nie mógł być kto inny tylko Wacław Rzewuski, znany także pod imieniem: Emira Tadz-el-faher Abd-el nisan, któremu przypisana była ta kassyda.

Przez lat dziesiętek był on przedmiotem powszechnej ciekawości i rozmów. Jedni wystawiali go jako ekscentryka prowadzącego żywot koczowniczego Araba w dziecinym Sawranii, ubierającego się po arabsku, mieszkającego w stajni, zajętego tylko końmi, którym oddawał się z całą miłością; drudzy naganiali ten żywot, a skrupulaci pomawiali o odstępstwo w wierze, o zerwanie związków rodzinnych; inni znowu, co go bliżej poznali, nie mogli się odchwalić, ile w nim było prostoty i serca, jaki dar oczarowania rozmową, muzyką, rysunkiem, dosiadaniami najdzikszych koni, nawet gimnastyką. Szczególniej płeć piękna dawała się podbijać tój tak oryginalnej osobistości, już dla tego, że wyrastał po nad strych zwykłych ludzi, jakich się codzień widziało, już że to był rzeczywiście mąż niezwykłych rozmiarów, poeta duszą i czynem. Mała tylko liczba osób, co się z nim zetknęły lub jego pisma poznały, podziwiała jego wielką naukę nie tylko w znajomości języków oryentalnych, lecz i wszystkiego, co się odnosiło do tych krajów, które spodróżował i poznał tak dokładnie, że go można było stawiać obok z najslawniejszymi podróżnikami angielskimi, francuskimi i niemieckimi, jak: Niebuhr, Volney, Choiseul-Gouffier, Lechevalier, Burkhard, Seetzen i inni, co zwiedzili Egipt, Palestynę, Syryę i Małą Azję, dając uczone postrzeżenia o naturze, mieszkańcach, geografii, historii i starożytnych zabytkach tych stron. Można

powiedzieć, że Rzewuski pod skromnym pozorem kupna koni arabskich czystej krwi położył takie same, a może i rzeczywistsze zasługi, co wyż wymienieni uczeni, bo przez lat kilka, przemieniwszy się w Beduina, miał wszelką sposobność robić naukowe obserwacye nietylko nad charakterem i sposobem życia mieszkańców, lecz jeszcze nad własnościami ziemi i klimatu, których wpływy nieobojętne bywają i na europejskim lądzie. Taki człowiek, gdyby go miała Anglia, stałby się głośnym w świecie uczonym, powoływanyby się na jego powagę, otoczonyby go czcią i zaszczytami. W naszym społeczeństwie nie miało to ani znaczenia, ani rozgłosu, czego dowodem los jego prac naukowych, które niewydane, byłyby bez śladu przepadły, gdyby troskliwa ręka pewnego podolskiego obywatela, znającego się na ich wartości, nie była ich od zaguby uratowała.

Winienem temu szczęśliwemu trafowi, że się dostały w moje ręce.

Paręset-arkuszowy manuskrypt, pisany po francuzku, ma tytuł: *Sur les Chevaux orientaux et provenant des races Orientales*. Dzieli się na dwa tomy: w pierwszym monografia arabskiego półwyspu i szczegóły odnoszące się do pobytu tam autora i przygód jego; w drugim, wyłącznie mowa o koniach, ich rassach, przymiotach i chowie, z uwzględnieniem miejscowości i klimatu sprzyjającego ich hodowli. W ostatniej tej części nadaje popularnej umiejętności arabskiej cechę ściśle naukową...

Do tego głównego dzieła należą jeszcze liczne dodatki, mieszczące już pierwsze rzuty pomysłów, mających być rozwiniętymi, już korespondenecy z królem i królową wirtemberską z lady Esterą Stanhope, niemniej jak bruliony listów do oryentalisty Hammer'a i innych osób, następnie mnóstwo rysunków widoków Arabii, zdjętych na miejscu, toż koni, wielbłądów, ubiorów, rynsztunków, postaci charakterystycznych, obozów, namiotów, karawan — do tego należą mappy, plany i profile wyżyny arabskiej. Są i nóty pieśni beduińskich, zgoła niezmiernie bogaty materiał do poznania tej pustynnej krainy. Wszystko to były notatki na miejscu robione które potem służyły Rzewuskiemu do napisania dzieła o koniach, a właściwie podróży po Arabii i Syrii.

Niemniej obfity dostał mi się zbiór urywkowych rozprawek filozoficznych i literackich, w znacznej części po polsku pisanych, a przedewszystkiem kilkanaście melodyj greckich i wschodnich, oraz obszerny poemat pod napisem: *Oksana*.

Z materyałów tych postanowiłem nie tyle podać tu zupełną monografię Wacława Rzewuskiego, ile opowiedzieć przygody jego w Arabistanie, w sposób niemający może historycznego porządku i ciągu, dla tego, że zajęty opisem pustyni i Kohejlanów, niektóre tylko ustępy poświęca swojej osobie, a co do dat, te całkiem pomija, i chyba czasem jak przez zapomnienie wymieni rok bieżący, tak dalece, że musiałem radzić się innych źródeł, aby podać, w którym roku wyjechał do Oryentu i w którym wrócił do domu.

Jest jednak źródło, z którego dałaby się czerpać historya jego przygód, a może całego życia, najautentyczniejsza i ściśle dokładna.... Lecz gdzie jest to źródło? wskazać go niepodobna, chociaż w manuskryptach często się powołuje na te własne *Mémoires secrets sur les affaires d'Orient*, i inne swojego życia, które, jak z często przytaczanej rebusowej notatki wyczytałem, złożył na Libanie w pieczarze na lewo pod znakiem JL. w pobliżu mieszkania lady Stanhope naprzeciw zamku Szkit.

Jak zobaczymy w ciągu rzeczy, dokument ten ważne zawierać musi wyznania, nie tylko co do dziejów osobistych emira, lecz i tajemnic politycznych. O ile dorozumiewać się mogą, wyjechał on z misją na Wschód, mającą na celu działanie przeciw wpływom angielskim za pomocą tajnych stowarzyszeń rozgałęzionych od Wyższego Egiptu do Benaresu; ambassador rosyjski w Stambule hr. Strogonow polecał mu założenie akademii orientalnej, eksploatacyę jaskiń kopalń złota i miedzi i innych pełno projektów, które pro memoria oznaczone są urywanemi wyrazami. Plany te miały cały Wschód zbudzić do życia....

Oto materyał mający mi posłużyć do skreślenia tej oryginalnej postaci.

Pod koniec zeszłego wieku było przysłowie charakteryzujące kilka znacznych rodzin polskich, podług tego, jak stały w opinii publicznej. Przysłowie to mówi:

Z Czartoryskim żyć,
Z Radziwiłłem pić,
Z Ogińskim jadać,
Z Rzewuskim gadać.

Ostatnie to zdanie odnosi się do rozumu i nauki Rzewuskich, od których wychodziło mądre słowo. Byli też to znamienici w swoim czasie statyści, mianowicie hetman ojciec, syn jego starosta doliński, a później Adam sławny mówca na sejmie, poseł do Danii i kasztelan witebski. Ci trzej górowali w swoim czasie, choć i innych nie brakło, co się odznaczali. Ród ten występujący na widownię dopiero pod koniec XVII stulecia, miewał mężów co nietylko piórem i wymową, lecz jeszcze szablą umieli się Rzeczypospolitej dobrze zasłużyć. Taki był Michał Floryan, podskarbi koronny, pólkownik królewski, towarzysz Czarnieckiego, który świetnymi czyni odznaczył się w różnych potrzebach tak ze Szwedem, jak z Turkiem, jak z tatarskimi zagonami. Jan III wielce go cenil i wyniósł za tyle usług na wysoką godność. Syn jego młodszy Stanisław Maciej podniósł jeszcze rycerską sławę ojca; jako generał wojsk cudzoziemskiego autoramentu, dzielnie sprawiał się pod Chocimem; potem posłował do Turcji — stronnik Augusta II oganiał się najazdowi szwedzkiemu, zadając mu klęskę pod Piotrkowem, czem gdy sobie utorował drogę do polnej hetmańskiej buławy, przyczynił się niemało do zwycięstwa pod Kaliszem, gdzie rozbił lewe skrzydło szwedzkie, i pod Warszawą; te dwie korzyści odniósł nad wojskami Karola XII. Po śmierci Sieniawskiego wakująca wielka buława jemu się dostała tytułem rzetelnej zasługi, — a jednak król oddając mu ją, rzekł nie bez obawy: „Strzeż się Potockich!” Hetman na to: „Prze- stroga dobra na wczoraj, ale dziś niech sami będą ostrożni!” W tej odpowiedzi odmalował się jego nieugięty i zdeterminowany charakter. Oprócz ogromnej siły, którą był obdarzony, umiał w najtrudniejszych okolicznościach działać prędko i stanowczo, a znowu w zawitych i delikatnych sprawach dyplomatycznych znachodzić zawsze najlepszą drogę. Był to zatem tak wojownik jak statysta nie-

pospolitych zdolności. Można o nim powiedzieć, że imię rodu swego zrobił nie tylko głośnym, lecz i szanowanym w Rzeczypospolitej. Cnoty i rozum przekazał spadkiem synowi swemu Wacławowi, który także piastował w. buławę, a chociaż nie miał pola odznaczyć się dziełami wojennymi, odznaczył się niezłomnym charakterem... W konsekwencji podstaw bronionych przez siebie, poszedł za daleko i stał się mimowolnym narzędziem przebieglejszej polityki: on jeden z naczelników konfederacji targowickiej okazał się nieinteresowanym i prędko się usunął od jej robot. Była to niepospolita głowa, dyalektyk zawołany, wybornie władający piórem i słowem... Został po nim syn Wacław Seweryn, którego miał z Konstancyi księżniczki Lubomirskiej, i dwie córki, jedna za hrabią Waldsteinem, druga za Jarosławem Potockim.

Ten właśnie Wacław Seweryn jest przedmiotem niniejszej monografii.

W rodzinie Rzewuskich, która w przeciągu lat kilkadziesięciu wydała trzech hetmanów, był we krwi pociąg do oręża, kojarzący się z wrodzonym talentem do pióra, do politycznych czynności. Jeżeli który z tego rodu nie słynał w jednym, to zasłynał w drugim zawodzie; a w każdym razie nie było Rzewuskiego, któryby się nie odznaczał pewną oryginalnością, źle lub dobrze obróconą, lecz zawsze dającą pewne znamienitości piętno, będące skutkiem dochowywania tradycyi domu, przekazanej potomkom przez Stanisława Macieja, pierwszego hetmana, na łożu śmierci, gdy polecał nie żałować krwi za wiarę i ojczyznę, czyli stawać w obronie kościoła i kardynalnych wolności narodu.

Wrodzony pociąg w rodzinie Rzewuskich do wojennego zawodu, który zamienił się w tradycję, sprawił, że ojciec tego Wacława, o którym mam mówić, dawał mu obok starannej edukacji i nauki, której niezmiernie był żądny, także i wojskową szkołę. Pan hetman przemieszczając po ostatnim rozbiorze Polski, najwięcej w Wiedniu, miał tam wszelką sposobność kształcić syna w instytucie wojskowym, zapewne nie w tej nadziei, żeby mógł służyć krajowi, — w testamencie bowiem swoim wyraźnie za-

strzegł, aby był wiernym władzy krajowi nadanej, i dodał te wyrazy: „Nie ma już Polski! powinniśmy ten cios znosić ze schyloną głową!” Zresztą i to co się działo w świecie, nie szło po myśli hetmańskiej; z natury swoich przekonań był on zaciętym przeciwnikiem rewolucyi i zorganizowanego przedłużenia jój pod Napoleonem, — zatem i usiłowania sformowanych we Włoszech i Niemczech legionów uważał raczej za rozpaczliwe awanturowanie się, niż za drogę, którąby synowi mógł wskazać. Dla tych to powodów i syn, lubo nieobojętny na wielkość i sławę Napoleona, nie sprzeciwiając się woli ojcowskiej, wstąpił w szeregi wojska austriackiego do pólku Kienmayer-huzarów i dosługując się stopni, odznaczył się w bitwie pod Aspernem, jedynej, co stronie do zwycięstw przywykłej, dała tryumf wątpliwy. Tymczasem ojciec jego pan hetman dokonywał swego żywota na Wołyniu. Umarł roku 1810 w Holakach i pochowany został w Starym Konstantynowie u Kapucynów. Syn pośpieszając do umierającego ojca, opuścił Wiedeń, a najpewniej i służbę wojskową; przybywały mu też nowe obowiązki, których nie mógł podzielić z obowiązkami służby.

Podług zapisek, jakie pozostawił, znajdujemy go w r. 1811 przebywającego u siostry swj hrabiny Jarosławowej Potockiej, gdzie bawił gość dla niego wielce pożądany, — a był nim Ramiz basza, były admirał turecki, który wracając z Petersburga, zatrzymał się w domu pani Jarosławowej przez pięć dni. Skompromitowany w rewolucyi serajowej przy wyniesieniu na tron Mahmuda, z polecenia samego sultana, udał się pod opiekę Rossyi i miał sobie wyznaczony na pobyt Mikołajów nad Bohem. Otoż ten Ramiz bardzo sobie upodobawszy Wacława, jako biegłego w językach wschodnich i pełnego nauki, nalegał na niego, aby go w Mikołajewie nawiedził, co też on uczynił.

W jednej z notatek swoich tak opowiada ten stosunek:

„Towarzystwo Ramiza baszy składało się z Ahmeda Ruszczukli, z Solimana agi, którzy z nim byli na poufałym stopie. Zaś Tefterdar i Ali bej wchodzili do salonu, lecz usiąść przy nim nie śmieli. Na takich wieczorkach Ramiz

sadzał mię przy sobie, i zapalaliśmy lulki. Rozmowa toczyła się po turecku, do której lubo mało się mieszałem, jednak przysłuchiwałem się bacznie, a każdego razu czegom nie rozumiał, Ali bej objaśniał mię jednem słówkiem. Zwykle potem przychodziła mowa o Napoleonie i jego wyprawie do Egiptu, w której Ramiz brał udział, będąc jeszcze młodzieńcem. Wtedy nienawidził on Napoleona, lecz później, kiedy Francya oddała wielkie przysługi Porcie, mianowicie przez ufortyfikowanie kanału i stolicy, i on stał się jego admiratorem. Ciągłe mię wyciągał na słowo, abym rozповідаł o kampaniach Napoleona; na jego także żądanie ułożyłem po turecku przy pomocy Tefterdara pamiętnik o wojnie 1809 r., dodając do niego kilka planów bitew rysowanych przeze mnie. Ramiz odczytał skończony memoriał, rozpatrzył się w planach, a nigdy nie widząc nic lepszego nad liche rysunki topograficzne u Turków, zwykle robione w profilu a nie *à vol d'oiseau*, nie mógł z razu rozumieć mego rysunku, dopóki nie objaśniłem mu, w jaki sposób powinno się patrzeć na mapę i jak liczyć odległości. Zrozumiał mię bez wszelkiej trudności. Ramiz miał mapę ogólną Europy zawieszoną na ścianie; przy mojej więc pomocy, zaczął wypisywać nazwy miejsce, co mu dawało poznać stosunek jednych mocarstw do drugich. Był to człowiek dający się powodować i nieprzeszkadzający niewczesnemi zapytaniami. Z tego poszło, że pragnął bardzo mieć dobrą mapę Turcyi, gdy zaś miałem taką w czterech arkuszach z nazwami pisanemi po turecku, więc mu ją pożyczyłem. Była ona ulubionem dziełem, które wykonałem, będąc wtedy na czele znamienitego wydawnictwa (razem z Hammer'em), pod tytułem: *Fundgruben des Orients*. Zamiarem moim było wydać atlas oryentalny w językach wschodnich. Ramiz ucieszył się wielce tą mapą i nie mógł się dość nadziwić podziałowi europejskiej Turcyi na sandzaki oznaczone kolorami. Powiedziałem mu, żem ją wykonał podług manuskryptu geografa Hadzi-Chalfa znajdującego się w mojej bibliotece wallenburskiej, i podług mapy Riedla. Mapę tę wziął z sobą, i ta mi przepadła...

„Ramiz w pogadance ze mną ciągle mię namawiał, żebym z nim jechał do Turcyi; a że ja od dawna postana-

wiałem spodróżować te kraje, więc przyrzekłem mu prędkiej lub później nawiedzić go jako gość. Lecz wtedy jeszcze byłem w służbie austriackiej. Mundur mój oficera Kienmayer-huzarów bardzo mu się podobał. Byłem młody, przystojny, śmiały i doskonały jeździec; przytęm odznaczyłem się w boju, zdobywszy wyższy stopień pod ogniem nieprzyjacielskim, a żywa fantazyja młodzieńcza, ten wynalazek natury i losu, nie przedstawiała mi żadnego niepodobieństwa w wykonaniu moich zamiarów. Zawsze miałem pociąg do rzeczy niezwykłych. Słowem Ramiz poznał mój ognisty charakter i pokochał mię jak syna. Zaprowadzenie w Turcyi tak zwanego Nizam-Dzedidu było przedmiotem ciągłych rozmów między nami. Ramiz widząc jak podzielałem jego widoki co do reform mających się zaprowadzić w Turcyi, otworzył mi się zupełnie, i w zaufaniu wyznał, że sultan Mahmud IV zamierza pójść w ślady swego stryja sultana Selima, że prędkiej czy później rozpocznie dzieło odrodzenia ottomańskiego państwa; przyczem skreślił mi wizerunek charakteru i geniuszu obecnie panującego sultana. Ze wzrastającym zaufaniem tē moczniej nalegał na mnie, abym nie zwlekał przyjazdu do Turcyi, i chcąc mię przekonać, w jak blizkim stosunku zostaje z sultanem, czytał mi jego trzy listy, w których go zapewniał o niezmiennej swojej przychylności i o pieczy, jaką rozciąga nad jego majątkiem i haremem. „Obyś mógł już powrócić jak najprędzej — pisał on — ale teraz jeszcze nie czas; lud bardzo „rozjątrzony przeciw tobie; powoli uspokoję go i przychylę, ność ku tobie wzniecę...”

Ramiz ufny w życzliwość sultańską pojechał zbyt wczesnie, mimo przestróg przyjaciół, a chociaż zatrzymał się pod Bukaresztem w dobrach Ghików, Bolentynie, jednak w skutek dziwnego zbiegu okoliczności politycznych i intryg ulemów — zamordowany został... Sultan Mahmud utracił w nim najdzielniejszą rękę w zaprowadzeniu Nizamu i swego tronu podporę...

Ze śmiercią tragiczną Ramiza upadły i zamiary Wacława odbycia podróży na Wschodzie, przynajmniej na jakiś czas.

Z powyżej przytoczonego ustępu możemy ocenić jego ówczesną pozycję i usposobienie.

Świetnie odznaczywszy się w bitwach, oddaje się mimo powołania niebardzo sprzyjającego naukowym mozołom, nauce języków wschodnich, robi mappy Turcyi, z Hamme-r'em wydaje pismo poświęcone rzeczom oryentalnym, biorąc nakład na siebie, i krom tego jest już związany obowiązka-mi rodziny. Zapewne 1805 roku wszedł on w związek małżeński z osobą pełną wszelkich przymiotów charakteru i rozumu, niepospolitęj urody, księżniczką Rozalią Lubo-mirską, córką Aleksandra kasztelana kijowskiego i Rozalii Chodkiewiczówny, sławnęj swojego czasu z piękności i tragicznego końca, w rewolucyi bowiem francuzkiej gło-wa jęj spadła pod gilotyną. Przyjaciółka księżny de Lam-balle, choć była gościem w Paryżu, padła ofiarą niwellu-jącego fanatyzmu, zostawiając osieroconą córkę w wieku jeszcze dziecinnym, którą przygarnęła do siebie jakaś li-tościwa praczka. Tak srodze wypróbowaną od losu osobę, i to jeszcze na progu życia, kiedy świat się uśmiecha i przejmuje zdziwieniem swoich niespodzianek — wziął Wacław za towarzyszkę... Zdawało się, że nie mogło już być dobrańszej pary. Co jego zajmowało, i ją zajmowało również. Nauka oryentalnych języków, najmozolniejsza, wycieńczająca najbystrzejszą pamięć, wymagająca nieprze-rwanęj appiiakacyi — jeśli dla kogo to dla młodęj, pięknej kobiety, nie może mieć wielkiego powabu. A jednak Ro-zalia zasmakowała w tęg nauce, i równie z mężem brała lekeye arabskiego języka. Jak to było, wyręczy mię *pro-memoria* skreślone ręką Wacława:

„W Trypolisie dowiedziałem się, że mój dawny znajomy z Wiednia, Aryda, mieszka w Zuk-Michailu u krewnych swoich panów Chadrów. Otoż zatrzymawszy się kilka dni w tęg mieście i odwiedzając często starego chyzlaka kon-sula angielskiego p. Jenni'ego, którego żona była bardzo ładna i młoda, udałem się z moim orszakem do Zuk-Michailu, leżącego nad brzegiem morza na wysokości górze. Kiedy spostrzeżono mój orszak zbliżający się do zamku, wyprawiono na spotkanie nas kilkunastu jeźdźców, aby się dowiedzieć, co za jedni jesteśmy? i ofiarować nam goś-cinność; poznano bowiem z daleka mój biały płaszcz emir-ski. Ja zaś zakwefiony jak wszyscy moi towarzysze, przy-

jąłem zaprosiny i wjechałem na dziedziniec zamkowy. Nie zsiadając jednak z konia, zapytałem:—Gdzie jest Anton Aryda?

„— Jest tu — odpowiedziano, wskazując drzwi do jego pokoju na dole.

„Nie zsiadając z konia, stuknąłem zwyczajem beduińskim trzykroć drzewcem od kopii we drzwi... Wyszedł na przeciw mnie starzec z długą siwą brodą — to był Aryda. Widok ten wzruszył mię. Kiedym był jego uczniem, ko-chałiśmy się nawzajem. Po chwili rzekłem do niego:

„— Antoni Arydo poznajesz mię?

„On zaś na to głosem drżącym:—Nie, nie poznaję — i ucałował mój płaszcz emirski.

„Jam na to:—Przyjacielu, słuchaj co mówię, i pytaj wspomnień twoich. Czy pamiętasz: *il quello...*?

„Aryda się zmieszał, i tylko machinalnie powtarzał: *Il quello... il quello...*

„Cheąc mu dopomódz, dodałem:—*Apollo feminino!*...

„To go od razu przeniosło w dawne czasy, przypomniał sobie i zawołał z mocnym rozrzewnieniem:—*Ma e questo la bella contessa Rosalia...*

„Odsłoniłem mu twarz moją, dodając:—*Tace et conosce mi caro.*

„— *Il conte!* krzyknął Aryda, i zaczął rzewnie płakać... Zeskoczyłem z konia i płakałem także, lecz z radości (jednak niebardzo, bo płakać nie lubię). Uściskaliśmy się jak bracia...

„Dla zrozumienia tej sceny, trzeba wiedzieć, że Aryda w Wiedniu, kiedy tak mnie jak mojej żonie dawał lekcye języka arabskiego, o tej ostatniej zwykł był mawiać: *Il quello Apollo feminino...*”

Epizod ten wymownie objaśnia, jaka harmonia musiała panować między młodem małżeństwem, jeśli piękna Rozalia dla przypodobania się mężowi chciała się uczyć najtrudniejszego z języków, co również daje miarę o entuzjazmie oryentalnym Wacława...

Zdaje się jednak, że dwa te charaktery nie mogły długo utrzymać się w tej równowadze, która jest nieodzownym warunkiem małżeńskiego pożycia.

Hrabia Wacław, którego duszy wizerunek najwierniej wystawił poeta w *Farysie*, był zapalonym entuzystą absolutnej wolności, tak dalece, że widząc, iż takowa nigdyby zrealizować się nie mogła w składzie i ustroju naszego cywilizowanego społeczeństwa, szukał jej aż na pustyni pośród koczowniczych Arabów. A to pragnienie palące go i trawiące, spotęgowało się jeszcze z upadkiem Napoleona i z kongresem wiedeńskim, gdy wszystkie zdobyte wolności monarchizm uznał nietylko za niebyłe, lecz jeszcze je nazwał zbrodnią i poddał pod surową kontrolę policyi...

W tak dusznej atmosferze trudno było żyć piersi, której:

Całe powietrze w Arabistanie

Ledwo za oddech stanie...

Jak z razu domowa harmonia, trzymała się miłością wzajemnego ulegania i stosowania się do upodobań jednej lub drugiej strony — tak wpływem okoliczności politycznych rozstrzeliły się przekonania przyjęte z fanatycznym zapalem przez małżonków, a z niemi coraz więcej wątpało obopólne przywiązanie.

Hrabia Wacław miał przymioty i wady polskiego szlachcica. Wspaniały, przystępny, otwarty i kochający wszystko, gotów był do najszaleńszego kroku, jeżeli go porwała myśl jaka ekscentryczna, w której bohaterstwo jego miało się zdumionemu światu objawić. Choćby do koła siebie zostawił ruiny, poszarpał wszystkie węzły najświętsze — za nic sobie to miał, byleby stał się głośnym, zasłynął...

Można łatwo sobie wyobrazić, że w tém położeniu, w jakim Europa została się po kongresie wiedeńskim, dla tak egzaltowanej głowy nie było miejsca.

Zona jego przeciwnie znalazła się wtenczas jakby we własnym żywiole, co pochodziło zapewne i z osobistego jej charakteru, i z atmosfery w jakiej żyła, lecz podobno najwięcej ze wspomnień wyniesionych z lat dziecińczych. Pamięć morderstwa matki ginącej pod gilotyną, wilgotne

ściany więzienia, w które z nią razem była wtrącona, znęcanie się nad niemi tłuszczy ulicznej obryzganęj krwią ofiar, nareszcie sieroctwo i nędza, w jakiej zostawała, nim ją z tego piekła wydobyto, — wszystko to musiało zostawić niezatarte wrażenie w umyśle i wstręt wszczepić do rewolucyi i do wyobrażeń z nią spowinowaconych.

Ci, którzy ją bliżej mogli poznać, oddawali hołd wysokiemu jęj rozumowi i rozległej jęj nauce. Co do wyobrażeń i wiary politycznej, siostra jęj męża nazywała ją żartobliwie Ludwikiem XIV, a o jednej ujemnej stronie jęj charakteru Andrzej Koźmian w pamiętnikach swoich tak mówi:

„Brak serca, który jęj zarzucają, zastępuje silnem uczuciem obowiązku. W przyjaźni i w stosunkach towarzyskich ściśle przestrzega dopełnienia tego, co jest lub co mniema być obowiązkiem; a choć czuje się różnicę między dowodami przychylności, ofiarami, poświęceniem nawet, do których rozum jest podnięta, choć miłość serca jest ciepłem słonecznem, które ogrzewa, upładnia, słabemu daje zdrowie i siły, a miłość wyrozumowana jest gorącym piecem ogrzanego, a więc ciepłem, które zimna czuć nie daje,—dobrze przecież, że i takie ogrzewa, kiedy słońca śród zimy brakuje.”

Rygorystka obowiązku dopełnianego względem drugich, i to z wdziękiem zniewalającym i pełnym delikatności, zawsze jest niepospolitą kobietą przynajmniej dla świata... Dla męża tak bujnej myśli, tak szlachetnych porywów i tak czulego serca, jakim był Wacław, nie wystarczało to może... Potrzebował on słońca, a nie sztucznej temperatury kaloryferu.

Z niektórych notatek rzuconych niedbale nasuwa się domysł, że między nim a nią stała jakaś trzecia istota, która całą jego duszę zajęła.

„Mówią—pisze on—że miłość jest szaleństwem; ja zaś nazywam ją rozumem, bo wszystko w koło nas upięknia.”

A na inném miejscu:

„Posiadać istotę, która dla nas jest wszystkiem, i w każdej chwili—a potem rzucić się w zapasy z życiem—nie jednoż to, co manewrować armią mając za plecami

fortecę? Ze zwycięztw odnosi się niechybną korzyść, a o klaskę nie ma się obawy.”

Jaśniej tłómaczy się w tym ustępie:

„Dla czegoż chwile szczęścia tak prędko są przemijające? Ledwie błysną, znikają zaraz! Dla czego i te szczęśliwe momenta, które spędzamy przy ukochanej, nie są podobne jedne do drugich? I tak, pierwsze chwile, jakie spędziłem z... (tu nazwisko pisane kluczem) były bez chmurki... Do następnych przymieszała się pewna żenada; za trzecim razem ciężył nam przymus. A jednak ani moje, ani jój serce nie zmieniło się... Odjechałem nakoniec, i w duszy mojej osiadła cisza rozpaczy, stokroć więcej męcząca niż najgwałtowniejsze wybuchy. O droga moja N. N.! tyś tylko jedna, którą prawdziwie ukochałem; odkąd bowiem ogarnęło mię to uczucie, czuję się z gruntu zmienionym. X, to człowiek nie niewart — gorszy niż ten, co zatrul studnię Zemzem...”

Zobaczmy w dalszym ciągu tego opowiadania inne wyraźniejsze zwierzenie się z tój miłości w listach pisanych do lady Estery Stanhope, tak, iż możnaby przypuścić, że namiętność ta, od której może chciał uciec, albo ją stłumić, była główną podniętą, że się rzucił w ten awanturniczy żywot na pustyni bezwodnej, palonej od słońca i zasianej plemionami, zostającemi w ciągłej wojnie z sobą, lub napadającemi i rabującemi karawany. Wszakże do tój determinacyi wzięty był inny pozór, służący za usprawiedliwienie tój wyprawy. Po długich wojnach napoleońskich przekonano się o potrzebie poprawy rassy koni. Gdy zaś hr. Wacław podziwiany był czasu zjazdu monarchów na kongres do Wiednia jako jeden z najlepszych jeźdźców, a konie jego, na których się znał i umiejętnie hodował, budziły zazdrość, więc przez stosunki swoje z pierwszymi osobami zbliżył się on do głów koronowanych, podobał się i zyskał sławę znamienitego znawcy, a ztąd i zaufanie, że powierzono mu zakup koni arabskich do stajen cesarza Aleksandra i króla wirtemberskiego. Szczególniej królowa Katarzyna wirtemberska, siostra cesarza Aleksandra, wielka miłośniczka koni, przejęta była dla niego prawdziwą admiracją, i znaczne wyłożyła summy na kupno arabów, które

Rzewuski miał dla niej wybrać i sprowadzić z pustyni Neżdu (*).

Cel ten, tłómaczący jego wyjazd na Wschód, dogadzał usposobieniu, tém więcéj, że był on od dawna przysposobiony pożegnać Europę, jak tyle innych rzutkich umysłów porzucało ją, nie mogąc się pogodzić z nowym rzeczy porządkiem. Była to chwila, w której niejeden, co się nieczego już nie spodziewał na horyzoncie politycznym, lub co nie mógł znieść tego powrotu do dawnych form absolutnych, wyniósł się do innych części świata, aby gdzieś na dworze jakiego indyjskiego królika szukać sławy orężnej, nabytą w napoleońskiej szkole, albo też szukać wrażeń wśród plemion na pół dzikich, a może gonić za ideałem „człowieka natury,” o którym tyle pięknych marzeń zostawił Rousseau.

Zdaje się, że wszystkie te pobudki grały w ognistej duszy i wrażliwej fantazyi przyszłego emira. Tak się domyślam przynajmniej z napomknień, które spotykają się

(*) Załączam tu jeden z listów królowej wirtemberskiej pisany ze Stuttgartu 12 grudnia 1817 r. do Rzewuskiego, który wtenczas znajdował się w Stambule:

„Panie hrabio! Dowiaduję się z listu radcy dworu p. Buteniewa, że znadujesz się w Stambule, i rad wspominasz o przejeździe moim przez Radziwiłłów, gdzie miałam przyjemność poznać pana i zachować go w mojej pamięci. Pisz mi pan Buteniew, jako hrabia chcesz mi dać dowód swéj życzliwości i podejmiesz się pokierować zakupem koni arabskich, do których przyjść pragnę — w czém oddasz mi prawdziwą przysługę. Nadzwyczajnie bowiem zamiłowana jestem w koniach; mam piękne już stado, i rok rocznie staram się o poprawienie rassy. Od dawna nieczego tak nie pragnę jak dostać Kohejlana; jeżelibyś mógł go nabyć zrobiłbyś mi wielką uciechę. O co mi idzie, wyłożyłam najszczegółowiej panu Buteniewowi, obligując go, aby się z panem porozumiał tak co do kupna, jak transportu. Potrzebuję trzech ogierów, a do stada trzech klaczy pierwszego rzędu, bez żadnej wady. Wierz mi, panie hrabio, że zawsze zachowam w pamięci tę twoją uprzejmą propozycyę, choćby i kupno nasze nie miało się udać.

„Zostaję z wysokim poważaniem i życzliwością.

(podpisano) „Katarzyna.”

Innych wiele jest listów od króla wirtemberskiego Wilhelma, który po śmierci swéj żony († 1819) korespondował z Rzewuskim, i w jednym liście prosi go, żeby na pamiątkę przyjął tabakierkę, którą nieboszczka królowa przeznaczyła dla niego.

w jego pismach, i z entuzjazyzmów lirycznych, któremi osypuje pustynię i Beduina...

Że jednak musiała być jakaś tajemna przyczyna, która głównie wpłynęła na ten krok, sam to pisze w krótkiej rozprawie o Palmirze w tych słowach:

„Przyczyny, dla których wyjechałem do Wschodu, smutne i ciekawe; wyjaśniłem je w moich *Mémoires secrets*; o nich tu nie wspominam, bo tego czynić nie chcę, i na tem dosyć.”

Podług wszelkiego podobieństwa, Rzewuski wyruszył w r. 1817 w tę drogę z dóbr swoich, czy Kuźmińskich, czy Sawranieckich, zabrał bowiem z sobą doktora na dworного Konstantego Chotynieckiego, starego sługę Marcina, Sokoła kozaka z Sawrania, i zapewne więcej jeszcze domowników niewspominanych w relacji.

Przelotne napomknienia pozwalają się domyślać, że spodróżował wprzód Turcyę europejską, bawił dłuższy czas w Stambule, gdzie pozawiazywał szerokie stosunki z dygnitarzami W. Porty, oraz ciałem dyplomatyczném, reprezentowaném wtenczas przez markiza de Riviére posła francuzkiego, Strogonowa rossyjskiego, Havę hiszpańskiego. Od jednych i od drugich miewał on w ciągu swego pobytu na Oryencie różne upoważnienia do traktowania delikatnych kwestyj, osobiwie o posiadanie kościoła grobu Chrystusowego, o który ciągle walczyli Grecy z katolikami; pierwszych wspierała jak zawsze Rosya, za drugimi obstawał zawsze dom burboński panujący w Hiszpanii, Neapolu i Francyi. „Z tego powodu, pisze Rzewuski, za mego pobytu w Alepie, krew się toczyła pod mieczem muzułmańskiego fanatyzmu, a kindżał i pal turecki tracił za wyrokiem Hurszyda baszy męczenników chrześcijańskich. Ciekawe są moje w tym religijnym przedmiocie rozmowy i korespondeneyę z arcybiskupem Syryi, legatem papieżkim Gondolfim, kiedy byłem przez posłów: francuzkiego de Riviére, a hiszpańskiego Havę, do konferowania z tym duchownym i dawania opinii mojej upoważniony. Wszystko to się znajduje w moich *Mémoires secrets sur les affaires d'Orient*.”

Jeśli to seryo pisane, szkoda, że tak ciekawe pamiętniki zostają gdzieś w ukryciu!

Jak już powiedziałem, w papierach pozostałych po Rzewuskim, lubo nie trudno o bardzo szczegółowe napomknienia dotyczące się nie tylko jego osoby, lecz i tajemnych myśli i uczuć, jednakowoż nie ma w nich nic historycznego i tej nici jednego ciągu, coby wiązała te *disiecta membra*.

O podróży z Konstantynopola do Syryi nigdzie nie napomknął ani półsłówkiem, ale szczęściem znalazł się jeden bardzo piękny list pisany do jakiegoś hrabiny, w którym kreśli humorystycznie swoje wrażenia:

„Czuję się w obowiązku donieść pani o sobie; jest to hołd, który ci serce moje płaci, i to najgorliwiej. Czyliż w miłym twym towarzystwie nie spędziłem tyle chwil szczęśliwych, które pamięć moja przechowa, nie głową, lecz sercem? a pamięcią serca jest niewygasła wdzięczność.

„Dowiedziałem się przez pana Cossein'a o wyjeździe pani ze Stambulu i przybyciu jej do Smyrny, gdzie ci się bardzo podoba, czemu wierzyć nietrudno; bo jeżeli mieszkając w Perze, mogłaś znaleźć pobyt tam znośny, to Smyrna w porównaniu jest rajem. Osoba tak ujmująca i dobra, jak ty pani, umie oczarować całe towarzystwo i sama się nawet do niego przywiązać. Co się mnie tyczy, opuściwszy Stambul, przebywałem Dardanelle, które o wiele nie są tak piękne jak nasz uroczy kanał między Skutari a Bajukdere. Z Dardanellów trzeba było płynąć niedaleko brzegów dawniej Troady. Gdyśmy je mijali, kazałem nabić armaty i trzykrotnym wystrzałem pozdrowić mogiłę wielkiego i pięknego Achilla. Zapewne na ten huk wzruszyły się prochy czulego bohatera. Widok ten Troady, gdzie prawie nie widać, a mianowicie z oddalenia, w jakim byłem, rozgorączkował mię niewypowiedzianie; zdaje się, że wyobrażenia tém bardziej się rozbudza i buja, im przedmiot jest niepokąźniejszy, bo nie ściąga na siebie oczu i nie zatrzymuje jej strzelistych lotów. Wielkie wspomnienie, ożywiające wypadek historyczny, olbrzymi, przywiązane do miejsca opuszczonego od ludzi, daleko więcej rozgorączko-

wywa niż takie ruiny Palmiry i Balbeku, w których myśl nasza uwieja.

„Z Dardanellów udałem się do wyspy *Facecyi* leżącej na Archipelagu. Zapewne nie znasz pani tej wyspy, zwłaszcza że pod tém nazwiskiem nie figuruje na żadnej mappie. Atoli przekonasz się, że ją trafnie zdefiniowałem. Otoż w jednej pieczarze tej wyspy, poczciwy marzyciel Św. Jan, ułożył swój romans pobożny, nazwany Apokalipsą; na tej wyspie panuje godło: *à tout venant beau jeu*. Kobiety są tam przepysznie piękne, a mężowie ich ciągle włóczą się po morzu. Słowem jest to ojczyzna hiszpańskiej krotochwili Pigault'a le Brun'a. Każdy, kto tam się dostanie, może małym kosztem stać się małym Meridorem, a nawet Trufaldinem i spotkać się z jaką pulchną Inezą. Zwiedziłem to schronienie świętego marzyciela. Pieczara, w której siedział, jest szczupła i nie ma więcej nad pięć stop. Zwiedziłem też jego stajnię długą na piętnaście cali; niewielkie to zaprawdę, ale pamiętaj pani, że rumaki apokaliptyczne niewiele miejsca potrzebują. Chciałem oglądać arenę, gdzie zamykał sławne swoje zwierzęta, o których pisze; lecz i ta niewieksza od tamtych. Trzoda zwierząt brodatych, w czarnych płaszczach, wydających głos chrapliwy, pobożnie bełkotliwy, zajęła miejsce tych strasznych potworów; po dawnych zwierzętach nastąpiły nowe zwierzęta, i oto wszystko, co zostało z Apokalipsy. Wyspa ta nazywa się Patmos. Sześć dni zatrzymałem się tam, poczem rozwinawszy żagle, płynęliśmy koło Rhodosu, sławnego swoim kolosem, kawalerami i wielkim Solimanem, przed którym drżało chrześcijaństwo, a on sam ukorzył się u nóg pięknej Polki, niewolnicy wziętej w Rohatynie, przezwaną Roksolaną. Nie mogłem wylądować na tej wyspie; dla tego l'Auban dobrze zrobił, że nie pojechał ze mną. Zaledwie minęliśmy Rhodus, pochwyciła nas cisza morska trwająca cały tydzień. Cóż to za nudy! Jestem pewien, że cisza morska mogłaby wyleczyć każdego z najgorętszej miłości; rozdrażnienie i kwaśny humor zajmują miejsce tęsknoty i smutku; a obrażnia, ta jedyna ucieczka nieszczęśliwych kochanków, opuszcza cię ze wstrętem. Nie mogąc już dłużej wytrzymać tego męczącego położenia, gdy tylko niewiele mil

byłem oddalony od Cypru, dosiadłem łodzi i kazałem wiosłarzom płynąć do tej sławnej wyspy, gdzie Wenus miała swoje ołtarze, a do której i ja mam osobliwe nabożeństwo. Już za dobre pół godziny mieliśmy przybić do lądu, gdy wtém z okrętu padł strzał działowy i wywieszono pawilon dający znak do powrotu, bo właśnie wiatr się podniósł. Okręt ruszył, a jam musiał wrócić się z drogi, aby się dostać na pokład... Tym sposobem ominięło mię Paphos. W półtoręj doby zawinęliśmy do portu kochanej Aleksandretty, której z całej duszy nie cierpię. Podróż moja była bardzo pomyślna; tak moi ludzie, jak majtkowie i konie, słowem wszystko w najlepszym zdrowiu wysiadło na ląd."

Załowac, należy że podobnych listów nie znalazło się więcej. Gdyby podróżnik nasz w tej formie lekkiej, potocznej dał był opis swojej podróży, — niezawodnie autorstwo jego nabrałoby ogromnej wziętości, i imię stałoby się głośnem w naszej literaturze; bo jaka tu werwa, jaka trafność porównań, jaki humor! Można by mu nawet wybaczyć te wybieżki przeciw rzeczom uświęconym i poważnym, tém więcej, że dziś kładziemy je na karb maniery wolteryjskiej, nie zaś tej gruntownej niewiary, co z arsenału zarozumiałej uczoności i erudycyi dobywa wszelakiej broni, aby ję użyć na podkopanie powagi kościoła i nauki Chrystusowej. Zresztą co do przekonań emira w rzeczach wiary, w której się urodził i wychował, jest on dzieckiem swojej epoki nacechowanej indyferentyzmem, i znajduję pewne podobieństwo między nim a emirem Beszirem, księciem Druzów, o którym powiada: „że ma jakąś religię, ale nikt nie wie jaką; uchodzi za chrześcianina, bo arcybiskup Aintury Gondolfi jest jego kapelanem; w każdym razie dobrze odgrywa swoją rolę szczególnież ze względu na stosunek z Maronitami; w gruncie musi być *Druzem*, bo to religia jego narodu, a mimo tego chodzi do meczetu i odprawia obrządki wiary muzułmańskiej." Mniej więcej w takim pomieszczeniu wyobrażeń znalazł się i nasz podróżnik: między Arabami był zwolennikiem sekty wehabitów, będącej rodzajem wschodniego protestantyzmu; w zajściach religijnych stawał zawsze w obronie katolickiego kościoła, nie tylko

przeciw muzułmanom, lecz i przeciw Grekom, a między katolikami żartował sobie ze świętości naszej wiary. Była to pyszna filozofia, co się wyżej nosiła nad wszystkie rozумы od początku świata. Mniemam jednak, że Wacław więcej był fanfaronem tej doktryny niż szczerym jej wyznawcą. Potrzebne mu to było do roli, jaką odgrywał... Możliwy go posądzić nawet, że komuś na złość bawił się w muzułmana...

Miedzy innymi dokumentami znalazł się list pisany do niego przez Józefa Sękowskiego, autora *Collectaneów*, знаmienitego orientalisty, któremu on podał rękę, któremu nawet wyrobił katedrę języków orientalnych w Wilnie za pośrednictwem Ignacego Sobolewskiego ministra sekretarza stanu w Petersburgu. Ciekawy ten list umieszczam w przypisku (*), aby służył za dowód że emir nawet na pustyni nie przestawał zajmować się sprawami obchodzącymi naukę.

(*) Od trzech prawie miesięcy bawiąc w Ayuthurze lub ztąd krótkie robiąc wycieczki, ile mi zdolność pozwalała, zajmuję się szczerze moim przedmiotem. Że tak długo nie pisałem do JW. W. M. Pana, zechcesz mi panie hrabio darować, gdy mu powiem, iż zaledwo teraz pewną dla moich listów znalazłem drogę. Dla tego też niezwłocznie winienem podziękować za łaskawie dane mi listy, którym dobre me przyjęcie całkowicie winienem. Książd Aryda, pocziwy starzec, zdaje się mię lubić. Dotąd arcybiskup Gondolfi bawi w Damaszku, i widzieć go nie mogłem. Zostawił tu pan hrabia wyborne dla Polaków imię, i prawdziwie szczęśliwy jestem, żem przybył tu po nim, cieszyć się owocami jego dzieła. Pobyt jego dał powód tutejszym pocziwym mieszkańcom, iż rodaków naszych powszechnie zowią wspaniałym narodem. *Aryda* i *Chadza* tysiączne zasylają mu ukłony.

Ja mieszkam w Ayuturze u Arydy, i przy innych zatrudnieniach jużem wygotował Koran do druku całkiem prawie. Odebrałem pozo- wezora list od barona Strogonowa, donoszący mi o mojem do służby przyjęciu. Nie myślę jednak prędzej do Konstantynopola powrócić, aż około maja, tem więcej, że wyśmienici tych gór mieszkańcy nie chcą mię przed wiosną ztąd puścić. Wyjeżdżając ztąd, udam się do Sydonu, Tyru, Akry, Jerozolimy i Jaffy, zkąd popłynę do Kairu i Aleksandryi, a ztamtąd prosto do Carogrodu. To, co się mię tyeze; w odebranych listach z Wilna i z Warszawy nie ciekawego nie wyczytuję. Wiadomości, które mię serdecznie ucieszyły, ściągają się do pysznej twojej panie hrabio podróży do Palmiry i pustyni. Pisze mi nieoszacowany nasz professor uniwersytetu Kazimierz Kontrym, Franklin wileński,

Nie zaś lepiej nie uwypatnia dzielności umysłowej i energii naszego podróżnika, niż ta okoliczność, że pomimo trudów koczowniczego i awanturniczego życia, miał czas pisać swą podróż, i to nie z samych wrażeń, lecz pełną naukowych poszukiwań i badań. W *Dzienniku Wileńskim* pojawiła się naukowa jego rozprawa o wietrze *samum* — a sama podróż już miała się drukować w r. 1820, jak z listu Sękowskiego przekonywamy się. Napisał ją w języku francuzkim; Sękowski radzi pisać po polsku, a rada ta rozumna i uczciwa pokazuje, jakie było wówczas przekonanie tego uczonego. Dla czego nie przyszło do wyda-

i którego zdania mocno się lękam, gdyż mu się rzadko co podoba, a bardziej jeszcze, iż za jego zdaniem idą zazwyczaj i ci, co rozumują, i ci, co nie rozumują. Oto są jego wyrazy: „Rzewuskiego podróż wyborna, wysmienita i prawdziwie interesująca; z tém wszystkiém nie mogę jej wydrukować tak prędko, jak ty życzysz sobie i jakbym ja sam żądał, a to z przyczyny rycin. Ks. Marczyński kapelan szkół podolskich, wydaje statystykę tamtej gubernii z wielu mappami i rycinami, której tom pierwszy prenumeraty kosztuje dwa dukaty, i koniecznie na sierpień, w którym przypadają sejmiki, musi być skończony. Do tej roboty obowiązani kontraktem wszyscy lepsi rytownicy, nawet Chrzczonowicz, nauczyciel w Mołodecznej; wszakże uwolnią się oni z terazniejszym miesiącem (czerwcem) i Chrzczonowicz z Mołodecznej przyjedzie. On będzie robił i mappy do tej podróży, bo to jego wydział, i kto inny nie zrobiłby tak dobrze. Postaram się o wydrukowanie, ile możliwości, najokazalsze. Rustem professor malarstwa, przerysowywał portret. Przez lipiec zrobią się ryciny i druk, a na końcu sierpnia spodziewam się, że egzemplarze będą już w Konstantynopolu.“ Życzyłbym mocno, iżby pan hrabia podziękował od siebie poeciwiemu Kontrymowi grzecznym listem. Jest to człowiek jedyny z gorliwości i bezinteresowności, całe swe życie poświęca ku dobru innych, i wszystko co w Wilnie i Warszawie uczyniono pożytecznego, to wszystko z jego namowy, porady, zachęcenia i planu. Człek dziwnie skromny, imienia swego do niczego mieszać nie chce, stara się robić wszystko, co nosi piętno pożytku, lecz robić tak, iżby się zdawało, że inni to uczynili. Ma głowę prawdziwie ogarniającą i najobszerniejszą znajomość rzeczy. Gdy pan hrabia zechce przywieść do skutku chwalebny, hożki swój zamiar założenia szkoły wschodniej, życzyłbym mocno, i jeżeli JW. WM. Pan zechcesz przyjąć mą radę, radziłbym i prosiłbym nawet, żebyś go użył do planu i urządzenia tego pięknego zakładu, a zaręczam, iż wiłdomkom jego całkowicie i godnie odpowie, gdyż nie znam podobnego je-

nia tój podróży? — nie umiem powiedzieć. To pewna, że imię autora jęj byłoby nabrało wielkiego rozgłosu w świecie uczonym, szczególnie w Anglii i Francyi. Dziś jeszcze podróż ta wydana z temi ilustracyami i mappami, jakie Rzewuski własną ręką na miejscu wykonał, nie straciłaby nie na swojej wartości. Na tego rodzaju badania, jakie tam są, nie ma przedawnienia.

mu w gorliwości i całkowitem poświęceniu ku dobru innych. Założenie domu dobroczynności, który dziś tak pięknie kwitnie i jego urządzenie, Szubrawstwo, pomnożenie drukarni i księgarni w Polsce, towarzystwo typograficzne, kilka instytutów naukowych etc. etc. jemu jedynie i jego staraniom, planom i namowom winniśmy. Pan hrabia użył potrafił tak pożytecznego dla rodaków i bezinteresownego człowieka.

Wracam się do naszej podróży. W liście p. Lelewela z Warszawy pod 28 maja znajduję wyrazy, których opuścić nie mogę. Pisze mi: „Rozległa się u nas sława o wybornęj hr. Rzewuskiego podróży, i dzieła jego z niecierpliwością wyglądamy. Rzecz o wietrze *samum* w polskim języku nieznaną, tak jak i podróż do Arabii uprzejmie przyjętę będzie etc.“

Hr. Rumiancow w liście swym, pisanym do mnie z Petersburga 2 maja pomiędzy innemi rzeczami wyraża:

„*J'ai été très sensible, très flatté en recevant les Mémoires que Monsieur le Comte de Rzewuski vous a chargé Monsieur de me faire parvenir. Je vous aurez beaucoup d'obligation de lui faire connaître toute ma reconnaissance. Il y a longtemps que ses lumières et la protection qu'il accorde aux gens des lettres, lui ont acquis des droits à ma considération la plus distinguée.*“

W późniejszym liście dodaje: „*Dans votre lettre de 30 Avril vous en avez fait espérer Monsieur le dessin et les cartes qui doivent accompagner l'excellent Mémoire de M. le Comte de Rzewuski; je vous serai doublement obligé, lorsque je verrai l'effet de cette promesse.*“

Pozostaje mi więc przypomnieć ją panu hrabiemu. Przyznam się panu hrabiemu, iż nie w życiu tak wielkięj nie uczyniło mi pociechy, jak te wiadomości o jego piśmie i potwierdzenie przez ludzi znakomych z nauki zdania, które sam o nięj miałem. Jeżeli mi wolno dodać tu konieczną uwagę, ośmielę się mu powiedzieć, iż ta okoliczność powinna by go zachęcić do wydawania wybornych pism swoich po polsku, i przekonać, że u nas znajdują się ludzie i są w liczbie znacznej, którzy prawdziwą umieją ocenić wartość. Przy swoich zaletach i tak

Z licznój zapewne korespondencyi, jaką utrzymywał, doszły mię tylko dwa listy pisane w tym okresie, kiedy wrócił był z pierwszej wyprawy na pustynię i bawił jakiś czas w Stambule. Jeden do przyjaciela, imieniem Wacława, jak się zdaje wojskowego, z byłej armii Król. Polskiego jest w języku francuzkim, ozdobiony na początku kolorową winietą wyobrażającą emira i jego ulubioną klacz Rowalle, która „lotem dogania gazelle.” Na wstępie, obok różnych niezrozumiałych alluzyj, zdaje on sprawę ze swoich czynności: „Kupiłem dla jęj królewskiej mości królowej wirtemberskiej 14 klaczy arabskich i 13 ogierów w pustyni Nezdū. Narażałem się na ogromne niebezpieczeństwa, ale udało mi się zrobić wyborny nabytek. Wysyłam te konie do Liworna, ja zaś sam wracam do Palmiry, Damaszku, Badgadu i t. d. Co porabia piękna Rautenstrauchowa? donieś mi co wiesz o niej. A wielki książę czy zawsze tak zajęty ćwiczeniami wojskowemi? czy piękne ma konie na stajni? posyłam mu bowiem przez barona Strogoniowa broń beduińską, siodła, uzdy, cały rynsztunek arabski.” — Po tym wstępie czy przypisku następuje list z czułościami do tego Wacława, którego prosi, aby mu często pisywał, gdyż to jest jedyną pociechą na pustyni, jeżeli jaki głos z kraju doleci. Dalej pisze: „Zapewne niespodziany wyjazd mój do Turcyi wprowadził was w zdumienie, a jednak mogliście się tego spodziewać, wiedząc, co wam zawsze mówiłem o moich zamiarach. Przyjęcie, jakiego doznałem na Wschodzie, przyjaźń okazywana mi przez pierwsze osoby w Stambule, a na prowincyi przez baszów, agów, a nawet lud prosty, wszystko to mogło przekonać, że jeszcze żaden z podróży tak gościnnie przyjmowany nie był. Zaczynam już dość płynnie mówić po turecku, i jestem w stanie utrzymać się w rozmowie; zawiązałem ścisłe stosunki z wielu dostoj-

czystym języku, którym panie hrabio piszesz po polsku, łatwo należeć można do pierwszych naszych pisarzy. *Melius est primus esse Parthorum quam secundus Romanorum.*

Z gór Libanu, Ayuthura, 15 września 1820.

nikami, u których często spędzam wieczory *tête à tête*, a między nimi u naczelnego dowódcy artylleryi, wielkiego ulubieńca sułtana, człowieka z głową, który w broni tej zaprowadził porządek na sposób francuzki. Bywam z nim często na ćwiczeniach artylleryi. Korzyści te zawdzięczam najwięcej mojej narodowości. Noszę delię futrem podbitą staropolskim krojem. Turków nie znalazłem takimi, jakimi ich zwykle wystawiają; o wiele oni więcej warci, w przebiegłości nikt im nie wyrównywa, a jeżeli im się nie wiedzie tak jak pragną i jak na to zasługują, pochodzi z braku oświaty i wszelkiego wykształcenia w tym narodzie, który zatrzymał się na czwartym wieku, tymczasem kiedy jego gabinet doszedł do ośmnastego, i to nic nie straciwszy z właściwego sobie charakteru. Zresztą nie znam podobnego kraju, gdzieby człowiek większej wolności używał niż tutaj; kocham ten kraj i zapewne na stare lata zamieszkam nad brzegami Bosforu. Powiedzieć ci, że Stambuł jest piękny, to tyle co nic; potrzeba go widzieć własnymi oczyma, ażeby o nim mieć pojęcie. Przez siedm miesięcy siedziałem w Stambule, potem puściłem się do Arabii, gdzie przebywałem w Aleppie, Damaszku, Akrze, w towarzystwie Beduinów Anazes spodróżowałem pustynię, uczeiłem ruiny świątyni słońca w Heliopolisie, pod kolumnami w Palmirze płakałem nad losem pięknej Zenobii, zwiedziłem szczątki kwitnącego niegdyś państwa Barmacydów, także kalifów Fatymitów, a co dziwniejsza, sam jeden dotarłem do gór strasznych Metuabisów, gdzie oglądałem zamek sławny w krucyatach, należący do Starca z Gór a naczelnika Assassynów, obejrzałem stare zamki hrabiów Trypoli, Antyochii, Saidy, Bejrutu, należące do rycerzy z pierwszej krucyaty, a co jeszcze w tych moich podróżach godnego podziwu, zem się przyłączył do karawany idącej do Mekki. Długo byłoby ci opowiadać, co tu przebyłem i widziałem; przygody te opowiem w moich pamiętnikach o Wschodzie, które zamierzam drukiem ogłosić. Nie zapomniałem też o moich przyjaciółach. Oświadcz księdzu Staszicowi, że dla niego zbieram różne minerały, gdziekolwiek na nie natrafię. Mam także dla świątyni Sybilli wielki rzeźbiony glaz wyjęty z pysznego portyku w świą-

tyni Balbeku, a drugi ze świątyni w Sanaminie. Dla siebie nabyłem przedmiot nadzwyczajnej wartości, jest to miecz Godfreda de Bouillon, ukradziony w Jerozolimie przed 54 laty, a teraz mnie sprzedany przez wnuka Mazulima pierwszego posiadacza tego miecza. Posyłam ci wizerunek mój w stroju, jaki noszę na pustyni, także portret mojej klaczy Rowalla, na której ścigam gazelle. Opraw je i powieś nad swoim łóżkiem. Nazywam się tu Emir Tadz-el-Faher (Wieńczysław czyli uwieńczony sławą). Lepiej robię kopią niż sami Arabowie; szczęśliwym się czuję między nimi i dla tego do nich powracam. Z Akry do Stambułu puściłem się konno i podróż tę odbyłem w 15 dniach, tu zaś zabawiwszy owe dwa miesiące, wracam nazad do Arabii, ale morzem."

Drugi jest brulion listu do orientalisty Hammer'a, pisany z Konstantynopola (zapewne w 1819 r.), w którym Rzewuski prostuje nazwy i opisy geografów i podróżników po Arabii, a następnie mówi o swoich pracach:

"Pierwszy mój tom zawiera rzecz dość ciekawą, to jest geografię beduińską; przesyłam ci ten manuskrypt. Będzie przytęm i oryginalna lista trybutów, a nazwiska ich emirów i szeików, których znaczną część poznałem osobiście (*). Cała pustynia jest prawie wehabicka; sekta ta kiedyś zapanuje. W Libanie polując na gazelle, odkryłem ruiny zakopane w ziemi, dość obszerne; widziałem kilka strzaskanych kolumn ogromnej średnicy. Pewnie nie widział ich żaden z podróżnych, bo tylko trafem zapędzony za gazellą napadłem na nie. Bardzo mię także zajęła ogromna, osamotniona kolumna wśród obszernej doliny między Balbekiem a Raas-el-Kadimem—co ona tam robi, gdy na okół nie ma ani miasta, ani świątyni? W Cylicyi zwiedziłem sławne wąwozy, o których wspomina Q. Curtius. Ten, przez który przechodził Aleksander Wielki, dobrze opisany, dziś zwie się Jailah.... Znalazłem tam na skale wykuty ołtarz i kolumnę w płaskorzeźbie. Tylko przypad-

(*) Lista ta znajduje się w oryginale przy jego manuskrypcie.

kowi, że koń mię zrzucił, winienem odkrycie tego zabytku sięgającego czasów Aleksandra W. Mówilem o tém Alemu bejowi, który dwa razy tamtędy przejeżdżał, a tego nie widział; umarł on na moich rękach, w bliskości Mezeribu, na pustyni. Szczegóły jego zgonu spisałem w moim dzienniku; będziesz miał również i relację o lady Stanhope, u której 17 dni ciągiem mieszkalem; istota to rzadka i nieoceniona.

„Biegam około moich interesów, i mam nadzieję, że dobrze pójdą. Jak tylko przyjdę do majątku, zaraz poraży się najprzód o dalszém wydawnictwie *Fundgruben*, a wtenczas zapewnione mieć będzie powodzenie i utrzymanie. Wypadki dzisiejsze dają ogromną wagę Azji; dla tego niemożna zaniedbywać encyklopedyi wschodniego kontynentu. Cierpliwości tylko i wytrwania! Pracujemy i nie zrażamy się niczém — to mój system i charakter. Zasługa moja, że umiem być wytrwałym i jestem takim, podobny w tém do płynu; jeżeli go ściśniesz z jednej strony, wytryska z drugiej. Powietrze, choć tak lekkie, ma także ten przymiot. Nie wiem, może w tej chwili jakie inne nazwisko niż moje ma zaszczyt figurować na wydawnictwie *Fundgruben*. Gdybym kochał się w próżności, byłoby to bolesnym dla mnie ciosem; atoli dbam tylko o postęp nauki, i nie obchodzi mię wcale, jakie tam nazwisko figuruje w miejscu mojego, kiedy cel osiągnięty. Wolę dobro publiczne niż dogodzenie własnej ambicyi. Niełatwo to wyrzec się 15-letniego przyjaciela. Pamiętasz, jak pod drzewem w Weidlingu powzieliśmy myśl wydawania tego dzieła, wzywając w pomoc uczonych trzech części świata? Marok i Ganges podały sobie ręce, by nas wspierać w przedsięwzięciu. Nie było jeszcze dzieła założonego na tak olbrzymią skalę. To jakby moralna zdobycz dokonana na Azji. Samo przeznaczenie dawało mu ten charakter. Ja byłem wtenczas na polach Asperu, kiedy ty oblężony w Wiedniu, widziałeś jak do twój pracowni wpadł granat i nie pękł... bo uszanował naukę... Dawne te wspomnienia mają dla mnie niezrównany urok... Proszę cię, pojedź do Weidlingu i w mojem imieniu odwiedź to drzewo i wryj na niem mój znak ukochany , abym go kiedyś mógł

odszukać. Wyrylem go już na kolumnie Tedmoru, na cedrach, wyruję jeszcze na piramidach...”

Obok tych sentymentalno-mistycznych dziwactw, Rzewuski oddawał rzeczywistą usługę nauce tak pod względem języków oryentalnych, jak geograficznych i archeologicznych badań.

Nieodżałowana szkoda, że nigdzie żadnych nie znalazłem wzmianek o pierwszych chwilach przybycia naszego podróżnika do portu Aleksandretty, gdzie, jak się domyślać mogę z jego własnych natrąceń, musiał natrafić na przykrości, które mu to miasto zbrzydziły. Niezawodnie zaoopatrzony w listy polecające go tak europejskim konsulom, jak baszom i innym dygnitarzom sultańskim, wszędzie wstęp znalazł, uprzedzające przyjęcie i gotowość do wspierania go czy to w zakupnie koni, czy w innych przedsięwzięciach. Głównem jednak zadaniem przybywającego cudzoziemca były konie. Znawca wytrawny, prędko przekonał się, że nie mógłby znaleźć takich jak potrzebował ani w pobrzeżnych miastach Syrii, ani po wsiach przypierających do pustyni. Te bowiem, co się znajdują w miastach, liczą się do pośledniej kategorii; po wsiach bywają już lepsze, a najdoskonalszych dostarcza tylko pustynia. Arab koczowniczy, jeżeli kiedy pokaże się w mieście, to najczęściej na dromaderze lub na najgorszej szkapie, a to z powodu, że nie dowierza muselimum czyli gubernatorom, którzy nie robią sobie żadnego skrupułu brać gwałtem, jeżeli się im co podoba. Te zaś klacze, które dają urzędnikom Porty w prezencie, zwykle należą do braków. Tym sposobem nie znajdziesz tam prawie nigdzie szlachetnej krwi nezdów. Zostaje więc tylko jedno źródło, udać się do pustynnych Beduinów, gdzie koni znajdzie się na wybór — ale mało kto z mieszkańców miasta odważy się na tę wyprawę połączoną z licznymi trudnościami i niebezpieczeństwami.

„Za mojej bytności — mówi Rzewuski — w Halebie (Aleppo) był tylko jeden Ormianin, a w Damaszku dwóch, co się puszczało za końmi między trybuty, ale i ci się nie znali na koniach. Na pięćdziesiąt sztuk przyprowadzonych przez nich, zaledwo wybrałeś parę niezgorszych. Arab nie lubi się pozbywać dobrego konia, to raz, a podrugie, jeśli

już przystanie na sprzedaż—to stawia takie trudności, że kto nieświadomy ich języka, obyczajów i narowów — ani marzyć może, żeby co wskórał.”

Świat pustynny ciągnął go więc samą tajemniczością swoją i wyzywał do zapasów z niebezpieczeństw, które tylko małodusznych zrażają. On, syn rycerskiego narodu, widział tam piękną sposobność pokazać się takim, jakim był. Poetyczna fantazyja stawiała przed nim obrazy, w których jego rycerskość znajdzie pole popisu, a miłość bezwzględnej wolności nie spotka żadnego z tych hamulców, jakie każda cywilizowana społeczność nakłada na wyjątkowe indywidualności, którym zawsze powietrza i przestrzeni brakuje. Być też może, że nosząc się w duszy z jakąś niewyleczoną namiętnością, chciał ulgę znaleźć w tém nowém dla siebie życiu odzierającym go ze wszystkich prerogatyw, jakie dają stosunki, urodzenie, wychowanie, nauka, a tylko sama osobista dzielność popłaca. Zapalony zresztą miłośnik koni, gdy nie mógł ich znaleźć w miejscach przystępnych dla każdego—powiedział sobie: „Pójdę po nie do źródła!” I nie zważał na żadne trudności czekające go w tej ekscentrycznej wyprawie: ani na klimat piekielny, ani na zabójczy samum, ani na głód, pragnienie, lichą żywność, trud bez wytchnienia, zbyt lekką odzież o bosych nogach, noclegi na gołej ziemi przy zimnej, a lipkiej rosie; ani co najprzykrzejsza dla cywilizowanego człowieka, na podzielenie pod jednym namiotem wygórowanego niechlujstwa koczowniczego ludu.... Ostatni ten wzgląd mógłby najodważniejszemu odjąć odwagę — jego nie wstrzymał.

Polecony, jak rzekłem, konsulom europejskim, baszom i muselimom sultańskim, doznał jak najlepszego przyjęcia w Halebie i Damaszku, dwóch głównych miastach na pograniczu pustyni... Hurszyd basza Halebu przeznaczył nawet dla niego pałac Bastan el Ketab, który on przeważał Gulistanem, dla tego jak mówi, że tam odbywały się posiedzenia literackie. Rzewuskiemu wiele zależało na tém, żeby przez stosunki z uczonymi nabył wiadomości o stanie kraju, wyobrażeniach i obyczajach mieszkańców, a głównie wyćwiczył się w języku; słowem, żeby mógł uchodzić za

rodowitego Beduina. W Damaszku ujął sobie Saleha baszę, mającego tytuł Emira-el-Hadż, dla tego, że pod jego dowództwem idzie rok rocznie karawana pielgrzymów do Mekki; ujął go, jak powiada, ofiarą 24 flaszek mocnego francuzkiego octu, który się bardzo przydał w nużającej pielgrzymce dla jego haremu. Zapewne niemało czasu i starańłożył dla wyrobienia sobie tych dobrych stosunków, bez których cudzoziemiec nie mógłby sobie dać rady, gdyby nawet nie szło mu o coś więcej niż o kupno dobrych neżdów i kohejlanów.

Zabezpieczony tedy w głównych punktach, to jest urządziwszy takie zakłady w Halebie i Damaszku pod opieką baszów i konsulów, których zadaniem było mieć swoje stajnie zaopatrzone w koce dla koni, w worki na owies, postronki i inne potrzeby, z odpowiednią liczbą ludzi stajennych—wyruszył na pustynię z dużemi pieniędzmi w brzęczącej monecie, i to w tak zwanych kolonatach hiszpańskich czyli twardych piastrach. Arabowie innę nie biorą monety, i tak są wybredni, że każda sztuka musi być jedna w drugą, jakby dopiero co wyszła z pod stempla.

Puszczając się z takimi pieniędzmi pod opieką Beduina, który jest przewodnikiem, można być w drodze przez koczujących Arabów sto razy napadniętym i zranionym; ale kiedy się raz stanie w trybucie, nie ma już żadnej obawy. Arab nigdy się nie targnie na własność swojego gościa.

Przybywszy do taboru, gdy oświadczysz chęć nabycia koni, zaraz tłum cię otacza i zarzuca tysiącem pytań. Jest to najnudniejszy egzamin, jaki przebyć potrzeba każdemu kupecowi, który rad nierad musi odpowiadać stosownie do wyobrażeń beduińskich, czém się odznacza rasa neżdów i po czém poznaje się ród ich wysoki. Niechże kupujący wyrazi się z lekceważeniem albo nietrafnie o koniu, którego mu przyprowadzono (a zwykle same najgorsze szkapy pokazują), już przepadł i nikt z nim gadać nie będzie. Niech potem, jak chce się poprawia i ęci hojną zapłatą, nie innego nie usłyszysz tylko: „Boosz!” lub „Fahell!”—co jedno i drugie mniej więcej wychodzi na nasze: „Furda mości panie!” albo: „Kapitałne głupstwo!” Trzeba zatem mieć dobry

zapas i to doraźnych konceptów, aby podać uzasadnioną przyczynę, dla czego się ten lub ów koń nie podobał. Jeżeli się uda co dobrego znaleźć, to nie między temi końmi, które Beduini wyprowadzają, lecz przechadzając się po namiotach i nieznacznie rzucając okiem na stojące tam ogiery i klacze. Długo zaś przypatrywać się, oglądać z bliska, macać — to znowu gniewa Arabów; trzeba zatem mieć tyle doświadczenia, aby za jednym oka rzutem poznać, czy koń wart co czy nie. A kiedy się go spróbuje pod wierzchem, kupiec niech umie dosiąść go i toczyć nim — bo jeżeli poznają się, że lichy jeździec, wyśmieją go chórem. Śmieszność i na pustyni bywa zabijająca!

Otoż i koń, co mi się podobał! Przystępuję do rzeczy. Arab nigdy się nie obraża, gdy mu oświadczysz chęć kupna jego wierzchowca. Owszem, to mu pochlebia. Nigdy on nie odpowie: Sprzedam — lub: Nie sprzedam; tylko zaraz pyta: A ile dasz?

Tu trzeba być kutym na cztery nogi i nie ofiarować za mało, bo to popsułoby handel. Znazca poda od razu przybliżoną cenę. Arab pokręci głową, i dopóty będzie kręcił, póki nie wyrównasz tej summy, jaką on sobie ułożył.

Najeźściej się zdarza, że piękny ogier należy do kilku panów, a każda klacz niezawodnie ma ich kilkunastu, i dla tego zachodzi przy kupnie ta największa trudność, aby zyskać zezwolenie wszystkich cząstkowych właścicieli.

Gdy się już usuną te nieprzeliczone przeszkody, i dosyć nasłuchałeś się wywodów o przymiotach, sławnych czynach i przodkach stargowanego konia, następuje wypłata, czyli nowa scena, w której lada drobna okoliczność może cały targ popsuć. Kupujący siada na ziemi i liczy na płaszczu umówioną sumę w talarach, czyli w kolonatach hiszpańskich. Tłum Arabów interesowanych i nieinteresowanych w sprzedaży obsiada do koła i ogląda każdą sztukę, która z rąk do rąk przechodzi i jest przyjęta lub odrzucona. Po tej weryfikacji przystępują do rachowania. Arytmetyka, jak wiadomo, wzięła początek swój od Arabów — lecz dziś między potomkami pierwszych wynalazców nauki liczenia, umiejętność ta spadła tak nisko, że potrze-

ba dobrej godziny na przeliczenie tysiąca sztuk; ten liczy na palcach, ów inną trzyma się metody, a wszyscy co chwila myślą się i przerywają robotę, zaczynając od początku. Kupujący nie miesza się do niczego; jemu nie przeszkadzano, kiedy odliczał pieniądze, niechże i on nie przeszkadza. Po skończeniu tej niecierpliwiejszej roboty, Beduini zgarnawszy kolonaty, biorą konia za uzdę i oddają nabywcy, poczem z grzywy wyrrywają kilka włosów, grudką ziemi wytrą konia, i to włosie razem z ziemią, jak każe obyczaj, staje się własnością kupującego. Tymczasem już po całym trybucie gruchnęła wieść, że koń sprzedany.... Zlatują się tłumy nieproszonych panegirystów sprzedanego konia, ten i ów wychwala jego cnoty i wywodzi wysoki ród, przytacza zadziwiające czyny... Słowem, robi się zgielk jak w bóżnicy... Szalony entuzjazm ogarnia głowy; myślałbyś, że dopiero pierwszy raz widzą tak fenomenalnego konia.... Pozostaje tu tylko jak można najspieszniej mieć pod ręką pewnego człowieka, któryby konia odprowadził do miasta, gdzie mam już przygotowane stajnie — i to jeszcze trzeba go zaopatrzyć w pieniądze, aby się miał czem okupić, gdy go napadną Beduini z innego trybutu. Zdarzyło się to i Rzewuskiemu, że kiedy Arabowie męczyli się nad nieskończeniem długim rachunkiem kolonatów, powstał alarm na widok zbliżającego się nieprzyjaciela.... W mgnieniu oka Beduini zostawili na ziemi niezliczone pieniądze, a sami dopadłszy koni, znikli w gonitwie.... I nigdy już nie spotkałeś się z koniem, któregoś kupił....

Z kupnem klaczy jeszcze większe ceregiele.... bo każda klacz ma właścicieli bez liku, zwłaszcza gdy jest już stanowiona. Zresztą cena jej bywa nierównie większa od ceny ogiera. Kłopoty jednak nie kończą się nawet, gdy w stajni portowego miasta zgromadzisz partyę nezdów i kohejlanów. Tłum amatorów ciśnie się natrętnie, a nie masz prawa zabronić prawowiernym muzułmanom patrzeć na konie spokrewnione z klaczą Mahometa.... Również gdy przyjdzie wysłać konie do Europy—nowy kłopot. Często zdarza się, że zwierzchność zakazuje wywozu, lub tłum pospólstwa zastąpi drogę i nie puszcza, a nieraz jaki hultaj

przyczepi się do konia i utrzymuje, że to ten sam co mu go skradziono... Nie pozostaje nic innego, tylko płacić a płacić, aby się opędzić tym wydrwigroszom.

„Ja sam—pisze Rzewuski—będąc emirem beduińskim, ubrany jak oni, mówiący ich językiem, znający ich zwyczaje, doznałem nieskończonych przykrości w Damaszku, gdym wyprawiał partyę koni kupionych dla królowej wirtemberskiej; a na jakież dopiero męczarnie wystawia się chrześcianin, przybywający do Arabii dla kupna koni, a nieumiejący ani języka, ani znający zwyczajów, ani też obeznany z rassami!... Choćby to był najzawołanszy koniarz w Europie, w Arabii będzie nieukiem.”

Wziąwszy pod kredkę te wszystkie okoliczności, przychodzi się do przekonania, że kupno koni w pustyni arabskiej bardzo jest kosztowne, bardzo uciążliwe i bardzo niebezpieczne.

Jednemu Rzewuskiemu, który był wyjątkiem w swoim rodzaju, powiodło się wyprowadzić z tego arabskiego piekła największą ilość i to najlepszych koni. Za jego tam pobytu bawili dwaj Francuzi w Damaszku, wysłani po konie przez Ludwika XVIII: jeden był hrabia de Portes i pan Damoiseau, znakomity weterynarz, który napisał nawet relację o tej wyprawie. Byli to wielcy znawcy — atoli nie mogli się poszczycić tak obfitym żniwem, jak nasz emir, który wyprowadził z Neżdu 137 sztuk, a w tej liczbie 33 klaczy.

Znalazłem też spis imienny wszystkich tych czworonogów dostarczonych Katarzynie Pawłównie królowej wirtemberskiej, cesarzowi Aleksandrowi, wielkiemu wezyrowi Derwiszowi baszy, i tych, które zatrzymał dla siebie.

Dla pierwszej sprowadził 13 klaczy i 12 ogierów neżdów kohejlanów; dla drugiego 3 klacze, 5 ogierów; dla trzeciego: 12 ogierów; sobie zostawił 18 klaczy, 52 ogiery. Oprócz tego, jeszcze przed podróżą do Arabii miał już w dobrach swoich stadninę koni oryentalnych, które nabył od naszych krajowych amatorów koni. Mówi też o nich z największym uwielbieniem i wylicza wszystkie najslawniejsze stada. „I tak za moich czasów sprowadzano wielkim kosztem konie ze Wschodu: sprowadzał je

król Stanisław August, sprowadzał księżę feldmarszałek Czartoryski mój dziad wujeczny, hrabia Stecki w. chorąży koronny, księżę Sanguszko (Hieronim) wojewoda wołyński, którego koniuszy Muszyński bywał w Halebie, w Damaszku, w Hamie, Marze, Homsie i t. d. i przyprowadził ztamtąd 18 ogierów — a nakoniec ja sam, który wyprowadziłem z pustyni Neżdu sto trzydzieści siedm sztuk. Wszyscy pracowaliśmy skutecznie nad doskonaleniem naszej krajowej rassy. Zresztą stadniny naszych ziem wiele zawdzięczają uczonemu Obodyńskiemu, znawcy i jeźdźcy nieczównanemu w swoim rodzaju. Albowiem do wyborniej szkoły maneżu, łączył on śmiałość i umiejętność toczenia koniem po oryentalnemu. Dziś jeszcze, choć ma lat 84, przechodzi znanych mi najwyborniejszych kawalerzystów w naszych stronach, gdzie jak wiadomo, każdy na to się sadzi, aby za doskonałego jeźdźcę uchodził.” *)

To wielkie rozmiłowanie się emira w koniach, nietylko było w harmonii z jego lotną fantazją, która nie mogąc mieć skrzydeł u ramion, chciała je przynajmniej zastąpić czworonogim biegunem zgadującym myśl pana — lecz jeszcze łączyło się z widokami publicznej użyteczności. Ani wątpić, że sawrańskie i koźminieckie stada emira byłyby się znakomicie przyczyniły do poprawy rass naszych koni, gdyby burza 1831 roku nie była rozmiotła tych zakładów z takim trudem i kosztem zaprowadzone.

Tak tedy Rzewuski, farysując w pustyniach Neżdu w interesie zakupna ogierów, poznał ten kraj rzadko stopą cudzoziemca deptany; polubił obyczaje Beduinów, i ci nawzajem zachwycali się jego mądrém słowem, sprawnością do konia i kopii, i tą wyższością właściwą zdolnościom wrodzonym spotęgowanym wykształceniem umysłu i serca.

Kto jak on powiada o sobie: „Przebiegłem Cylicyę, Jezyt i trzykroć spodróżowałem Azyę Mniejszą,” ten mógł

*) Dając tu tylko w pobieżnych rysach obraz handlu końmi w Arabii, zostawiam rozwinięcie studyów o koniach Neżdu znakomitemu znawcy i miłośnikowi koni panu marszałkowi Rutkowskiemu, który w osobnym artykule zdał sprawę z najważniejszej pracy Wacława Rzewuskiego: *Sur les chevaux orientaux* i t. d.

pozawiazywać znajomości na całym tym obszarze, dać się poznać, nabyć rozgłosu, jaki zwykle przywiązuje się do osoby odznaczającej się charakterem i niepospolitemi przymiotami siły, odwagi, przytomności, rozumu.

Ten błędny, z pod gwiazdy polarniej przybywający rycerz, w którym bujnej imaginacyi Beduin widzi jakby wcielenie się swego poetycznego *Antara*, umie szczęśliwie wymyśloną powiastką zrobić się bratem Araba. Zresztą czyż nie mówi ich językiem tak dobrze jak oni? czyż ustępuje im w dosiadanu rumaka, w robieniu kopią, w rzucaniu dzirytem? a nie przewyższa w tylu innych przymiotach?

Otoż w jednym z trybutów, gdy go zaczęto pytać, z kąd przybywa, i gdzie są tacy Arabowie jak on? Zaczął im rozpowiadać o Skanderze el Szamali, sultanie padyszachu gwiazdy polarniej — czyli o carze Aleksandrze...

— Nie słyszeliśmy nigdy o nim; gdzież jego państwa? jak wygląda? czy piękne ma konie?

I on w sposób trafiający do ich pojęcia, malował im Skandera:

— Jest to pan całej północy; w jego państwach nieustannie świeci gwiazda polarna; po ich obszarze więcej niż sześćset trybutów beduińskich przebiega niezbrodzone puścynie. Wojska jego nieprzeliczone; skarby niewyczerpane, a on sam i wzrostem, i pięknnością przewyższa swoich poddanych. Oczy ma czarne, brodę gładkowłosą, miękką, a długą po sam pas, a siłę ogromną. Tron jego hebanowy, czarny, jak najciemniejsza noc, lśni się dyamentami takiej wielkości, że Szach Nadir, słysząc co mu posłowie opowiadali o tych cudach, nie posiadał się z zazdrości... Słowem Skander wielki wojownik, odważny rycerz ma szpakowatą klacz, starożytniej rassy, której piersi w jednej bitwie zorało sto kul wyrzuconych z armaty; darował on ją swemu posłowi zostającemu na dworze sąsiedniego szacha. Serce Skandera wspaniałe i hojne. Pewnego dnia podobała mu się bardzo przesliczna klacz chodząca pod jednym z emirów pustyni, który przybył ucałować strzemię carskie i razem złożyć mu ją w hołdzie; ale gdy się dowiedział, jak kochał tę swoją klacz, zwrócił mu ją i ozdobił

tęgo emira honorowém futrem i chylatem, nie licząc innych upominków. Ostatni ten rys wspaniałości Skandera wprowił w taki podziw Arabów, że wszyscy wydali okrzyk na jego cześć, a jeden z Beduinów nazwiskiem Dzasem, porównywał w żywym obrazie tę szlachetność z chytrością baszów i musselimów muzułmańskich, którzy używają najnikczemniejszych fortelów, aby im wydzierać ich konie; w końcu wszystkie rodzaje błogosławieństw zlał na głowę Skandera, sultana gwiazdy polarniej.

Słyszając to Rzewuski odezwał się do zgromadzonych: — A to chodźcież ze mną do padyszacha północy, a pobywszy tam rok, wrócimy znowu na pustynię Neźdu. Każdego z was obdarzy on upominkiem godnym kalifa Bagdadu, jego bowiem szczodroblliwość przechodzi wszelkie pojęcie.

— *Wu-allach! Wu-allach!* zawołał ów Beduin.

Rzewuski wnosil z tego okrzyku, że jego propozycja będzie przyjęta, i zaraz spytał: — A więc Dzasemie, kiedyż ruszymy do padyszacha?

Lecz Dzasem odrzekł wzdychając: — Nie! jechać nie mogę. Któżby mi wynagrodził ten rok wolności, stracony w jego służbie?

Odpowiedź ta w zachwycenie wprawia syna dawniej Rzeczypospolitej; w Beduinie widzi ideał człowieka, w pustyni, ziemię obiecaną. O jednym i o drugiej mówi z lirycznem uniesieniem prawdziwego kochanka, wychowanka Jana Jakóba Russa.

Powtórzę tu własne jego słowa:

„Beduin rodzi się wolnym, i wszystkie warunki i okoliczności życia sprzyjają tej jego naturalnej wolności. Z przyjściem na świat smarują go roztopionem masłem, kładą na słońcu, aby nabrał cery śniadój. Od dzieciństwa uczy się rozwijać swoje władze cielesne, a w jego umysł i serce nie wtłaczają przez siłę, lub nudę żadnych nauk lub wyobrażeń. Mniej nasłucha się morałów, a więcej widzi przykładów; tym sposobem młode pokolenie bywa wierną kopią starego pokolenia. Młody Arab od siedmiu lub ośmiu lat staje się pożytecznym w swoim trybucie; pasie bydło, pomaga matce, jeździ po żywność do poblizkich wiosek. Nagi do siedmiu lat, ćwiczy ciało w igraszkach

z rówiennikami; wyrasta prawie na grzbiecie końskim, umie około niego chodzić i znać się na wartości towarzysza, który go w pierwszy bój poniesie. Przywykły słuchać słodkiego głosu natury, kocha rodziców, szanuje ich, słucha na ślepo i widzi w nich opatrność. W tym nałogu posłuszeństwa dzieci względem rodziców społeczność znać chodzą rękojmie niezachwianego spokoju. Trybut słucha swego szeika, który rządzi po ojcowsku. Nie było nigdy przykładu, aby zrzuceno dynastję jakiego szeika. Sprawiedliwość i dobroć są tam potężną podporą władzy. Szeik jest ojcem całego trybutu, on utrzymuje jedność, zgodę i spokój. Niech tylko z jakiego namiotu dojdą go kłótlive głosy, śpieszy tam ów rozjemca i zgodę przywraca. Koran jest dla nich księgą praw, a prostota obyczajów i ogólne ubóstwo wykluczają ducha zawiści. Widok trybutu przedstawia wzruszający obraz przywiązania dzieci, tkliwości rodzicielskiej i uszanowania dla starców. Opowiadanie czynów wojennych, hymny rycerskie (*herubieh*) brzmiące w ustach śpiewaków, obecność na polach bitew, gdzie ojcowie tryumf odnoszą, a niekiedy ustępują pobici, poprzysięgając zemstę i odwet, — wszystko to uspasabia młodzież, aby kiedyś stała się godną tak szczytnych pieśni, jak te, które głoszą sławę nieśmiertelnego Antara. Beduin od dzieciństwa, jeśli przypuszcza, że może być pobitym, to nigdy nie wierzy w niewolę — bez nadziei. Chłopak dziewięcioletni ma już dość siły, aby do bitwy stawał uzbrojony procą. Natenczas konni i mardufi (na dromedarach) szykują się w linię; zrzucają z głowy swoje kaffieh czyli chustki w pasy zielone i żółte, i najeżają włosy... Piewcy zajmujący miejsce pomiędzy jednym wojskiem a drugim zaczynają od modlitwy, a potem zapalają do męztwa śpiewając hymne wojenne: *herubieh*.

„Na objuczonych wielbłędach siedzą kobiety z dziećmi przy piersi i tworzą drugą linię bojową, albowiem pomiędzy wielbłędami stoją chłopcy, procownicy. Trzeci rząd zajmują trzody. Jak tylko śpiew ucichnie, natychmiast pierwsze szeregi nieprzyjacielskie wpadają na siebie co koń wyskoczy. Są to jeźdźcy siedzący na sławnych kłaczach zwanych *Szalawieh*, i ci wyzywają się do pojedynków

walki. Również mardufy, na lekkich i zwinnych dromedarach, wyzywają się na rękę. Potem następuje bój ogólny. Starcie się jazdy trwa jakiś czas; gdy się już wypróbowano, kobiety złażą z wielbłądów, i jak furye rzucają się na swoje przeciwniczki zbrojne pałkami. Biją się z taką wściekłością, o jakiej trudno mieć pojęcie. Honor trybutu i miłość macierzyńska dodaje tej plei namiętnej i czulej szalonej odwagi... Zwyciężony trybut ma się do ucieczki. Front się zmienia: trzody uchodzą w pierwszej linii, za nimi wielbłądy i kobiety; mali pracownicy dążą w tropy, lub gdy się zmęczą, czepiają się wielbłądów. Konni i mardufi tworzą tylną straż i dają odpór nieprzyjacielowi. Trybut o ile może rozciąga swój front, aby ucieczka była tém śpieszniejsza. Tak więc od samego dzieciństwa Arab przyucza się nie znać co to trwoga, a gdy dojdzie do lat młodzieńczych, ojciec pomaga mu w wyborze towarzyszek, niewinnej dziewczey, o którą nie śmiałby się dobijać, gdyby nie przyniósł jej w hołdzie sławy z walecznego czynu. Odtąd zaczyna sobie włosy splatać w warkocze, grot kopii stroić w pióra strusie i czerwone wstążki, wskazujące ilość ofiar, co padły z jego ręki. Odtąd zostaje czynnym członkiem trybutu; zasiada w radzie, przypuszczony jest do tajemnic i ma prawo głosować—słowem, wchodzi we wszystkie tradycye republiki patryarchalnej. Połączony z dziewicą pustyni, której oczy podbiły mu serce na schadzce przy studni, zmienia swój stan, ale nie zmienia swego losu. Dotychczasowe stosunki trwają nieprzerwanie; jak żył, tak dalej żyć będzie w otoczeniu tych samych ludzi, którzy patrząc na jego dzieciństwo, jego czyny młodzieńcze, teraz patrzą na szczęście domowe. Na końcu trybutu przybywa tylko nowy namięt dla młodej pary — i to cała odmiana. Zaden się tu węzeł nie zrywa. Jeżeli się oddala, to na krótki czas, a to oddalenie droższą mu czyni istotę, którą zostawił. Nie lęka się, aby ten raz zawarty związek mógł być stargany przez wyjazd w odległe strony lub gwałt. Serce jego nie wysycha; egoizm nie ma do niego przystępu. Ciągłe pod okiem trybutu, zdaje się na sąd wszystkich. Każdy występki byłby natychmiast skarcony, każda enota znalazłaby doraźną nagrodę. Opinia jest tam powszechna

i prędką. Arab rodzi się, żyje i umiera otoczony tem, co mu kochać nakazuje natura: cały trybut jest jego rodziną; lat tysiące wzmocniły te węzły—co nawet odbiło się w ry-sach twarzy—bo wszyscy do siebie podobni... Beduin bywa człowiekiem skończonym w dzieciństwie, i nawzajem w doj-rzałym wieku — dzieckiem; w charakterze jego spotykają się sprzeczności: rozsądek walczy u niego z szaleństwem, spokój mędrca z dziecinnymi zachciankami. Logikę ma prostą i zdrową od chwili jak myśleć zaczyna; nieprzewi-dziane wypadki nie zbijają go z tropu; fatalizm łagodzi jego zmartwienie i powściąga zbytek radości. Z czasem wrodzone człowiekowi namiętności biorą nad nim górę, a brak wszelkiego przemysłu sprawia, że wszystko, co mu w oko wpadnie, chciałby gwałtem posiadać, zupełnie jak dziecko, napierające się szybki z okna lub miesiąca. Nie pochodzi to jednak z chciwości zbiorów, tylko nowość go tak bawi; bo niechże dostanie rzecz pożądaną, a ktoś drugi ją pochwali, odda mu bez namysłu. Jeżeli napada na ka-rawany, to nie dla z bogacenia się, zaraz bowiem na miej-scu zakupuje łupy, z którymi nie wie co robić, a zabierać ich nie może... Nieraz uniesiony wrzającą niespokojnością, sam puszcza się na pustynię i szukając bójki napada na podróżnych... Opór z ich strony wprawia go we wściekłość, gotów być nawet okrutnym; przeciwnie, poddanie się roz-braja go; — lada wierszyk pochlebny zręcznie przytoczony miękczy mu serce, — i zaraz zwraca zdobycz, a nawet od-prowadza podróżnika w miejsce bezpieczne. Gościnnie, poj-muje całą świętość prawa przytułku. Kto się mu powierzy, gotów go zastawić swoją osobą, choćby był jego śmiertel-nym wrogiem... „O Arabowie! przez Boga, dla Boga i w Bogu, nikomu niewolno go uderzyć, choćby nawet ró-żami!” — wołała szlachetna Beduinka, gdy pod jej opiekę schronił się ścigany, a ona rękę kładła mu na głowę. Na-miot Beduina jest uświęconym przybytkiem, a wyraz *amin* oznaczający namiot, jest synonimem bezpiecznej ochrony. Gospodarz przyjmując u siebie nieznanego gościa, czeka mroku, aby go mógł nakarmić swoim skromnym pożywie-niem, składającym się zwykle z wielbłądziejego mleka, z sza-rańczy, z daktyli zalanych masłem, a bardzo rzadko z ryżu.

Dla tego wybiera ciemność nocy, aby nie widział wstydu na twarzy przybysza trapionego głodem. Nigdy on nie spyta gościa o nazwisko, ani jakiej religii; tak umie szanować cudzą tajemnicę. *Abd-allachem* (sługą bożym) nazywa on każdego nieznanego.

„Gorejące słońce, pustynia bez granic, noc bez chmurki, niebo wyiskrzzone gwiazdami, wszystko to daje wyobraźni polot nieskończony. Nie też nie ścieśnia myśli Araba, bo wzrok jego nie trąca o żaden przedmiot. W ogromach nieskończoności buja żywa fantazja, a do wyrażenia jej służy najbogatszy język, obrazowy i malowniczy. Mówi też w samych obrazach i porównaniach, a tworzy swoich marzeń zawsze osadza na pustyni; można powiedzieć, że nie tyle jest wynalazcą, ile twórcą. Zmyslenie ma u niego urok cudowności, a nie jest bynajmniej skutkiem samowiednego rozbratu z prawdą. Uczucie miłości, wspomnienie, tęsknicę, żądze, wszystko to u niego olbrzymie, odpowiednie sceneryi pustyni. Wrażenia odnosi głębokie i trwałe, bo nie mu ich nie rozprasza. Czezość pustyni jest dla niego jakby przedsmakiem wieczności. Lotem rumaka zbiega jej przestrzenie; wierny ten towarzysz niesie go w bój, wynosi z niebezpieczeństwa; przeczuwa, gdy mu co grozi, ostrzega i powraca ze swoim panem okrytym sławą i kurzem do trybutu, gdzie go czeka ukochana małżonka.

„Beduin czci jednego Boga, serce go porywa do Stwórcy wszechrzeczy. Ma on czas i sposobność dumać nad jego wielkością, nie mu tych dumań nie przerywa; dla tego też rozplywa się w nim i błogosławi go. Wszelkie obrządki i ceremonie są mu nieznane. Dusza jego wznosi się do nieba, i to cała jego modlitwa. Czyn cnotliwy,—oto ofiara, którą czyni Przedwiecznemu. Z uszanowaniem wymawia imię Stwórcy, a wierny przysiędze, nigdy jej nie łamie, gdy uszczknawszy szczyptę trawy wymówi: „Przez Boga, który ją stworzył!” Jest to formuła prosta, lecz obowiązująca najświęciej. Przymierze zawarte na chleb i sól również jest święte dla niego. Mając wrodzony pociąg do cudowności, staje się łatwowiernym. Wiara jego bywa bez granic, ciekawość niemniejsza, wiadomości żadne. Myśl jego, dziecko wyobraźni raczej niż rachuby, błąka się bez

celu w przyszłości zajmującej go przedewszystkiem. Dla tego to rad ucieka się do czarów. Widzenia, wróżby, cienie, przeczucia, sny tłoczą się około jego niepewności. Indyjski fakir o bladej cerze, obłąkanych oczach, lub czarownica wychudzona postem, okryta zmarszczkami, w wielkiem u niego poszanowaniu, i wszystko gotów im oddać, byle mu w imię Boga odsłonił tajemnice losu.

„W starości, kiedy siły go opuszczają, nie dba o sławę i wyrzeka się bitew. Woli pozostać z dziećmi, którym lubi opowiadać o wojnach swego trybutu. Tym sposobem utrzymuje się nie żywej tradycji. Lecz nadechodzi ostatnia dla niego godzina: trzeba się pożegnać ze słońcem oświecającem pustynię Neżdu. Kilka grudek wysuszonej ziemi na zawsze oddzieli go od świata. Wtenczas to czterech jeźdźców wybiega na step, i stanawszy na czterech rogach obozowiska, żalosnym głosem obwieszcza stratę ukochanego brata. Ani choroba, ani zgryzoty sumienia nie przecięły pasma dni jego:—umarł ze starości.

„Takim jest Beduin, mieszkaniec pustyni.”

Obraz ten skreślony w tak uroczych kolorach, że niezawodnie Russo wziąłby go za wzór dla swego Emila. Rzewuski snadź nosił w sobie ten ideał „człowieka natury,” kiedy to wszystko znalazł w Beduinach, którzy, jak sam tego doświadczył, zawołani są rabusie, a między sobą zwajcy i mściwi. Dla tego charakterystykę tę uważam raczej za protest rzucony w oczy europejskiej cywilizacji niż za rzeczywistość. Tylko człowiek z zakrwawionem sercem i przeciwnościami złamany, mógłby zasmakować w towarzystwie koczowniczego ludu, gorącej krwi i szalejących namiętności, którego prawem jest Koran, księga głosząca krew za krew, oko za oko. Podobna idylla, jeżeli kiedy była rzeczywistością, to chyba w jednym Paragwaju, gdzie katolicycy misjonarze wychowywali dzikich Indyan w świętym prawie Ewangelii. Była tu wzorowa społeczność, niemal idealna; lecz szkoła filozofów XVIII wieku nie przyznawała jej tego, bo jej ulubionym ideałem był zawsze „człowiek natury.”

Zobaczmyż teraz inny ustęp o pustyni, którą Rzewuski tak wystawia:

„Cóż może być majestatyczniejszego, więcej porywającego niż step pustynny dla człowieka wielkiej duszy i ognistej wyobraźni? Mieszkaniec milezających stepów, sam zostawiony sobie czuje się królem świata.... Wolny od poziomych namiętności, nieczego nie pragnie; a natura zdaje się być powolną na jego rozkazy. Beduin jak pan wszechwładny przebiega od końca do końca tę krainę nicości, pełną zmieniających się widoków, lecz ponurą i milezącą. Zazdrość najpotężniejszych mocarzy nie potrafiłaby zachwiać jego tronem, żadna ambicja nie zakłóciłaby jego spokoju. Głęboka cisza wisi nad całą pustynią. Myśl buja tam w nieskończoność, i zuchwała przekracza zapory czasu. Pamięć gromadzi archiwa wieków; duch trąca o wieczność, czuje się nieśmiertelnym. Przeszłość rozwija się nagle, a terażniejszość składa się z obrazów, które już minęły. Namiętność, co niegdyś nami miotała, przesuwą się w ryśach wybitnych; burze i gorycze już z niej uleciały. Ból stracił swój jad trujący; melancholia bierze miejsce rozpacz. Bledsza niż wspomnienie, mniej pewna niż przewidywanie, dziwna mieszanina smutku i pogody, czarujący niepokój — zaduma opanowuje ci duszę, czepia się widomych przedmiotów, chwilę bawi się niemi i zaraz porzuca. Milezenie tam bywa krzykiem strapienia, lub odgłosem wewnętrznej ciszy, a łzy wyrazem bólu lub daniną nadziei... Rozpamiętywanie, ta nieprzyjaciółka zgiełku, miłośniczka samotności, skrzydło unoszące do Boga, rozszerza ducha, wlewa weń strumień natchnienia. Pustynia jest ojczyzną ciszy, przytulkiem wspomnień, wulkanem proroków. Tęsknota—to wspomnienie w żałobie—zamienia się tam w pewną słodycz, a samotność nie chce mieć nic do czynienia z nadzieją, tą zwodnicą, dokuczliwszą niekiedy niż samo cierpienie.

„Arab oddany tym wszystkim wrażeniom w jednym oka rzucie, ogarnia swych państw przestrzenie, zaludnia je myślami i rozkazuje im. Chwila robi go twórcą.... Lecz oto ciąży mu ten majestat; chciałby być prostym swych państw obywatelem — i wtenczas zwiedza te strony, w których wspomnienia zostawił. Bywa to palma pustelnicza z gościennym cieniem, albo w Jemammach, lub od gór Dru-

zyjskich oliwne drzewko z krzaczkami zwiędłych jaśminów — grobowiec, oplakiwaną kochanki. A tam dalej strone opoki, przepaści bezdenne, urwiska grożące upadkiem, — wszystko to symbole wrzących namiętności — klęsk i nieszczęść, i Opatrzności grożącej karą. Nazwałbym te miejsca jaskinią zgryzot, gdyby zbrodnia była możebna w trybutach. Wyniosłe szczyty Libanu, u których stop biją pioruny — to obraz sprawiedliwego, co złym urąga i pogodne czoło podnosi do nieba. Tym sposobem urozmaicona tysiącami widokami natura, dobroczynną ręką ulepiła te miejsca tak harmonizujące z uczuciem i wspomnieniami syna pustyni. Wyobrażenia ożywia je i milejącym symbolom używa mowy. Dusza wsłuchuje się, rozpamiętywa i skupia się w sobie. Beduin lubi zwiedzać te pomniki swego serca lub pamięci...

„Kraina ta wydana na pastwę niszczącego słońca, na wściekłość zaraźliwych wiatrów, kryjąca w swém łonie szkodliwe potwory, samotne sępy, płochliwe gazelle, ogołconą z drzew i wody, przerzniętą w każdym kierunku łańcuchem skał nagich i jałowych, przedstawia ogromną arenę, na której w konwulsyjnych drganiach walczy z sobą dzieło twórcy z chaosem, gdzie zniszczenie nieustannie tłumi każdy poród zbyt słabej natury, a rzadko rozrzucone po stepie palmeczki świadczą o całej niemocy tej ziemi wysuszonej przez klimat nielitościwy, a gruzy ruin o nierówną walkę przemysłu ludzkiego z dziką naturą. Taką to krainę wydziedziczoną ze wszystkiego, przebiega od tyłu wieków koczowniczy Beduin. Czarna chmura, w której łonie „spoczywa groza i nadzieja” pędzona podmuchem uraganu, przelatuje po nad tą wyklętą ziemią i nie zatrzyma się nawet, aby ją ożywić dobroczynną wilgocią. Całych dziewięć miesięcy deszcz tam nie pada. Natura skazana na tak długie suchoty, usiłuje w ciągu trzech miesięcznych deszczów wynagrodzić czas stracony i okrywa się nagłą zielonością. Ze środka sąsiedniej a niedostępnej Afryki buchają kolumny pary gorącej i smrodliwej, gwałtowny wiatr zachodni pędzi je na Arabię, aby nową plagą dopomódz dziełu nicości. Samum, namiestnik Anioła śmierci, szaleje po pustyni, pędząc przed sobą wyziew palący

lub zimny, a zatrawiający powietrze. Niebo, ów świadek tych okropności, powleka się żółtą bladością, słońce wciąga w siebie promienie i jest podobne do kuli rozpalonej w ogniu hutniczym. Tumany pyłu i piasku przechodzą się po stepie. Wielbłąd chwieje się na nogach, oddech mu zabija; psy wyją żałośnie, jakby przeczuwały śmierć swoich panów. W rozpadlinę skały kryje się lekliwa gołąbka w parze z jastrzębiem; hyena spotyka się z gazellą jak dwie najobojętniejsze istoty, w jednej i tej samej pieczarze, dając im przytułek. Trwoga przed śmiercią stłumiła w nich wrodzone nienawiści, wszystko sobie przebaczą w obec powszechnego zniszczenia....

„Wierny to wizerunek tej strasznej krainy, tej pustyni będącej ojczyzną potomków pierwszych rodziców ludzkości. Koczowniczy Arab osiadł na niej od wielu tysięcy lat, miłuje ją tak gorącą miłością, żeby jej nie zamienił za najpiękniejsze i najbogatsze krainy. Natura wszczepiła nam to przywiązanie do miejsc rodzinnych, do mogił przodków, do pobożowisk sławnych naddziadów... Choćby najniewdzięczniejsza ojczyzna, nigdy nie przestaje być drogą...

„A ja, którym poznał te okropności pustyni, którym się wzył w miłość Beduina do tej jego niegościnną ojczyzny, jakiegoż doznałem wzruszenia i podziwu na widok uczucia tak czystego, tak dalekiego od samolubstwa! Trawiony smutkiem, co wieczór patrząc na konające promienie słońca, robiłem je tłumaczami mego serca i posyłałem przez nie pozdrowienie na grób mojej ojczyzny!...

„Jestem Polakiem!”

Nie chciałbym uważać tych dwóch ustępów o Beduinie i pustyni za ćwiczenie opisowego stylu, coś naksztalt etiudów Bernardin'a de St.-Pierre — bo chociaż znać tu pewne ubieganie się za sentymentalnym tłumaczeniem tak wewnętrznych usposobień Beduina jak widoków pustyni, raczej odnieść je potrzeba do ówczesnego nastroju autora. Jest to zatem spowiedź z wewnętrznych wrażeń człowieka pokłóconego z cywilizowanym społeczeństwem, oburzającego się na fałsz, nieznoszącego tych więzów, jakimi świat nasz krępuje namiętne, wulkaniczne dusze; widzimy też, jak pogardliwie depce formy towarzyskie i lubuje się

w dzikiej prostocie syna pustyni, niemającego ani potrzeb materialnych, ani umysłowych; nicość stepu ceni wyżej nad dzieła przemysłu i sztuki, nędzę — nad wygodę życia. W innych czasach człowiek ten rozgoryczony byłby zamknął się w klasztornej celi; w owym, uciekał na tę Tebaidę, skazując się na najcięższe trudy, aby tylko mógł sobie powiedzieć: „Jestem wolny jak wiatr pustyni,” — a nie mogąc być wiatrem, uganiać przynajmniej na pokrewnym mu rumaku, o którym mówią księgi Koranu, że kiedy Bóg lepił człowieka z gliny, konia z wiatru utworzył. — Rycerskość szlachcica polskiego odbija się także w tym zbyt pochlebnym wizerunku arabskich trybutów; z jaką to zręczną wymową tłumaczy on wrodzony pociąg Beduina do rabunku i rozboju, powiadając, że nie robi tego z łakomstwa, tylko z miłości do bitwy! Argument byłby słuszny, gdyby nie ta okoliczność, że Arab rzuca się i na bezbronnego wędrowca, i na obciążoną towarami karawanę, która się nie broni... Gdzie niemożna spodziewać się oporu — tam o walce na ostre i mowy nie ma. Arab żyje z rozboju, to więcej niż pewna, a to go wcale nie uniewinnia, że złupione skarby zakopuje, jak kruk, bezużytecznie w ziemi.... Poetyczna fantazya naszego emira, jeśli zasmakowała w tém życiu koczowniczem i w tych napadach jednych trybutów na drugie, — to zapewne przez analogiczne usposobienie z Szyllerowskim Karolem Moorem, który to paradoks miał jeszcze wtedy cały urok nowości.

Dosyć powiedzieć, że zarabizowany pan polski tak przyłgnał do pustyni, tak się uczuł w swoim żywiole i nawzajem tak umiał podbić i pociągnąć ku sobie umysły Beduinów rozumem swoim, wyższością ducha, dzielnością ręki, odwagą i przytomnością, a nareszcie i użyciem konia, co może najwięcej imponowało, — że sława jego z końca w koniec gruchnęła po Arabistanie, — w skutek czego niektóre trybuty, zentuzyazmowane nadzwyczajnym człowiekiem, postanowiły oddać hołd jego wyższości i obwołały swoim emirem i szeikiem.

Podróżnik nasz, nie powiadając kiedy to nastąpiło w jakich okolicznościach i gdzie, — robi tylko krótką wzmiankę o tém swoim wyniesieniu na dostojęństwo.

„Mój twardy sposób życia, jazda na koniu, umiejętność robienia kopią i szablą, ćwiczenia nieobce mi od dzieciństwa, kilka szczęśliwych cięć w bitwach, kilka rysów wspaniałości, znajomość dokładna wszystkich rass koni arabskich, z czego zdawałem egzamin w trybutach: Koesneh, Waledali, Sebaa, Fedanów i Rowallach, wyniosły mnie na godność emira najprzód w jednym trybucie, potem w trzynastu sprzymierzonych.”

Że na pustyni nie ma zwyczaju wypędzania panującej dynastii emirów, więc i Rzewuski osiągnął tę godność w tym przypadku, że syn emira Duszi-ibn Ghben, książę Temmer z trybutu Fedanów, zmarł nagle; brat zaś jego miał tylko lat pięć...

Zdawałoby się niepodobieństwem, żeby Beduin obcemu przybyszowi miał taką godność powierzyć — on, taki nienawistny nawet współwyznawcom swoim Osmaulisom; atoli Rzewuski, od pierwszego pobytu na pustyni wmówić umiał w Arabów, że jest Arabem jak oni, albowiem pochodzi ze czterech trybutów Anazes, co przed dwoma tysiącami lat opuściły pustynię Neźdu i przeniosły się do krajów potężnego króla północy Skandera, nareszcie że w jego żyłach płynie krew sławnej Zeinaub (Zenobii) królowej Tedmoru, o której tradycya utrzymuje się dotąd na pustyni Neźdu.

Starożytność rodu i tam ma swoje znaczenie, nie tylko u koni, lecz i u ludzi.

Nowy emir przybrał nazwę: Tadz el Faher Abd-el-Niszan; trzynaście pokoleń zawarło z nim przymierze na chleb i sól — to jest na śmierć i życie... Nazywano go także emirem Złotobrodym, czém się wyróżniał od Beduinów zwykle mających czarny i bardzo rzadki zarost na brodzie. Dawano mu jeszcze przydomek: Arslan emir albo Dzieciar elcheil (kat na konie) — on zaś sam przybierał niekiedy nazwę Abu Assad, czyli ojciec lwa, co czynił jak mówi — „na pamiątkę swego syna Leona.”

Takie przybieranie różnych nazwisk, w różnych miejscach, stosownie jak gdzie niebezpiecznie było pokazać się ze swoim — równie jak i zwyczaj panujący między pustynnymi Arabami zasłaniania twarzy chustką, że wszyscy

chodzą jak na weneckiej maskaradzie, przekonywa aż nadto o dzikim i porywczym charakterze tego ludu, gdzie każdej chwili trzeba się mieć na ostrożności, żeby nie popaść w jakąś awanturę.

Dla naszego emira miało to urok tajemniczej poezji życia i robiło go podobnym do tych ekscentrycznych bohaterów, jakich Byron wynalazł w swojej gorączkowej fantazji...

Zastanawiając się nad tym osobliwym charakterem, przychodzę do przekonania, że chciało mu się odegrać rolę bohatera rycerskiego rapsodu. W sercu gwałtowna miłość w ciągłej walce z niewyciężoną przeszkodą... Tajemnica otacza przedmiot jego pragnień, wyrażający się godłem na jego tarczy, na które dość mu spojrzeć, aby rozpałić się do najszańszych przedsięwzięć... Szuka ich, wywołuje, bo spoczynek dla niego nieznosny, bo tylko w wytężeniu wszystkich sił cielesnych może na chwilę zapomnieć o tej, dla której goreje...

Co za szkoda, że gdzie na greckich morzach nie zetknął się z Byron'em! Ekscentryczny lord byłby znalazł gotowy wzór do swojej galeryi Lary, Giaura, Korsarza, z tą małą różnicą, że kiedy w tamtych przeważa sama fantazja, tu przeważałaby rzeczywistość oryginalniejsza i prawdopodobniejsza niż te gorączkowe widma.

Na tle majestatycznej pustyni majaczącej biblijnemi wspomnieniami, wśród ludu pierwotnych uczuć i pojęć przejętego dla niego podziwem, gotowego iść za nim na każde skinienie, epopeja *en action* miała za sobą wszelkie warunki, wtenczas, kiedy świat cywilizowany tylko z okrucichów homerycznego stołu kleił literackie epopeje, w które i sam poeta i nikt inny nie wierzył.

W tém jego pragnieniu czynów, pędzącem go do szukania przygód, tam, gdzie o nie na każdym kroku nie trudno, widać jakby rozdarcie duszy — przepaść, niedającą się niczem zapelnąć... O! nie starożytnych to bohater... To dziecko naszej epoki... Napróżno skapał się w żywiołach jeszcze nieużytych, świeżych, przynajmniej dla niego, a czemuż wszędzie towarzyszy mu melancholia, ta niezbędna zaprawa, bez której nie ma nowożytnego człowieka?

Posłuchajmy, jak się tam skarży, i to może w chwili największych swoich powodzeń w Arabistanie:

„Rwałem się na pustynie. Wzdychałem do samotności. Otoż mam jedno i drugie. Oddzielony od ludzi, spodziewałem się znaleźć spokój. Czcza nadzieja! Bóg pustyni mści się na mnie. Wiedział on, że nie jego szukałem w tej krainie dumań; nie o jego wielkości szedłem tu rozmyślać w skupieniu ducha. Rozpaczą miotany, chciałem tylko uciec od smutnych wspomnień, lub na wieczność utrwalić moje o miłości marzenie... Wtenczas to dał mi się słyszeć głos gniewu wychodzący z czarnej chmury... Piorun posłuszny skinieniu pana, ugodził mię w serce cierpieniem stoczone... a miłość moja, co już przerodziła się w melancholię, rozgorzała na nowo. I Bóg rzekł do niej: „Ścigaj tego profana, pal go niczém nieugaszoną tęsknicą.” Przyzywał potem ponure milczenie i rzekł: „Siostró nicości! czuwaj nad tēm, żeby jego męczarnie trwały bez końca.” Odtąd wonny kwiat uschnął na zawsze; echo głos straciło, a szumiący potok nie rozpryskał się o skały Nedziażu; — wszystko, wszystko wymarło w naturze — jam tylko jeden żywy błdził po tej krainie nicości. Niekiedy przelatywał ptak nieszczęścia, i żalobnym krakaniem zapowiadał powszechnie zniszczenie. Jedna hyena ze wzrokiem drapieżnym i niespokojnym chodziła za mną ślad w ślad; wkrótce ciało moje miało zostać jej łupem, a z niēm i to serce bijące tylko dla ukochanej.

„O Boże! czemuż ją kochałem tak mocno!

„... Dusza moja podobna do dyamentu w stanie dzikim, skrytego w grubej warstwie podłego kruszeu — otocz go rubinami i szmaragami Indyj, nie odbija ich blasku. Trawiony bolem wewnętrznym, który bladeością twarz mi powleka, czuję się obojętnym na otaczającą mię radość i wesele. Lecz niech ręka biegłego jubilera dotknie dłotem króla klejnotów, strzeli natychmiast tysiącem barw i promieni, i wszystkie świecidła pogasi koło siebie... Podobnie i ty, o moja ***! jednem spojrzeniem możesz mi wrócić te blaski, które straciłem, a przy których i sam blask sławy zdaje się niczém...”

Jak dalece musiało zawrócić głowę emirowi to uczucie dla niewidomój pani jego myśli — pokazuje się w innych okolicznościach, gdy nawet to ubóstwianie, jakie miał dla niej, chciał zrobić niejako artykułem wiary dla Beduinów, wszczepić w ich umysły coś tak idealnie religijnego jak dla średniowiecznego rycerstwa była „Boga Rodzica, Dziewica”... z tą małą tylko różnicą, że to było artykułem wiary objawionój, symbolem wewnętrznej prawdy — gdy symbol protegowany przez emira, był artykułem romansowój fantazyi.

Zobaczmyż, jak on opowiada tę mistyczną ceremonię...

„Zwiedzałem Tedmor, czyli dawne ruiny Palmiry. Po dłuższej rozmowie z emirami i Beduinami powziąłem zamiar wzbudzić w nich cześć dla znaku JL, który myśl moją napelnia. Chciałem, żeby hołd oddawali tej, którą kocham. Przebiegałem w szerz i wzdłuż te ruiny, aby znaleźć jaki głaz godny nosić ten znak.. na szczęście odkryłem ogromną i samotnie stojącą kolumnę. Natenczas zwracając się do Arabów, rzekłem:—„Nie ma innego Boga, tylko jeden Bóg — i ta kolumna stoi samotnie, i nie ma innych obok niej. Kładę więc na niej znak, którego urok pociąga do cnoty, a widok przewyższa wszystkie sławy. Szanujcie znak ten, szlachetni Arabowie z pokolenia Anazes! Jeżeli Tadz-el Faher zasłużył sobie na ufność i hymny pochwalne, wszystko winien temu znakowi... Znak ten jest życiem dla niego; on mu przyświeca w ciemnościach nocy, on go prowadzi w tłoku bitew, on dla niego leczącym balsamem, słodkim niepokojem, ozdobą pamięci, siłą serca...”

„Na to odpowiedzieli Arabowie:

„—Szlachetny emirze! Szanujemy twój znak i przechodzimy w naszą pamięć imię Balad, które wymówiłeś ze czcią i zapalem w trybucie Weledali w chwili, gdyś dośiadł z kopią w rękę twojej dzielnej Muftaszary, aby stać do walki z Nemerem wyzywającym cię na rękę. Powiedz nam emirze, jaki to czarownik, lub jaka czarodziejka dała ci ten znak talizmaniczny?

„Emir nie na to nie odpowiedział; natomiast książę Mahauna rzekł do nich:

„— Zaprzestańcie tych pytań, młodzieńcy! Ten znak i to słowo, mają potężny wpływ na emira Tadz-el Fahra; są one zapewne tajemnie objawione mu przez Boga miłosiernego!

„Wszyscy zamilkli.

„Tadz-el Faher uczuł się mocno wzruszonym; serce jego pragnęło rzucić się w wir bitwy. Znak JL był wyryty na jego szabli, wyryty i na sercu... Niech żyje na wieki ten znak! niech pustynia, ta kraina nicości, ukorzy się przed tym znakiem... Już się nim zaszczyca Palmira. Wybrano czterdziestu Arabów na rycerzy, pełnić mających służbę pod znakiem JL. Sam emir przyjął wtedy zaszczytny tytuł *abd-niszar* (niewolnik znaku).”

Symbol ukochanej, tajemniczój osoby został tedy talizmanem synów Neżdu... Był to oraz znak wojennego braterstwa, wszakże nie przez wszystkich zarówno szanowany.

Opowiada on zdarzenie, które musiało bardzo być dla niego przykre w tym stanie nieustannój tęsknoty po ukochanym przedmiocie...

„Pewnego razu porwali mię Arabowie z trybutu Sebaa nieprzyjawnego trybutowi Fedanów, z którymi byłem w przymierzu... Miałem przy sobie miniaturę mojej drogiój JL; spostrzeżono pudełko, w którym była zamknięta, i zapytano, co to jest? Byłem pewien, że mi ten portret wydarty zostanie, i że wydziercy znieważą drogie oblicze; są oni bowiem deści z sekty Wehabitów, a jako wszyscy Sunnici, nienawidzą malowanój twarzy człowieka. Wtedy to odezwałem się do nich:

„— W imię Boga miłosierdzia, nie ma innego Boga tylko Bóg. On sam jeden stworzył świat, niebo i ziemię; ten Najwyższy i najwspanialszy, to słodkie kochanie nasze, poniszczył bałwany fałszywych bogów, i posagi, i malowidła, których niewolno jest robić człowiekowi, jeżeli nie chce bluźnić przeciw wszechmocy Twórcy. Ludzkie to malowidło zdobyłem na jednej karawanie, a teraz (tu stłukłem szkło) tą śliną prawdy zmywam w waszych oczach ona postać człowieczą, aby się już w nieczyje nie dostała ręce. Przez takie to bowiem symbole ludzie stają się bałwochwalcami.

„Powiedziawszy to, zmazałem drogie rysy, skruszyłem kość słoniową i oddałem im próżne pudełko...

„Odtąd rysy ukochanej JL wyryły się w mojem sercu głębiej jeszcze niż wspomnienie żalu po tej pamiętce...”

Zdaje się, że wszędzie, gdzie się obrócił, towarzyszyło mu widmo osoby, która zajęła wszystkie jego myśli i kierowała krokami. Symboliczny znak mający ją wyrażać, kładł wszędzie, tak na kolumnie Tedmoru, jak na skale Nabaty, jak na szabli, kopii, ulubionym wierzchowcu, a jeśli się nie myłę, wyklół go nawet na swojej ręce, — co większa, każdy rysunek w pozostałych po nim manuskryptach nosi ten tajemniczy monogram, który stał się talizmanem dla Arabów związanych z nim jakby rycerskim zakonem.

Wszystko to miałooby cechę igraszkii z łatwowiernych Beduinów, lubiących bardzo tajemniczość i cudowność, gdyby znowu w wynurzeniach jego poufnych, a tēm samēm nieprzeznaczonych do publikacyi, nie spotykały się wyznania człowieka mocno zakochanego, lecz nieszczęśliwie...

Że emir z bystrym umysłem, przenikliwy, a tēm samēm znający ludzi, często grywał komedye przed ciemnym i fanatycznym Arabem — to więcēj niż pewna. Sam sposób przemawiania do nich bywa zazwyczaj tak pocieszny tą swoją oryentalną przesadą, że nieraz wydaje się, jak gdybyśmy byli na reprezentacyi molierowskiej komedyi, kiedy dobroduszny pan Jourdain przyjmuje ambasadę turecką.

Zapewne w trudnych położeniach nie było innego ratunku, tylko ratować się dowcipem... Z tego powodu opowiada on ciekawą scenę, jaka miała się zdarzyć w ruinach Palmiry. Zwiedzając te wspaniałe resztki piaskami pustyni zawianego grodu, usunął się na stronę od obozujących Beduinów i położył się na piasku... gdy mu się jednak sprzykrzyło leżeć na jednym boku, przewrócił się na drugi i postrzegł w piasku dwie nogi... Zaciekawilo go to niepo-mału; zaczął grzebać coraz głębiej, i po chwili odkrył dwa kolana... Dorozumiawszy się co to znaczy, przywołał ko-czujących Arabów i taką im wyciął mōwkę: „Bałwany skruszone! Arab depce po szczątkach fałszywych bogów.

Kurzawa zaślepiała bałwochwalców w sławnym dniu bitwy pod Bederem, kiedy Archanioł Gabryel na rumaku Haisimie hetmaniał chórom dziesięciu tysięcy aniołów przepasanych ognistymi szarfami i w ognistych koronach, a płomień buchał z nozdrzy niebieskich srokaczów... I stało się tak." Niewiadomo czy synowie pustyni mądrzejsi byli po tym wstępie niż my — jednak preludium to musiało być potrzebne, bo emir zaraz dotarł do rzeczy, i zaczął im tłómaczyć, że pokolenia arabskie żyjące pod gwiazdą polarną w krajach wielkiego Skandera, także przyjęły wiarę wehabicką, że on, Tadz-el-Faher, pochodzi z tych czterech trybutów, co przed dwoma tysiącami lat udały się na północ, a teraz tu przybył, aby pozdrowić pustynię Neżdu i zawrzeć sojusz—a zatem posąg ten wygrzebany z piasku winien zabrać z sobą, aby beduińskie trybuty północy dokonały na nim zniszczenia pogańskich bożyszczy. Gdy tak mówił, postawiono posąg na nogach, a któryś z Arabów porwał za kamień i zgruchotał nim głowę marmurowej Nioby—i jak mówi Rzewuski: „trysnęła iskra, jak prawda wydobyta ze steku kłamstw." Rzeczywiście nie wiem jaka to „iskra prawdy" trysnęła ze strzaskanęj głowy starożytnęj Nioby — ale to pewna, że starożytny zabytek został uszkodzony. Musiało to jednak niepomiernie ucieszyć Arabów, kiedy na to święto zaczęli rznąć barany, bankietować trzy dni i trzy noce... Po skończonej uroczystości na cześć zniszczenia bałwanów, włożono posąg na grzbiet wielbłąda, zawiesiwszy go po prawej stronie, a po lewej dla równowagi nakładziono kamieni, i tak objuczony wielbłąd ruszył do Saidy (Sydonu) nad morzem, zkąd przeniesiona na okręt „Niobe," dostała się do Latakiewu, ztamtąd do Tarsu, i złożona w domu p. Peretier'a, zostawała tam przez półtora roku, nim dostała się do Stambułu, potem do Odessy, a nareszcie lądem do Kasabahuw Kuźminie, to jest do majątku Rzewuskiego, który ten piękny posąg Nioby darował potem dziadowi swemu księciu Adamowi Czartoryskiemu, feldmarszałkowi, do s i ą t y n i Sybilli w Puławach.

Dramatyczniejszą swoją przygodę między Arabami, bo grożącą mu śmiercią, opowiada emir w sposób zajmujący, a oraz dobrze charakteryzujący obyczaje tego ludu

żyjącego między sobą w ustawnej wojnie, a co gorsza, praktykującego w najobszerniejszy sposób krwinę, czyli zemstę nieubłaganą za przelanie krwi człowieka należącego do trybutu. Wszystko, co żyje w trybucie, przyjmuje na siebie obowiązek zemsty. W zdarzeniu jednak, które tu opowiem słowami emira, nie zachodzi ten przypadek, lecz prosta tylko zawziętość jednego plemienia przeciw drugiemu.

„W Tel-el-Sultanie (*) u emira Duszego luczna uroczystość; rznieto barany, wyprawiano gonitwy w pokoleniu Fedanów,—wszystko to na moją cześć i przyjęcie. Zaproszono inne trybuty na tę uciechę,—i przybyło ze dwa tysiące Beduinów z trybutu Sebaa; przybył także szejik Nedżeris, wuj emira Dusz-ibna. Zabawy te trwały pięć dni. Drugiego dnia zjawił się w obozie jakiś Arab małego trybutu Amuri, przysłany do emira Duszego z prośbą o pokój. W dniu, w którym miałem wyjechać ztamtąd, aby się puścić ze czterema Arabami do Palmiry w ważnym jednym interesie do szejika Sulejmana, emir Duszi kazał przywołać owego posłańca od trybutu Amuri i rzekł do niego:

„— Czy ty wiesz, żem ja syn Ghbena, co był postrachem pustyni?

„— Wiem, emirze.

„— Czy wiesz, mówił dalej, żem potężny i że mogę jak nie zniszczyć twój trybut?

„— Wiem o tém, panie, i dla tego posłano mię do ciebie z prośbą o pokój i sojusz przez chleb i sól.

„— Czy znasz tego —tu wskazał na mnie — co obok mnie siedzi?

„— Widzę, że to znaczna jakaś osoba; siodło wielbłądzie służy mu za wezglowie, a u siodła jego klaczy uwieszona buława. Atoli nie wiem, jak się nazywa.

„— To wiedz —mówił emir Duszi — że to szlachetny i sławny Tadz-el-Faher Abd-el-Niszan, emir i szejik arabski, naczelnny wódz trzynastu sprzymierzonych trybutów... mój

(*) Tel-el-Sultan, znaczy: Pagórek Sultański. Miejscowość ta leży 14 mil od Halebu.

przyjaciół, mój brat, mój sojusznik przez chleb i sól. Trybuty Beduinów gwiazdy polarniej, w państwach potężnego Skandera, są jemu podwładne; albowiem płynie w nim krew czterech pokoleń Anazes, które przed dwoma tysiącami lat wyszły z Neżdu. Zna on się na rassach naszych koni i jest potomkiem Zeinuby, królowej Tedmoru. Winnicie mu cześć — przybrałem go bowiem za syna, odkąd mój Temmer pożegnał świat, a drugi mój syn jeszcze jest dzieckiem na rękach. Jemu to gwoli przystaję na ofiarowany pokój; wy zaś odpłacając pięknem za nadobne, oddawajcie hołd należny jego dostojęństwu i potędze. Będzie on przejeżdżał koło waszych namiotów — ty mu służ za przewodnika, — a teraz siadaj i pożywaj z nami.

„— Pokój i chwała z tobą, o wielki Duszi! i z twoim sprzymierzeńcem... Imię jego dobiegło i do naszych namiotów, lecz dopiero pierwszy raz oglądam go.

„Rzekłszy to, usiadł i jadł z nami.

„Była wtedy może 6-ta godzina wieczorna, gdyż słońce zaszło w parę godzin.

„Pilno mi było jechać, co widząc emir Duszi, obdarzył mnie kożuszkim baranim, i po trzykroć zawołał: „Przyprawdzić dromadera dla emira Tadz-el-Faher Abd-el-Niszana!” A ze wszystkich namiotów ozwały się trzykrotnie głosy: *Selam alejkum!* (pokój z tobą!)

„Przyprowadzono dromadera. Po zwykłych ucałowaniach się w brodę — wsiałem na niego, moją ulubioną klacz Muftaszarah kazałem uwiązać za uzdę do jucznój dromaderzycy, i ruszyłem w drogę w towarzystwie Hallusza, Tauafa, Hamdana, Nemmera i owego Araba z trybutu Amuri. Temu ostatniemu polecił Duszi, aby z nami wstąpił do Nedżerisa szejka trybutu Sebaa, który go bardzo obligował, aby mu dał sposobność zrobienia znajomości ze sławnym Tadz-el-Fahrem.

„Podówczas cała pustynia była w stanie wielkiego wzburzenia, z powodu, że w Badgadzie uwięziono przez zdradę szejków z dwudziestu dwóch trybutów. A ponieważ w trybutach tych wiedziano, że ja, Tadz-el-Faher, przebywam na pustyni, zatem szło im o to, aby mię schwytać, i mając zakładnika, wymienić go za uwięzionych szejków.

Trybuty te wałęsały się po pustyni tu i owdzie, tak, że nie wiadano na pewno, w której stronie ten lub ów trybut się znajduje. Słowem panowało jak największe zamieszanie w Neździe.

„Dla tych to przyczyn wziąłem z sobą zaledwo kilku ludzi, aby tém łatwiej się przemknąć i nie zwrócić na siebie uwagi we dnie, a w nocy robić jak najmniej hałasu. Ruszywszy zatem o ciemnym zmroku, kierowałem się podług gwiazd, aby tym sposobem ubiedz niepostrzeżenie kawał drogi. Trzeba wiedzieć, iż są dwa trybuty nazywające się Sebaa: w jednym szeikiem jest Nedżeris, wuj emira Duszego, sprzymierzeniec z trybutem Fedanów,—drugi trybut Sebaa z pod Bagdadu liczy się do nieprzyjaciół Fedanów.

„Moim zamiarem było udać się do pierwszego. Jechaliśmy całą noc, raz tylko zatrzymawszy się, aby wytechnąć. Gdy się zbierało na świt, zjawił się jakiś nieznajomy jeździec, powitał nas z zasłonią twarzą i w całym pędzie pogonił.

„Okolo południa przybyłem do jednego z obozowisk liczego trybutu Fedanów, i znalazłem przed namiotem Tauafa. Żona jego ujrawszy mię, przyskoczyła, i uściskała serdecznie; była to kobieta nadzwyczajnej piękności. Napilem się tam wielbłądniego mleka i zjadłem kilka szarańczy (potrawa ta dość mi jest wstrętna). Wypocząwszy dobrze przez dwie godziny, ruszyliśmy dalej. Aż do czwartej po południu jechaliśmy nie spotykając nikogo. Następnie dopiero minęliśmy się z kilku konnymi z zakrytą twarzą i z kilku mardufami, czyli jeźdźcami na dromaderach — którzy nie zatrzymali się. Wtém, a było to koło siódmej, lub może i później, spostrzegliśmy obozowisko beduińskie.

„Hallusz zawołał:—„Chwała Panu najwyższemu! Oto już namioty naszego trybutu Sebaa!” — Jechaliśmy dalej, lecz zaledwie zbliżyliśmy się o małą ćwierć milki do owego taboru, kiedy moi czterej przewodnicy wstrzymali wielbłądy, przywołali mię i rzekli:—„Sidi! zgubieni jesteście! Wprawdzie na tém tu miejscu obozowali Sebaowie szeika Nedżerisa, ale po nich inni zajęli je. Sabaowie bagdadzcy wy-

płoszyli tamtych i rozbili swoje namioty. Cóż stanie się z nami!? pewnie nas spostrzegli, i nie będzie już sposobu uciec się ucieczką od tych wrogów!”—

„Na to odezwałem się do nich:

„—O Beduini! Ucieczka godna jest jelenia lub płochliwej gazelli—zresztą na nieby się nam nie przydała. Ale nie trwóźcie się; gwiazda szczęścia prowadzi Tadz-el-Faher Abd-el Niszana; kaukab (błędna gwiazda) broni go od niebezpieczeństw. Ufam więc mojej gwiazdzie. Idźmy prosto przed siebie, Bóg jest wielki a człowiek jego niewolnikiem.—

„Powiedziawszy to, wjechaliśmy między namioty z zasłoniętymi twarzami. Gdy przed największym z namiotów poklekały nasze dromadery, my zeskoczyliśmy z nich, a popętawszy, usiedliśmy u wnijscia. Wyszedł gospodarz namiotu, otarł się około nieznanomych gości, powitał ich i został powitany, ale gdy znowu pod namiot wrócił, nie zaprosił nas do siebie, jak zwyczaj każe.

„Siedzinymy tak w niepewności oczekiwania, a tymczasem tak młodzień, jak małe chłopcy dosiadają wielbłądów i wyjeżdżają z taboru na step, aby spędzać trzody z pastwiska... Po niedługiej chwili i trzody, i ludzie wrócili pod namioty. Beduinki wyszły do doju wielbłądzie; a mleko ich dawano pić kłaczom i źrebecom. Chociaż już noc zapadła, siedzieliśmy po ciemku na dworze, nie wiedząc co począć z sobą. Wtém wyszedł gospodarz namiotu i zaprosił nas do środka. Posiadaliśmy na ziemi. Przyniesiono wieczerzę, i z potężnym apetytem zjadaliśmy—używając tylko prawej ręki, jak przyzwoitość wymaga — kluski z bulguru (żytnie). Oprócz tego stała na ziemi ogromna misa wielbłądziego mleka. Kiedy tak posilamy się, wszedł do namiotu jakiś obcy człowiek, który zasiadł do wieczerzy tuż obok mnie. Był to kupiec z Anachu, miasta leżącego nad Eufratem, trudniący się sprzedażą bransoletek, amuletów, wstążek, tasiemek i innych towarów pomiędzy Beduinami pustyni. Zaczął on ze mną rozmowę i bardzo mię polubił. Poczém oddalił się, zwłaszcza że i skromna wieczerza skończyła się, i trzeba się było zabierać do spoczynku. Wyszedłem i ja z moimi towarzyszami, i położyłem się spać

przy moim wielbłądzie, mając za poduszkę jego udo. Zmęczony, prędko usnąłem... aż tu około północy czuję, że ktoś przypelza do mnie... budzę się, i już mam krzyknąć: — „Kto to?” — i dobyć kindżału — gdy jakaś ręka przymyka mi usta, i cichy głos mówi do ucha: — „Uspokój się! Jestem kupiec z Anachu. Jeżeli masz sposób, uciekaj; bo ze wschodem słońca będziesz zamordowany. Wiedzą, żeś z trybutu Fedanów; jezdni już otoczyli tabór, aby cię pojmać. Podśluchałem ich zмовy i przybiegłem z ostrzeżeniem. Nie ma minuty do stracenia — uciekaj!” —

„Podziękowałem mu, i odrzekłem:

„— Ucieczka mnie nie uratuje. Pań Bóg wielki, i wielka jest ufność moja. Gwiazda szczęścia idzie przede mną.” —

„Kupiec oddalił się, a jam najspokojniej zasnął... O wschodzie słońca zbudziłem się z całym taborem; obcieram się na wszystkie strony, aby wiedzieć, zkąd napadną na mnie mordercy.... aż tu patrzę, około studni ogromne zbiegowisko... Pewien będąc, że to ostatnia moja godzina. poszedłem i ja do studni, z postanowieniem nasiekania jak najwięcej łbów, nim mój spadnie.

„Zaledwie zbliżyłem się do tłumu, widzę ogromnego barczystego mężczyznę, bardzo ogorzałej cery, z wejrzeniem drapieżném, siedzącego na kamieniu, a przy nim szpakowata klacz Neżdu dziwnej piękności i z okazałym rzędem. Otaczało go z ośmdziesiąt ludzi uzbrojonych w rusznice. Nieznajomy jak tylko mię spostrzegł, powstał, powitał zwykłem Selam alejkum, i wymówił moje nazwisko: Tadz-el-Faher...

Usłyszawszy to Sebaowie bagdadzcy, niezmiernie się dziwili, że ten, którego mieli za prostego Araba z trybutu Fedanów i którego na śmierć już skazali, był człowiekiem tak wielkiej sławy w całym Arabistanie.

„Odkąd też nazwisko moje głośno wymówiono, wiedziałem już na pewno, że nie mam czego bać się o życie; chociaż przewidywałem, że mogą mię wziąć za zakładnikiem, i dopóty trzymać, dopóki się nie podoba baszy Bagdadu puścić na wolność owych dwudziestu dwóch szeików.

„Wtém nieznajomy zapytał mię grzmiącym głosem:

„— Czy wiesz kto jestem, emirze?

„— Nie wiem—odrzekłem.

„— Jak to? nie przypominasz sobie księcia Sohnehu z Tallai, zwycięzcy, jednego z czterech przywódców karawany pielgrzymów, z którym tak często rozmawiałaś, gdyśmy szli do Mekki?

„— Jak to? tyżes to zwycięzki Tallaa? Druh mój! Chwała Bogu Stwórcy świata, że mi pozwolił oglądać cię na oczy!

„— Należysz do mnie — rzekł książę Sohnehu — jesteś moim jeńcem. Przybyłem tu dzisiejszej nocy dla kupna czterystu wielbłądów przeznaczonych do karawany mekańskiej... Dowiedziałem się przez moich ludzi, że tu są jacyś Arabowie z trybutu Fedanów, sprzymierzeńców baszy Damaszk... Spodziewając się, jaki los ich czeka, postanowiłem ich obronić od śmierci. Pewnie oni tak jak ja myśleli, że tu zastaną trybut Sebaasów Nedżerisa, a wpadli tymczasem w ręce swych wrogów. Jesteś pod moją opieką, mam ludzi dość i dobrze uzbrojonych, albowiem basza Damaszk Saleh Emir-el-Hadż, wiedząc o tobie, że jesteś na pustyni, kazał ci dawać pomoc w potrzebie. Pan Bóg zesłał mię na twoje ocalenie... Chwała bądź Najwyższemu! —

„Odtąd nie odstępowałem mego zbawcy, który mię wyrwał z rąk śmierci. Trzy jeszcze dni bawiliśmy w tym trybucie dla kupna wielbłądów. Przez ten czas zwiedziłem wszystkie namioty i kazałem sobie pokazywać konie. Nakoniec zabrawszy kupione wielbłądy, ruszyliśmy do Sohnehu ze wschodem słońca,

„Okolo siódmj godziny klacz księcia i moja Muftaszarah podniosły lby, zaczęły strzydz uszami, zadzierać ogon i silnie parskać.

„Książę rzekł: — „Gdzieś tu blisko nieprzyjacieli!” i kazał w kupę zbic się wielbłądom, a zbrojnym uszykować się....

„W rzeczy samj niezadługo ujrzelśmy przed sobą konnych i mardufów.

„Była to znaczna partya Arabów z trybutu Ibn-Heddału, którego szeik zostawał w więzieniu w Bagdadzie. Oddziałem tym dowodził kiahia.

„Biliśmy się z nimi do późnej godziny w wieczór, odpierając po kilkakroć ich natarczywe napady. Chciałem koniecznwie w tém zdarzeniu dać memu wybawicielowi dowód wdzięczności, i z nastawioną kopią puściłem się na nieprzyjacielskiego dowódcę, aby go z konia zsadzić. Siedząc na dzielnej mojej klaczy Obejet-el-hamra Muftaszarah, mogłem go łatwo pokonać. Jakoż w rzeczy samej, kiedy grot kopii miał go przeszyć na wylot, jeden z naszych Beduinów przypadł co koń wyskoczy i odwrócił cios wymierzony... co wyszło na dobre, albowiem śmierć tego kiahii byłaby zapaliła długą wojnę domową. Wymawiał mi potem książę Sohnehu, żebym nigdy tego nie robił, albowiem wolny Arab nigdy rąk swych nie kała krwią naczelnika trybutu, a jeżeli bój idzie na śmierć, to na to są Negry niewolnicy, aby dorzynali emirów i szejków.

„Waleczono tedy do późna w wieczór. Kiahia prosił o rozmowę z księciem Sohnehu, i pokój stanął między nieprzyjawnymi trybutami.

„Po tej rozprawie poszliśmy dalej i zajęliśmy stanowisko w dolinie Wad-el-akrab, tak zwaney od mnóstwa skorpionów.... Wielbłądy postawiono przy studni, której woda zielonkowata wydawała zabójczy smród. W obawie jakiego napadu rozstawiliśmy czaty, lecz nikt się nie kładł z powodu skorpionów, których ukąszenie bywa zabójcze.

„O wschodzie słońca ruszyliśmy w pochód, a po trzech godzinach tegiej jazdy stanęliśmy w małym obwarowanem miasteczku Sohneh, gdzie książę ugaszczal mię przez trzy dni....

„Ztamtąd, nie mając już czego się obawiać, stanąłem u celu podróży....”

W opowiadaniu o tej przygodzie musiał zauważać czytelnik wzmiankę o mekkańskiej karawanie, którą nasz emir odbywał, jako jeden z dowódców eskorty beduińskiej.

W rzeczy samej Rzewuski robił tę wyprawę w r. 1818, i szeroko się rozpisał o pielgrzymce do Mekki w swojej podróży. Atoli zbyt dużo miejsca trzeba by poświęcić opisowi tych niezliczonych ceremonij i urzędzeń, jakie towarzyszą karawanie pielgrzymów. Szczegóły te, znajdujące

się w różnych dziełach traktujących o Arabii, dosyć są nudne dla każdego, co się nie interesuje studjami nad charakterem i obyczajami mieszkańców.

W krótkości więc—tylko dla zorientowania się—dam główniejsze szczegóły o téj karawanie.

Wiadomo, że obowiązek religijny wkłada na każdego wyznawcę islamizmu, aby raz w życiu odwiedził Mekkę, gdzie jest grób Mahometa.

Główny punkt zborny dla karawany w Damaszku.

Przygotowanie jój i wyprawienie jest rzeczą baszy Damaszku, który z tego powodu ma tytuł Emira-el-Hadž.

Drugim dostojnikiem jest Surre Emini, przysłany ze Stambułu reprezentant samego sultana, następcy kalifów—ten stoi na czele pielgrzymów, kiedy pierwszy dowodzi eskortą.

Basza udaje się zwykle ze swoim dworem i wojskiem do Mezeribu, i tam spędza dwa tygodnie na przygotowaniach. Miejsce to leży już na pustyni i ma zameczek obronny.

Kiedy nasz emir towarzyszył ze swymi Beduinami karawanie, wyszły były z Damaszku 74 tysiące pielgrzymów i 18 tysięcy baszowskiego żołnierza; oprócz tego 36 tysięcy pustynnych Beduinów zasłaniało pochód téj pobożnej wyprawy; później na wysokości góry Sinai, przybiła do niej karawana afrykańska licząca 83 tysiące pielgrzymów. Tym sposobem 175 tysięcy ludu podążało do Mekki. Gdy przez kilka lat, z powodu wojny z Wehabitami, pielgrzymka nie mogła się odprawiać, więc tym razem nadzwyczajny był napływ pobożnych. „Trudy i niewygody w całej téj drodze były ogromne, pisze Rzewuski; wtenczas bowiem wiał zabójczy wiatr Samum, padali też ludzie jak muchy. Zaraźliwy ten wiatr wiejący peryodycznie co rok i zawsze w jednym kierunku, tém bywa szkodliwszy w okolicach Nedziażu leżących nad morzem Czerwonym, że jeszcze gorętszym się staje, gdy się tłumi między skałami rozpalonemi od słońca skwaru.”—Obrachowano, że rok rocznie ginie czwarta, jeśli nie trzecia część karawany, co jest jedną z ważnych przyczyn wyludniania się Turcyi azyatyckiej. Pielgrzymi przybywszy do Mekki, zostają tam

dni kilka dla odbycia wszystkich ceremonij, poczem cała ta processya wraca tą samą drogą. Nasz emir nie dotarł jednak do saméj Mekki, tylko z Beduinami zatrzymał się w dolinie Arafatu, a to — jak mówi: „z obawy, abym nie spotkał kogo ze znajomych osób w Stambule, któryby mógł zdradzić mię za powrotem do Mezeribu lub Damaszku.” Zaiste było się czego obawiać! Lada bowiem podejrzenie o jego improwizowaném muzułmaństwie mogło narobić mu ogromnych kłopotów w fanatyczném mieście.

O tym fanatyzmie ulemów i muftych da nam najlepsze wyobrażenie przypadek, jaki się zdarzył jego przyjacielowi, także znamienitemu podróżnikowi, który lekkomyślnie wyrzeczone słówko życiem przypłacił.

„Na parę miesięcy przed pielgrzymką do Mekki—pisze Rzewuski—bawiłem w Adanie stolicy baszali ku Czukur-owa, w starożytnéj Cylicyi. Był tam wtedy gubernatorem Mustafa basza, człowiek pełny rozumu, doskonały administrator, surowy w wykonywaniu sprawiedliwości i nieprzyjaciół zbytkownego życia. Często nawiedzałem go, a on mię zawsze z serdecznością przyjmował. Na mieszkanie dał mi ładny konak (dom), i codzień przysyłał dowiadywać się o moje zdrowie. W ostatniej wojnie Porty z Rossyą okrył się był sławą przy obronie Warny, potem zrobiono go gubernatorem Karsu, nareszcie w Adanie.

„Otoż mieszkając w tém mieście, miałem przy sobie tegoż Tatarskiego nazwiskiem Dżencz-Ali aga. Wchodzi do mnie pewnego razu brat jego Mustafa aga, i oznajmia, że jest dodany do boku pewnego marokańskiego pana, bardzo uczonego i wszędzie gdzie się pokaże przyjmowanego z czołobitnością. Opowiadał mi dalej, że się zajmuje gwiazdami i posiada mnóstwo osobliwych narzędzi i zegarów.... Z tych jego słów zaraz wniosłem, że to nie kto inny, tylko sławny Ali bej, — a udając dawną z nim znajomość, zacząłem się unosić nad jego nauką, cnotami i przywiązaniem do wiary Proroka. — „Muszę pójść go odwiedzić!” I zaraz udałem się do portowego chanu, gdzie Ali bej, pod nazwiskiem Abu-Othmana, stanął kwaterą.

„Nie znając go osobiście, wszedłem do mieszkania i usiadłem naprzeciw niego; podano kawę i nargileh, a po

zwykłych grzecznościach i ceremoniach, zaczęliśmy rozmawiać po arabsku o astronomii... Po chwili Abu-Othman spojrział na chronometr i wyszedł na dziedziniec, aby zmierzyć wysokość słońca. Była to godzina 4 z południa; obserwację tę zrobiliśmy razem, poczem zostawszy z nim sam na sam, rzekłem do niego po francuzku:

„— Kiedy szeik Ibrahim (Burkard) przedstawiał się Mehmedowi Alemu baszy Egiptu, ten mu powiedział: „Szeiku! twoja znajomość Koranu wprawila w podziw moich teologów, którzy uznają cię wielce biegłym w tej nauce. Ja zaś lubiąc protegować zasługę, przyrzekam ci pomoc w każdym przypadku, chociaż cię nie znam. Zapewne opisując swoje podróże, nie zapomnisz tam i o mnie; tylko nie pisz, że ci się udało oszukać Mehmeda Alego baszę. Nie lękaj się jednak i rób swoje.” — Otoż podobnie jak basza Egiptu, poznałem cię i wiem, że mówię z Alim bejem. —

„Ostatnie te wyrazy powiedziałem po cichu.

„Abu-Othman uśmiechnął się i zamilkł; ja także nie nacierałem na niego pytaniami, odkładając na później przekonanie się o moich domysłach. Rozmawialiśmy jeszcze jakąś chwilę, lecz po włosku, bo on udawał, że nie umie francuzkiego języka. W końcu, gdy miałem go pożegnać, oświadczył się z życzliwością i dodał, że wyjeżdża do Damaszku, a ztamtąd ma zamiar odbyć pielgrzymkę do Mekki...

„Rozstaliśmy się serdecznie. W jakiś czas, gdym z Beduinami przybył do Damaszku, aby się układać z baszą o eskortowanie karawany, odszukałem zaraz Abu-Othmana, i więcej niż przez dwutygodniowy pobyt mój w tém mieście, całe prawie dni i noce' przepędzałem na rozmowie z tym równie uczonym jak miłym i dziwniej dobroci człowiekiem. Miał on rozum bardzo trafny i serce najczulsze. Wątlęgo składu ciała, trzymał się tylko energią niezłomnej duszy, i było dla niego niczem cierpieć, narażać się na niebezpieczeństwa i pracować bez wytchnienia. Chwile spędzone w jego towarzystwie tak w Damaszku, jak na pustyni, należą do najmielszych wspomnień mego życia. W czém zaś obcowanie z nim miało dla mnie ten powab, nikogo to nie obchodzi. Zresztą po mojej śmierci, gdyby

który z synów moich chciał ogłosić osobisty pamiętnik, który po mnie zostanie, znalazłoby w nim szczegóły ciekawe odnoszące się do naszych rozmów.

„Otoż przypominam sobie, jak pewnego dnia w rozmowie z Abu-Othmanem w jego mieszkaniu, wszczęła się rzecz o Mekce i Damaszku, a mianowicie o meczetach. — Cóż to — rzekłem — za przepyszna architektura tego meczetu w Damaszku! Zwiedzałem go niedawno i nie mogę się dosyć nadziwić jego lekkości i malowniczości.—

„Na to Abu-Othman:— „Wyobraź sobie, co mi wypadło z moich obserwacyj i rachunków: oto ten meczet, odpowiednio do kierunku, jaki mieć powinna jego facyata względem mekkańskiej świątyni, ku której zwracają się wierni z modlitwą, obrócony jest o 23 stopnie bardziej ku zachodowi!”

„— Zmiłuj się, na Boga! — rzekłem — i to odkrycie zachowaj dla siebie; albowiem gdyby o tém dowiedziano się, potrzebaby zburzyć większą część miasta przypierającą do meczetu, co przyprowadziłoby o ruinę tylu właścicieli, a oprócz tego rozjątrzyło i tak fanatycznych mieszkańców przeciw mollahom; bo przecież niepodobna burzyć meczetu, aby go przebudować we właściwym kierunku. Dla tego zaklinam cię na Boga, nie mów nigdy o tém nikomu!—

„Abu-Othman przystał na moje zdanie, lecz wtém, gdyśmy ucieśli tę pogadankę, otwarły się drzwi, i weszło do izby kilkunastu mollahów i imanów. Przybyli oni z wizytą powitalną do Abu-Othmana. Pousiadawszy na dywanie, pytali po trzydzięci razy o zdrowie, i nie byłoby końca tym nudnym komplementom, gdyby nie przyniesiono kawy, lulek, nargileh, co dało inny zwrot rozmowie. Jakoż wszczęła się rzecz o przygotowującej się karawanie pielgrzymów do Mekki, z czego wywiązała się materya religijna, istna woda na młyn uczonych muzułmańskich teologów. Trzeba wiedzieć, że jeśli w Damaszku zawsze panuje fanatyzm, to w epoce karawany mekkańskiej podwójnie zawraca głowy; to też i goście nasi rozpalając się coraz więcej, zaczęli między innemi unosić się nad wspańiałością wielkiego meczetu i nad cudowném jego podobieństwem do mekkańskiej świątyni. Od szczegółów archi-

tektury przejście było naturalne do kierunku, w jakim gmach ten stoi względnie Kaaby. Wtém, Abu-Othman, zapominając cośmy przed chwilą mówili, wystąpił ze swoją obserwacją i zaczął im dowodzić, że meczet w Damaszku nie jest frontem obrócony do Kaaby. Struchlałem na ten wyskok uczonego przyjaciela, a wiedząc, że owe molły i imany nie mają pojęcia o astronomii, zacząłem im dowodzić, że meczet z początku był zbudowany w odpowiednim kierunku, a dopiero później w skutek wstrząśnień wulkanicznych i obrotów ziemi, kierunek ten skrzywił się. Następnie, że uczeni i pobożni fundatorowie meczetu musieli wiedzieć co robią, zwłaszcza że święty gród Damaszku był ulubiony przez Proroka, który opierał się na nim jedną nogą, kiedy drugą był w niebie. Skończyłem zaś na tej radzie, aby za pomocą dokładnego wyrachowania sprostować kierunek meczetu i postawić w tém miejscu kolumnę, aby podług niej mogli się oryentować pobożni, co mile będzie Bogu i jego Prorokowi.

„Argumenta moje podobały się; osypano mię pochwałami, ja zaś zwróciłem rzecz do innych przedmiotów religijnych, udając, że się chcę u nich oświecić, a właściwie żeby oderwać uwagę od niebezpiecznej kwestyi, która, jak uważałem, ogromne zrobiła wrażenie na tych fanatykach.

„Po tej aż nadto długiej wizycie, goście nasi wynieśli się, a ja zostawszy sam na sam z Abu-Othmanem, zaklinałem go na wszystkie świętości, aby u nikogo nie przyjmował ani obiadu, ani kawy. Poznał on dopiero słuszność moich przestróg, i przyrzekł zachować wszelką ostrożność. Ale, jak mówi przysłowie: *homo proponit, Deus disponit*—we dwa dni potem jeden ze sług Abu-Othmana okradł go i uciekł. Abu-Othman zamiast puścić na wiatr tę bagatelną szkodę, zaczął jej najściślej dochodzić, i poszedł do każdego i do molły upominać się o schwytanie złoczyńcy. Niezawsze człowiek jest w możności nie przyjąć ofiarowanej sobie filiżanki kawy, zwłaszcza kiedy wiadomo, że ją pije po kilka razy na dzień. Byłaby to gruba niegrzeczność, rodzaj jawnej wzgardy. Toż i Abu-Othman nie śmiał odmówić w jedném i drugiem miejscu, gdy go potraktowano kawą, do czego sam mi się przyznał, uczuwając w parę dni skutki

działającej trucizny, obrachowanej na trzy tygodnie, tak, aby śmierć sprzątnęła go na pustyni, co łatwo było rzucić na trudy podróży karawanowej. Lubo mój przyjaciel nie zaniedbał używać antydotów, siły opuszczały go z każdym dniem, członki ubezwładniały, a on widząc zbliżający się koniec, powtarzał mi często te słowa: „*Si deve butar fora quel inimico, che lo tengo dentro,*” poczem przyciskał mię do serca i zaklinał, abym również miał się na ostrożności: „Zbyt bowiem jesteś zuchwały — mówił mi — ochraniaj się przyjacielu, nie pij kawy, nie pal lulki, bo i dymem można być otrutym.”

„Jam ze swojej strony namawiał go: — Wyjedź z Damaszk, wyprawię cię tajemnie do Saidy, zabierz z sobą instrumenta astronomiczne i papiery; nie masz ani chwili do stracenia. —

„On na to: — *„Non e possibile; questo e una immensa catena; non posso romperla; vi lo dirò una volta...”*

„Z dnia na dzień słabnął i gasnął widocznie; co nie przeszkadzało nam poświęcić tych chwil interesującym rozmowom. Nakoniec trzeba mi było przyśpieszyć wyjazd, bo już odchodziła karawana, a ja mając dowództwo nad Beduinami, musiałem być przy układach z baszą w Mezeribie. Przy pożegnaniu Ali rozplakał się — nie ze słabości, ani z żalu do życia, lecz że serce jego z boleścią odrywało się od ostatniego ogniwa, choć tak samotnego jak on, co go łączyło z cywilizowaną Europą. Patrzył on na mnie; jak na ostatnie wspomnienie wiążące go z przeszłością. Byłem dla niego jedynym przedstawicielem wykształconego społeczeństwa, jak mi to często powtarzał. Przybywszy do Mezeribu, dokąd ścigały się wszystkie partye pielgrzymów, aby wyruszyć w drogę — przebiegałem codziennie cały ten ogromny obóz, aby wynaleźć namiot Abu-Othmana, i dopiero piątego dnia udało mi się odkryć go w dzielnicy Mogrebinów czyli pielgrzymów marokańskich, do nich on bowiem się liczył. Zastałem go leżącego w zupełnej niemocy, z trupią bladością na twarzy. O ile mi czas pozwalał, nawiedzałem go, a trzy ostatnie noce ani na krok nie odstępowałem. Pamiętam ostatniej nocy przed śmiercią, zwołał na mnie ulubionym mem nazwiskiem Abd-el-Niszana,

i przyciskając mnie do piersi, tulił długo, nie mogąc słowa przemówić od wzruszenia; nareszcie usiadł na posłaniu, ale siły prędko go opuściły, i znowu się położył.... Ta scena żywo utkwiała mi w pamięci. Obok niego stała mahoniowa szkatułka z apteczką, leżały narzędzia astronomiczne, dwa złote chronometry angielskie, sekstant, luneta i para pistoletów.... bliżej głowy kilka książek, między innemi tablice długości i szerokości z licznemi jego adnotacyami i poprawkami, nareszcie gruba teka papierów.... On sam miał na głowie zielony turban w czarne paski, na sobie pielgrzymi *meszlah* (plaszcz). Dla dopełnienia tego obrazu, powiem i o moim kostiumie arabskiego emira: koszula i spodnie płócienne, pas skórzany, nóż za pasem, głowa obwiązana zieloną chustką w żółte pasy, ściśniętą sznurkiem z wielbłądziej sierści, roboty pięknej Misy, córki emira Fedanów Duszi-ibn-Ghbeny, danym mi od niej w upominku.

„Siedziałem obok niego milczący, a on oczy miał wlepione w podniebie namiotu, i ręce wyciągnięte wzdłuż ciała, i także milczał. Pokorą moją, posłuszeństwem dziecka na każde jego skinienie, chciałem mu dać uczuć jego wyższość, podnieść tym ostatnim hołdem. Może się to wydawać komu dziwnem i niestosownem — ale ja tylko tłómaczę się z mego usposobienia w tej uroczystej chwili. Na twarzy Abu-Othmana widzieć było wyraz wielkiego bólu, szarpiacego jego wnętrzości—tém samém nie był to ból wewnętrznej zgryzoty. Piękna ta i czysta dusza zostawała w pokoju; oczy sucho łyskały jeszcze żywym blaskiem. Po kilka razy dał mi znak prawą ręką; mniemałem, że chce abym się oddalił, i już podnosiłem się, gdy on lewą zatrzymał, czule ściskając rzekł:

„— *Questa e una immensa catena, e si rompera.*

„A po chwili milczenia znowu przemówił:

„— Mój Abd-el-Niszanie, daj mi słowo, że zachowasz najzupełniejsze milczenie o tém, co ode mnie usłyszysz.

„Przrzekłem mu uroczyście.

„Tu dał znak swojej służbie, aby wyszła z namiotu; a zbierając resztki sił, podniósł się i usiadł...

„Więcej niż przez dwadzieścia minut mówił jednym ciągiem, o rzeczach bardzo ważnych i zajmujących, niekie-

dy przerywając przestrogą zwróconą do mnie: „Zbyt jesteś „zuchwały; strzeż się trucizny!”

„Za każdym zdaniem wychodzącem z jego ust podnosiłem rękę od ziemi do czoła, co oznaczało hołd uszanowania przed mądrością słowa.

„W końcu z małego palca zdjął sygnet, który miał od Van Masseyk’a konsula hollenderskiego w Halebie, a mego przyjaciela. Był to rubin cokolwiek zblakły, na cal długi, na 6 linii szeroki, płaski, z napisem talizmanicznym: „Nie ma „nic nad Alego i nic nad miecz Zulfakar” (*). Pierścień ten był talizmanem perskim; Van-Masseyk dostał go być z Indyi, i klejnot wielkiej rzadkości podarował Alemu bejowi, ujęty jego zacnością i nauką.

„Umierający ofiarował mi ten sygnet; pocałowałem go w rękę, i napowrot wsunąłem mu na palec, mówiąc: — Zachowaj go przyjacielu; przyjąłem ten dar z wdzięcznością, i napowrot powierzam go tobie; a jak powrócisz z podróży mekkańskiej, to mi go oddasz.—

„Zdawało mi się niegodném, abym mógł przyjąć ten klejnot, który Abu-Othman nosił przez tyle lat; jeśli miał mi służyć za pamiątkę po przyjacielu, to nie potrzebowałem tego, bo pamięć po nim nosiłem w sercu.

„Ali bej, jak go już nazwę zwykłym jego nazwiskiem, wzruszył się tém, i przyrzekł zatrzymać na teraz ten pierścień, aby mi go zwrócił później — ale smętnym uśmiechem dawał do poznania, że koniec jego już niedaleko...

„Zmieniliśmy przedmiot rozmowy. Ali bej mówił z uniesieniem o Napoleonie, o jego wielkich planach... bywał bowiem przypuszczany do tajemnych rozmów z cesarzem.... Słyszał on z własnych jego ust podczas powrotu z Elby, że to Anglicy spalili Moskwę, aby przeszkodzić zawarciu pokoju, którego Rossya pragnęła; po kilka razy wspominał cara Aleksandra, nazywając go następcą po Napoleonie; wypytywał mię o Rossyę.... potem zaczął napomykać o swojej missyi na Wschodzie; w końcu odkrył, że jest Hiszpanem, z rodu książąt d’Ossuna, że przez matkę wie dzie ród

(*) Miecz o dwóch główkach używany przez Mahometa.

od Proroka. „Jestem chrześcianinem—umieram bez pomocy—módl się za mnie,” —gdy wtém rozległ się strzał armatni. Był to znak dany karawanie do pochodu.... Służba weszła do namiotu; zaczęto zbierać rzeczy i pakować na wielblądy. Jeźdźcy już byli na siodłach. Lektyka Abu-Othmana niesiona przez dwa wielblądy, wkrótce zajęła miejsce w postępującój karawanie. Jeszcze raz uściskał mię i nazwał Abd-el-Nisanem. „Zatrzymaj to miano—rzekł—a teraz bywaj zdrow; odjeżdżam w dalekie strony.”

„Po tēm smutném pożegnaniu chwycilem za kopię i dosiadłem mój kłaczy Neżdy kohelieh Obejet-el-hamra Muftaszarah, a puściwszy się lotem błyskawicy, dogoniłem moich Beduinów....

„Za trzecim armatnim wystrzałem już cała karawana była w pochodzie.... Mogła być wtedy jedenasta przed południem.

„Na ośm godzin drogi od Mezaribu Ali bej już nie żył!

„Karawana zatrzymała się na nocleg, i pochowano jego zwłoki.

„Przełożony Mogrebinów, czyli pielgrzymów marokańskich, zabrał pozostałe po nim rzeczy.

„Pieniądze i pierścień pochwylił jeden ze sług....

„Tak skończył ów mąż wielkiej uczoności, rzadki przyjaciel, podróżnik szanowany u potentatów na Wschodzie, czczony przez lud, a nawet przez pobożnych wyznawców Proroka tak w Afryce jak w Azji. Był wzrostu miernego, śniadój cery, oczu, w których się malowała żywość i do-wcip. Ogromne trudy wyniszczyły wątłą budowę, lecz nie zniszczyły dzielnej duszy, nie osłabiły umysłu pełnego głębokięj nauki. Miał on trafne o wszystkiém zdanie, i objawiał je jasno w zwięzłym słowie. Skłonniejszy był do rozumowania niż do uniesień wymowy. Taki był ten człowiek, którego los dał mi poznać i pokochać, abym go stracił na wieki...”

Rzewuski w notatkach swoich, tu i owdzie rozrzuconych, dodaje, że za przybyciem do Stambułu, doniósł ambassadzie francuzkięj o śmierci Alego beja. „Gdym to oznajmił, pan J... wziął mnie na bok, bojąc się zapewne, abym się z czém nie wygadał, i rzekł mi:

— Kochany emirze, spodziewam się że umiesz mil-
czeć; jeżeli zaś co wiesz, schowaj dla siebie. — Jam
mu na to: — Uczynię to, a wiem dla czego. — Ambassa-
dor francuzki pan de Rivière polecił mi, abym postarał
się wydobyć papiery i narzędzia astronomiczne pozos-
tałe po Alim beju; ale nie mogłem nic wskórać, bo na-
czelnik pielgrzymów marokańskich zabrał wszystko.... Nie-
które osoby, świadome okoliczności, utrzymywały, że Ali bej
został otruty przez agentów będących na żołdzie angielskim...”

Tyle podaje Rzewuski o tym znakomitym podróżniku,
nazywając go księciem d'Ossuna, zrodzonym z matki idą-
cój w prostą linię od Mahometa...

Jaki cel ma ta mistyfikacya? nie pojmuję; a raczej
przekonywam się, że to była słabość naszego emira wy-
stawić proste nieraz okoliczności i wypadki w mgłę
tajemniczej; niemal wziąłbyś go za jakiego ze średnich
wieków Templariusza wtajemniczonego w misterye budow-
niczych świątyni Salomonowej, tak lubuje się w symbo-
lach, talizmanach, jakichś tajnych sektach, których zna
wszystkie labirynty i hasła. Starzec z gór, Bafomet, sto-
warzyszenie Assasinów datujące od wojen krzyżowych (*),
wszystko to mocno go zaprzęta; chciałby dać do zrozumie-
nia, że te tajemnice nie są mu obce, że ma udział w nich
że i sam podziemnymi żywiołami nawet porusza.... Co
większa, chce on uchodzić za jakiegoś objawiciela religii
wyzwolonej ze wszelkich dodatków i obrzędów; wiele zna-
czącym symbolem ma być znak położony przez niego na
jednej z kolumn Palmiry.... tego znaku używa wszędzie;
tego znaku używają ci, co się stowarzyszyli w jakieś bract-
wo... Jednym słowem mistyfikację posuwa tak daleko,
że ciągle tak nazwiska osób jak miejsc oznacza kluczem,
równie jak po objaśnienia zagadek lub ciemnych napomknien
odsyła do swoich pamiętników złożonych w jakiejś piecza-
rze na Libanie....

(*) Wyraz *Assasin* powstał na Wschodzie, za krucyat, od wyra-
zu *Haszycz*, którym się upijali członkowie sekty Izmaelitów.

Co mogłoby tłumaczyć naszego mistyfikatora, to chyba epoka, w której żył. Ówczesne rządy zamknęły wszystkim usta — rzucono się do tajnych stowarzyszeń, używano znaków i hasel porozumienia się, korespondowano tajemnym charakterem. Uchodzić za człowieka pełnego tajemnic było prawie modą. Tęj słabości, a raczej modzie hołdował Rzewuski, jak to z różnych jego pism pokazuje się. Owoż wracając i do tego Alego beja, nie rozumiem, dla czego zrobił go księciem Ossuny, spokrewnił przez matkę z Mahometem, kiedy uczonemu światu było wiadome jego właściwe nazwisko i cała karyera — bo nawet Hammer, z którym Rzewuskiego łączyła ścisła zażyłość, ogłosił był w pismach odkrycie (z którego się śmiano w Paryżu), że Ali bej, znakomity podróżnik po Oryencie, jest jedną i tą samą osobą, co Hiszpan Badia y Leblich, który przybierał czasem przydomek *Castillo*, lecz nigdy nie udawał się za księcia Ossuny. Był to uczony człowiek, mianowicie w językach wschodnich. Biedą przyciśnięty udał się do księcia Godoy'a z propozycją podróżowania po Afryce i Azji, na co otrzymał fundusz. Sam zaś, żeby mógł wszędzie dotrzeć, przyjął w Maroku wiarę mahometańską i pokazał podrobione dyplomata w starym arabskim języku opatrzone pieczęciami, na mocy których przyznano mu, jako jest potomkiem Othmana beja księcia Abassydów. Grając rolę marokańskiego pana, miał łatwość dowiedzieć się o takich rzeczach, jakie zwykle muzułmanie ukrywają przed oczyma podróżnych. Objechawszy w ten sposób Cesarstwo Marokańskie, Trypolis, Egipt, przyjmowany gościnnie przez baszę Akry i szeryfa Mekki, gdy wrócił po latach sześciu, zastał w Madrycie Francuzów, z którymi się prędko porozumiał. Do różnych też czynności używał go Józef Bonaparte, co go skompromitowało u patriotów. Wyemigrował więc do Francji, i w Paryżu osiadłszy, wydał w r. 1814 *Podróże Alego beja po Afryce i Azji w latach 1803 do 1808 odbyte*, które zwróciły na siebie uwagę uczonego świata. Burboni użyli go do podkopywania stosunków i wpływów angielskich na Wschodzie — lecz z tej wyprawy nie wrócił, jak to widzimy z opowiadań naszego emira. Jest to małą wadą Rzewuskiego, że lubi puszczać wodze fantazyi, w czém choć naśla-

duże koloryt orientalny, niemniej bywa często ciemny, niedość ścisły, a zawsze prawie uganiający się za wielkością, nadzwyczajnością, tam gdzie rzeczywistość mogła być bardzo pospolitą.

Żeby go lepiej dać poznać z tej strony, przytoczę rozmowę, którą miał z pewnym starcem w Damaszku. Charakterystyczny to obrazek jakiegoś arabskiej massoneryi, pokazujący jak dalece się lubował w podobnych mistyfikacjach.

Było to w domu Abd-el-Kadera effendego Dżelaniego, u którego nierzadkim bywał gościem w Damaszku. Pewnego razu, gdy znalazł się tam w liczniejszym towarzystwie, zainteresował go poważny i ognisty starzec. „On wlepił wzrok we mnie, a ja w niego. Starzec wziął za róg płaszcza, jam mu podobnie odpowiedział. Starzec znowu inny znak zrobił, jam go powtórzył. Po chwili zbliżyliśmy się do siebie i zaczęliśmy rozmawiać. Dowiedziałem się wiele ciekawych rzeczy od niego; więc zanotowałem tę rozmowę:

„Starzec. Powiedz mi emirze, gdzie jest *Bunabart*? Mówią, że go Anglicy trzymają więźniem na wyspie?

„Emir. Rozwiała się jego sława, jak Samum rozwiewa piasek pustyni.

„Starzec. Kto wie, czy Lew zachodu nie ujdzie z tej wyspy; albowiem jest poprzedzicielem Seifa, jak mówi proctwo Omara. Pokój z nim! Ja-hu! La ela Allah!

„Emir. Wschód i zachód są w ręku Boga ...

„Starzec. Ja-hu! La ela el Allah!

„Emir (poznając, że starzec ma wyobrażenia wehabickie). Lew zaniósł sławę swoją aż do Haramu (do piramid).

„Starzec. I piramida przyjęła go dziewczę, i wyszedł z niej.

„Emir. El Szekeb nur.

„Starzec. El Szekeb el feker.”

W ten sposób syją się tajemnicze frazesa długo jeszcze; jest to jakby egzamin dwóch poznających się członków stowarzyszenia; gdy się jednak skończyły pytania i odpowiedzi, z których nie niemożna zrozumieć, bo

wiele słów pisanych kluczem—dwaj rozmawiający zmrużyli oczy—i odtąd wszczęli mniej zagadkową pogadankę.

„*Starzec.* Byłem wtenczas mamelukiem u Murada beja, kiedy Lew zachodu prowadził wojnę w Meserze (w Egipcie).

„*Emir.* Jakże się Lew sprawował? Czy był kochany?

„*Starzec.* Umie on prowadzić wojnę! sława w ślad idzie za nim i t. d.

„*Emir.* Lecz powiedz mi, co robili Anglicy podczas wojny w Egipcie?

„*Starzec.* Drżeli w Hindostanie; bracia nasi wiedzieli o tem przez fakirów. Dowiedziałem się o tem później, wtenczas bowiem nieznany mi był *Szekeb Nur*. Otoż Anglicy przywieźli wojsko z Hindostanu przez morze Czerwone. Byłem wtenczas mamelukiem, i znam te rzeczy.

„*Emir.* A kiedy Lew był w Akkeh (Akra), co o nim myślał lud w Arabii?

„*Starzec.* Arabowie pragnęli, żeby przyszedł do nich i pomógł zrzucić jarzmo Osmanlich, pod których nogami trawa nie rośnie. Emin aga, co teraz rozmawia z gospodarzem domu, był wtenczas w Damaszku; spytaj go, a powie ci, że znaczniejsze osoby miasta wyprawiły do Lwa pismo opatrzone 500 pieczęciami, jako cała Syrya chce mu się poddać. Wszystkiem tem kierował *Szekeb Nur*.

„*Emir.* Lew zachodu był to mąż śmiałego serca, dla czegoż nie korzystał z ofiary? przez to byłaby Akkeh (Akra) dostała się w moc jego. Zresztą gdyby był miał Syryę, twierdza musiałaby się poddać, albo *Szekeb Nur* znalazłby łatwy sposób wpłynąć na Dżecara baszę, lub mu łeb uciąć; toż samo i Sydney'owi, który tak dobrze prowadził obronę.

„*Starzec.* Bez wątpienia; ale Bóg wszystkiem kieruje; największe plany, najlepiej obmyślane, zepsuje nieraz łada przypadek.

„*Emir.* Znam charakter Bunabarta, i nie mogę pojąć, dla czego nie korzystał z tak pomyślnych propozycyj?

„*Starzec.* Dla czego nie korzystał! bo nie o tem nie wiedział. Nasi panowie posłali ten akt poddania się Bona-

partemu przez zaufanego człowieka, który przebrany za chłopą wziął z sobą kulawego osła i objuczył go worami daktyli i bakławy, a w jednym z tych worów był akt poddania się. Udało się temu posłańcowi przemknąć już przez wojska baszy Damaszkę stojące w górach Nabluzy; za dwa lub trzy dni mógł był dostać się do obozu Lwa zachodu, lecz w górach tych spotkał oddział delibaszków, który wracał z okolic Nazaretu. Ci ujrawszy go z obładowanym osiełkiem, pytali, co wiezie? Odpowiedział biedak trzęsąc się, że żywność dla żony i dzieci, — i delibaszkowie przepuścili go. Atoli zaledwo od nich na paręset kroków odszedł, zaczął go jakiś wlokący się za oddziałem, oszłomiony przez opium delibaszk, i chciał go obedrzeć. Wszczęła się kłótnia; chłop zbyt głowy, dał mu worek daktyli, a ten unosząc zdobycz, dogonił towarzyszy i powiedział im, że je kupił od chłopą. — „A więc on ma je na sprzedaż?!“ — zawołali drudzy, i dalejże gonić za chłopem z daktylami. Dopadłszy go, zabrali mu wszystkie worki; on też nie czekając na zapłatę, rzucił się w parów i umknął. Zdziwilo to ich; zaczęli worki wytrząsać, i w jednym z nich znaleźli akt pomieniony, który przeczytawszy, co temu pobiegli do Damaszkę, aby go oddać baszy. Tej samej nocy zaaresztowano ze dwieście osób, których głowy spadły. Reszta pokryła się lub pouciekała. Szukano najwięcej tego Emina agi, ale umknął szczęśliwie; wielki to przyjaciel Bunabarta!

„*Emir.* Widzę w tem dowód, jak największe nieraz rzeczy od drobnego przypadku zawisły.Ale powiedz mi — co myślisz o Hindostanie? czy Anglicy mocno tam usadowili się, i czy nie ma sposobu wyrzucić ich ztamtąd?

„*Starzec.* Byłem w niejednej wojnie i widziałem dużo krajów; umiem też różne mowy: włoską, rossyjską, także nieco po francuzku i po angielsku. W Liwornie uczyłem się geografii. Otoż podług moich wiadomości, sędzę, że gdyby Bunabart był się złączył z szachem rossyjskim, byłiby wywrócili panowanie Anglików w Hindostanie. A tobież jak się zdaje?

„*Emir*. Jestem twego zdania, bo gdyby padyszach rossyjski, Skander, wszystkich Żydów swego imperyum osadził w południowej Syberii i trzymał tam wojsko, a handel prowadzony przez Żydów popierał zbrojną ręką—dopieklby porządnie Anglikom w Hindostanie. Zresztą możnaby jeszcze podburzyć Beduinów, którzyby nie byli od tego.

„*Starzec*. Czy znasz niejakiego Edreai-ibn-Szaalana?

„*Emir*. To mój przyjaciel.

„*Starzec*. I mój także. Może mówił z tobą o tém. Wiem wszystko, i właśnie wtenczas byłem w jego trybucie w Szammarze.

„*Emir*. Bez wątpienia, wiem wszystko, bom wiedział o wszystkiém. On też nic mi nie tał, miałem prawo wybadać go. Czy znasz historję Abuaszy?

„*Starzec*. „Bassorah” masz odpowiedź—teraz już rozumiemy się. Bunabart był posłańcem Boga zapowiadającym przyjsie Deżala i Seifa. Pod nim zwyciężyłaby jedność Boga, Allah wuahed! (i podniósł wskazujący palec).

„*Emir*. Allah wuahed! (i także podniósł palec).

„Tu jeden drugiego wziął za brodę, a potem każdy pocałował swoją rękę...”

Otoż i próbka rozmowy dwóch adeptów jakiegoś wehabickiego karbonaryzmu. Ktoby potrafił odczytać cyfrowane wyrazy, jakich tu pełno, możeby się czego doczytał. Mimo tego anegdota o przyłączeniu się mieszkańców Damaszku do sprawy Bonapartego, gdy był w Egipcie, i aktów w worku daktylów — rzuca nowe światło na ówczesne stosunki. W dalszym ciągu dłuższej owęj pogadanki emira z tajemniczym starcem jest jeszcze przepowiednia o przyszłych wstrząśnieniach świata po śmierci Napoleona. Jeżeli zazwyczaj takie wieszczby bywają ciemne i różnie dają się tłómaczyć, to owa wszystkie inne przechodzi swoją zagadkowością...

Najciekawszym może epizodem w podróżach naszego emira jest jego stosunek ze sławną ekscentryczką angielską, którą poznał na brzegach Syrii. Epizod ten mógłby tworzyć osobny romans w listach *à la Nouvelle Heloise*,

z tą różnicą, że gdybym chciał wiernie powtórzyć całą tę korespondencyę, czytelnicy niechybnie doznaliby losu siedmiu braci śpiących—taka tam panuje affektacya w sentymentach, takie sadzenie się na wielkie słowa, żeby nie nie powiedzieć.

Poprzestanę zatem tylko na wybitniejszych miejscach, aby scharakteryzować sytuacyę i osoby.

W malowniczym pasmie gór Libanu, ciągnącym się wzdłuż syryjskiego pobrzeża, o pół mili od Saidy (Sydonu) osiadła od lat kilku w murach opuszczonego klasztoru osoba głośna z rozumu i ekscentryczności, lady Estera Łueya Stanhope. Będąc córką Karola hr. Stanhope'a, para W. Brytanii, a siostrzenicą sławnego Williama Pitt'a, należała do pierwszej arystokracji angielskiej. Obdarzona darami umysłu i fortuny, przytém imponującą pięknosci, zdawała się mieć wszystko, co może zaspakajać pragnienia ambicyi i serca. Był nawet czas, kiedy ta odznaczająca się panna, bawiąc przy swoim wuju, rej wodziła na zebraniach wieczornych, gdzie się zgromadzał cały kwiat dyplomacyi; trafne jej myśli, dar rozstrzygania zawitych kwestyj, lub stawiania ich we właściwym świetle—nadawały jej zdaniu znaczenie powagi. Powiadają nawet, że wielki mąż stanu nieraz rad jej zasięgał, a nawet pióru jej redakcyę not dyplomatycznych powierzał. Być może cokolwiek w tém przesady, lecz to jest pewnem, że piękna lady, czy dla tego, że miała sposobność dobrze poznać ludzi i obrzydzić sobie fałsz obleczony w sukienkę pięknych pozorów, czy że równie jak wielu jej rodaków podlegała napadom splenu—dość, że będąc panią swęj woli, spieniężyła znaczną część fortuny, i jednego pięknego poranku pożegnała rodziną wyspę, z mocnym postanowieniem niewracania do niej nigdy. Świat europejski, a mianowicie angielski, miał zapewne coś odpychającego dla tych wyższych duchów, co ani się z nim zgodzić, ani w nim zmieścić się nie mogły. Oryent—tajemniczy Oryent, ziemia wielkich tradycyj rodu

ludzkiego, przyciągała wtedy umysły, którym za ciasno było w organizmie zdemoralizowanych i zmateryalizowanych społeczeństw....

Lady Ester odbiła od mglistych brzegów swęj ojczyzny z zamiarem spodróżowania Wschodu. Na własnym okręcie zwiedziła Stambuł, brzegi Bosforu, klassyczną Grecyę, gdzie się z nią spotkał poetyczny lord Byron, przejęty podobnie jak ona wstrętem do Anglii. Spotkanie się przypadkowe zaszło w miejscu historyczném—u przyładka Sunium. Poeta, z towarzyszem swoim lordem Sligiem, kąpał się i pływał po zatoce, gdzie na kotwicy stał okręt lady Estery, kiedy ona rysowała w albumie widok przyładka Platona... Znajomość prędko się zawiązała między temi dwoma pokrewnemi geniuszami. Byron czuł się olśnionym rozmową tęg niepospolitęg kobiety, mająceg w sobie coś biblijnego, coś przekraczającego zwykłe rozmiary córek Albionu, dla których mało miał sympatyi. Ona w głębokiem i melancholiczném spojrzeniu tego pięknego młodziana czytała wyższość rassy przeznaczonęg do wielkich czynów i przedsięwzięć.

Lady, nieprzypuszczająca do swego towarzystwa żadnego z rodaków i nie lubiąca nawet o nich mówić, po wielu latach z uniesieniem wspominała o tęg przelotném spotkaniu się ze śpiewakiem Czajd-Harolda u przyładka Sunium...

Podróż jég po Oryencie wiodła ją w miejsca upamiętnione historyczną tradycją. Objechawszy Grecyę, wyspy Archipelagu, brzegi Syrii, Palestynę, Egipt, zatrzymała się dłużej w Kairze, gdzie Mehmed-Ali basza przyjmował ją ze wszelkiemi honorami, przesadzał się w gościnnej uprzejmości, a pospółstwo, uderzone jég wspaniałą postacią, ujęte hojnością, jednogłośnie dało jég przydomek: *Malek* (anioł), który przy niég pozostał do śmierci. Na pustyni znana była tylko pod tęg mianem. Z Egiptu pojechała do Damaszku, gdzie zabawiła parę miesięcy. Basza przeznaczył jég na mieszkanie przepyszny pałac, oddał na jég wyłączne usługi jedną z najpiękniejszych łaźni; pierwsze miejskie matadory współubiegały się z baszą, aby uprzyjemnić jég pobyt w tęg mieście. Dzień w dzień wyprawiano dla niég kies nowe widowisko, gonitwy konne, igrzyska z dziiry-

tem, łowy, kalwakaty — a do tego obdarowywano cennymi kohejlanami. Z Damaszku udała się Estera do Hoemsu (starożytna Emessa), gdzie dom swój ofiarował jej Moallem-Skander. Ponieważ to miasto przypiera do pustyni, przyjechał do niej w odwiedziny Mehaunach Abu-Nasser, emir i szejik trybutu Anazech Ahsenech w towarzystwie dwóch synów: Nassera i Faresa. Trybut ich leżał wtedy taborem w Tedmorze (w Palmirze). Emirowie zaprosili więc Esterę, aby raczyła zwiedzić ruiny Palmiry, a oraz ich obóz. Była to aż nadto powabna propozycja, nie godziło się jej odrzucić. Jakoż lady z orszakiem swoim i emirami wybrała się na pustynię. O pół mili od Hoemsu czekało ją kilka tysięcy Beduinów na koniach, i ci towarzyszyli jej przez całą długą podróż i z tryumfem wprowadzili do Tedmoru. Sława Estery Malek poprzedziła ją na pustyni, a nie o wiele szło; aby dwaj młodzi synowie emira, Nasser i Fares, nie poprzysięgli sobie wiecznej zemsty, z powodu, że tak jeden jak drugi chciał koniecznie jechać koło niej. Klótnię tę załagodziła Estera w ten sposób, że raz jednemu, raz drugiemu pozwalała jechać przy sobie, po prawym boku, albowiem lewa strona, jako honorowa, zajęta była przez ich ojca. Oglądanie wspaniałych ruin zajęło Esterze kilka dni—poczem, tym samym porządkiem odprowadzono ją do Hamahu (starożytna Apamea), a Beduini wrócili na pustynię, zachwyceni tą nadzwyczajną istotą, którą przyjęli do swego trybutu przez sojusz chleba i soli. Mylne zatem utrzymało się podanie, jakoby Beduini mieli ją ogłosić królową Palmiry. Czczy ten tytuł obcy jest ich wyobrażeniom.

Znużona Estera tą męczącą wycieczką, zbliżyła się do brzegów morza i wytechnęła jakiś czas w Akkehu (Akra) gdzie basza Sulejman był dla niej z uprzedzającą gościnnością, tak dalece, że prosił jej, aby przyjęła na stałe mieszkanie opuszczony klasztor maronicki Mar Elia. Ofiara ta dogadzała upodobaniu Estery, która nie mając zamiaru wrócić do Europy, chciała się osiedlić w uroczyść tej okolicy. Jakoż swoim kosztem dała wyrestaurować te mury, i obrała je sobie na mieszkanie czasu zimy. Klasztor ten leży o pół milki od Saidy, już w górach. Basza nie poprze-

stał na tém i kazał przysposobić dla niej na letni pobyt kaplicę Santona, odległą o 14 godzin drogi od Saidy, leżącą w skałach Nebaty.

Nasz farysujący emir stał się dobrze znanym i głośnym na pustyni, gdzie już był jakby u siebie, gdy w interesie wysyłki koni do Europy znalazł się w Saidzie, i ztamtąd, że już miał blisko, postanowił odwiedzić tę nadzwyczajną kobietę, o której tyle słyszał pomiędzy Beduinami, wychwalającymi jej szczodroblivość i szlachetność serca.

W Saidzie, gdzie ją dobrze znano, ostrzeżono go, że wstępny bojem nie nie wskóra; albowiem Estera Malek nie przyjmuje nikogo, a najmniej Europejczyków, że wprzód trzeba zgłosić się do niej listownie, aby na ten zaszczyt otrzymać zezwolenie. Zżymał się na to emir nieprzywykły do podobnych trudności, lecz w końcu napisał list do niej, i wyprawił do jej letniej rezydencji w skałach Nabaty.

Oto próbka oryentalnego stylu epistolarnego:

„Szlachetna Estero! pokój z tobą!

„Emir Tadz-el-Faher Abd-el-Niszan, najdumniejszy i najwolniejszy z Beduinów pustyni Neżu, skłoniony prośbami Arabów, przebiega teraz brzegi morza i zwiedza ten ostatni kraniec, który go oddziela od ukochanej ojczyzny i od wszystkiego co umiłował w życiu. Zbliżyło go to do miejsc zamieszkiwanych przez Ciebie. Gdyby pochwały dawane Ci obły się o jego uszy w pałacach magnatów, byłby je przypisał albo wyższości twojej, co wszystkich podbija, albo admiracyi, jaką wzbudzasz, i przeszedłby nie spojrzawszy. Lecz kiedy dzieci natury wzruszone są twojemi cnotami, porwane wielkością, dobrodziejstwami przykute, to już mi wystarcza, abym pragnął Cię poznać. Nigdzie indziej tylko w pustyni Neżu nauczyłem się ciebie poważać. Głos czystego człowieka, wychowanego na wolności, zapalił we mnie żądze zbliżenia się do Ciebie Estero! Długo ociągałem się, lecz nie z inną przyczyny, tylko żem pragnął aby moje imię przedarło się do Ciebie, a czyny wojenne zaleciły mię przed tobą. I tak się stało. Hołd mój Estero! nie może Ci być obojętny. Żegnam Cię i oczekuję odpo-

wiedzi, która mię znajdzie z moimi Beduinami przy fontannie w Saidzie."

Na ten list, nieco odmienny formą od tego, który Lamartine pisał do Estery z prośbą o audyencyę, acz zawsze w podobnym sensie — przyszła odpowiedź.

Mam przed sobą własnoręczne jęj pismo, nawet z adresową kopertą, starannie dochowane, które tak brzmi w polskim przekładzie:

„Panie hrabio! *)

„Wierzę Ci, żeś bardzo zacny Beduin, a chociaż nie jestem w możności ocenić wszystkich Twych cnót, o *jednej* przynajmniej wiem, że ją posiadasz. Wonne zefiry pustyni uwiadomiły mię o różnych sprawkach, które zaszczyt przynoszą Twojej ludzkości. To już zjednało Ci mój szacunek, i nie mogłabym sobie odmówić zabrania z Tobą znajomości, aczkolwiek tylko co wyszłam z choroby i nędznie się mieszcę w Santonie tureckim, dla tego nie mogę Ci nie lepszego ofiarować prócz lichego namiotu. Ufna, że Cię to nie odstraszy, oczekuję we środę.

*) Przytaczam oryginał francuzki z zachowaniem pisowni:

Monsieur le Comte.

„*Je vous crois un très digne Beduin; quoique je ne suis pas encore en état de juger de toutes Vos vertus, une du moins ne m'est pas inconnue. Les Zephirs parfumés du Desert, m'ont rapporté des traits qui font honneur à Votre humanité. Déjà je Vous estime, et je ne puis me refuser le plaisir de faire Votre connaissance, quoique j'ai été très malade, et je le suis même encore. Miserablement logé dans un Sainton Turc, je ne pourrai Vous offrir qu'un mauvais tente pour habitation; et je Vous attendrai mercredi, esperant que Vous n'êtes point difficile.*

Comme Vous aimez les chevaux, peut-être il Vous sera agréable de voir trois poulins que j'ai à Abra, le mardi. Le cheval a deux ans, la jumont pas deux ans encore, et la petite neuf mois. Un homme qui me

„Jako miłośnik koni, może znajdziesz przyjemność zobaczyć we wtorek moje trzy żrebce, które mam w Abrze; jest między nimi ogierek dwuletni, klacz w drugim roku, a żrebiątko w dziewiątym miesiącu. Jeżeli zechcesz, służący mój Antoni Bertrand w Saidzie, ma już polecenie zaprowadzić Cię tam.

„Ludwik Marron, stary mój drogman znajdujący się w tej chwili w mieście, wręczy ci ten list, a oraz służyć ci będzie za przewodnika w drodze do mnie, albo wynajdzie zastępcę; po tych bowiem wertepach niemożna się puszczać samemu.

„Ze względu na charakter nieznosny żony konsula, powinienś mieć się na ostrożności, chyba że rozmawiać będziecie tylko o deszczu lub pogodzie. Wybacz, że śmiem dawać rady, ale ta kobieta sili się robić na złość każdemu.

serve, nommé Antoine Bertrand à Seyde, à l'ordre de Vous conduire, si cela Vous fait plaisir. Louis Marron mon ancien drogman, qui est en ville dans ce moment, Vous présentera cette lettre, il Vous accompagnera ici, ou il Vous fournira un guide trop nécessaire dans ces mauvaises routes.

La caractere de la femme odieuse du Consul doit vous rendre muet sur tout les sujets, que la pluie et le beau temps. Pardonnez ces conseils; mais elle ne cherche que de faire du mal à tous le monde. Croyez Mr. le Comte dans les sentiments de respect que je porte à tout homme indépendant et agréez ceux de mon estime.

Hester Lucy Stanhope.

Du Nebi de Ali El Faher.

Dimanche le 20, 3 heures après midi.

„Le Musalem de Seyde a quelques assez beaux chevaux; c'est un bon homme, et comme Vous savez, ce ne sera pas mal de lui faire un visite sans ceremonie, pour voir ses chevaux.”

Adres: A. Monsieur le Comte Breuski (sic) à Seyde.

„Bądź przekonany, panie hrabio, o szacunku jakim przejęta jestem dla każdego, co umie być *niepodległym* i t. d.

„Hester Lucy Stanhope.

„P. S. Musselim Saidy ma kilka dosyć pięknych koni; dobre to człowieczysko, — więc nieźlebyś zrobił oddając mu wizytę bez ceremonii, aby widzieć jego konie.” —

Gdy porównamy list emira z odpowiedzią lady Estery, uderzy pewna sprzeczność w liście téj ostatniój; nie mówi bowiem nic o jego głośnych wojennych czynach, tylko że okazał się ludzkim. Następnie pisze mu o rzeczach, o których nie ma wzmianki w jego szumnój epistole — co byłoby niepodobieństwem, gdyby pierwszy raz korespondowali z sobą.

A zatem wynika z téj niedokładności, że emir inny list napisał, lecz nie mając go w kopii, nowy z pamięci ułożył, i zamieścił w zbiorze swych listów do lady Estery.

Można często go pochwycić na tych wybrykach orientalnój fantazyi, zwłaszcza tam, gdzie się zdradza stylem „*wybujałych fluktów*,” przeciwnie, gdzie prosto i jasno coś opowiada, można być pewniejszym, że swoją rzecz wystawia jak była.

Dość, że kiedy go doszła niecierpliwie oczekiwana odpowiedź Estery, zaraz dosiadł — jak mówi — swój ulubionój klaczy Muftaszary, i wspinając się po górach, wijąc nad przepaściami, dał wytehnąć koniom przy studni, w polowie napełnionej trupami pomordowanych przez Metualisów. Ludzie Estery podali mu kawę i nargileh. Pił i ćmił lulkę, a mało mówił. W końcu wstał, i rzekłszy: *Ja-Allah!* wskoczył na koń i we trzy godziny stanął we wsi Nabatyj.

Znowu zatrzymano się koło jakiegoś domu; podano mu kawę i lulkę, a on patrzył na wierzchołek Santona, gdzie był cel jego podróży, i rad był lecieć tam na skrzydłach. Atoli służba robiła mu takie honory, iż rad nierad musiał się im poddać; obyczaj bowiem nie pozwala okazywać najmniejszej niecierpliwości. Wypocząwszy po drugi raz, dosiedli rumaków, i przeleciawszy równinę półtoragodzinną, zaczęli wdzierać się na stromą górę, po kamieniach i krzakach trudnych do przebycia nawet dla zwinnych kóz.

Gdy już wdarli się na szczyt, emir obyczajem beduińskim, trzykroć zapukał drzewcem kopii w bramę. Otworzyła, a po zwykłych powitaniach, stary Haunach, marszałek dworu Estery, ucałował płaszcz emira, i prosił go, żeby wszedł do przygotowanego dla niego namiotu, oddalonego o dwieście kroków od mieszkania Estery.

Służba wzięła emira pod pachy, i posadziła na kobiercu rozciągniętym na ziemi; jeden ze sług przyniósł miednicę i mył mu nogi; drugi zdjął mu z głowy beduińską kiefieh i mył mu głowę; trzeci ukląkł przed nim i podał miednicę z wodą; a gość mydląc ręce i brodę, mruzczał pod nosem jakieś pobożne formułki... Po odprawieniu tej ceremonii oczyszczenia się, wszedł Haunach i oświadczył, że pani oczekuje gości.

Emir chcąc zrobić przyjemność Esterze, poszedł do niej bosemi nogami, aby się jęj przedstawić w charakterze prawdziwego syna pustyni.

„Kiedy wstępowałem w próg jęj mieszkania — powiada on — lubom przywykł do obcowania z monarchami i innemi wielkościami, jednakowoż czułem się zmieszany i wzruszony na widok tej istoty czczonej jak bóstwo na pustyni.”

Estera przyjęła go stojąc na dywanie (sofie) wzniesionym na pół stopy nad podłogą. Emir powitał ją po beduińsku dwoma palcami, a nie zapominając o własnej godności, wstał na dywan naprzeciw Estery, i tak postawszy chwilę usiadł, ona dwiema sekundami pierwiej, on po niej.

Zabawna rzecz, że emir, który zawsze wyrzekał na przymus, jakim cywilizowane społeczeństwo krępuje wolnego człowieka, nie tylko nie mówi na te śmieszne ceremonie orientalne, lecz z pewną lubością rozwodzi się nad niemi.

Jest to jedna z wielu niekonsekwencyj fantasty i ekscentryka.

Estera miała tego dnia na sobie — jak zauważył emir — białą płaszcz emiralny, który jęj przywiózł był z pielgrzymki do świętej Kaaby emir Tedmoru Mehaunah Abu-Nasser, wielki jęj przyjaciel. Kiefieh beduińska w żółte i zielone pasy, opięta białym turbanem, zdobiła jęj głowę.

Zwykle chodzi w męzkim ubraniu. Wzrostu słusznego, kształtnej kibici, łączy powagę majestatyczną z wdziękiem niewieścim. Spojrzenie ma słodkie, lecz wzbudzające uszanowanie; głos stanowczy, lecz miły dla ucha. Mgła melancholii powleka śliczne błękitne oczy, łyskające ilekroć się zapali ogniem geniuszu i namiętności. Prowadzi rozmowę zawsze na seryo, a mimo tego powabna jest i zajmująca.

Taką znalazł ją emir przy pierwszém poznaniu się, i nie zmienił tego wizerunku później, gdy ją bliżej poznał.

Po zwykłych nie nieznaczących komplementach powitania, przyniesiono kawę i nargileh.

Ester przez grzeczność paliła z nim razem. Z początku panowała między nimi pewna oziębłość ceremonialna, pochodząca, jak mówi emir „ze wzajemnego podziwu.”

Dopiero gdy lady spytała go, z jakiego jest narodu? gdzie jego rodzinne strony?—odpowiedział: „Uważałem, że mię wzięłaś za Rossyanina; ale tak nie jest; Polakiem jestem, synem nieszczęśliwej ojczyzny, którą wymazano z liczby żyjących narodów. Nie mam nikogo na świecie; tułacz i wygnaniec przyszedłem pośród wolnego ludu używać tej wolności, którą ojczyźnie mojej odjęto.”

Powiedział to z zapalem i wzruszeniem. Odtąd stopniały lody, etykieta ustąpiła miejsca serdecznemu zetknięciu się dwóch dusz, które tak przystały do siebie, jakby je kilkunastoletnia łączyła zażyłość.

Emir za tę pierwszą bytnością bawił u niej dwadzieścia cztery godziny, za drugą tyleż, za trzecią dni 17-cie.

Posłuchajmyż jego opisu tej romantycznej pustelni, dokąd Estera chroni się w skwarne miesiące lata.

„Na jednym z najwyższych wierzchołków Libanu jest budynek z ciosowego kamienia z kopułką, złożony z dwóch izb. Jedna służy za sypialnię, druga mieści grobowiec tureckiego Santona, do którego okoliczni mieszkańcy mieli nabożeństwo jak do świętego. Otoż ta ostatnia izba jest bawialnym pokojem Estery, gdzie gości swoich przyjmuje. Ciasne to mieszkanko dokoła otacza mur.

„W pobliżu stoją rozbite namioty dla służby i koni; a dalej w rozwalonych murach jest kuchnia i stajnia. Ulubione tylko rumaki umieszczono pod namiotami. Między

domkiem Estery a owemi zwaliskami rozbito dla mnie okrągły namiot. Nie masz nic wspanialszego nad widok, jakiego się używa ze szczytu Santonu. Od wschodu ciągnie się głęboka i rozkoszna dolina skropiona Bekwą, co oplókawszy ruiny Balbeku i skaliste podnoże zamku Szkif, przerzyna się przez łańcuch Libanu i wpada w morze w pobliżu miasta Sur, gdzie zmienia nazwę na Kwazmiech. Grzbiety Antilibanu zasłaniają leżące za nimi miasteczko Hasbaye, z kąd w godzinach zwoluwania na modlitwę dolatuje z minaretów przeciągły głos muezina. Od południa widzisz czarne i wspaniałe zwaliska Szkifu, miejsca znanego z czasów wypraw krzyżowych. Pomiędzy tym zamkiem a siedzibą Estery wije się dość szeroki parów łączący się z doliną Bekwy, na którego początku leży wieś Nabatya, niegdyś stolica ludu Nabatejskiego, jak głosi podanie. Od północy dzikie skały piętrzą się nawalone jedne na drugie; przerażający obraz wstrząśnień natury! Zwracając się ku zachodowi, widzisz góry Libanu, jak się coraz zniżają aż do brzegów Śródziemnego morza, którego błękity miesza się z lazurówem niebem.

„Taką to ustron wybrała sobie Ester na przytułek. Jedyne miejsce do dumań nad znikomością świata! Zabłąkany tu podróżny, choćby dał porwać się marzeniom rozbudzonym przez te szerokie horyzonty, rad nierad musi się z nimi pożegnać, gdy mu się objawi ta nadzwyczajna niewiasta, która wzgardziła błyskotkami światowości, krepującą ją swemi wymaganiami, aby na tój pustelni żyć wolną. Jest ona marzeniem, które przeszło w rzeczywistość; a to dość już powiada. Nie sądzymy jednak, żeby Estera zamknęła się w tym zakęcie z egoizmu pychy — bynajmniej; bo nawet tu poświęcenie się jój znalazło dla siebie pole. Każdy nieszczęśliwy, lub prześladowany znachodzi u niej opiekę. Widziano, jak rodzin zapowietrzonych, opuszczonych od wszystkich, ona jedna nie odstępowała; owszem dowiadywała się o dotkniętych powietrzem i sama pielegnowała ich. W skutek tego przebyła ciężką chorobę, i od tój chwili pogorszył się jój stan zdrowia; piętno chorobliwej bladeści osiadło na jój obliczu. Dusza to prawdziwie meżka. W najniebezpieczniejszych chwilach nie

traci przytomności i odwagi. Opowiadają o niej, że kiedy płynęła do Egiptu, okręt jój napadła burza; majtkowie jak obłąkani biegali po pokładzie, kapitan stracił głowę, a ona jedna kierowała środkami ratunku. Trzeba było wypróżnić okręt zbyt przeładowany, lecz nikt się nie brał do tego — cóż robi Ester? Oto wynosi swoją szkatułkę pełną najcenniejszych pereł i klejnotów, a otworzywszy ją, powiada: „Idźcie za moim przykładem!”—i ciska ją w morze. Ten rozkaz poparty ofiarą tak kosztownej własności, nie wstrzymuje już od poświęcenia ładunku... Okręt podniósł się i szczęśliwie dobił do portu. Estera wyratowała go.”

Emir za drugim, a zwłaszcza za trzecim pobylem w jój domu, który się do trzech tygodni przedłużył, wyświadał się przed nią ze wszystkich swoich tajemnych myśli, i całą historię swego życia opowiedział. Wieczór i część nocy schodziła im na pogadankach; we dnie ona przychodziła do jego namiotu i bawiła godzinę lub dwie. Niekiedy siadała pod figowem drzewem i kazała wyprowadzić konie, których emir dosiadał. Zresztą emir miał cały dzień wolny i mógł z sobą robić co mu się podobało. Zapewne przykrzyło mu się beczynnienie dni trawić w namiocie, i wzięła go chętka wylewać nawał tłoczących się myśli i uczuć na papier. Tym sposobem znalazło się kilka listów pisanych pod namiotem, które były jakby dopełnieniem tego, czego nie objęła rozmowa.

Ponieważ dla czytelnika byłaby zbyt nużąca ta sentymentalna metafizyka, jaką emir w listach swoich wyklada, postanowiłem dać tylko niektóre z nich ustępy, zwłaszcza te, co w mniej rozmazanych i mglistych rysach malują stan jego umysłu i serca.

Oto początek jednej z tych korespondencyj:

„Zacna Estero! tylko co odebrałem twój bilecik. Oddał mi go Haunach, mameluk napoleoński. Lubo nas rozdziela tylko paręset kroków, ależ dopiero o 4-tę mam cię widzieć! Mogłbym sam zanieść ci moją odpowiedź, lecz wolę ją przesłać na piśmie. Głos twój nie przerywa toku mych myśli; przeciwnie, w poufnej pogadance serce twoje i wyobraźnia nasuwa ci tysiące pytań, któremi mię zarzucasz...

„..Tak jest, Estero! wyznałem ci, i teraz wyznaję, że jestem ofiarą najgwałtowniejszej namiętności. Gdybyś знаła przedmiot moich męczarni, natenczas te brwi zmarszczone, ten wyraz twarzy zdradzający melancholię, ta zmienność humoru, szalona porywczosć, — słowem wszystko co cię tak razi w mojej osobie, i cobyś chciała odmienić—byłoby w oczach twoich uniewinnione; i zamiast chcieć mię pocieszać, zamiast odwoływać się do mego rozsądku, żeby zapalił nad sercem—mówiłabyś mi o niej i tylko o niej,—ogniem zgasiłabyś pożar. Przyznaję, że masz dar pocieszania; czułość twoja trafia do zbyt czulego serca. Lecz w tym stanie w jakim jestem, pociecha staje się trucizną, rozrywka prześladowaniem. Wymagasz, abym jedną namiętność zwalczył inną namiętnością. Lubię rzucać się w niebezpieczeństwa; odwaga moja ci znana... Z twojej to namowy śpiewacy z trybutu Kowallah przyszli mię witać u stop Antilibanu, i w swoich *herubieh* złożonych na cześć moją, śpiewali, że cała pustynia brzmi mojem imieniem, a dziewice Neźdu poglądają w dal tęskném okiem, czy nie wraca już emir północny, niewolnik *znaku*, współzawodnik *Antara*? Śpiewali oni, jak piękne Beduinki zazdrościły tój, którą wyraża *znak* wyrity na kolumnie Tedmoru, powtarzając zwrotkę: „Przybywaj do nas emirze, pycho naszych trybutów; Szaalan cię zaprasza, a dzielni mołojce czekają na ciebie. Rozproszony Wehabi podniesie głowę!” (*) Im się zdawało, że opiewali bohatera pustyni, a to był tylko

(*) W powyższym liście przytacza emir zwrotkę arabskiej pieśni ułożonej na jego cześć. Otoż w pozostałych po nim urywkach znalazłem cały ten poemat, razem z jego odpowiedzią. Jedno i drugie trzymane w kolorycie miejscowym ogłasza czytelnika tak szumnemi słowami, jak hałas janczarskiej muzyki—jest to poczyta słów, nie zaś myśli. Dla tego te tylko strofy z jednego i drugiego poematu przytaczam, w których maluje się nasz emir, w stylu arabskim...

„Nosisz przy sercu zawieszony na łańcuszku ze szczerzego złota Jemenu, amulet, w którym zamknięta śliczna jej czarna ręka, a sam skarżysz się, że twoja rana zgoić się nie może. Lew z krainy Zor ryczy z bólu, dopóki grot tkwi w zadanėj mu ranie. Czarowny wzrok twojej kochanki nie jestże tym grotem, a ręka jej nie jestże strzałą

nieszczęśliwy wygnaniec. Ich pochwały nie ściągały się do mnie. Nic mię to nie rozezulało; owszem, boleśnie ranili moje serce, budząc w niēm tylko gwałtowniejszy żal po tēj, którą właściwie wielbili w pieśni. Dla niēj bowiem i dla niēj jednēj znoszę to wygnanie. Dla niēj napełniam tę krainę nicości mojem rycerskiēm cierpieniem. Odgadują

zadającą nienleczoną ranę? Wróc emirze, wróc! Pustynia Neżdu brzmi twēm imieniem. Dziewice trybutów patrzą w dal pięknemi oczyma, czy nie ujrzą wracającego emira, niewolnika znaku. Wróc emirze, wróc ozdobo naszych namiotów. Rozproszony Wehabi podniesie głowę. Szaalan cię zaprasza, a dzielni mołojce czekają na ciebie..

„...Abla panowała nad sercem Antara; ona panuje nad twojem emirze! Antar był najodważniejszym; tyś najwaleczniejszym z ludzi Antar i Tadz-el-Faher—to jedno i to samo. Abla była najdoskonalszą istotą; ona niezrównana kobietą. Abla i ona — to jedno i t. d.

„...Na ognistym rumaku Neżdu, stajesz emirze do boju... Białý to rumak, starożytnēj krwi, do bitwy rwie się. To koń Seifa, a ty nosisz jego imię. Białość Segławi bielsza od śniegu, a mleko żółknie przy jego srebrnēj sierści; za to grzywa jego czarna jak cień nocy, ogon jak najczarniejszy heban, a oczy iskrzą się ponurym łyskiem czarnego dyamentu...

„...Sławna Muftaszara niesie cię na swym grzbiecie jak na tronie sławy. Strzemiona tve ściskają bogactwo rycerza; piętami ściskasz potomka Meseuneha Wehabi; gdy przyjdzie na świat żrebiec, nazwiēj go Nejmel-faher (gwiazda sławy), jeżeli klaez, nazwiēj ją Gulgun. Na zwyciężkiēj twēj kopii powiewają trzy wstęgi koloru krwi, i czarne pióra strusia Tedmoru. Straszny chorasan twēj dzidy błyska wśród żałobnych piór, podobnie jak twoja rozpacz łyska w łonie ponurego smutku i t. d.

...„Iskrzący miecz Dhami uzbroił niezłomne ramię Antara, a ty od syna Szaalana, księcia Beduinów Rowallach, dostałeś pyszny miecz ukuty jego ręką, w nagrodę, gdy podobny jastrzębiowi pierwszy rzuciłeś się z kopią na karawanę bagdadzką. Łup przypadający na ciebie rozdzieliłeś między Arabów, a oni wywdzięczając się, ofiarowali ci ten miecz ze stali jak dyament twardej. a wydającēj dźwięk zwycięzki. Odtąd miecz ten niech się nazywa Dhami, a jak w rękę Antara każdym zadany ciosiem słaWił piękną Ablę, tak w twoich rękę niech roznosi sławę twēj ukochanej — i t. d.

...„Nauczyłeś Arabów Fedanów jak strzedz taboru, aby uniknąć napadu. Jedno pchnięcie kopią nazwano twojem imieniem. Rozmowy twoje ze starym Duszim, Temmurem, Hamdanem i Halluszem o sławie, o bitwach, o jedności trybutów, obły się o uszy Beduinów — i trzydzieści trzy pokolenia zapomniały o swoich nienawiściach; krewina nie podniecała już do zemsty synów Neżdu i t. d.

to przeczuciem sami Arabowie; a w ich pieśniach poznałem twoją Estero pieczołowitość o mnie. Chciałaś, żebym rozgorzał namiętnością sławy; a tym sposobem przeciwstawiłaś namiętność gwałtowną namiętności wszechwładnej. Dzięki ci i za to; ale gdzież znaleźć taką namiętność, któraby mogła pokonać tę, co mię pożera?... Przyjaźń, gdyby

„Antar zwykł mawiać: Ablo! tyś najpierwszą potrzebą wój duszy; szukam walk na to, aby się dobić twój ręki. A ty Abd-el-Niszanie powtarzasz za nim: „O moja ukochana! jedyne pragnienie mego serca szukam bitew, żeby zjednać cześć dla twego znaku...”“

„Żał ci po tem, czego posiąść nie możesz, i dni twoje marnieją w żałobie. Nielepięjże wybrać sobie towarzyszkę w naszym trybucie? Dziewice nasze świeższe niż zorza zwiastunka dnia pięknego; ich wdzięk więcej upaja niż woń hyacyntów. Miza ozdoba Neżdu, a Milha perła dziewic. Córka Abd-el-Aziza, słodka, świetna i kocha bohaterów. Żale utop w nowej miłości, a szczęście wróci do ciebie...”

„Chyła się kopie nasze przed twoim znakiem wrytym na kolumnie Tedmoru i na rękach dwustu Arabów. Znak to mistyczny. Wytlómaczyłeś jego znaczenie Magom Assudu i Hebeszu zbierającym się co trzy lata w pieczarze Libanu, kiedy cię przypuścili do swojej rady. I poznali oni prawdę znaku. W górę podnoszą się kopie na obronę jedności Boga i Wehaba. Zginą niewolnicy Ibrahima. Abdel-el-Aziz stoi w górach Jemammii, a z nim jego waleczna córka z dziewczynami trybutu Beni-temin. Wróc emirze, wróc. Pustynia Neżdu brzmi twojem imieniem i t. d.“

Na to wezwanie poetyczne, jest i odpowiedź Emira Tadz-el-Faher, w tymże sensie zapalającym Wehabitów do powstania. Na wstępie powiada im, że już spuszcza się z góry, na której przebywał, a dalej mówi o sobie: „Jestem Seif, Magowie tak obwieścili; rumak mój biały, grzywa jego i ogon czarne jak rozpacz pobitych wrogów...”

„Miasto święte (Mekka) było już w mocy naszej... Pielgrzym pozbawiony był świętego widoku Beit-allah. Wasze zwyciężkie kopie, nastawione w obronie jedności Boga, zrzuciły to. Lecz Ibrahim (syn Alego baszy w wyprawie przeciw Wehabitom) stał się panem Kaaby — Dzidda i Medyna są wolne. Pióra waszych kopij nie okrywają ich swoim cieniem. A bogate łupy zabrane z grobu, stały się ozdobą Dre-aięh; trzeba było nimi wzgardzić i oddać ziemi... Synowie Neżdu do broni! Bóg z nami!...

„Miza jest puszczy ozdobą, Milha perłą dziewic, Bent-el-Wehab — to jak sława; a miłość — to jak pożerający płomień. Słownik śpiewa rozkochany w róży zdobiącej dolinę Metmalmah; kwiaty wonią oddają cześć królowej kwiatów... Lecz Tadz-el-Faher nie zna innych śpiewów

chciała zagoić tę ranę, nie zagoiłaby jej nigdy. Wszystko jest bezsilne. Raczej mów mi o niej, mów bez ustanku — a to jedyny sposób uspokojenia mię. Bez ojczyzny, bez niej, nie chciałem abym dobijał się mój niepodległości...

„Wymawiasz mi, i jeszcze wymawiałaś mi wczoraj mój drapieżny wyraz twarzy. Żem niebardzo ujmujący, przyznaję. Gniewa cię moja porywczosć — i słusznie. Często chwytam cię za rękę, ściskam gwałtownie, wstrząsam nią nawet. Nie drapieżność to piętnuje się na mojej twarzy, lecz cierpienie, a często i rozpacz. Przypomnij sobie bitwę, którą stoczyłem na ostre w trybucie Welad-Aly. Teraz wyznam ci, że chciałem zadać śmiertelne pchnięcie przeciwnikowi, myśląc że smutek mój potrafię utopić w zgryzotach sumienia. Niebo ulitowało się nade mną, i odwróciło grot kopii tak, że tylko drasnąłem przeciwnika; Arabowie wnieszali się i położyli koniec walce. I ten sam okrutnik, za jakiego uchodzę, ocalił życie starcowi z Erzerumu, przebaczył trzem fellahom, którym miał prawo łby postrzącać, i sam później oddał się w ich ręce. Ona jedna mogła mię natchnąć do tak szlachetnych postępków... Oby kiedyś doszło to do niej! Ale nigdy jej nie zobaczę: stałem się własnością Neżdu. Nie zobaczę ani miejsc rodzinnych, ani grobów mych przodków. Cóż mi pozostaje? chyba dać się zabić na pustyni!”

prócz okrzyku bitwy, innego kwiatu prócz swój kopii, innego schronienia prócz w grobie. Bezżeństwo prawem jego aż do dnia objawienia.

„Uchodź trwożliwa gazello, drzyj lwie krainy Zor. Niewolnik znaku idzie na pustynię... W trybutach grzmia pieśni wojenne... Niezlężeni Anazesowie dosiedli koni; posuwa się las oszczepów, idzie na Egipt.. Jedność Boga tryumf odniesie! i t. d.“

Otoż i próbka; nie mogę zaręczyć, czy ta tyrtejska oda została tylko na papierze, czy też krążyła po trybutach? Pokazuje się jednak, że Rzewuski marzył o roli Seifa, przepowiedzianego prorocstwem Omara, i gotów ją był wziąć na siebie — atoli jak wiemy, nie przyszło do tego... Widać, że to była tylko igraszka fantazyi... Powietrze pustyni nasuwa takie fata morgana. Zresztą nasz emir dał się zaskoczyć rewolucyjce w Halebie, zkad ledwie uniósł całą głowę, i to mogło cokolwiek zapał jego ostudzić...

W innym liście pisze, że jęj posyła portret swojej zagadkowej kochanki. Jaki portret? zapewne pisany, gdyż malowany, jak sam opowiedział, żeby się nie dostał w ręce rabusiów beduińskich, starł i kość słoniową pokruszył. Emir lubił pisane portrety. Otoż posyłając jęj ten dokument, powiada, że niczém go nie odwiedzie, aby jęj nie miał kochać przez całe życie, i dodaje: „Jestem jak obląkany; nie mogę usiedzieć na miejscu. Biegam od mego namiotu dō ukochanej skały, siadam na nięj, zdaje mi się że mi robi wyrzuty, i znowu ją porzucam i wracam do namiotu, sam nie wiem dokąd iść, co robić... Trzódka pasących się kóz otacza mię, a mały pastuszek śpi w cieniu skały... Jaka cisza i jaka burza! Pode mną przepaść; na dnie połyska srebrzysta fala Bekwy, zakręca się koło góry, i znika... Tak i dla mnie błyszczały szczęśliwe chwile przy jęj boku, i więcej już nie wrócą... Czemuż je przerwano? Przeklęty niech będzie ten, co *przesąd* wniósł między nas, i zniszczył szczęście moje! Droga Estero! każda przerwa w pasmie szczęścia, jest wyrokiem śmierci dla niego... Dwa serca kochające się powinny zdeptać te śmieszne europejskie *przesady*, co zabijają szczęście, a nie umacniają cnoty... Dla czegoż uległem *przesądowi*, który mię z nią rozłączył?... Zapewne dni jęj spokojnie płyną wśród rozrywek ubóztwiającego ją świata; o mnie, który ją tak czule kocham, może i nie wspomina... Charakter mój, różne okoliczności, a nawet te podróże, dziwiły wiele osób, które widzą w tém wszystko prócz tego, cobym chciał żeby widziano.”

Znaleźć nic przewodnią w tym dedalu strzelistych affektów, prawie jest niepodobieństwem. Zdawałoby się, że celem tęj gwałtownej namiętności była jakaś zameżna kobieta, która albo nie chciała męża porzucić, albo też, jeżeli była wolna, nie mogła przyjąć ofiary emira, który miał żonę. U niego to nazywało się „*przesądem*.”

Możnaby także dorozumiewać się z tych listów, że on, zrozpaczony kochanek, robiąc Esterę powiernicą najtajemniejszych myśli i uczuć i żądając od nięj pociechy, za nadto rozszerza jęj granice, i nareszcie decyduje się „oszukać własne serce, przez urzeczywistnienie wspomnień przeszłoś-

ci.” „Nieraz porywam twoją (Estery) dłoń, przyciskam do rozpalonych ust, to znowu leżąc u twoich nóg, rzucam słodkie przysięgi i zaklęcia, a ty ich słuchasz; albo czytam ci książkę, w której wszystko jakby natchnione przez ciebie, lub dyktowane przeze mnie, każdy wiersz maluje ciebie, a ja widzę się w każdej myśli. Wirgili myślał dla mnie, Delille myślał dla ciebie—dla czegoż Russo nie miałby pisać dla nas? Nadchodzi godzina muzyki; siadam obok ciebie, Achilles w napadzie miłosnym, oko czułością błyszczy... Patrząc w ciebie i olśniewa mnie blask sławy. Ojczyzna moja zemszczona przez ciebie; staję się jej wybawcą, a ty nagrodą moją... Śpiewam, a twój wdzięczny głos wtóruje mi. Kocham i nie tracę nadziei...”

A dalej po niezmiernie długiej tyradzie:

„Ester! nie jesteś dla mnie jak ten dyament Indyj, znaleziony szczęśliwym trafem, a którego dwanaście wieków daremnie szukano. Znam ja całą wartość twojej słodkiej przyjaźni. Tyś jedyny mój przytułek, bez ciebie grób tyłkoby mnie przytulił...”

„Słońce już stanęło nad wieżą ruiny. Z minaretów Hasbayi głos woła na modlitwę „asser.” Czemuż ty nie wołasz mnie do siebie? O dwie godziny cofnąłem chwilę naszego widzenia się... Ulituj się moich męczarni — przyzwieć mnie!”

Na to krótka odpowiedź:

„Kochany emirze! Żądałeś widzieć mnie później niż zwykle. Dziś nie możesz być u mnie. Zakazuję ci. — Estera.”

Lecz poniżej cztery litery francuzkie: T. S. V. P. — i przypisek na drugiej stronie:

„Nie przyjdiesz do mnie, zabroniłam ci; natomiast będę w twoim namiocie o 5 godzinie. Pogadamy o niej po przyjacielsku: ulegam twemu życzeniu; czekaj na mnie i bądź posłuszny rozkazowi. Oboje kochać ją będziemy, i to na zawsze...”

Mógłbym posadzić emira, że affekt dla swej idealnej kochanki przeniósł na ekscentryczną lady... gdyby nie je-

den przypisek, w którym mówi: „Estera, choć liczy 45 lat, umie wszystkiemu co robi nadać wdzięk niezrównany. Tego jednak nie trzeba drukować. Kobieta prędzej przebaczy najzjadliwszą potwarz, niż zdradzenie tajemnicy wieku. Z téj przyczyny królowe i księżniczki lubią albumy, lecz nie cierpią kalendarzy.” (Osobliwie *Almanachu de Gotha*).

Niepodobieństwem było wydobyć coś więcej z tego zagadkowego romansu, a i to co się wydobyło, nosi cechę gorączkowej fantazyi, niepodobnej jak wnoszę do rzeczywistego stosunku z milady, która, jak to widzieliśmy z pierwszego jej listu, dość trzeźwo zapatrywała się na naszego Beduina. Że zaś tu więcej idzie nam o niego niż o nią — rysy tu zebrane wyjaśniają charakter marzyciela na jawie, który każdą okoliczność, choć mu się ta przedstawia w najzwyczajniejszych warunkach, przenosi na pole poetycznych urojeń, podsuwa pod nią zagadki, tajemnice, i przybiera rolę „człowieka przeznaczeń.”

Zobaczmy tu jeszcze, w jaki sposób w jednym z listów do lady wystawia powody swego rozbratu z Europą i jej cywilizacją, podnosząc zarazem doskonałość społeczeństw azyatyckich, w czém możnaby go posądzić, że usprawiedliwia ekscentryczne zadąsanie się tak samęj Estery, jak swoje własne. W tym olimpijskim grymasie znać zwolennika marzeń genewskiego filozofa, a może tylko popisywania się niemi przed osobą, która także hołd im składała.

Posłuchajmyż téj apologii azyatyizmu:

„Nieobce mi są pałace królów, jak i chaty nędzarzy. Wielcy roztaczali przede mną swoje przepychy, które im dał przypadek urodzenia się w tym stanie i kaprys fortuny. Ubodzy, bardziej zbliżeni z naturą, lecz za to niewolnicy potrzeb do życia, widzą gdzie leży naturalna wolność człowieka, atoli nie śmieją się do niej zbliżyć. A tak jedni i drudzy będąc niewolnikami, tamci fortuny, ci niedostatku — zrodzili we mnie przykre uczucie wzgardy lub politowania. Trzeba mi było wznieść się po nad nich, aby duszę moją utrzymać w równowadze. Przyjaciół rozumnej

wolności, kochanek natury, szukałem ludzi wolnych i naturalnych. Ani jednych, ani drugich nie spotkałem, bo to, co się zowie cywilizacyą, zatarło do szczytu i wolność, i naturalność. W miejsce namiętności, które są bodźcami geniuszu, podstawiono przyzwoitości, targające węzły towarzyskie i obrzucające częstokroć śmiesznością to, co w zachowaniu się naturalnem miewa najwięcej woni i wdzięku, śmiesznością, która jak kwas saletrząny wyżera niespodzianie serca wybuchy. Zresztą nawyknięcia ludów zachodnich przybrały wszystkie jedno piętno. Dziedzina Franków stała się podobną do ogromnego gmachu, zbudowanego w jednym smaku, przez tego samego architekta — tak, że wielkie stolice wydają się jakby appartamenta głównej budowy. Płochy zbytek wyrzucił miliony, aby wziąć w kluby naturę nieregularną, lecz wdzięczną, i stworzył ogrody bez gustu i śmieszne wodospady. Niejeden buduar, jaskinia zbrodniczej rozkoszy, pochłonał takie summy, że setki rodzin miałyby gdzie mieszkać wygodnie i przyjemnie. Co mię najbardziej drażniło, nim jeszcze Zachód porzuciłem, a co mię teraz oburza, mnie świadka gościnności arabskiej, to owo szczelne zamykanie się w godzinach obiadu... Zgłodniały nędzarz może umrzeć pod progiem wykwintnej obfitości, a za nic nie będzie przypuszczony do stołu. A cóż może być komiczniejszego nad strój europejski? nie prawdaż Estero?... Ludzie głębsi, ci mianowicie, co pojęciami trafnymi lub błędnymi wyżej sięgają nad prawa, a nawet nad religię, ci sami, co w rozmowaniach zdają się uragać ziemi i niebu, nie bywają najpowolniejszymi służalcami głupiej mody, że niejeden z nich prędzej wyrzekłby się zasady niż błyszczącego guziczka! Co się kobiet tyczy, przychodzi zabawny koncept porównać je z antykiem, który one także lubią naśladować. Dyanna, Wenus wychodzące z kąpieli przedstawiają się nagie, dla tego, że jeszcze się nie ubrały, lecz widać po nich, że mają zamiar ukryć swoje wdzięki, tylko że będąc z marmuru, skazane są na wieki pozostać w tym pierwszym peryodzie wrodzonej wstydlivości. Nasze damy przeciwnie, ciągle rozbierają się. Niemniej pocieszny widok przedstawiało mi towarzystwo z mężczyzn i kobiet.

Pierwsi zastępowali brak myśli frazesami; drugie naturalność — minami i grymasami. Tamci silili się udawać myślicy; te ćwiczyły się w naiwności niewiniątek, zapominając, że swobodna natura improwizuje zarówno myśli, jak wdzięczną prostotę, a ten słodki uśmiech jakby przylepiony do ust nieraz ziejących jadłem, ze wszystkiego był mi najnieznośniejszym. Ty sama, Estero, zrobiłaś mi niegdyś z tego powodu uwagę — i odtąd nieszczerym uśmiechem najbardziej się brzydzę...

„Doznanych kilka niesprawiedliwości, nieprzyjemne położenie moje względem pana M... otoczonego najgorszymi ludźmi — obmierzyły mi Europę...

„...Sierota (?) — czułem w sobie zdolności, a nie wiedziałem gdzie ich użyć... Kampanię odbyłem świetnie; zaświadczenia moje, rapporta z pola bitew, rozkazy dzienne do armii, mogą dać pochlebne o mnie świadectwo... A przecież wśród gwizdu kul zawiść dosięgła mię swém żądłem... Kawendyszowi kula nogę urwała podemną, gdy go wypuszczał do ataku... Wypadek ten był niedobłą wróżbą... opowiadałem ci to Estero... Zresztą innych tyle okoliczności, znanych już tobie, przywiodło mię do opuszczenia Europy...

„Wiesz także mój postępек...

„...Pochwaliłaś mię, i to najcenniejsza dla mnie nagroda...

„...Zwróciłem oczy na Wschód, i natychmiast zdecydowałem się. Ameryka także mię wabiła; szerokie tam pole do czynów; — ale pomyślałem sobie — wszystko to jedno co i u nas, tylko na nowy grunt przeszczepione. Najwięcej podrażnił moją wyobraźnię***... a również nie będę tał przed tobą, że kiedyś wyczytał twe nazwisko w gazetach, stojące obok trybutów pustyni — wściekłość mię opanowała. „Jak to? — mówiłem — kobieta, jedna kobieta mogła porwać za sobą tych ludzi natury, wzbudzić ich entuzjazm dla siebie — a ja mam niższym być od niej? Albo to nadzwyczajny geniusz ta Estera, albo piekiel wysłaniec!” Te słowa powiedziałem twemu rodakowi, panu Neuville’owi, który rozwodził się z wielkimi pochwałami dla ciebie w obecności mego dziada księcia Adama Czarto-

ryskiego... Pojechałem na Wschód... a teraz gdy mam łatwość porównania tych dwóch części świata, wstręt mój do Europy wzmagą się z każdym dniem i t. d."

Z téj próbki łatwo pojąć, w jaki sposób przeprowadza ten proces między Zachodem a Wschodem. Jest to paradoksalna frazeologia, w której Azja a mianowicie pustynia odnosi tryumf konieczny nad cywillizowanym Zachodem. Co tylko robił i robi człowiek historyczny, wydaje się mu potwornem, naturze zaś przypisuje urok Syreny, doskonałość.

Każdy w ogóle poróżniony ze społeczeństwem tuli się do łona téj macierzy i wypowiada wojnę organizmom społecznym.

W tym przypadku był i nasz emir idący tu za swoim wzorem. Russo, mizantrop, uciekał od ludzi na skały Meillerie nad jeziorem Genewskiem, gdzie w postaci *St. Preux* marzył o Julii, albo puszczał się w łódce oddanej na wolę wiatru i prądu, aby śnić o swoich ideałach i wołać z namietnością kochanka: „O naturo, o matko moja, jesteśmy sami z sobą. Jakżem szczęśliwy!”

Russo, gdyby był miał za co, znalazłby sobie jaką Tebaidę w rodzaju Santona lady Stanhope, lub Neżdu emira; lecz że nie miał, robił eksperymenta na mniejszą skalę niż jego uczniowie; niemniej jednak dał hasło téj modzie... Oryginalność pomysłu jemu się należy...

Ale i szlachcic polski także niełada oryginał, żeby przebrać się za Beduina i z podżyłą Angielką odgrywać scenę z *Nowej Heloizy!*...

Pewnego dnia rzekła milady do emira... i to w bliźnich górach Libanu: *Allons à la Meillerie!*

Co to za szczęście, że nasz farys nie miał jakiego jowialisty staréj daty za świadka tych scen sentymentalnych! miałoby się sąsiedztwo Sawrania czém bawić na długie wieczory zimowe.

Najbardziej zajmującą przygodą naszego emira jest pobyt jego w Halebie w czasie wybuchlęj tam rewolucyi,

i długiego obłęzenia. Opisuje ją też szczegółowie w sposób prosty i jasny, co daje pewną rękojmię, że do powieści czysto obiektywnej nie mieszał się element fantastyczny, któremu aż nadto lubił hołdować... Tutaj szczęśliwym trafem poeta złożył pióro w rękę historyka tej wojny domowej.

„Przyjechałem był do Tedmoru—pisze on—z sześciuset Beduinami, po zabranie soli, aby połączyć się potem z główną siłą trybutu, który był w pochodzie na zimowe leże czy to do Jemmachu, czy do Mehzed-alego i Basrachu, nie wiem, gdyż droga, jaką trybut ma ciągnąć, nigdy nie jest wiadoma. Bawiłem już dwie doby w Palmirze, kiedy pod wieczór spostrzeżono ęmę konnych i mardufów, mającą należeć do trybutu Ibn-Heddał, jak zapewniali nasi Beduini wracający z podjazdu. Byli to w rzeczy samej ci nasi wrogowie w tak przemagającą liczbę, że niepodobna było ani mierzyć się z nimi, ani przerznąć się zręcznym manewrem. Pozostało więc cofnąć się najśpieszniej na terytorium halebskie.

„W mgnieniu oka dopadli Arabowie koni, sól powyrzasała z worków, i dalejże zmykać co koń wyskoczy. We dwie doby stanęliśmy w Dżebulu, przy słonych jeziorach, dla zaopatrzenia się w ten niezbędny artykuł. A że nasz trybut zostawał w przyjaznych stosunkach z Hurszydem, baszą Halebu, więc mogliśmy się zaopatrzyć bez trudności. Rozłożywszy się taborem, gdy jedna część trudniła się nabieraniem soli, niektórzy z Beduinów postanowili dotrzeć do Halebu, leżącego tylko o dwanaście godzin drogi, aby tam nakupić różnych towarów, jak keffie, szklane paciorki, bransolety, amulety i t. p. Że ich się zebrało ze sześćdziesiąt, i ja przyłączyłem się do nich, aby przy tej sposobności odwiedzić moich przyjaciół, a mianowicie wielkiego mego przyjaciela pana Van-Masseyk'a konsula hollenderskiego. Jadąc całą noc, o świcie byliśmy na przedmieściu zwanem Bankusa, gdzie mieszkał Hussein, faktor, plenipotent i szpieg Beduinów, albowiem nasi bracia z pustyni mają w każdym mieście takiego zaufanego człowieka, który im o wszystkim donosi. Hussein przyjął nas kawą i lulką, poczem zostawiając moich towarzyszy, którzy się rozbiegli po

mieście—udałem się do mego pałacu zwanego *Gulistanem*, gdzie miałem swoich ludzi, konie i rzeczy.”

Wiść o przybyciu emira gruchnęła po mieście, gdzie był znany i lubiony. Hurszyd basza przysłał zaraz do niego z zaproszeniem na jakąś zabawę, lecz emir podziękował i nie przyjął zaprosin; a gdy tak siedział w swoim mieszkaniu, nawiedził go stary Szerif, który usiadłszy obok niego, dał mu do zrozumienia, żeby kazał oddalić się służbie. Zostawszy we dwójkę, Szerif zaczął się unosić nad czynami emira na pustyni, potem coś natracił o Beduinach, coś o sekcie Wehabitów, a w końcu zaczął ubolewać nad dokuczliwością i okrucieństwem rządów tureckich, przeciw czemu emir bynajmniej nie protestował, lecz owszem potwierdzał, a tak po długim krążeniu zagabnął, żeby mu powiedział, jak się to robią rewolucye w jego kraju?

Emir na to: „Nasz padyszach północny Skander (Aleksander I), pan dobry i sprawiedliwy, kocha poddanych jak własne dzieci, nie pozwala robić im krzywdy, pamięta o tém, żeby im nigdy nie brakło wody, i dla tego w państwach jego nie bywa rewolucyi. Dobrze nam jest, więc nie potrzebujemy się buntować...”

Szerif przy pożegnaniu jeszcze raz najuroczyściej zapewniał go, że mieszkańcy Halebu są w najlepszej zgodzie z trybutami pustyni, i że wiele liczą na ich przychylność...

„Niezadługo po jego odejściu—mówił emir— po wyjściu na miasto, obił się o moje uszy głuchy szmer wieści krążących o śmierci sułtana i o wybuchłej rewolucyi w Stambule. Udałem się do kilku znajomych osób, chcąc się dowiedzieć o źródle tych pogłosek, lecz świadomi rzeczy zapewnili mię, że to są bajki umyślnie rozsiewane przez ludzi niespokojnych, którzy korzystając z bardzo szczupłej załogi (wojsko Hurszyda poszło oblegać Dyarbekir), chcieliby zrobić powstanie...”

„Zaniepokojony tém poszedłem do baszowskiego Hasnadara (podskarbiego), który mieszkał w mieście, a ten, po zwykłych komplementach, wszczął rozmowę o Achmedzie i Mustafie bejach, rodzonych braciach, ogromnie bogatych, którzy ustawicznie podżeganiami swemi zakłócają spokojuć publiczną, i do niczego nie dążą, tylko żeby się

wedrzeć na baszowstwo Halebu. Uważałem w jego twarzy jakiś niezwykle wyraz w ciągu téj pogadanki o Achmedzie i Mustafie, który we mnie podejrzenie wzbudzał... Tém więcéj, że dowiedziałem się, iż tego ranka (21 paźdz. 1819) jeden z chawasów przyszedł był do musselima (gubernatora miasta) z doniesieniem, że *spiskowi na przedmieściu Bankusy zamysłają o zrobieniu powstania*. Gubernator natychmiast kazał przywołać Achmeda beja, któremu ów chawas powtórzył to w oczy. Achmed nie zmieszał się i nie stracił przytomności umysłu, a mając język dobrze wyprawny, nie tylko oczyścił się z zarzutów, lecz owszem wyszydził niewczesne obawy gubernatora.⁷

Tymczasem żarzewie buntu tlało pod tym popiołem.

„Wróciwszy do Hasnadara około siódmej wieczorem — mówi nasz emir — poszedłem do pana Van Masseyk'a, a ztamtąd na kolację do pana Monge'a, negocyanta francuzkiego, gdzie bawiłem do jedenastej. Ponieważ mieszkałem na przedmieściu Meszarkah, więc aby przejść przez ulice niecoświatłone i puste o téj godzinie, wziąłem z sobą człowieka z latarką. Gdy tak idę, mignęła mi na skrócie jednéj ulicy wielka latarnia niesiona przez mameluka, który poprzedzał jakąś zapewne dostojną osobę, lecz przebraną w strój niepozorny; za tymi dwoma trzeci człowiek prowadził osiodłanego wierzchowca. Postrzegłszy ich za wczasu, kazałem swemu słudze schować się za mur, latarnię postawić na ziemi, i zasłonić ją, żeby nie było widać światła. Poczém dobyliśmy szabel i pistoletów, aby być gotowymi na odparcie napaści. Gdy owa wielka latarnia zbliżyła się ku nam, jakież było moje zdziwienie, kiedy pod tem incognito poznałem Achmeta beja! Minał mnie i nie postrzegł, przesuając się z wielką ostrożnością: bo nawet koń jego miał obwiązane kopyta, żeby hałasu nie robił. Zaintrygowany tą nocną wyprawą, skradałem się za nimi w pewnem oddaleniu, i tak przyszedłszy na róg ulicy, widziałem jak weszli do domu Hasnadara, gdzie snadź oczekiwano ich, bo brama zaraz się otwierała... Wróciwszy do mego człowieka, poszliśmy ku bramie miejskiej zwanéj Baab-el-Dżensin... Krzyknąłem, żeby otworzono. Na ten krzyk zerwała się straż złożona z trzydziestu Arnautów, którzy poznawszy

mię, powitali z uszanowaniem, oświadczając oraz, że mają najsurowszy zakaz nie wypuszczać nikogo z miasta. Tłómaczę im, że basza raz na zawsze polecił, aby mię przepuszczano o każdej godzinie; lecz oni zastawiają się tém, jako naczelnik straży miejskiej Tufendzi baszi był przed godziną i pod karą śmierci nie kazał nikogo przepuszczać. Widząc, że nie nie wskóram, musiałem szukać noclegu u Van Masseyk'a, z którym długo rozmawiałem, robiąc różne przypuszczenia z powodu tych ostrożności.

„Nazajutrz rano miasto było spokojne. Odwiedziło mię kilku Beduinów, którym poleciłem być w pogotowiu do wyjazdu na pustynię. Sam poszedłem znowu do Hasnadara, skarżąc się, że kiedy o jedenastój chciałem wrócić do siebie, nie puszczono mię przez bramę.

„— Jakto? o jedenastój? zapytał Hasnadar zmieszany. Gdzieżeś się zasiedział tak długo?

„— Byłem na kolacyi u pana Monge'a.

„— Musiałeś się dobrze bawić?... Mnie tam zabawa nie w głowie. Niespokojny jestem o tę znaczną kradzież, którą popełniono w mieście, w skutek czego odbywa się rewizya po domach i z miasta nie wypuszczają nikogo, a po ulicach niewolno chodzić w nocy. A wczorajże czy wracając tak późno nie spotkałeś czasem jakich podejrzanых ludzi, osobliwie tam, koło bazarów? bo to mogłoby na ślad naprowadzić...

„— Nie spotkałem ani żywej duszy— odrzekłem obojętnie.

„Odpowiedź moja uspokoiła Hasnadara, który zaraz posłał uwiadomić straż przy bramie, że zakaz niewypuszczenia nie odnosi się do emira Tadz-el-Fahera, któremu wolno o każdej porze wchodzić i wychodzić z miasta.

„Podziękowawszy za tę grzeczność, poszedłem do konsula rosyjskiego pana Rufail'a di Moise Picciotto. Po drodze słyszałem jak na rogach ulic ogłaszano nagrodę za odszukanie czarnego osła, który się zapodział. Było to hasło do wzburzenia ludu, a raczej aby się przygotował do wybuchu, bo w parę godzin potem woźny znowu obwoływał, że „zginęło dziecko siedmioletnie”—co miało znaczyć, że bunt rozpocznie się o godzinie 7-jej podług zegaru tureckiego.

„Już dobrze było po zachodzie słońca, kiedy pożegnałem przyjaciół i zdażałem do bramy Baab-el-Dżensin, aby ztamtąd dostać się do swojego mieszkania i zaraz wyruszyć na pustynię z Beduinami. Przyszedszy do bramy, krzyknąłem na wartę: „Otwieraj!“ Wartownicy z uszanowaniem ucałowali mój płaszcz emirski, i oświadczyli, że tylko co był tu Tufendzi baszi i najsurowiej przykazał im nie puszczać nikogo. Oficer, dowódca warty, wziął mię na bok i powtórzył to samo, dodając, że gdyby otworzył, to przedmieszczanie uzbrojeni, czatujący na otwarciu bramy, wpadliby tłumnie, wartę w pieńby wycięli i opanowali tę ważną komunikacyę z przedmieściem Meszarkah.

„Nie pozostało mi nic innego tylko wrócić do Van Masseyk’a i opowiedzieć całe to zajście. Po dziesiątej pokładliśmy się spać. Zaledwie godzinę zdrzemnąłem się, kiedy całe miasto zawrzało od strzałów z ręcznej broni. Zerwawszy się na równe nogi, przeszedłem po tarasach do mego przyjaciela Aleksandra Cardin’a, i tam na pogadance spędziłem całą noc z dwudziestego drugiego na dwudziesty trzeci.

„Haleb był w ogniu powstania. Na przedmieściu Bankusy lud podkraść się pod domy, gdzie mieszkali Arnauci, i większą część ich wymordował. Gdy ztamtąd zagrzmiały pierwsze wystrzały, odpowiadano na nie z minaretów i z różnych domów.

„Dowiedziałem się później, że moi Beduini, przekonani, że mię tam zabito, a nie mogąc dostać się do miasta, oddalili się na pustynię, aby połączyć się z resztą towarzyszków w Dżebulu; tym sposobem oddzielony od swych ludzi i koni w Gulistanie na Meszarce, zostałem jeńcem w Halebie...”

Gubernator widząc na co się zanosi, zostawił w swoim pałacu załogę ze 150 Arnautów, a sam w gronie znaczniejszych osób i urzędników uszedł do Szeich-Bekiru, rezydencyi baszy Hurszida. Jak tylko władze usunęły się, rozpoczął się rabunek wszędzie, gdzie nie było oporu; gdzie zaś stawiano opór, przypuszczano szturmy. Największe niebezpieczeństwo groziło Turkom; lud na nich zawzięty,

napadał ich mieszkania i ścigał po ulicach. Kryli się też gdzie mogli przed wściekłością tłumu.

„Od trzech dni siedząc w tej zawierusze — pisze Rzewuski — nie miałem żadnej wiadomości od swoich ludzi z przedmieścia. Wtém zjawia się u mnie jakiś człowiek z Meszarki i donosi, że mieszkańcy tego przedmieścia, pomni dobrodziejstw doznanych ode mnie, a mianowicie: że mój Hakim baszi, to jest doktor Konstanty Chotyniecki, pielęgnował i do zdrowia przywrócił tylu chorych, udzielając rad i lekarstw bezpłatnie; że ja nareszcie dałem wsparcie kilku ubogim na odprawienie pielgrzymki do Mekki; że udarowałem życiem trzech fellahów, których Hurszid basza przysłał mi razem z katem, aby za porwanie się na mnie byli ścięci; — otoż mieszkańcy Meszarki lubo chwycili za broń, wywdzięczając się za to wszystko, nie tylko wzięli w opiekę pałac mój Gulistan, lecz i ludzi moich, a nareszcie i mnie zapraszają, abym wrócił, a włos mi z głowy nie spadnie. Bardzo mi była na rękę ta wiadomość, i już postanowiłem być nazajutrz wrócić do swego mieszkania — gdy Opatrzność pokierowała inaczej. Nazajutrz bowiem mieszkańcy Meszarki, z obawy, abym szkody jakiej nie poniósł od rozhukanego pospólstwa, wpadli na myśl odprowadzenia do miasta moich koni, ludzi, rzeczy; odprowadzili, i tak rad nierad zostałem jeńcem w obleżonym Halebie. Basza bowiem zaczął już strzelać do zbuntowanego miasta; załoga zamkowa także sypała nieustanny ogień, ale pociski jej nie robiły wiele szkody. Grube mury i wały opierały się kulom baszowskim na zewnątrz, a zamkowe armaty bijące ze zbyt wysokości, zaledwie mogły ostrzeliwać dwie ulice. Wszystkie bramy były już w rękę pospólstwa, które wymordowało warty arnauckie... Ogromny tłum zebrawszy się w *Mekemeh* czyli w gmachu sprawiedliwości, wybrał sobie radę, czyli po naszymu komitet, złożony z osób najpopularniejszych w tym buncie, i ten zarządzał środkami zaopatrzenia miasta w żywność. Uleomowie (prawnicy) napisali adres do baszy w imieniu mieszkańców, w tym sensie, że jeżeli powstałi, to nie w buntowniczym zamiarze, lecz że już dłużej znosić nie mogli zdzierstw urzędników, a mianowicie uciążliwego podatku

od domów, który grożąc ruiną majątków, przywiódł ich do tego rozpaczliwego kroku; nareszcie, że jedyną przyczyną tego wzburzenia jest musselim, urzędnik dokuczliwy i cheiwy. „Odmień go baszo, znieś podatek od domów, rządy sprawuj sam przez siebie, a żołnierzy trzymaj w koszarach, nie zaś po kwaterach, bo klęską są dla obyczajów publicznych.”

„Naib czyli namiestnik kadego zaniósł ten adres do baszy; lecz ten został bez odpowiedzi i skutku, chociaż poparty był notami konsulów francuzkiego, hiszpańskiego i duńskiego.

„Na tém zgromadzeniu ludowém jednogłośnie obrano naczelnikiem miasta *Muhameda agę Ibn-Hassan-Kaczego*. Była to mała i chuda figurka, o żywych oczkach, lisiem spojrzeniu, przytém wygadana i pełna wybiegów.

„Wewnątrz miasta, jak już wspomniałem, niektóre gmachy osadzone Albańczykami, długo trzymały się. Między innemi w pałacu Hasnadara zamknęło się dwustu Albańczyków i dawało potężny odpór powstańcom, którzy naokoło porobili zasieki i blokowali Albańczyków. Hassan bej, dowódca obleżonych, widząc, że zaczyna brakować ładunków, a żywność się kończy — napisał list do konsulów europejskich z prośbą o wyjednanie dla niego honorowej kapitulacyi. Uwiązawszy kamień do listu cisnął go na taras konsula hiszpańskiego, który zaraz zwołał innych konsulów, zaprosił naczelnika miasta Kaczego i inne znaczniejsze osoby, między któremi i ja się znajdowałem. Na tój radzie, gdy były zdania za i przeciw, wystąpiłem z przemową w tym sensie: „Z Albańczykami wypada postąpić po ludzku; to umiarkowanie z naszej strony rozbroi gniew sultana; nareszcie i potężny Skander, padyszach północy, nie ścierpiałby krzywdy wyrządzonej tym nieszczęśliwym, i pewnie przysłałby wojska swoje, aby pomścić się ich śmierci. Sądzę bowiem, że już wie o wszystkiem z listu, który zaraz wyprawiłem do niego. W każdym razie monarcha ten może być pośrednikiem między Halebem a Jego Sułtańską Mością. Dla tój przyczyny radzę w imię *Wielkiego Skandera* zezwolić na kapitulację; w przeciwnym bowiem razie niezliczone jego trybuty, za jednem skinie-

niem, w przeciągu dwóch miesięcy staną pod murami Halebu, i kamień nie zostanie na kamieniu.”

„Przemowa ta wygłoszona spokojnie, zrobiła wyborny skutek, i niemało mi potem dopomogła do wydostania się z miasta.

„Zamknięto naradę i posłano Albańczykom pozwolenie na kapitulację. Niebawem przybył ich dowódca *Hassan bej* do konsula *Duringhella*, gdzie podpisał warunki i udał się ze swoimi do obozu baszy w *Szeich-Bekirze*. Tym sposobem miasto wolne już było od tureckiego żołnierza, z wyjątkiem załogi zamkowej, którą dowodził *Tufendzi* baszi — lecz téj niemożna było nie zrobić.

„Halebianie z chęcią przyjmowali wszystkich, co przybywali z okolic, aby ofiarować im swoje usługi. To też miasto napełniło się hultajstwem różnego rodzaju, które dniem i nocą z wrzaskiem wałęsało się po ulicach i wyprawiało ekscesa. Podróżała tém samém i żywność. Za miarkę jęczmienia płacono po 5 dukatów, z czego można mieć stosunkowe wyobrażenie o innych cenach. Czasami robiono wycieczki na rezydencję baszy, lecz dzielnie się bronił, i buntownicy nie nie wskórawszy, cofali się za mury. On tymczasem rzucał bomby na miasto i zrządał wielkie szkody. Konsulowie europejscy widząc na co się zanosi, a obawiając się o składy towarów będących własnością Franków, posłali *arzual* czyli suplikę z przełożeniem do baszy, który odpowiedział im węzłowato, że niech wyjdą z miasta, a on im bezpieczeństwo zaręcza. Lecz przyjąć tego nie mogli przez wzgląd, że opuszczając Haleb z rodzinami, musieliby magazyny swoje i domy zostawić na łasce zbuntowanej tłuszczy, która nikogo nie słucha.

„Od téj chwili Halebianie kazali sobie wydać broń w posiadaniu chrześcian będącą i zapłacili za nią; przytém zabrali wszystkie zapasy prochu i ołowiu. Gdy się to działo, nadciągnęła karawana z Damaszku, i przywiodła dość znaczny zastęp janczarów i bandytów wszelkiego rodzaju. Między innymi przybył sławny buntownik *Czaus* janczar wygnany, który pierwszego dnia odznaczył się w wycieczce, a nazajutrz w formalnej bitwie na cmentarzu za bramą *Baab-el-Dżensin*.

„Dotąd — mówi nasz emir — siedziałem spokojnie, nie mieszając się do niczego, i mnie też nikt nie zaczepiał. Otoż wyszedłem sobie zwyczajem moim na przechadzkę w towarzystwie młodego Roussel'a; gdy wtém opadł mię tłum kobiet, które wyjąc i płacząc, zaklinały mię, abym poszedł do baszy i pokój u niego wyprosił.

„— Ależ on mię nie usłucha! odrzekłem.

„— On ciebie lubi i poważa emirze, więc pójdzie za twoją radą.

„— Być może; ale mimo tego co postanowił to zrobi.

„Kiedym się tak opędzał, zbiegło się pospółstwo i dalejże nacierać na mnie, abym stanął na czele mieszkańców i kierował obroną miasta.

„Jam na to:—Nie mogę się podjąć tego naczelnictwa, pamiętając, że basza przyjął mię jak syna; gdybym więc stanął przeciw niemu, zdradziłbym święte prawo gościnności arabskiej; nawzajem, gdybym stał po jego stronie, i bił się przeciw miastu, które mię gościnnie przyjęło, również okryłbym się hańbą. Dla tego pozwólcie mi nie mieszać się do niczego....

„Obosieczny ten argument uspokoił pospółstwo i wywołał dla mnie pochwały; niektórzy tylko, chcąc koniecznie coś wytargować, zaczęli mię błagać, abym codzień przychodził na bastyon, i uważał przez lunetę, jakie są poruszenia wojska baszowskiego, na co, nie chcąc ich zrazić do siebie, przystałem.”

Nazajutrz była owa bitwa na cmentarzu.... „Wpadło do mnie kilku dygnitarzy halebiańskich, prosząc, bym się udał na bastyon przy bramie Baab-el-Dżensin. Poszedłem...

„Ogromny tłum uzbrojonego ludu pod dowództwem Czausa zajął cmentarz... Towarzyszyło mu mnóstwo kobiet i dzieci, które rozbiegły się po tém okopisku. Widząc niebezpieczeństwo w zajęciu téj za nadto wysuniętej pozycyi, posłałem do Czausa, aby cofnął się pod mury, a mianowicie kazał ustąpić kobietom i dzieciom, albowiem spostrzegłem przez lunetę, że jazda delibasów posuwa się i niebawem go otoczy i odetnie; zwłaszcza że prowadzi z sobą cztery armaty. Jeden z członków rady miejskiej poniósł mu tę przestrożę, lecz Czaus odpowiedział, że z przestrogi o ru-

chach nieprzyjaciela skorzysta, ale dla tego bitwę stoczyć postanowił.

„Było za mną kilkanaście osób na bastyonie, ja zaś sam wysunięty naprzód stałem na widoku.

„Widząc na co się zanosi, jeszcze po dwakroć posyłałem do Czausa, aby opuścił to niebezpieczne stanowisko—ale on uparł się i został.

„Wtém nagle wypadła z boku jazda delibaszków, i uderzając na piechotę, rozbiła ją w oka mgnieniu, i co niemiara nasiekła; podjechały armaty i sygnęły kartaczym ogniem na cmentarz, gdzie był tłum kobiet i dzieci.... Zrobił się prawdziwy sądny dzień.... Wojsko Czausowe w rozsypce uciekało do miasta, i pewnie nogaby z niego nie uszła, gdyby nie ciasne przesmyki między murami ogrodów, pomiędzy które jazda baszowska nie mogła się zapędzać.... W rozprawie tój dowodził sam Hurszid basza, tęgi żołnierz, i zapewne patrząc przez lunetę, zobaczył mię stojącego na bastyonie, jakby otoczonego sztabem. Jakoż wyobraził sobie, że to ja kieruję ruchami buntowników, i zaraz kazał wycelować działa na bastyon; kule przelatywały nad nami najmniej o trzy sążnie; z tём wszystkiém nie było czemu dowierzać, i usunęliśmy się z niebezpiecznego stanowiska.

Zaraz między pospólstwem zaczęto szemrać:—„Emir zna się na wojnie; czemuż Czaus go nie posłuchał, kiedy mu dobrze radził? Zgubią nas nasi dowódcy!”

„Przerażenie i zwątpienie ogarnęło wszystkich. Sam zacząłem się obawiać, aby basza nie kazał swoim iść do szturm, zwłaszcza że mógł widzieć popłoch panujący w mieście. Szczęściem poprzestał na tём, i cofnął się do swego obozu w Szeich-Bekirze, ale jak widać, rozgniewany na mnie, natychmiast wydał rozkaz swoim żołnierzom, żeby mię koniecznie żywego lub nieżywego dostali w ręce, czy w mieście, czy na pustyni. Dowiedziałem się o tём nazajutrz przez różne komunikacye z obozem baszy.

„Nieprzyjemna ta wiadomość przekonała mnie, że rola obojętnego widza nie przyda się na nic; nie mając przeto nic do stracenia, postanowiłem wyciągnąć z tego zamieszania korzyść dla moich kochanych Beduinów, i rozmyślając

nad położeniem Arabii, widziałem jak na dłoni niebezpieczeństwo Turków. Rewolucya w Halebie gotowała się od dawna, jak mię zapewniano, wzniecana machinacyami egipskiego baszy, Mehmeda Alego, który ostrzył sobie zęby na Syryę. Osłabić w tej prowincyi władzę turecką, zrobić ją ogniskiem wojny domowej, i tak zawieruszoną zagarnąć pod siebie, było w jego planach. Zresztą na pustyni Wehabici zaczęli głowę podnosić; trzydzieści trzy trybuty połączyły się sojuszem chleba i soli—wszystko więc wskazywało mi dogodną porę do wyłamania się plemion beduińskich z podległości Porcie. Zastanowiwszy się więc nad zbiegiem tych okoliczności, poszedłem do naczelnika miasta Kaczego, i radziłem na seryo, żeby niepotrzebnych bitew nie staczał i ludzi oszczędzał; następnie powinien wysadzić kamienny most prowadzący do cytadelli, co było łatwem do wykonania,—podsadzić miny pod wysunięte baszty zamkowe, wpaść do ogrodów przedmiejskich, wyrąbać drzewa i znieść do miasta, aby mieć przy czém gotować, zrobić w nocy wielką demonstracyę przeciw baszy w Szeich-Bekirze, a tymczasem inną bramą wysłać znaczny oddział z motykami, któryby rozwalil groble na rzece Koiku, porobione przez Hurszida, w celu odjęcia wody obleżonym. Nakoniec obstawiałem, aby porozumieć się z Beduinami i skłonić ich do ciągłego niepokojenia baszowskiego obozu i przecinania mu dowozów żywności. Cytadellę trzeba zdobyć jak najprędzej, przez wysadzenie prochem bastyonów, do których przystęp łatwy; jest w niej bowiem szczupła załoga 200 ludzi, ale znaczne zapasy ammunicyi, żywności, a nadewszystko 60 dział, które raz opanowawszy, należy przenieść na wały i wystawić potężne baterye, któreby wciąż biły na obóz baszowski w Szeich-Bekirze. Nareszcie zakazać powstańcom, żeby na darmo prochu nie psuli w tej ustawnej strzelaninie nieszkodzącej nieprzyjacielowi.

„Było tam jeszcze rad w tym rodzaju, za które Kaczy podziękował mi, ale mimo tego słuchał tylko swojej głowy. Chytra to sztuka, lecz bez najmniejszego pojęcia o sztuce wojennej. Hurszid tymczasem otrzymał od sułtana pełnomocnictwo do najsurowszego ukarania buntowników, a oraz

zapowiedź wysłanych już posiłków i ammunicyi. Basza w tym sensie wydał firman i posłał go do naczelników miasta, aby był w meczecie publikowany, lecz Kaczi schował go do kieszeni i tylko niektórym zaufanym przeczytał.

„Niedoleźstwo Kaczego ocaliło Hurszida który przed przyjściem posiłków szczupłe miał siły, gdy ten przeciwnie mógł przeciw niemu wyprowadzić 30 tysięcy zbrojnego ludu.

„Wszystko, co robił Kaczi, ów improwizowany hetman, trąciło głupstwem; i tak, radziłem, aby wezwać Beduinów, on też ich przez swego wysłańca zaprosił, ale że wiele trybutów oddaliło się ku Eufratowi, więc przybyło trochę jazdy i Haddinów na osielkach, uzbrojonych w rusznice; przez kilka dni kręciło się to na lewém skrzydle wojska baszowskiego, lecz potem w skutek jakiegoś zajścia z Halebianami, odciągnęło na pustynię. Mimo tego Kaczi głosił na całe gardło, że lada dzień przyjdzie mnóstwo trybutów na odsiecz. Kłamstwo u tych przywódców ludowych bywa na porządku dziennym tak w Europie, jak i w Azji.

„Halebianie zawzięci na swoich ciemnizycieli Turków, nie przebaczały żadnemu, który popadł w ich ręce; w mieście jednak było ich niemało; ale jedni poprzebierali się, drudzy pokryli się w mysie dziury, inni udali się pod opiekę chrześcian.

„Pewnego dnia—pisze emir—jeden z moich mameluków przyszedł do mnie, i prosił, żebym udał się do stajni, gdzie czeka ktoś, co ma ważny interes. Poszedłem zaraz, i na samym wstępie rzuciło się mi do nóg kilkunastu ludzi błagających o opiekę nad nimi i nad ich końmi.

„Idąc za głosem mego arabskiego serca, kazałem ich umieścić w stajni razem z końmi, i przyrzekłem opiekować się nimi tém chętniej, że każdy z nich był dobrze uzbrojony, co odpowiadało moim widokom, albowiem od dawna zamierzałem wydostać się z miasta. Na stajni stało moich trzydzieści pięć neźdych; do nich miałem tyleż ludzi stajennych. Teraz przybyło mi 18 Turków. W tymże dniu wieczorem spostrzegłem przy wnijsciu do domu młodzieńca bardzo przyjemnej powierzchowności, który zbliżywszy się

do mnie i ucałowawszy róg emirskiego płaszcza, prosił, że ma mi coś powiedzieć sam na sam. Zaprowadziłem go do izby konsulatu francuzkiego, gdzie ów młodzieniec wyznał mi, że się nazywa Mehmed aga i jest księciem Darkuszu na Libanie, i chciałby wydobyć się z Halebu; przytém że ma z sobą trzynastu ludzi konnych i dobrze uzbrojonych, których razem z sobą poddaje pod moje rozkazy. Przyjąłem chętnie tę ofiarę. Tym sposobem było na moje zawołanie 66 ludzi, nie licząc siebie, pana Peretier'a i owego Mehmeda agi. Z taką siłą można zawsze się przebić, i tak się stało, o czém niżej."

Było to 15 listopada, kiedy emir, przekonawszy się o nieudolności Kaczego, przewidywał blizki koniec. Cóż miał więc robić, żeby głowę unieść od zemsty Hurszida? Tylko jak najprędzej wynosić się z miasta. Otworzył się z tym planem przed konsulami: rossyjskim, hiszpańskim, duńskim i hollenderskim, którym winien był różne summy, przyjęte, a potem nie zapłacone przez dom bankierski Dautza w Stambule, niegodziwie zawiedziony przez hrabiego Ferdynanda Waldsteina-Wartemberga, który oświadczył że ma pieniądze należące do Rzewuskiego, ale ich nie złożył, tylko potem wystawił fałszywe weksle. Nasz emir w przykrém będąc położeniu z tego powodu, oświadczył konsulom zamiar wyjazdu—ci zaś nie robili mu nietylko żadnych trudności, lecz owszem dopomagali.

"Poszedłem do Kaczego i mówiłem, żeby mi ułatwić wyjście z miasta. Z razu robił trudności, lecz kiedym mu darował piękny zegarek, zwołał radę i wyjednał pozwolenie dla mnie i moich ludzi. Wieść o tém rozbiegła się po mieście, i zaraz zaczęła się zbierać dość znaczna karawana ze stu przeszło wielbłądów obładowanych towarami, do której przyłączyło się ze czterdzieści kobiet i mężczyzn z brzegów Syrii. Pospólstwo chciało się sprzeciwić memu wyjazdowi, ale tak nadrobiło się z przywódcami, że już nie mieli stawić żadnej przeszkody.

"Nadszedł nareszcie dzień wyjazdu. Karawana, która poddała się pod moje rozkazy, czekała już przy bramie Baab-Kenarsin, a ja i moi ludzie staliśmy na dziedzińcu chanu, przy posiodlanych rumakach. Był z nami pan Pe-

retier konsul francuzki z Tarsu, ze swoją córką panną Zofią, osobą pełną dowcipu i wdzięku, pod których dałem moje dwa wyborne konie. Sam miałem jechać na swojej ulubionej kłaczce Muftaszarze... Zgola wszystko było gotowe wsiadać za danym znakiem... Słońce właśnie zaszło, z minaretów rozległ się głos muezina, kiedy dałem znak umówiony... Jam był na czele, przy mnie Ahmed z koniem podwodnym i Said wierny mameluk. Reszta miała postępować w ściśniętym szyku, a Mehmed aga w tylną straż z trzynastu ludźmi.

„Kaczi podług umowy miał wszystko tak przygotować przy bramie, abym nie doznał żadnej przeszkody...”

„Przed chanem, z kąd mieliśmy wyruszyć, zebrała się wielka kupa ludu, przez którą trzeba było przebić się.”

„Właśnie muezin z minaretu wygłaszał wieczorną modlitwę, kiedy za drugą strefą raptem otwarto bramę od ulicy i cały nasz oddział wypadł galopem, rozbijając tłumy, których wrzask przeraźliwy długo nam towarzyszył. Jam ciągle wołał na całe gardło: „Jallach! Jallach!” i tak przelatując coraz pustejsze ulice żwawszym galopem, szczęśliwie uniknęliśmy na zakrętach przypadku; szczególnie obawiałem się o pannę Peretier, żeby nie spadła, lecz dobrze trzymała się na koniu. Owoż pędząc z jakich dziesięć minut, bo miasto bardzo rozległe, dopadliśmy bramy Kenarsin, gdzie tłumy zbrojnego popółstwa straż odbywały. Zatrzymałem się, karawana zaczęła się zabierać do pochodu — otwarto bramę i opuściliśmy miasto wolnym krokiem. Ze dwa tysiące tej zbrojnej gwardyi narodowej towarzyszyło nam przez dobry kwadrans, i już wchodziliśmy do dość długiego wąwozu, gdy nam zastąpili drogę Mewalisy, owi Beduini z puszczy, którzy przybyli w pomoc Halebowi. Wszczęła się kłótnia i zamieszanie trwające dobrą godzinę, a niemożna było przywrócić ładu, będąc pogrążonym w ciemnościach nocy. Miałem przy sobie jednego z członków rewolucyjnego rządu i z nim starałem się uśmierzyć to zamieszanie przemawiając do napastników, aby nie wstrzymywali karawany, gdy wtém napada mię z tyłu dwóch ludzi i przykłada dwie lufy do

uszu. Szczęściem, że ów agent rządowy odbił je kijem i ocalił mię od śmierci; zaraz bowiem jedna z tych rusznic wypaliła i gradem posypały się strzały... Nie było już sposobu iść dalej — chyba trzeba było stoczyć formalną bitwę... Postanowiłem więc zrobić odwrot i wrócić do miasta... Gdyśmy wjeżdżali w bramę, zastaliśmy tłumy pospólstwa... Nie tracąc zimnej krwi, zsiadłem z konia, udałem się do naczelnika warty, gdzie mi podano kawę i nargileh, i wdałem się w rozmowę z przywódcami gminu, przedstawiając im najgorsze skutki z zatrzymania mojej karawany. Widać, że ich ująłem, gdyż potem kilk tysięczny tłum z zapalonemi pochodniami odprowadził mię do mego chanu. Resztę nocy spędziłem na naradzie z konsulem francuzkim i hollenderskim."

Tymczasem między baszą a rządem rewolucyjnym zaczęły się jakieś układy. Ci, którym szło o skórę w razie wzięcia Halebu szturmem, wystąpili jako pośrednicy... Hurszid skłaniał się niby do kapitulacji i podał swoje warunki — rząd Kaczego przystał na nie, a nawet i na więcej zezwalał; atoli gdy ten akt poddania się zaniesiono do Szeich-Bekiru, basza podarł go i powiedział, że nie chce ani słyszeć o żadnych traktowaniach z buntownikami. Przeraziło to okropnie Kaczego równie jak całą jego partję...

„Widząc takie usposobienie umysłów — pisze Rzewuski — starałem się namówić radę najwyższą, aby od siebie napisała supplikę (arzual) do sultana z poddaniem się na łaskę i niełaskę, i wyprawiła takową do Stambułu. Dobrze to przyjęto i przez cały tydzień suszono głowę nad ułożeniem tego aktu; nakoniec ułożono go i opatrzono 500 pieczęciami znaczniejszych mieszkańców Halebu. Lecz przez kogo posłać tę supplikę do tronu? Na to już nie mieli konceptu. Pytają mię znowu, jak to zrobić? Ja wystawiam im trudności przesyłki, niebezpieczeństwa, na jaką może być narażony goniec wiozący tak ważne pismo, które zapewne będzie poparte listami konsulów rezydujących w Halebie. „Nie znamy nikogo — odpowiedzieli — tylko ciebie emirze; ty jeden potrafiłbyś nam ułatwić wszystko." I dalej nacierać na mnie, abym się podjął téj missyi. Podajmuję się nakoniec; rada wyznacza Mustafę Aintablego, aby

mi towarzyszył w tej drodze. Sam akt poddania się miał wręczyć ów Mustafa wielkiemu wezyrowi, ja zaś listy od konsulów miałem oddać ich ambassadorom. Cały ten pakiet zapakowałem w juki i oddałem pod straż mego starego Marcina i Sokoła Kozaka z Sawrania.

„Naczelnicy miasta zainteresowani moim wyjazdem, zajęli się przygotowaniem wszystkich środków ostrożności. Stu zbrojnych ludzi wykomenderowano do bramy Kenarsin, aby towarzyszyło mojej karawanie aż do Serminu. Lecz że się obawiano, aby basza, któremu przyszły posiłki, nie przeciął mi drogi, zrobiono w daną chwilę demonstracyę przeciw niemu, aby w inną stronę odwrócić jego siły...

„Nadszedł nareszcie dla mnie dzień upragniony. O godzinie 4 z południa wszyscy byliśmy na siodłach i wyruszyliśmy z chanu tym samym porządkiem co pierwszym razem. Konsulowie odprowadzili mię za miasto; lud wydawał okrzyki, błogosławiąc mi... Zaledwie byliśmy za murami miejskimi, jakiś Murzyn co się przyplątał do karawany, skoczył w bok nagle i drapnął na koniu... Pospólstwo zaczęło wrzeszczeć: „Zdrada! zdrada!” i dalejże ścigać sułtańskich Tatarów z koni, co widząc, kazałem naprzód ruszać karawanie, a sam zwróciłem się do napastników, tłumacząc im, że ci Tatarowie zostają w mojej służbie, że i mnie samego mogą zabić, ale niech pomną, jaka zemsta ich czeka od padyszacha Skandera, który uwiadomiony o wszystkiem, przysze swoje niezliczone trybuty, zburzy Haleb do szczętu...—„A teraz strzelajcie do mnie!” — zawołałem... Przemowa skutkowała, bo już puszczone Tatarów, a i ode mnie odwróciły się wycelowane rusznice... Nie było czasu do stracenia; kopnąłem się za karawaną, co już pomknęła dobry kawał, i dognawszy ją, kazałem rzucić się na lewo w pustynię, aby pogoń zmylić, gdyby ją wysłano za nami.”

Położenie uchodzących było wcale drażliwe, bo mogli się spodziewać napaści z miasta, albo być zaskoczonymi przez Arabów wałęsających się po pustyni; dla tego emir przedsięwziął wszelkie środki ostrożności w ciągnięciu, a lubo nie przyszło do żadnej groźniejszej awantury,

jednakowoż w drodze tej nie uniknięto różnych przypadków; raz spotkano jakiś trybut, który kazał się im opłacić, potem przechodząc przez niektóre miasta, powitano ich strzałami zbuntowanego pospólstwa, agenci bowiem Mehmeda Alego baszy Egiptu w całej Syrii wzniecili ten pożar — lecz z tych wszystkich niebezpieczeństw wyratowała karawanę albo przytomność umysłu emira, albo jego odwaga, albo nakoniec szczęśliwa gwiazda. Tym sposobem dostał się do nadbrzeżnego miasta Latakieh, gdzie go w domu swoim ugościł konsul francuzki pan Lanusse, dając pomieszczenie jego koniom i służbie. Radość z ich przybycia była wielka, gdyż z karawaną tą wróciło wiele osób, których już oplakały rodziny. Emira wynoszono pod niebiosa za uratowanie tylu ludzi z tego halebskiego ognia. Od rana do wieczoru oddawano mu wizyty; między innymi przyszedł do niego jeden zakonnik z Ziemi Świętej i ofiarował się odprawić mszę w kaplicy konsulatu za zdrowie i powodzenie emira. Wdzięcznie przyjął to emir, i na mszy zebrało się liczne grono osób obojęj płci należących do różnych konsulatów, poczem był wielki obiad u pana Lanusse'a, na którym gęste krążyły kielichy. „I ja — mówi Rzewuski — oglądnawszy się, czy na mnie jaki mużulman nie patrzy, także pozwoliłem sobie wychylić niejedno zdrowie wybornem winem z Tripolisu, przeplatając je stosownemi improwizacyami wierszem i prozą.”

Emirowi prędko zbiegły dwa tygodnie na festynach i zabawach, jakimi go przyjmowano w Latakieh. W ciągu tego czasu Mustafa Aintibli, ów poseł od powstańców halebiańskich, pożegnał go odpływając do Stambułu z ową suppliką do sultana. Nakoniec i jemu trzeba było myśleć o odjeździe. Miał on w porcie najęty okręt grecki, na który za pomocą windy wsadzono jego konie i umieszczono je na spodzie, parę tylko zostawiono na pokładzie. Pozdrowiwszy port trzema wystrzałami z działa, odpłynął emir, i w 48 godzinach zawinął do Tarsu, gdzie go przyjmowano z wielkimi honorami.

Miedzy innemi opowiada on zdarzenie, jakie miał w tém mieście:

„Pewnego dnia pojechałem do musselima na pięknym moim Maktabacie, i przejeżdżać mi wypadło tłumy zebrane na placu bazarowym. Musselim postrzegłszy mnie jadącego, zawołał stojąc w oknie: „O emirze! dla czego narażasz swego konia na spojrzenie tylu obcych ludzi?” Zsiadłszy z konia, poszedłem go przywitać, a on mi ciągle mówił, żebym Maktabata postawił w jego stajni i nie wyprowadzał tylko w nocy, kiedy nikogo nie ma na ulicy. Nie wierząc w uroki, śmiałem się w duchu z tego przesądu, i po skończonej wizycie wsiałem na Maktabata i wracałem do siebie. Wypadło mi przejeżdżać przez ciasną uliczkę, gdzie przed domem siedziała jakaś stara Turkomanka z niezasłoniętą twarzą; baba ta ujrzawszy mnie, wstała i rzekła: „Jakiż to piękny rumak pod tobą!” — nie dodawszy zwykle używanego wyrazu: „Maszullach,” który ma własność odganiania uroków. Tknęło mnie to, bo stara miała wzrok nieprzyjemny i przeszywający, i o tém spotkaniu opowiedziałem memu lekarzowi Chotynieckiemu. Przeczucie nie omyliło. Tego samego dnia około 7 w wieczór Maktabat dostał mocnej gorączki, i tak nim rzuciła, że sobie łeb roztrzaskał o belki dość niskiego pułapu. Nazajutrz już było po nim.”

Pobył emira przeciągnął się w Tarsie. Spostrzegł on, że władze tureckie, pomimo grzecznego obchodzenia się z nim, pomimo dawanych mu pochwał za wyratowanie z Halebu kilkunastu Tatarów sultańskich i innych osób zostających w niebezpieczeństwie — miały go ciągle na oku i zapewne byłyby się oparły jego wyjazdowi. Podejrzanie baszy Hurszida, jakoby on dowodził rewolucją w Halebie, udzielone było naczelnikom baszalików i musselimom miast. Zmiarkował to emir, i pewnego dnia, korzystając z nieobecności gubernatora Tarsu, postanowił czémprędzej wypłatać się z téj niebezpiecznej sprawy. Mustafa Aintibli, ów agent Halebian, co miał z sobą suplikę do sułtana, już dawno z Tarsu puścił się konno do Stambułu i pewnie był na miejscu. „Ja z mojej strony — mówi Rzewuski — także robiłem co mogłem, żeby się prędzej dostać do stolicy, ale przekonałem się, że mnie strzeżono. A że na stajni miałem zawsze posiadlane konie,

więc upatrzywszy dogodną chwilę, prosiłem pana Dantana i pana Peretier'a, aby w moim imieniu pożegnali musselima, gdy wróci, i wytłumaczyli mu, że w skutek listów wzywających mnie do stolicy, musiałem wyjazd przyspieszyć. Jakoż o pół do trzeciej po obiedzie wsiadłem na koń, wzięwszy z sobą dwóch moich Tatarów Alego i Mustafę, i puściłem się do Jajlahu, pierwszej stacyi pocztowej. Tam przesiadłszy się na świeże konie, odesłałem własne do Tarsu, a sam pędziłem dalej. Wjechawszy w kraj górzasty, uczułem nagłą zmianę temperatury. W okolicy Tarsu, choć to było w lutym (1820), panowała już wiosna ukwiecona i wonna, a na tych wyżynach otaczających kotlinę Azji Mniejszej, dał wiatr ze śniegiem. Przyodzianemu lekko w indyjskie muśliny, bo jak stałem tak puściłem się w drogę, ostry ten klimat dokuczył mi potężnie, i dopiero gdy m spuścił się na płaszczyznę w Sujucie, powietrze było mniej ostre..."

Pokazuje się, że źle było koło naszego podróżnika, kiedy w lekkim odzieniu wybrał się przebywać całą Azję Mniejszą... Przebył ją jednak bez przypadku, a podobno nie pierwszy raz przebywał te kraje; opowiada bowiem w innym miejscu, jak puściwszy się raz z Akry na koniu, spotkał w drodze trzech Tatarów czyli gońców sultańskich którzy zwykle pędzą co koń wyskoczy, i jechał z nimi do Stambułu. Przestrzeń tę ogromną przeleciał w 13 dniach i nocach. Tatarowie ci dojechawszy do Lewkeh (o kilkanaście mil od stolicy), nie mogli dłużej wytrzymać i plułi już krwią, kiedy on ze swoimi ludźmi dalej tę podróż odprawiał. „Szalona ta jazda — mówił emir — zrobiła mi wielką sławę na całym Wschodzie, gdyż ci gońcy tatarscy roznieśli ją na wszystkie strony. Z tego to powodu dano mi przydomek: „Dżecar el cheil,” czyli kat na konie."

Emir stanawszy w Konstantynopolu, udał się do swego bankiera pana Dautz'a. Wieczorem nadszedł sam Mustafa Aintibli uwiadomiony o jego przybyciu, także i pan Jouannin, tłumacz ambassady francuskiej, poczem wszyscy trzej wyszli do osobnej izby, gdzie czytano papiery i listy przywiezione przez emira... Lecz ani ta suplika do sulta-

na, ani listy polecające — wszystko to na nic się już nie zdało, bo rewolucya w Halebie dawno była pokonana, a głowy Kaczego i innych przywódców buntu wystawione u bramy Seraju, czyniły zbytecznemi wszelkie zabiegi. Szczęście wielkie, że dokumenta te wcześniej o kilka tygodni nie dostały się do stolicy, bo więcejby narobiły złego, niż pożytku przyniosły. Owych bowiem 500 podpisów na supplice byłoby wskazało tyleż głów pod miecz katarski...

Tu był koniec arabskich awantur naszego emira, z których wybrałem więcej interesujące epizody... Opowiadanie swoje kończy on następującą apostrofą:

„Niewidzialna ręka przedwiecznego i miłosiernego Boga strzegła mię pośród tych ciemności, a Kaukab (gwiazda) była moją przewodniczką. Chwała niech będzie Bogu władcy dwóch światów i królowi królów na ostatecznym sądzie!”

Ograniczając się w tej monografii Wacława Rzewuskiego na skreśleniu własnych jego przygód i wytlómaczeniu osobistego charakteru, nie dotykałem innych stron dzieła jego, które pod względem naukowych badań o Wschodzie, szczególnież etnograficznych i geograficznych, mogły mieć w swoim czasie niepoślednie znaczenie. Mąż pełny obszernej nauki i czytania, biegły w językach wschodnich, do tego przedsiębiorczy i narażający się na wielkie trudy i niebezpieczeństwa, zdolniejszym jest i do ściślejszych obserwacyj i do odkryć rzeczy dotąd nieznanych lub źle pojętych, niż każdy inny turysta, co nie rozumiejąc mowy mieszkańców, a tём samém nie będąc wtajemniczony w ich życie, poprzestawać musi na rzucie oka, co jak fotografia chwytła tylko zewnętrzną przedmiotów postać.

Rzewuski udający mahometanina, wysławiający się jak Arab rodowity, nieróżniący się od niego strojem, a do tego zaszczycony emiralną godnością, która przy jego rozumie, nauce i wybujałej fantazyi dawała mu podwójną

wyższość nad tём co go otaczało — miał przystęp wszędzie tak do baszowskich pałaców, jak do namiotu koczowniczego Beduina. Z natury ruchliwy i przygód łaknący, wszędzie mógł dotrzeć, wszystkiego się dowiedzieć, a tём samém obfitsze zebrać plony swoich postrzeżeń, niż ktokolwiek inny. Podróże jego uważane z tój strony, są prawdziwą skarbnicą dla geografii Arabskiego półwyspu. Co chwila spotykasz w nich to sprawdzenie jakiej historycznej wersji, to sprostowanie nazwy, to dokładniejsze oznaczenie miejscowości, nie licząc mnóstwa opisów rozmaitych obrzędów, zwyczajów, sekt, plemion, okolic, ruin, zabytków.... Niedosć na tём: znajdziesz tam i osobne rozprawy badawcze o wietrze Samum, o przyczynach morowego powietrza, o trądzie, o chorobie z pragnienia czyli *alesz*, o sposobie wyrabiania broni na Wschodzie, i wiele innych, aż do rozprawy o racach kongrewskich; a przedewszystkiém o koniach, którym cały tom poświęcił, składając w nim owoce wieloletnich doświadczeń, zebrane przez prawdziwego ich miłośnika.

Uczone te badania idą u niego ręka w rękę z wybrykami fantazyi. To cytuje ci i rozbiera tekst *Quinta Curtiusa*, śledzi pochod wojsk Aleksandra Macedońskiego, opisuje *Pylae Syriae* — istny professor niemiecki z głową pełną tekstów; to znowu wyklada jaką mistyczną abrakadabrę *Druzów*, wierzy w uroki i dla jakiego tajemniczego znaku wpada w zachwyty; to do siebie stosuje prorocstwo Omara, i Beduinom na ruinach Palmiry objawia nową religię. Czy chciałby odegrać rolę Mahometa, i porywając za sobą dwieście kilkadziesiąt trybutów, powodzą tój dzikiej jazdy świat zalać? Gorączkowy pociąg do wielkości rzuca nim: chciałby bohaterskim czynem imię swoje rozślawić, czy jako zdobywca, czy jako państw fundator... Oto już Beduin porównywa go do swego Antara, a jego symboliczną kochankę do Abli, i śpiewa o nim pieśni... Zdawałoby się, że poetyczna wyobraźnia leci przed nim kiedy dosiędzie swój Muftaszary, i wyprawia mu na bezwodnym stepie fata-morgana, które on bierze za rzeczywistość, podobny w tём do błędnego rycerza z Manchy... Atoli jest między nimi różnica. Bohater Cervantes'a nie rozumiał

nowego przełomu w świecie; a ten go widział, i nie chciał się z nim pogodzić... Zadaśany na społeczeństwo, zbiegł na pustynię, aby mógł tam być całym sobą i zawołać:

Jam wzgardził orla skrzydłem i skokiem jelenia
Przy mnie piorun leniwy i strzała bez pędu,
I burza bez dzielności, i płomień bez ognia,
I mnie chcą wiatry dognać? nadzieja dopędzić?

A jednak czasami dostrzeżesz w jego ruchach i rzutach jakby coś obrachowanego z góry, niby rolę, którą sobie odegrać przedsięwziął... i nie możesz brać ze strony istotnej a poważnej tych jego patetycznych przemów do Beduinów, ani tego sentymentalnego nabożeństwa do symbolu wyrytego na kolumnie Tedmoru, ani wierzyć w pęknięcie jego serca, w nienawiść i żal do świata, i w rozpacz szukającą śmierci... Tragiczność emira jest tylko maską, pod którą chce się zrobić interesującym... Był to bowiem czas takich ideałów jak Werther, René, Korsarz, Lara... Oblekać się w ich dziwactwa przesytu, szwały zachceń; goreć dla nadzwyczajnej istoty jakiejś na podłożu necznym niebywałej świecie, a mimo tego być szczerym Donżuanem; w pierś swoją gromadzić wszystkie bole jakimi boleje ludzkość, a mimo tego być wierutnym samolubem, — wszystko to należało do komedii życia... Grał ją poniekąd nasz emir, ale grał jak poeta, na ogromnej scenie, gdzie za dekoracyę z jednej strony miał morze i Liban, z drugiej bezbrzeżny przestwór pustyni, a za widzów słońce i gwiazdy...

Poeta czynu, co czynom swoim chciał nadać rozmiary awantur średniowiecznych paladynów, kończył się z opuszczeniem tajemniczego Wschodu... Czy po nim została tam bohaterska legenda mogąca dostarczyć wątku *herubiom* beduińskim, służyć za materiał wędrownym powieściarzom, rozpędzającym podnamiotowe nudy w trybutach? Czy zjawienie się i zniknięcie Złotobrodego emira z pod gwiazdy polarniej zostawiło tam więcej śladów w pamięci Beduinów niż słup wichrowatego tumanu przechodzący się po stepie?... Niewiadomo — chyba drugi taki jak on mógłby dowie-

dzieć się o nim, wsłuchawszy się w echa pustyni Neżdu. Lecz pociesz się cieniu! Ty, coś tak szczytnie dumał nad znikomością potężnych państw i grodów kamiennych na zwaliskach Palmiry i Balbeku, których olbrzymie monolity codzień znikają pod warstwą piasku nawianego z pustyni—miałżebyś boleć nad znikomością sławy?...

Rzewuski pożegnał Wschód i wrócił na ziemię oczyszłą.

Powrot jego nie mógł przejść bez wrażenia. Fantastyczny strój wschodni, sposób życia wyróżniający się od zwykłego trybu domów szlacheckich i pańskich, osobliwej piękności i dzielności konie — wszystko to zwracało na siebie uwagę całej prowincyi. Zjeżdżano się zewsząd na oględziny tak samego emira, jak dworu, ogierów i klaczy, i z podziwieniem, a czasem i z niedowierzaniem właściwem naszym hreczkosiejom, słuchano jego opowiadań o przebytych awanturach arabskich, które umiał illustrować już melodyjami beduińskimi, już robieniem kopią, ciskaniem dzirytu i jazdą konną na sposób synów pustyni. Jak całe umunsztukowanie i osiodłanie konia, tak części uzbrojenia i ubioru beduińskiego, wszystko to było nowością dla jego sąsiadów, a on każdy szczegół tłómaczył, praktyczność jego podnosił, i o lada drobnostce umiał coś ciekawego powiedzieć, co słuchaczów wprawiało w entuzjazm lub zdumienie. Bawiło to i zajmowało jak każda nowość; a jeszcze więcej zajmowała poetyczna postać emira, szczególnież płeć piękną, której zawracała się głowa na widok ekscentrycznego oryginała, gaszącego bohaterów romansów rzeczywistością, a przerastającego wszystkie egzemplarze doskonałych kawalerów réj wodzących w prowincyi. Emir w rozmowie umiał być pociągającym, bawił anegdotami, śpiewał, dokazywał na koniu, imponował nauką, lubo niekiedy gdy wpadł w ton sentymentalny lub humanitarny, stawał się niemiłosiernie nudnym. Zdaje się, że z powrotem w domowe progi, upojonego słońcem Arabii, rozszalałego w swobodzie pustynnej, rozmarzonego wielkościami potentatów Wschodu, ku którym unosił się na skrzydłach sławy—prędko powitały kłopoty, przeciwności, i te drobne szpil-

kowe ukłócia, z których podobno składa się nasz cywilizowany żywot.

Wiadomo, jakie zniszczenie przynosi w majątkach kilkoletnia nieobecność pana, bawiącego w którejkolwiek z europejskich stolic. A cóż dopiero jeżeli ktoś porwie się na najkosztowniejszą podróż po krajach wschodnich, i dogadzając swojej fantazyi, przepłaca konie, dworem i wystawnością rywalizuje z baszami, przesadza się w bakeczyszach, własnym okrętem pływa po morzu, wyobrażając sobie, że jego skarbiec tak jest niewyczerpany jak owych wschodnich potentatów, którym służy przywilej czerpania w kieszeniach swoich poddanych!... Rzewuski, pan licznych kluczków na Wołyniu i Podolu, aczkolwiek znaczne mógł mieć dochody, przecież te nie szły w równi z jego wspaniałą hojnością i chęcią zostawienia w opinii Lewantynów wysokiego wyobrażenia o polskim magnacie. Powiadają, że podróż ta kosztowała go z parę milionów; że gdy dochód nie wystarczał, trzeba było zapożyczać się. Wprawdzie majątek był ogromny, ale matka jego pani hetmanowa jako dożywotniczka rozporządzała nim, i to w sposób, który zagrażał zupełną ruiną. Ciągłe bowiem przemieszkując za granicą, utrzymywała dom na stopie tradycyi hetmańskiej, szczerą ręką wspierała franeuzkich emigrantów, a w gustach wykwiutna, którym lubiła dogadzać, coraz nowemi długami obciążała fortunę... tak dalece, że dla zaspokojenia licznych wierzyteli rząd rossyjski musiał dobra te wziąć w administracyę i naznaczyć komisyę wybraną z obywateli. Komissya ta rozciągnęła administracyę i na klucz Sawrański, będący wyłączną własnością Wacława, lecz obciążony posagami dwóch jego siostr. Z tego powodu żądano od niego złożenia rachunków z dochodów. Takie to kłopoty spadły na naszego emira, który zamiast znaleźć spokój i wytchnienie przy własném ognisku, znalazł tylko pozwy i procesa.

Nie dziwię się mu, że w pismach swoich, między ulotnemi notatkami, zostawił kilkakrotne rzewne apostrofy do ukochanej Arabii: „O Boże! — woła — daj mi wrócić na pustynię! Kiedyż cię ujrzę ukochany Neździe! Ubóztwo twoje wyżej cenię nad przepychy dworów!... Oko ginie

tam w nieskończoności, wyobraźnia nie ma granic; wolność nie jest tam swawolą, cnota nie jest obłudą.⁷

Musiały to być przykre chwile dla tego farysa, kiedy go swemi paragrafami pętała palestrancka rabulistyka, kładąc rękę na dochody, że może nieraz nie było za co i odziać pocziwych i wiernych Kozaków, co ze swoim panem hulali po Arabistanie, ani utrzymać tego ślicznego stada, co było jego dumą i rozkoszą ..

Nieznosne to położenie w dziwnie humorystycznym wierszu skreślił sawraniecki ksiądz pleban ks. Komarnicki. Jest to głos żałosny Żerebki do swego pana, w chwili gdy mu odjęto administracyę Sawrania. O tym Żerebce, ulubionym Kozaku, który z nim był na Wschodzie, nie ma wzmianki w podróży; atoli jest wzmianka o Sokole: być więc może, że jedna i ta sama osoba.

Wiersz ten napisany w narzeczu ukraińskiem, straciłby wiele w tłómaczeniu; daję go więc w streszczeniu, a sam tekst w przypisku, dostępny dla rozumiejących cokolwiek dyalekt rusiński (*).

(*) „O teper bat'ku Rewucho
Zlydni nam wsim depuczut,
Teper opustymo ucho
I wirni sia rozteczut.

Nemajemo swojěj chaty,
Teper i charezi nematy,
Ni sukmany na hrebet.
Szczu bidny pocznem czynyty,
Nemajem z witki prożyty,
Łyboń pidem na szerbet.

Uże włast' tobi widniały,
Teper ni cabe, ni sob,
Teper my sowsim propały
Chot' poczuchajmy sia w łob!

Ta dumajem szczo z nas bude,
Szczob nie śmijałyś z nas lude,

„Ojcze Rewucho! złe czasy dla nas nastały! Twoi wierni, opuściwszy uszy, rozlecą się po świecie. Nie mamy ani swego kąta, ani z czego żyć, ani co włożyć na grzbiet. Cóż począć? chyba pójść na tureckie sorbety!

„Majątek ci odebrano — człek skrobie się w głowę, i nie wie, co tu zrobić z sobą? A ludzie gotowi śmiać się

Jak z pijanoho czumaka,
Szczu prohulaw mażu soły,
Ta chodyt bosi i hoły
I tancuje hajduka.

Podumaj bat'ku serdeczny
Szczu teper w świti pocznem;
Ce słuczaj nebespijeczny,
Treba dumaty ob niem.

Nema chliba, nema chaty,
Nema do czoho sia wziaty—
Wże trynadciała zima
Jak szlajamoś bez tałanu,
To z czużyny, to w czużynu,
A hroszy bis dawno ma.

Bat'ku, kołyb deputaty
I komissyi prezes
Chtiły nauki zważaty,
Szczu ty z Arabii prynes,
Tob tebe ne wyhaniály
I dekretu ne pisały
Zmowywsza sia wsi w szesty.
Bo chot zdatyś na sud babški
To nema jak po arabški
Administraciu westy.

z nas jak z pijanego czumaka, co przehulawszy mażę soli, chodzi goły i bosi, i skacze hajduka. Pomyśl-no ojeże, čo począc w téj biedzie? Wszak to już trzynasta zima jak się tułamy bez celu po obcych ziemiach...

„O gdyby to prezes komissyi i deputaci chcieli uwzględnić tę mądrość, którą wywiozłeś z Arabii—to pew-

Kim bac wojmy akły boruk ¹⁾,
Koły skaże: Ben el me! ²⁾
 I swij kindżał wozma do ruk
 Ni kto ziwaty neśme.

Ani szyrok, ani souk ³⁾
 Ne miszaje, bo znaj huk,
 Szczo weleno, to wse *hazyr* ⁴⁾
 A jak hejkne: *Hałaj gidy!* ⁵⁾
 To robota jak w prysidy
Irtusz giny ben nazyr. ⁶⁾

Tylko szczo im howoryty
 O arabśkoj mudroci!
 Nema z nymy szczo czynyty,
 Pomroczeny w temnoti.

Buwże kto z nych w Palestyni,
 Abo w hlibokoj pustyni,
 Za piskami, aż tam het,
 De kaminia bez trawyci,
 De ani kropli wodyci,
 I ne roste oczeret?

¹⁾ Kto ma je głowę i rozum wielki

²⁾ Ja powoławaju

³⁾ Ani żara, ani chłód.

⁴⁾ Gotowo.

⁵⁾ Bież szybko.

⁶⁾ Obnennyj dzień, robota szywdka.

nieby cię nie wygnali z domu, a nie wydawali na ciebie wyroku! Bo choćby zdać się i na babski sąd, to przecież nie ma lepszej administracyi nad arabską.

Kto ma tęgą głowę i rozum a krzyknie: *Ben el me!* a kindżałem błysnie—wszystko słucha, dość rozkazać a stanie się; a gdy hukniesz: *Hałaj gidy!* robota idzie jak z płatka. Ale co oni wiedzą o arabskiej mądrości! jak trafić do ładu z ciemnymi łbami!

Czy koczowały na poli
Stroiły czerdak, szalas?
Hulaw kotryj w Anatoli
Na konyku Adabasz?

Czy wyprawław swoju ruku
Brosaw dziidu, strelaw z łuku,
Zubami gindżał derżaw?
Obezerkawisia talizmanom
Do wschid słońca nad Dywanom
Szczob w niczym no poterpaw?

Czy buw znakom z Alibejom
El-Abassi ben-en-man,
Szczu w Algerii buw dejom,
A rodom ma but' Hiszpan?

W Adamaszku ho struiły,
A na puszczy do mohyły
Kław ty bat'ku jeho sam.
A na pamiat', szczu z tym chwatom
Żyweś wirno jak brat z bratom,
Choczesz stroit jemu chram.

Czy buw kotoryj emirom
Beduiskim w Besarib?
Czy kurył lulku z wezyrom,
Baczyw Mahometa hrib?

„Czy był który z nich w Palestynie, albo na puszczy tam, za piaskami, daleko, gdzie ani trawa nie rośnie, ani wody nie ma, ani oczeretów?...

„Czy koczował z nich który pod szalasem, pod namiotem? — czy na koniu przeleciał wzdłuż i szerz Anatoliję? Czy rękę wprawił w ciskanie dzidą, w strzelanie z łuku? Czy w zębach kindżał nosił, lub czy się opisał talizmanami, aby mu uroki szkodzić nie mogły?

Czy prowożaw karawanu
Z Mezaribu do Adanu,
Baczyw Dzamii, Kaab?
Czy chodyw we wremia speki
Z pokłonenijem do Meki?
De mołytsia wsiak Arab?

Czy chodyw kotryj z zawojom,
Gindżał, borođu nosyw,
Buw odit tureckim strojom,
Czy w meczeti hołosyw?

Znaje pysmo w Alkorani,
Sediw z Turkom na dywani,
Czy i w tureckij szupeń,
Czy baczyw seraj sułtańskij,
Abo obrad muzulmańskij?...
Spytaj — a stane jak peń.

Druhych berut sia uczyty,
A sami temni jak niecz.
Może schotiat szcze zrobity
Z diłami neschodnu riez?

Szczoby rejestry spysaty,
I wsi hroszy im widdaty,
A czy czuw se kto koły?
Szczob swerch praci i roboty
Z didicza zberaty szczoty
Jak za koni i woły?

„A któryż z nich poszczyci się znajomością Alego beja, co to był dejem w Algerze, choć Hiszpan rodem, jeśli nie ty ojcze, któryś go własnymi rękami włożył do grobu, gdy umarł na pustyni, a teraz przez pamięć dla zgasłego przyjaciela, chcesz mu świątynię wystawić.

„Niech się kto z nich pochwali, że był emirem beduińskim, że palił lulkę z wielkim wezyrem, lub zwiedzał grób Mahometa. Niech się pochwali, że przewodził karawanie z Mezaribu do Adany, że oglądał Kaabę, czołem bił w Mekce i modlił się jak Arab.

„Czy który z nich nosił zawój na głowie, kindżał za pasem, długą brodę, ubierał się po turecku, modlił się w meczecie, czytał Alkoran, siadywał z Turkami na dywanie, jadał z nimi groch z kapustą, widział sultański seraj?—Pytaj się ich, a każdy stanie jak pień.

„Chcieliby drugich uczyć rozumu, a sami ciemni jak noc. Kto wie, może jeszcze gotowi zrobić jaką grubszą niedorzeczność, i zechcą, żebyśmy spisywali rejestra i oddawali im pieniądze? Tegoby jeszcze brakowało! z dziedzica ściągać rachunki jak z konia lub wołu! To za wiele!

„Jeżeliby kochany ojcze mieli ci tak dokuczać i czernić atramentem — to już lepiej siodłać konie, chwytąć za dzidy i ruszać do Epiru... A jak Bogu ducha odda pani hetmanowa, wrócimy do dom i pokażemy, co to znaczy nasz emir...”

Mały tobi bat'ku luby
Dokuczaty sym pustym,
Potiahaty do rachuby,
Marat' czernyłoni hustym; —
Łutsze posidłajmo koni,
Zaberim didy w dołoni
Taj machajmo aż w Epir!

A jak umre Twoja maty,
Towdi wernem sia do chaty,
I pokażem szczo emir!

Jeremiada ta włożona w usta kozaka Żerebki jest bardzo dowcipną satyrą na te gonitwy za wiatrami pustyni i to kilkunastoletnie wałęsanie się po Wschodzie naszego domorodnego farysa. Żerebka gra w niej rolę drugiego Sancho-Pansy; ten sam prosty rozsądek chłopski stawiony przeciw wybujałym porywom rycerskiej fantazyi, co i w arcydziele Cervantes'a, i tak samo jak tam, bez żółci, bez zżymania się, bez wypowiedzenia posłuszeństwa, Sancho-Pansa-Żerebka kręci głową, widzi jak na dłoni, że ze wszystkich tych zapędów i gonitw za sławą nie nie zostało—ale mimo tego gotów iść wszędzie za swoim panem... Była to w pewnym względzie opinia okolicy. Zajmowały ją te przygody po dalekich krajach, cieszyła sława zdobyta ostrzem beduińskiej kopii... ale cóż z tego, kiedy w domu ruina, nieład i niedostatek?... Gdyby był hrabia z Oryentu przywiózł z sobą kilka brył złota, powiedzianoby, że miał po co jeździć... ale on przywiózł sławę, a raczej wiadomość o niej, bo sława nie przepłynęła za nim przez Czarne morze. Lecz za to prowadził kohejlany... Miłośnicy stad i pięknych koni znali ich wartość, pojmowali ztąd korzyść dla kraju — ale jak tu utrzymać ten kosztowny towar w majątku zrujnowanym, szarpanym przez wierzycieli?...

Dla ludzkich żartów, obmów, wniosków, potępień i rozgrzeszeń, był hrabia długi czas głównym przedmiotem, zwłaszcza że zatrzymał strój orientalny i sposób życia, do jakiego przywykł był w Arabii. Biło to w oczy, i cała prowincya nie mogła się uspokoić.

Z jego jednak usposobieniem, owe majątkowe kłopoty i dokuczliwości administracyi niewiele go gryzły. Takie ciosy dotkliwe bywają dla ludzi niemających gdzie schronić się przed niemi, on zaś zawsze mógł uciec w świat swoich myśli i marzeń, i prowadzić żywot człowieka poprzestającego na małym. Stajnię obrał sobie za rezydencję: tam gości przyjmował, tam przesiadywał, tam pisał swoje wspomnienia, podróże, rozprawy, poezye... Skóra końska była jego posłaniem, siodło poduszką, burka nakryciem. Odpowiednio do tego cały tryb gospodarski.... Wykwinty elegancyi były z domu jego wygnane—za czém nie idzie, żeby pańska fantazyja nie lubowała się w przepysznych ko-

niach, rzędach i licznej czeredzie dworskich kozaków, gotowych w ogień skoczyć na skinienie ukochanego pana.

Hrabia wizyty i podróże zwykle odbywał konno, lubił nawet dla rozrywki farysować po stepie, i sam opowiadał jak nieraz w pogodną noc ubierał się w biały płaszcz emirski, brał do rąk kopię beduińską ze strusiem piórami, i dosiadłszy ulubionej Muftaszary, odnawiał w pamięci swobodny żywot na pustyni Neżu.

Można powiedzieć, że teraz zaczął żyć poezją wewnętrzną.... Po poecie czynu, nastąpił poeta uczuć i marzeń....

Dotąd pisał najczęściej w języku francuzkim, co odpowiadało naturze jego prac, mających interes więcej powszechny, niż miejscowy. Tajemnice Arabii i jej pustyni, kwestye handlowe, sprawy Egiptu i Syrii obchodziły dyplomacyę europejską daleko żywiej, niż nasze ówczesne społeczeństwo.

Rzewuski, który częste słyszał wymówki, dla czego nie pisze w ojczystym języku, a nawet i tak zachęcające słowa jak w liście Sękowskiego, gdy ten mówi: „Przy twoich talentach i tak czystym języku, którym panie hrabio piszesz po polsku, łatwo należeć można do pierwszych naszych pisarzy; *melius est primus esse Parthorum, quam secundus Romanorum*;”—wziął się odtąd tak do przepolszczenia niektórych ustępów ze swoich podróży, jak do próbowania sił swoich w oryginalnej poezji.

Zasób wrażeń zebranych po obcych krajach i doświadczeń w szkole życia, miał on niemały; było więc z czego czerpać, gdyby rozbijała jego wyobraźnia nie upajała się sama sobą i nie unosiła się w sfery częściej egzaltacyi, jak rumak bez wędzidla lecący na oślep.

W samotności w której lubił się zamykać, wracały do niego często obrazy życia pustynnego. Wojny Wehabitów z baszą Egiptu, choć w nich może nie brał udziału, stały się bardzo zajmującym przedmiotem dla jego wyobraźni. Przytaczam wezwanie do świętej wojny:

Na koń, na koń Arabo! synowie namiotów!
Wy jastrzębie pustyni, lwy nieubłagane!

Rzucajcie twardój skały łoża zbyt leniwe,
Zrywajcie się jak burza przy progach wrot płaczu..
Wszędzie milczenie straszne i spokojność głucha.
W obozie Ibrahima (*) rumak jest spętany;
Drzemią miecze i dzidy pod skrzydłem namiotów;
Mameluk zmordowany spoczywa na tarczy....
Na koń, na koń Wehaby! dzieci Beni-Temin!
Ta jest chwila gościnna najeźdźczym hurmom;
Wpadniemy na ten obóz jak chmura szarańczy,
Ścinajmy ostrzem miecza tę wojenną niwę....
Na koń, na koń Araby! wstrząsajcie dzid waszych
Niezwyciężone lasy. Wasz emir jak orzeł
Przed borem tym posepnym na czele sokolów
Unosi się na tronie zwycięzcy powietrza....
Mehmed-Alego wojska z niewiernych spędzone,
Podłe, bo niewolnicze; pierześliwe, bo kupne;
Bez ojczyzny, bez czucia, bez przodków, bez sławy,—
Patrzcie! te wam Opatrzność oddaje na pastwę!
Wam, wam je przeznaczyła, o synowie Neźdu!
Dzieci niepodległości, Izmaela wnuki,
O plemię Patryarchów wolnych, jak wy wolni!
Narodzie królów świetnych, panów niestrwożonych!..

Tu następuje w kilku rysach opis bitwy, w której Wehab zwyciężył. Pieśń tę zamyka następującą apostrofą:

Witaj Boże Wehabów! twa wiara zemszczona!
Witaj wolności droga, wolnych synów wolnych,
Witaj niepodległości wolnych ojców wolnych,
Witaj słońce wspaniałe, wieczna wolność Neźdu!

W tym rodzaju napisał Rzewuski melodye: *Pustynia Neźdu*, *Hymn ranny Beduinów Wehabitów*, *Wojna Wehabitów i Neźdy-Kohejlany*. W tych czterech obrazach wyśpiewał wszystko: ojczyznę Araba, wiarę jego i walkę

(*) Syna Mehmeda-Alego, który wyciągnął przeciw Wehabitom w 25 tysięcy ludzi i 48 armat.

o wolność, i konia nieodstępnego towarzysza w każdej godzinie życia. Jest w tych poezjach koloryt miejscowy, jest obrazowość i moc wyrażen; mimo tego całość prozaicznie pojęta, ujęta i przeprowadzona. Tropikowa wegetacya hyperbol, porównań i słów spętała tam pochod wszelkiej akeji; wykluczona dramatyczność, plastyczny rysunek znika, choć barwy iskrzą się najzuchwaliej zestawione z sobą jak w perskim szalu.

Poezya ta robi wrażenie janczarskiej muzyki; słyszysz w niej tony pełne efektu, ogłuszające i odurzające, które jakby zachwycone sobą, ciągle do siebie wracając, nie troszczą się bynajmniej o wydanie głównej myśli.

Wszystko są to przymioty poezyi orientalnej, która się odbiła w utworach Rzewuskiego z pewną rzec można przesadą. Wszakże znalazłem jedną melodyę arabską: Emir Tadz-el-Faher do Mlichi (pięknej), która zmysłowemi obrazami i zwrotami przypomina sławną Pieśń Salomonową Szir-Haszirim. Mniej tu jest poetycznej retoryki, przez co całość więcej się skupia, i tém samem pozwala się ująć. Nie była ona dotąd ogłoszona, dla tego przytaczam ją w zupełności:

Słowik nocy dla róży wdzięczny hymn miłości,
A woniejącem technieniem róża odpowiada:
Tony twoje są słodkie, jak balsam miodowy
I słowa tak niewinne jak strumień wód czystych.

Czém ty jesteś dziewico? ja pojąć nie mogę;
Bo gdy czułości głosem zanócasz twe pieśni,
Zdaje się, że Andelib (*) z perłami się pieści
W kielichu na twych ustach rozwiniętej róży.

Twoje dwie piersi leżą na łonie śnieżystem,
Jak rozłożone skrzydła białej gołębiczy;
A twe serce niewinne tak bije z tkliwością,
Jak ona, gdy swym dzieciom udziela pokarmu.

*) Słowik.

Gdy na łące twych wdzięków rozwijasz te kwiaty
Niezliczonej rozkoszy—błądząc między niemi
Jak sarna szalejąca, co na wzgórkach Eden
Nie wie od jakich trawek zaczynać swą paszę.

Lecz uciekasz odemnie, jak przed sępem stroni
Strwożona gołębica, jak sarna spłoszona
Umyka po pustyni przed lwem rozbójniczym,
Chowasz się jak wstydlivość przed spojrzeniem słońca.

Ach! czemu ja nie jestem z oliwnego drzewa
Tą gnącą się gałązką szukaną przez ciebie?
Tybyś na mém ramieniu siadywała śmiało,
I jabym twoją miłość kołysał z rozkoszą.

Ach! czemuż ja nie jestem jaskinią samotną?
Byłoby ci spokojném me łono schronieniem,
A może twój dziecinie gniazdem najpewniejszém.
O! jakbym one mojem osłaniał objęciem!

O! córo róż i lilij! gdybym ja był orłem,
Jakbym tobie rozwijał te lotne namioty
Rozłożystego skrzydła jak piór moich tarcze!
Odpierałbym nią strzały z dnia łuku lecące!

Czemuż, gdy stoisz przy mnie, odwracasz twe oczy?
O! jakżeś już daleko odemnie odbiegła!
Twój wzrok już na Libanie pędzisz od gazelli:
„Jestże tam takie serce co zajmuje twoje?”

Już usechł w oczach moich kwiat drogiej rozkoszy;
Wypielone są trawy na łące nadziei!
Serce moje jak skała zwiędnięte stanęło
Na straszliwej pustyni życia otrutego.

Niekiedy głos mój lubój niesiony wspomnieniem,
W rozpadlinach mój duszy odzywa się smutnie,
Jak jęk synogarlicy, mówiący do skały!
„Widzę, że ty od ludzi jesteś opuszczona.”

Powstanie greckie, obudzenie się tej ludności po czterystu latach ciężkiego muzulmańskiego jarzma, egzaltowało wtenczas wszystkie żywsze duchy w Europie. Żaden z wybijających się na wolność narodów nie miał tak rozszerzonej i czynnej propagandy w całym świecie cywilizowanym, co Neogrecy, powołujący się na wszystkie świętości i wielkości antyku, zaczawszy od Homera do Platona i Aleksandra Macedońskiego. W uniwersytetach i liceach na tle tej ubóztwionej przeszłości widziano w dzisiejszych Hydryotach i Kleftach bohaterów Maratonu i Salaminy, a to jedno wystarczało, żeby po stronie wybijających się stanęły sympatyje cywilizacyi. Na Zachodzie potworzyły się stowarzyszenia filhellenów w celu wspierania tej sprawy. U nas jeden tylko Rzewuski umiał być tłumaczem usposobienia tej chwili. Pod żywym wrażeniem *Messenienek* Delavigne'a i *Melodyj Irlandzkich* Moore'a—złożył on sześć melodyj greckich: *Starzec na mogile Achillesa*; *Dziewica Lezbu*; *Niewolnik Olimpu*; *Bobolina do dziewczyc Grecyi*; *Odyseusz do Greków*; *Śpiew grecki*. Mają one te same przymioty i wady,—co i melodye arabskie.... Główna w nich myśl: starganie więzów tureckiej niewoli i ubóztwienie wolności—temat od stworzenia świata przypadający wszystkim do smaku; lecz że poeta tą jedną myślą ciągle obraca i nie umie jej nadać rozmaitości kształtów, popada w ton retoryczny; a pragnąc przytém ciągle trzymać się w górnej sferze wieszczego natchnienia, musi chodzić na szczytach szumnych wyrazów i hyperboli. Mimo tego natrafić tam można na ustępy, w których wieje technienie starożytnych... niby koturnowe pathos, przechadzające się jak cień mistycznego bohatera wśród ruin....

Witam cię święta ziemi! wolnych niegdyś Greków
Ojczyzno starożytna! Witam cię powietrze,
Tchnące synów helleńskich bohaterską sławą!
O Maratonu pola! Salaminy wody!
Wy skały Termopilu i posłuszne echa!
Harmonijny dźwięk struny wieszcza Iliady
Powtarzać nauczone!... Wam pierwsze westchnienie

Na rodzinną krainę przybywając łono,
Poświęcam czulęm sercem, w mężstwo uzbrojony...

Mówi to Odyseusz do dzisiejszych Greków. Bardzo piękny jest jeden ustęp, gdzie mówi o wewnętrznej pracy przygotowującej zwycięstwo uciśnionemu narodowi Greków:

Są nurty utajone, co rwącym potokiem
Burząc wnętrzości ziemi, w milezeniu gotują,
Upadek wspaniałości niebotycznej skały.
I zmarłych bohaterów łez gniewnych strumienie
Ciemnego państwa śmierci przegryzają łono,
A sącząc kroplę cichą w niecierpliwość ludów,
Obalają głąz straszny olbrzymiej potęgi.
Tak kiedyś i tyranów zgruchotana wielkość
Będzie w głębi nicestwa tonęła z przekleństwem...

Te „łzy bohaterów, co przegryzają łono państwa śmierci, co kroplę po kropli sączą w niecierpliwość ujarzmionych...” to także rys naszej epoki, odgadnięty wieszczem uczuciem.

Trafnych przenośni, dosadnych wyrażen pełno się spotyka w jego wierszach. Znać myślącego człowieka po oryginalnem nieraz zacięciu; ale, jak rzekłem, całość bywa męcząca, nieujęta w żaden kształt, a wyprężona tak pretensjonalnie, że czytelnik ani na chwilę odetchnąć nie może w szumie kaskady, która ciągle spada jakby pod ziemię, i nie tworzy ani spokojnie płynącej rzeki, ani szyby jeziora. Nie jest to jednak gorączkowość wulkanicznej młodości, ale raczej jakaś wyrozumowana maniera, która w brzmiających epitetach, porównaniach i przenośniach mozolnie naciągniętych i wyszukanych, widzi poezję. Maniera ta napuszysta popada czasem w takie niedorzeczności, jak owa odezwa Boboliny do dziewic Grecji:

Rwiejcie ponętnych włosów pieszczone warkocze,
Niech z rąk waszych uwita lina nader droga
Zapušci w serca nasze kotwicę nadziei!

Zdawałoby się, że uczucie prostoty było mu zupełnie obce. Nie nazwie on żadnej rzeczy właściwym terminem.

I tak: wstażki niebieskie przy kapeluszu jakiś piękności, nazywa: „błękitnymi strumykami skaczącymi falą po łonie, które wybiegły z dafnejskich źródeł.”

Wszystkie te melodye greckie przypisał pani Teofili z Okryńskich Gomolińskich; arabskie ks. Aloizemu Osińskiemu, znanemu autorowi polskiego słownika.

Oprócz tych, są jeszcze miłosne poezye, noszące mniej więcej ten sam charakter co wyżej wymienione. Czytając je, trudno dobrać z nich jakiego rysu, któryby prawdziwą dawał dyagnozę jego usposobienia; bo chociaż tam napotyka się gwałtowne wybuchy miłości dla kochanki, która umiera, a osierocony kochanek woła w rozpacz:

A przeszłość mi bez ulgi, bez nadziei przyszłość;
Dusza moja bez duszy, i serce bez serca;
We mnie wszystko jest wdowie; śmierć nawet niemiła,
Gdy mnie żal nieskończony oblega nicestwem,—

przecież, mimo najlepszej chęci, nie wzrusza to... Prawdziwy ból inaczej się tłumaczy.

Osobnych pięć *Trenów* wypłakał poeta na grobie *Maryni*, a raczej pisał je „w jaskini nad Słuczą.” Przypisek ten zdradza już pretensjonalność. Czyż niemożna płakać straty drogiej osoby gdzieindziej niż w miejscach dzikich? Czy Kochanowski, aby oplakać Urszulkę, szukał pieczar lub puszczy niedostępnych?

Okropnych tych lamentów na grobie *Maryni*, niemożna jakoś brać na seryo; chociaż prawdopodobnie była osoba tego imienia, w której się kochał, i którą śmierć zabrała. Są nawet w wierszu tym bardzo ładne myśli; sam początek wiele zapowiadać się zdaje w tych czterech wierszach:

Nie! nie ty nieszczęśliwa, lecz ja, co na ziemi,
Ciebie wszędzie szukając, nie odszukam nigdzie;
Ciebie wołając wszędzie, nigdzie nie wywołam;
O ciebie się pytając, nie dopytam nigdy...

Wiersze te składał Rzewuski w czasie, kiedy pierwsze poezye Mickiewicza robiły taką rewolucję w umys-

łach i taki cios zadawały konwencyonalnej manierze panującej w utworach tak zwanych zwolenników klasycyzmu. On, który, jak to zobaczymy, miał głębsze pojęcia literackich teoryj, nie zwrócił uwagi na tę prostotę i naturalność, jaka cechowała utwory śpiewaka *Dziadów*, a dawała im nie zrównany wdzięk i woń. Byłoby to skutkiem przejęcia się Wschodem i jego napuszczającą poezią, że nie mógł już wyzuć się ze swojej manieri? Czy też w manierze tej malował się człowiek jaki był?

Zdaje się, że to ostatnie; bo w charakterze jego i usposobieniu objawiał się zawsze pociąg do olbrzymiości, której nie mogąc nigdy sprostać, pomimo mnóstwa świetnych talentów, nadstawiał ją sztuką, i tak samo jak w pompatozność oryentalną przyoblekł jeden okres swego życia, tak i najprostsze uczucia i myśli przyoblekał w szumno napuszyste słowa. Wierzył on w to najmylniejsze zdanie, że geniusz nie może być prostym i naturalnym bez ubliżenia swojej wielkości.

Jeżeli by w poezjach lirycznych, o który była mowa, znalazło się coś do usprawiedliwienia ze względu na własność tego rodzaju poezyj—to w rodzaju epickim, w którym także sił próbował Rzewuski, usprawiedliwienie byłoby trudniejsze. Poemat *Oksana* w dwóch pieśniach, opisujący walkę Greków o niepodległość, nosi na sobie ten sam grzech, co i inne poezje jego. Chciał on w pewnym względzie naśladować Byron'a, lecz samą treść opowieści, nadzwyczaj ubogą w dramatyczne sytuacje i charaktery, napełnił czczemi deklamacyami o tyranach, o zrzuceniu jarzma, o wolności i t. p. ogólnikach. Działających tu osób prawie nie widać pod tym potopem apostrof, porównań, obrazów i sentencyj. Główna myśl poematu jest w tém, że jakiś grecki tułacz przybywa do Sawranii, i tam spotyka się ze starcem mającym córkę Oksanę; ów wygnaniec opowiada, że miał także córkę Oksanę zamordowaną przez Turków... Polak daje mu swoją — ma to być sojusz między dwoma narodami. Oksana z przybranym ojcem wraca do Grecyi, walczy jak Bobolina, umiera na ręku Byron'a... Można by wnosić, że te postaci są uwydatnione i scharakteryzowane; bynajmniej—są tylko omówione, i czytelnik nie widzi ich

działających, tylko poeta ekstazuje się nad niemi w szumnych apostrofach, co sprawia pomimo brylantowych epitetów, taki niesmak i nudę, że potrzeba bardzo silnej woli, aby ten poemat móżdż przeczytać do końca, tak co chwila traci się wszelki wątek, a raczej szuka się wątku, a nie ma sposobu go znaleźć.

Niektóre osoby, co znały jeszcze Rzewuskiego, powiadały o nim, jako przy wielu towarzyskich talentach i obszernej nauce, niekiedy stawał się tak nudnym, że nie było rady z nim wytrzymać. Rzecz prawie nie do uwierzenia przy tej żywości, fantazyi i tych zasobach, jakimi mógł zająć najwybredniejsze towarzystwo, a jednak dość przeczytać *Oksanę* i niektóre jego poezye, aby uwierzyć w ten rys tak sprzeczny z tem, za co go było mieć można.

Jego sadzenie się na oryginalność, a nadewszystko ciąгла chęć okazania się wyższym geniuszem — nigdzie się nie odkryła tak, jak w tych poezyach, które pomimo swych świecideł i blasku stylu, zdolne są znecierpliwic najwyrozumialszego czytelnika.

Sama ich forma — są bowiem metryczne i bezrymowe (*) — wskazuje, że taki duch rozbijały niepowinien poddawać się więzom rymu. Wyrozumował to sobie, i nawet z całą drobiazgowością pisał uwagi o metryczności; a kiedy prawdziwy geniusz Mickiewicza stworzył miarowy wiersz w *Konradzie*, on zamykał swoją metryczność w trzynastozgłoskowych aleksandrynach.

Miał on przeczucie geniuszu; ale sam nie będąc nim, darł się w tę sferę gwieździstą i słoneczną, bez skrzydeł i tytanicznej siły, i drogę swą znaczył upadkami.

*) W *Dzienniku Literackim* lwowskim z r. 1865 w Nr. 28 i następnych, znajduję wiersz pod napisem: *Marzenie*, podany za utwór Wacława Rzewuskiego. Być może, iż wiersz ten od niego pochodzi, ale dość porównać go z temi utworami, których autentyczność jest uznana jako wyszłych z pod jego pióra, aby przekonać się, że kto inny jest autorem *Marzenia*. Sama łatwość rymu, którego Rzewuski nie używał, logika w rozwinięciu każdej myśli, w niektórych ustępach prostota i prawda uczucia, a nadewszystko nieobecność ulubionych jego epitetów i przenośni w przenośniach — dostatecznie świadcza, że przejście do tego sposobu pisania nie było u jego mocy.

W zapiskach jego urywkowych napotkałem niektóre o poezyi, i zdania krytyczne zawierające nieraz wcale trafny sąd, osobliwie w walce klasyków z romantykami.

Siębie uważając za 'klassyka, tak skreśla ówczesny ruch literacki:

„Jesteśmy w Polsce w smutnej epoce upadku smaku. Młodzi poeci zaczynają gardzić klasykami i na zabój marzą o romantyzmie. Wszyscy oni biorą fałszywość idei za wyobraźnię, przesadę za geniusz, gminną pospolitość za wdzięk i prostotę, brak logicznego ciągu i porządku za byronizm, ciemność za romantyzm, nawał epitetów najczęściej źle zaaplikowanych za obrazowość, słabo pochwyczone rysy namietności za znajomość serca ludzkiego, poziomą bezczelność za szczytną zuchwałość poetyczną, tytuł ballady za pasport do nieśmiertelności, nadętą deklamację za harmonię.

„Przebaczam tym biednym głowom; mają one wszelkie prawo uważać swoje płody za arcydzieła nieskrępowanego niczém natchnienia, bo żadna krytyka *czepićby się ich nie mogła*. Milczenie będzie je ochraniało, a pomści zapomnienie... Myśl nie zatrzyma się nad niemi.”

Jakże z tych prawd niejedną mógł być wprost zastosować do siebie!

Mniemam przecież, że na Mickiewiczu poznał się; lecz czując się z razu pokonanym, stanął po stronie klasyków, żeby zdmuchywać promienie bijące z czoła téj wschodzącej gwiazdy. Gdy jednak nie gasiło to blasku gwiazdy, oddawał jej winną cześć; w papierach jego znalazłem całe ustępy z *Grażyny*, w której, jak się zdaje, bardzo smakował.

Świeżo opowiadano mi, że kiedy Mickiewicz był w Krymie, Rzewuski obyczajem beduińskim puścił się konno stepami przez Perekop — i podobno miał się z nim spotkać, tak, niby przypadkiem, i że z tego spotkania się powstał *Farys*...

Lecz wróćmy do innych jego myśli o poezyi, której rodzaje trafnie niekiedy określa. I tak:

„Rodzaj romantyczny — mówi on — jest *nerwowy*, sprawia on skutek *harmoniki*; istny anatom, zapuszcza on swój ostry i delikatny nożyk w najskrytsze tajniki; a gdy nie może się głębiej dostać, napełnia je subtelnym wyziewem. Jest to poezya woni, wszystko przenikająca. Należy ona do najtrudniejszych; powinna bowiem nadzwyczaj być trafna, aby swój skutek odniosła. Poezja opowiadająca urodziła się zapewne najpierw, i dla tego liczą ją do najstarszej; łączy się bowiem z pojęciem i pamięcią; istne to archiwum pierwotnych ludów.

„Po niej nastąpiła poezja opisowa, malownicza. Natura była jej wzorem, postępujący język używał jej swoich wdzięków, wyobraźnia dawała ruch i wybierała w przedmiotach.

„Poezja moralna (filozoficzna), córka doświadczenia, obserwacyi, przewidywania, zjawiała się na ostatku w tej kolei; ponieważ potrzeba było zdarzeń, porównań, rozwój, wniosków, aby się urodzić mogła.

„Odtąd, gdy każda poezja jest dzieckiem wypadków lub okolic, a w naturze każda okolica czy to przez swój wybitny charakter, czy przez odcień wpadający w oko, zostaje w związku z namiętnościami lub pewnym stanem duszy—odtąd i poezja moralna, używając naturze wszystkich tych wrażeń i uczuć, jakich sama doznawała, tworzyła dodatkowy rodzaj do poezyi opisowej, który nazwałbym *opisowo-przygotowawczym*, dla tego, że mniej zajmuje się kolorytem i kształtami, a więcej intencją i względnym stosunkiem jednych przedmiotów do drugich.

„*Opisowość przygotowawczą* nazwałbym ramami poezyi moralnej, jak nawzajem *malowniczość* ramami poezyi opowiadającej.

„Romantyk, jak mniemam, czerpie najwięcej z marzeń; chwytając widziadła jakie sam roi, daje im swoją duszę, jakiś czas nabawiwszy się niemi porzuca, aby biedz do innych tejże samej barwy. Tym sposobem w rodzaju romantycznym wszystko jest w bliższym stosunku z usposobieniem naszej duszy, niż z rzeczywistością otaczających nas przedmiotów.”

Pragnąc z różnych stron odkryć tę niezwykłą indywidualność, dotknąłem rozmaitych przedmiotów, jakiemi się zajmował Rzewuski w ciągu niespokojnego żywota. Można też o nim powiedzieć, że wszystkiego próbował, a niczego tak nie dokonał, aby w dziele odbił się czy wielki myśliciel, uczony, czy poeta, artysta, bohater. Znać tylko niezmyśloną chęć stania się oryginalnym, — i rzeczywiście osiągnął czego pragnął, o tyle przynajmniej, że wszystko co robił nosiło odmienne piętno. Jego oryentalizm, awantury arabskie, obyczaj beduiński przesadzony na step podolski, pomysły i zdania literackie, forma poezyi — wszystko to wyróżniało się od ogólnych reguł towarzyskiego życia, robiło go zajmującym w towarzystwie; atoli nie dawało mu powagi, ani takiego wpływu, jakby można się spodziewać po człowieku uczonym, utalentowanym, wielkiego rodu i majątku.

Aleksander J... w swoich Wspomnieniach rzuca te słowa charakteryzujące Rzewuskiego: „Coś tajemniczego osiadło na jego duszy, zasępiło twarz jego; coś temu orłowi obarczyło skrzydła, i nie wywinał nigdy orlego lotu. Na to, czém był, był albo za mały, albo za wielki — bo wszystko, u niego było nieporządnie i w gospodarstwie, i w domu...” Roily mu się rozmaite wielkie myśli, a żadnej nie wykonał, i zamiast stać się wielkim człowiekiem, znikając z poróżdka nas, zostawił żal po sobie i próżnię, że tyle zdolności zmarniało i z nim przepadło.”

Różne krążyły podania o jego zniknięciu. Jedni mówili, że zamordował go własny kozak w zemście za odebraną mu kochankę; inni, że kiedy nocował u jakiegoś chłopa, ten zobaczywszy u niego trzos ze złotem, zabił go we śnie.

Jak wszystko, co wykroczy z utartej kolei życia, zostawia po sobie złą czy dobrą, ale zawsze dłuższą pamięć, czy w legendach, czy w anegdotach, czy w pieśni,— tak i po Rzewuskim zostało się wiele legendowych wspomnień. Postać jego, przygody, sam zgon tajemniczy—wszystko to mocno działało na wyobraźnię poetów.

Nie znam też człowieka, któryby w naszych prozaicznych czasach tyle dostarczył poetycznego wątku, co on, nietylko całém życiem, lecz nawet i śmiercią. Poledz wśród boju byłoby rzeczą zwyczajną — tylu innych tak ginęło i ginie; — ale ginąć tajemniczo — bez śladu... nie każdy potrafi...

Posypały się też z lucień naszych pieśniarzy i dumki, i ballady, i bohaterskie poemata, aby go pamięci zachować.

Szczęśliwszy i w tém od tylu innych *illacrimabilium*, śpiących snem zapomnienia, jak mówi melancholijnie Horacy: *carent quia vate sacro*.

Jeśli się nie mylę, najpierw zaśpiewał o nim Wincenty Pol trzy dumki, trzy kwiatki — tak wonne, tak świeże, że pewnie dłużej przechowają pamięć Złotobrodego, niż przechowalaby mogiła, usypana na sawrańskim stepie... lub na pustyni Neźdu...

Słowacki ułożył balladę o kochance, co się topi z miłości dla emira, i o sztylcie, co pierś emira przeszywa.

Michał Budzyński napisał o nim dłuższy poemat — w rodzaju byronicznym.

Nieznany poeta pod przybraném imieniem Romana Szkarłupki (*), odmalował nam go tak, jak się przechował w pamięci gminu... Ostatni teorbanista osnuł swą powieść na odkochaniu dziewczyny... i na zemście tego, któremu była wydarta...

Oprócz legendarnych podań, oprócz tylu czarownych pieśni unoszących się nad nieznanym grobem emira — do wspomnień o nim przyłączył się osobliwy fakt, który nawet w historii powszechnej nader rzadko się powtarza.

Znalazł się po nim samozwaniec.

Ciekawy o tém szczegół podaje Maurycy Mann w swojej Podróży na Wschód. Powiada on, że w Egipcie poznał się z mieszkającym tam od lat wielu D-rem Hermanowiczem, który w wyprawie do Hedżazu w r. 1840 dowiedział się, iż na górze Dżebel-Kerat, o sześć godzin drogi od

(*) Podlewski, autor *Opowiadania starego teorbanisty żebraka*, ogłoszonego w r. 1859 w Krakowie. (Przyp. wyd.)

Mekki, żyje starzec używający wielkiej powagi między Arabami, że nazywa się Hadajad bej—i że jest Polakiem...

Zaciekawiło to doktora—dotarł do miejsca, przekonał się, że ów starzec rzeczywiście jest Polakiem — a gdy go o nazwisko zapytał, w odpowiedzi usłyszał: Rzewuski...

Doktor, który był rodem z Opoła w Lubelskiem, znał hrabiego Wacława, gdy przyjeżdżał tam czasami do swojej żony i dzieci. Łatwo mu więc było zrobić porównanie między tym, którego widywał dawniej, a tym, którego widział przed sobą.

Był to samozwaniec, który korzystając z pięknych wspomnień, jakie emir między trybutami zostawił, odział się płaszczem jego sławy...

Pisząc to wspomnienie po latach czterdziestu od zgonu Wacława, tyle'mi dodać wypada, że z dzielnej gałęzi tego rodu, który wydał tylu ludzi niepospolitych obywatelstwem, nauką, mężstwem, a zawsze odznaczających się tęgością umysłu — do dziś nie pozostało ani jednej latorośli, ani nawet listka... (*)

Możnaby widzieć w tém jakby miłosierdzie Opatrzności, że rody stworzone dla innych wieków i celów, usuwa z widowni świata, dość wcześnie, aby im oszczędzić bolesnego trudu zredukowania się do miary nieodpowiednich ich bujnym organizmom. Czyż z upadkiem Rzeczypospolitej, pociągającym za sobą upadek możnych rodów, nie widzieliśmy takich, co nie mogąc pogodzić się z przeznaczeniem, brali szeroki świat za scenę swych zapędów, lub fantazyowali życiem mijającym bez śladu? Był to ostatni polysk pańskości, która przeżyła siebie.

(*) Autor się omylił; z linii bowiem hetmańskiej Rzewuskich z której pochodził Wacław, żyje kasztelana witebskiego Adam, mający synów i wnuka.

(Przyp. wyd.)



SPIS RZECZY

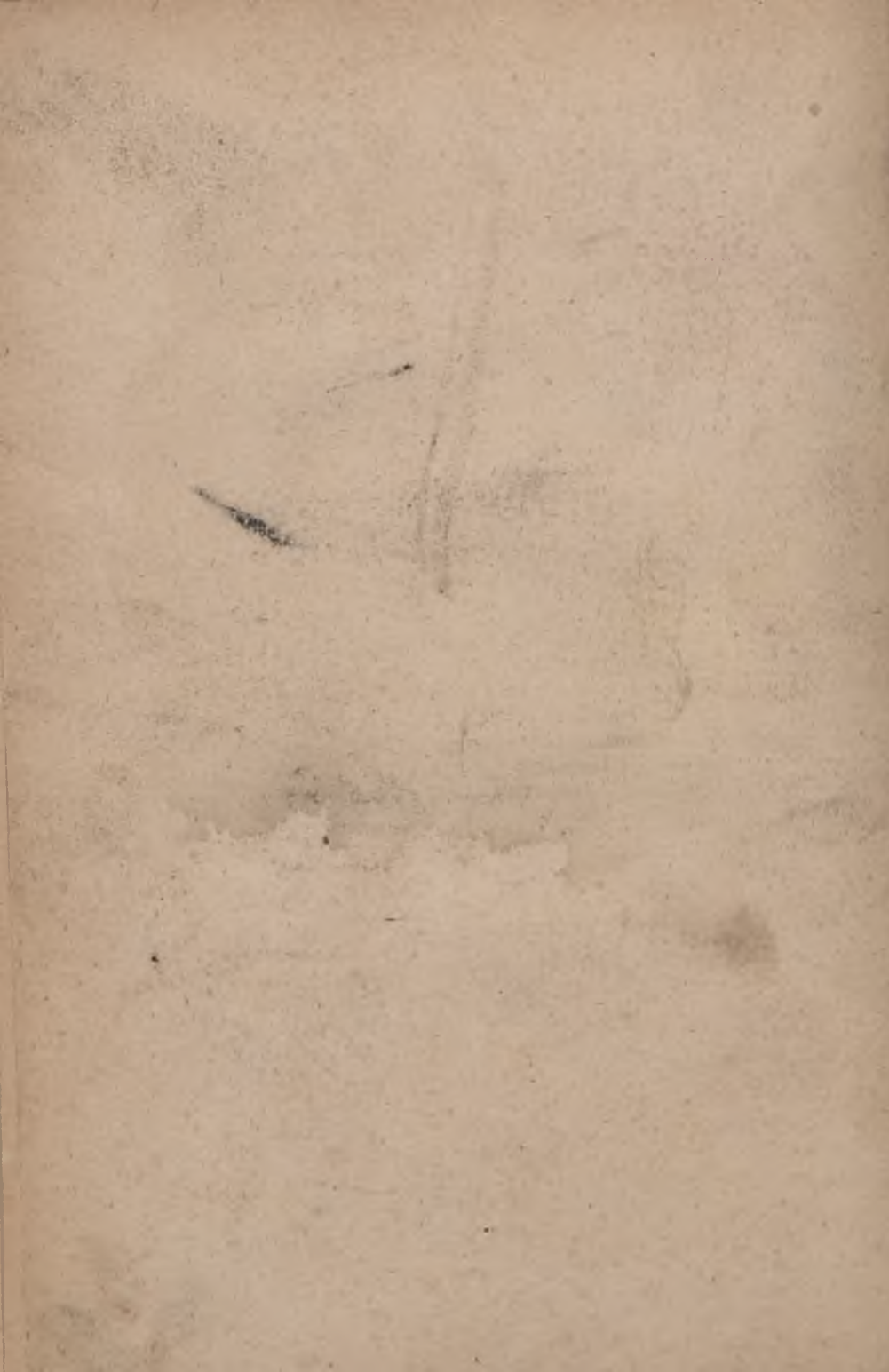
ZAWARTYCH W TOMIE PIĄTYM.

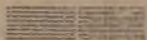
	<i>Str.</i>
XXIII. Konstanty Gaszyński. (1809—1866)	3
Obóz Klassyków	44
XXIV. Anioł Szlązak (Angelus Silesius v. Szeffler. (1624— 1677).	109
XXV. Antoni Malczewski w Warszawie.	143
XXVI. Jan Paweł Woroniecz.	168
XXVII. Emir Tadz-el Faher (Wacław Rzewuski).	192

GDĄŃSKI
ANTYKWARIAT NAUKOWY

A. KRAWCZYŃSKI

GDĄŃSK, 6 — ul. Główna 64
— w oficynie —



NIE POŻYCZA SIĘ
 DO DOMU

Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka
w Gdańsku

23862/5



010305023862